Tajemnice najskuteczniejszej agencji wywiadowczej świata

Ram Oren Moti Kfir

SYLVIA AGENTKA MOSSADU

PRAWDZIWA HISTORIA AGENTKI IZRAELSKIEGO WYWIADU

Moti Kfir, Ram Oren

SYLVIA

Agentka Mossadu

tłumaczenie Mateusz Borowski

znak litera nova
Kraków 2013

Słowo wstępne

Historia agentki Mossadu Sylvii Rafael została spisana w oparciu o dogłębne badania źródłowe, w trakcie których zgromadzono liczne świadectwa i dokumenty dotyczące jej życia. Dla bezpieczeństwa niektóre nazwiska bohaterów i szczegóły operacji Mossadu zostały zmienione. W kilku przypadkach autorzy puścili wodze literackiej fantazji, żeby móc opowiedzieć o wydarzeniach, które w innej formie nie mogłyby zostać upublicznione.

I jeszcze kilka słów na temat fikcyjnych elementów w zrelacjonowanej tu historii. Żeby opowieść tę można było opublikować w jej obecnej formie, niektóre wątki – na przykład dzieciństwo Alego Salameha, jego relacja z ojcem, a także wybrane epizody z życia Sylvii – należało przedstawić za pośrednictwem literackiej fikcji.

Przedmowa

Wśród służb wywiadowczych krąży następujące przysłowie: „*Intelligence is the second oldest profession in the world, only with lesser morals*”. Znaczy ono mniej więcej: „Szpiegostwo to drugi najstarszy zawód świata, znacznie mniej uczciwy od tego najstarszego”.

Dramatyczna historia Sylvii Rafael, syjonistki walczącej w szeregach Mossadu, stawia to porzekadło pod znakiem zapytania. Z jednej strony, w czasie wykonywania zadań bojowych wywiadowca musi czasem uciec się do najbardziej nawet haniebnego podstępu, żeby osiągnąć zamierzony cel. Z drugiej strony, od szpiega wymaga się, by z taką samą żelazną dyscypliną i bezgraniczną odpowiedzialnością walczył w imię państwa izraelskiego przeciwko pozbawionemu skrupułów, arabsko-palestyńskiemu wrogowi, kultywował nienaruszalne zasady moralne i za wszelką cenę chronił bezbronnych i niewinnych ludzi.

Autorzy tej książki przedstawili portret Sylvii Rafael i jej pełną poświęceń walkę z terrorystami z Czarnego Września, zbrojnej frakcji Al-Fatah. Wtajemniczają czytelników w arkany szpiegostwa – pokazują pieczołowitą rekrutację i klasyfikację kandydatów, karkołomne próby, jakim się ich poddaje, i długie, gruntowne szkolenie, które musi przejść każdy agent, zanim zostanie mu powierzona pierwsza misja.

Stanowiąca istotny wątek tej książki afera w Lillehammer, w czasie której omyłkowo zastrzelono Ahmeda Bouchiki, niewinnego młodego Norwega pochodzenia marokańskiego, pod wieloma względami stanowi przeciwieństwo zazwyczaj doskonale przygotowanych i dyskretnie przeprowadzanych planów operacyjnych Mossadu. Niestety, chęć natychmiastowego działania bierze czasem górę. Agent traci panowanie nad sobą i zamiast poczekać na lepszą okazję, przypuszcza atak wbrew niesprzyjającym okolicznościom. Tak właśnie stało się w Lillehammer, ale także w czasie wielu innych akcji, które jako kardynalne błędy przeszły do historii służb specjalnych, nie tylko w Izraelu.

Sylvia Rafael odznaczała się niezłomną wolą walki i darzyła bezgranicznym zaufaniem oficerów prowadzących i swoich przełożonych z Mossadu. Tragiczna pomyłka w Lillehammer, wynik błędnej identyfikacji ściganego, gorzko ją rozczarowała. Niepowstrzymana chęć doprowadzenia akcji do końca spowodowała, że plan spalił na panewce, a cały zespół został aresztowany.

Nic dziwnego, że po tych tragicznych wydarzeniach Sylvia napisała: „Po skandalu w Lillehammer coś we mnie pękło (...). Straciłam chęć współpracy z ludźmi, których niegdyś tak szanowałam. Znałam niezrównanych bohaterów, wybitne jednostki, a nagle zobaczyłam ich w innym świetle. Jaka szkoda...”.

Mossad, izraelskie służby wywiadowcze i członkowie jednostki do zadań specjalnych z pewnością wyciągnęli wnioski z afery w Lillehammer. Jednak ten, kto planuje i przeprowadza takie operacje, zawsze musi liczyć się z możliwością błędu czy pomyłki.

Rzeczywiście, afera w Lillehammer nie powstrzymała Mossadu przed kontynuowaniem działań. Upór się opłacił, zaś szaleńczy pościg za Alim Salamehem, dowódcą Czarnego Września, ostatecznie zakończył się sukcesem. Agenci Mossadu wytropili, zidentyfikowali i zabili terrorystę.

To w pewnym stopniu stanowiło pocieszenie dla Sylvii Rafael, odważnej i zaangażowanej bojowniczki.

I jeszcze uwaga na koniec. Wbrew powszechnemu mniemaniu, główne zadanie Mossadu i innych służb wywiadowczych nie polega na przeprowadzaniu specjalnych operacji, na ściganiu i zabijaniu wrogów państwa. Takie misje należą od rzadkości, choć oczywiście są bardzo ważne. Jednak codzienna praca agentów, stanowiąca nie lada wyzwanie, polega przede wszystkim na żmudnym gromadzeniu informacji, zależnie od aktualnych priorytetów państwowych.

Szlomo Gazit,
generał w stanie spoczynku,
były dowódca wywiadu wojskowego

Część I

Plan zamachu

Wokół stołu siedziało dziewięciu czarnowłosych mężczyzn o śniadych, hardych twarzach. Każdy miał w kaburze przy pasku naładowany pistolet. Przed nimi na stole leżało kilka kolorowych fotografii. Mężczyźni podnosili je i wpatrywali się w przedstawioną na nich osobę, szczupłą kobietę koło czterdziestki w eleganckim kostiumie. Wychodziła z butiku w centrum Oslo, stolicy Norwegii, z torbą pełną zakupów, na której widniała nazwa firmy Steen & Strøm.

Zdjęcie wykonano z dużej odległości aparatem z teleobiektywem, ale i tak przedstawiało ono wyraźnie rysy twarzy pięknej kobiety. Emanowała z niej swoboda i pewność siebie. Nie zdradzała nawet cienia niepokoju czy podejrzeń, że ktoś ją śledzi i robi jej ukradkiem zdjęcia.

Powietrze w pokoju było ciężkie od dymu. Napięcie sięgało zenitu. Pomimo zamkniętego okna słychać było dochodzące z ulicy odgłosy i nawoływania muezinów z pobliskiego meczetu. Był wczesny wieczór w zachodnim Bejrucie, latem 1977 roku. Nadeszła godzina szczytu i na ulicach pojawiły się kilometrowe korki. Zapaliły się latarnie uliczne.

Honorowe miejsce przy stole zajmował Ali Salameh, przystojny mężczyzna z kręconymi włosami. Miał trzydzieści siedem lat. Zgromadzeni wokół niego ludzie wiedzieli, że zdjęcie ma coś wspólnego z głównym powodem ich spotkania. Czekali na wyjaśnienia szefa.

– To Sylvia Rafael – poinformował zgromadzonych Salameh.

To nazwisko wszyscy znali aż za dobrze, choć żaden z nich nie spotkał wcześniej noszącej je osoby. Często rozmawiali o niej z pełnym lęku szacunkiem. Wiedzieli, że przyczyniła się do wyeliminowania wielu z ich współtowarzyszy.

– Ta kobieta musi wreszcie umrzeć – oznajmił zdecydowanym tonem dowódca.

Żaden z obecnych nawet nie drgnął. Przez wiele lat zaprawili się w walce na śmierć i życie. Z mistrzowską precyzją potrafili eliminować niewygodnych ludzi, a zabicie Sylvii przyszłoby im szczególnie łatwo.

Ali Hassan Salameh stał na czele Czarnego Września, jednej z najokrutniejszych i najniebezpieczniejszych organizacji terrorystycznych na świecie. Planował ataki i kierował zamachami, zabijając wielu Izraelczyków i Żydów. Na swoim koncie miał także zamach w czasie igrzysk olimpijskich w Monachium, w wyniku którego zginęli izraelscy sportowcy. Pisały o tym gazety na całym świecie. Po kilku spektakularnych akcjach jego organizacji, Salameha zaczęto otaczać kultem, o jakim marzą

wszyscy terroryści. Przywódca Czarnego Września był inteligentny, bystry, odważny, zdecydowany i posiadał wybitne zdolności przywódcze. Jego ludzie służyli mu posłusznie gotowi wykonać każdy jego rozkaz. Stał się symbolem walki Palestyńczyków. Jasir Arafat, zwany też Abu Ammarem, przewodniczący Organizacji Wyzwolenia Palestyny, pod auspicjami której działał Czarny Wrzesień, przy każdej okazji podkreślał, że Ali spełniał wszystkie jego oczekiwania. Nazywał go „swoim synem".

Teraz, siedem lat po założeniu Czarnego Września, na drodze sprawnego działania organizacji stanęły osobiste konflikty i napięcia między jej członkami. Ali Salameh musiał bronić swojej pozycji. Chciał ponownie zewrzeć szeregi ugrupowania i na nowo rozsławić Czarny Wrzesień. Bardziej niż kiedykolwiek brakowało mu ubóstwienia przez masy i nagłówków w gazetach, które nagłośniłyby jego dokonania.

Ali Salameh wspiął się na sam szczyt nie tylko dzięki swoim zdolnościom przywódczym. Niewątpliwie pomogła mu także sława jego ojca, którego imię wielu Palestyńczyków wymawiało z nabożną czcią od lat trzydziestych XX wieku. Hassan Salameh pojawiał się wśród swoich ludzi zawsze z pasem z nabojami na piersi i dwoma pistoletami przy boku. Należał do najznamienitszych przywódców palestyńskich Arabów i do najbliższych powierników wielkiego muftiego Jerozolimy Mohammada Amina al-Husajniego, sojusznika Hitlera i zwolennika idei zagłady wszystkich Żydów. Dzięki wsparciu i pomocy muftiego Hassan Salameh poprowadził palestyńskich Arabów do walki w powstaniu, w którego początkowej fazie wypowiedział krwawą wojnę Żydom. Był doświadczonym, mądrym i sprytnym przywódcą, który atakował cele izraelskie w samym sercu kraju. Kwaterę główną założył w pilnie strzeżonym budynku w centrum arabskiego miasta Ramla. Stamtąd zawiadywał bazami operacyjnymi w Jaffie, Taibe i Tulkarm.

Dla Żydów w Izraelu jego imię stanowiło synonim zniszczenia i zagłady. Póki Hassan Salameh żył, przynosił im tylko cierpienie. Jego śmierć stała się dla nich priorytetem, pilnym i koniecznym zadaniem. Po wydaniu tajnego listu gończego Izraelczycy dowiedzieli się, że Salameh często przebywa w swojej kwaterze głównej w Ramli. Budynek został oblężony przez izraelskich żołnierzy, którym nie udało się jednak wedrzeć do środka,

żeby zabić poszukiwanego dowódcę. Dopiero gdy brygada Givati z ogromną siłą zaatakowała ponownie, główna kwatera Salameha została zajęta. Zginęło trzydziestu dziewięciu jego ludzi. Jego jednak samego nie znaleziono. Jego godzina wybiła dopiero w czasie walk w Ras al-Ajn. Ali Hassan Salameh, jego jedyny syn i spadkobierca, miał wtedy dziewięć lat. Już jako dorastający chłopiec poprzysiągł pomścić śmierć ojca i wygnać Żydów z kraju. Dlatego został terrorystą.

Sali posiedzeń, w której zebrali się dowódcy Czarnego Września w Bejrucie, strzegli uzbrojeni wartownicy. W oknie stał strażnik, który obserwował ulicę i miał informować o każdym potencjalnym zagrożeniu. Ali Salameh nie żywił wątpliwości, że agenci Mossadu stale go obserwują. W każdej chwili liczył się z ich atakiem. Przecież z jego rozkazu porywano samoloty i zabijano niewinnych Izraelczyków. Był inteligentnym, sprytnym, twardym i brutalnym terrorystą, który wysyłał swoich ludzi na spektakularne akcje w Izraelu i miał politycznych wrogów na całym świecie. Wiedział, że Mossad zrobi wszystko, żeby ukrócić jego działalność, ale zawsze udawało mu się uciec przed pościgiem, zatrzeć ślady i zamaskować się. Kiedy Izraelczykom już wydawało się, że go dopadli, on w ostatniej chwili zmieniał kryjówkę.

Ali z całego serca nienawidził Mossadu, bowiem agenci tej organizacji zabili głównych przywódców Czarnego Września w Europie, których uważał za swoich bliskich przyjaciół. Tylko dwa razy jego ludziom powiódł się plan kontrataku, ale te akcje nie zostały odnotowane na forum międzynarodowym. Natomiast media regularnie nagłaśniały egzekucje wykonywane przez Mossad.

W tej sytuacji organizacja terrorystyczna Czarny Wrzesień chciała nieco wyostrzyć swój wyblakły wizerunek, dlatego Salameh postanowił trafić Izraelczyków w czuły punkt. Poszukiwał ofiary, której zabicie przykułoby uwagę międzynarodowej opinii publicznej. Sylvia Rafael wydawała się idealną kandydatką.

Sylvia zaliczała się do grona najbardziej doświadczonych pracowników Mossadu. Należała do niewielkiego kręgu doskonale wyszkolonych agentów, którzy zajmowali się ściganiem Alego Salameha. Dowódcy

Czarnego Września usilnie, lecz bezskutecznie próbowali ją wytropić. Chcieli ją wyeliminować, bo od lat stanowiła dla nich stałe zagrożenie. Teraz trafiła im się okazja, na którą od dawna czekali, i mieli zamiar z niej skorzystać.

Ali Salameh zdawał sobie sprawę z tego, że zabijając Sylvię Rafael, nie tylko wymierzy bolesny cios Mossadowi, ale także odda ogromną przysługę wszystkim żyjącym członkom Czarnego Września, którzy stracili swoich przełożonych i współtowarzyszy w wyniku działań izraelskiego wywiadu.

– To nie takie trudne zadanie – powiedział Ali. – Nasi ludzie w Oslo od kilku tygodni depczą jej po piętach. Ustalili, że porusza się po mieście bez ochrony i bez broni. Nie spodziewa się, że ktoś mógłby nastawać na jej życie. – Następnie Ali wybrał zespół, który miał zlikwidować Sylvię. – Potrzebuję do tego zadania najlepszych ludzi – oświadczył. – Takich, którzy nie popełnią błędu.

Ali poinformował o swoich planach Jasira Arafata, który z radością im przyklasnął. Kasa Alego świeciła pustkami, dlatego szef Organizacji Wyzwolenia Palestyny polecił, żeby kosztami biletów lotniczych, hoteli, wyżywienia, przejazdów i innymi wydatkami obciążono jego prywatne konto.

Wkrótce zakończono przygotowania do akcji. W czasach świetności organizacji Alego, który zbudował sieć kontaktów w całej Europie, wielu libijskich dyplomatów zgłosiło swoją gotowość do pomocy. To oni przemycili pocztą dyplomatyczną broń do Norwegii i zapewnili członkom Czarnego Września schronienie.

Ali Salameh chciał przeprowadzić akcję wczesnym latem, kiedy już stopnieje śnieg. Gdy zrobiło się cieplej, Sylvia częściej wychodziła z domu, dlatego plan zamachu na jej życie miał większe szanse powodzenia.

Pieczołowicie wybrano czterech zamachowców. Wszyscy mieli doświadczenie w przeprowadzaniu skomplikowanych ataków terrorystycznych. Z kilkoma przesiadkami w Europie polecieli do Oslo, zaś niczego niepodejrzewające służby graniczne stemplowały ich sfałszowane paszporty.

Terroryści zamieszkali w oddzielnych hotelach i przez dwa dni dokładnie zapoznawali się z topografią Oslo, sprawdzając miejsce

przeprowadzenia akcji i opracowując plan ucieczki. Ich zadanie było proste i precyzyjnie sformułowane. Po zabiciu Sylvii każdy z nich miał udać się do innego miasta europejskiego – jeden samochodem, pozostali samolotami.

Gdy już dokonali rekonesansu, zachowywali się bardzo dyskretnie. Nie prowadzili żadnych rozmów telefonicznych, cały czas pozostawali w pokojach, jedli tylko kanapki i wcześnie chodzili spać.

Na krótko przed planowanym zamachem odebrali broń ze skrytki, w której zdeponowali ją libijscy dyplomaci, i zaczaili się pod domem Sylvii. Kiedy tylko stanęła w drzwiach, otworzyli ogień. Byli pewni, że ich plan się powiódł.

Część II

Niezapowiedziany gość

1

Wiatr od pustyni przynosił kłęby pyłu, który zasnuwał słońce i wbijał się w sierść owiec w ogromnych zagrodach w południowoafrykańskim miasteczku Graaf-Reinet. Oświetloną ulicą powoli jechała wypełniona po brzegi ciężarówka, przedzierając się przez gęsty obłok pyłu. W kabinie siedziało dwóch mężczyzn. Jeden trzymał kierownicę, drugi drzemał z głową opartą na ramieniu.

Kiedy ciężarówka dotarła do północnych rogatek miasteczka, zatrzymała się przy chodniku.

– Pobudka. – Kierowca szturchnął swojego towarzysza. – Dotarliśmy na miejsce. – Pokazał na małe domy mieszkalne i białą wieżę holenderskiego kościoła, które wyłoniły się z pyłu. – To Graaff-Reinet – dodał.

Jego zmęczony podróżą, półżywy i znużony towarzysz wysiadł z kabiny i pomachał kierowcy na pożegnanie. Miał około trzydziestu pięciu lat. Był chudy jak szczapa, a w żołądku burczało mu z głodu. Od kiedy trzy dni wcześniej, na początku sierpnia 1946 roku, jego statek zacumował w Port Elizabeth, żywił się tylko resztkami znalezionymi na śmietniku, a zaoszczędzone pieniądze ukrył w bucie. Był nieogolony i nie brał prysznica, odkąd opuścił pokład, ale w tej chwili zupełnie nie przejmował się swoim wyglądem. Myśl o tym, że właśnie osiąga cel swojej wędrówki, dodawała mu sił i motywowała go do działania. Chciał dotrzeć do Graaff-Reinet. Marzył o tym nawet w chwili, gdy śmierć zajrzała mu prosto w oczy.

Tylko cud sprawił, że ten człowiek, który przed drugą wojną światową był nauczycielem historii, pozostał przy życiu. Po wybuchu wojny ukraińscy żołnierze wyprowadzili go wraz z żoną i dwojgiem dzieci z domu w Kijowie, podobnie jak tysiące innych Żydów. Zagnano ich do głębokiego wąwozu w leśnej gęstwinie, gdzie dokonano na nich egzekucji z zimną krwią. Wąwóz ten, zwany Babim Jarem, stał się jednym z miejsc masowej zagłady Żydów. Zaledwie kilku z nich wskoczyło do wąwozu, zanim

dosięgły ich kule, a potem udawali martwych. Właśnie w taki sposób człowiek ten przeżył masakrę.

Nocą, kiedy ucichły już krzyki umierających, wyczołgał się spod martwych ciał i zakradł do własnego domu. W jednym z pokoi zerwał parkiet, pod którym jego żona ukryła biżuterię, i wypchał nią kieszenie. Zabrał też kopertę, na której widniał adres nadawcy z Graaff-Reinet w Afryce Południowej. Przez całą noc wędrował pieszo po bezdrożach. W dzień ukrywał się w lasach, jadł jagody, pił wodę ze strumienia i rozpaczał nad śmiercią żony i dzieci. Kiedy zapadała noc, wyruszał w drogę i wędrował aż do świtu. Po kilku dniach dotarł do domu znajomych chrześcijan, którzy ukryli go w piwnicy. W zamian za kosztowności, które posiadał, dali mu trochę jedzenia, a przede wszystkim nie wydali go Niemcom, którzy dwukrotnie organizowali łapanki w tej okolicy. Nie znaleźli jednak Żyda, który uszedł z pogromu.

Po wojnie opuścił kryjówkę i wrócił do swojego rodzinnego, w dużej części zbombardowanego miasta. Przeczesywał ruiny w poszukiwaniu krewnych, którzy przeżyli piekło. Spał w piwnicy i jadł owoce z opuszczonego ogrodu. Po kilku tygodniach daremnych poszukiwań i wnikliwych rozmów z tymi, którzy przeżyli, przekonał się, że przy życiu nie pozostał żaden z jego bliskich krewnych. Nie było sensu zostawać dłużej w mieście.

Pociągiem i autostopem przejechał pół Europy, zwracał się do organizacji zajmujących się szukaniem zaginionych, przestudiował setki list z nazwiskami ocalałych, szukając krewnych i znajomych. Wszystkie jego starania spaliły na panewce. Pozostała mu tylko jedna, słaba poszlaka – koperta nadana w Afryce Południowej. Wyruszył w drogę, wierząc, że tam znajdzie ludzi, którzy przywrócą mu chęć do życia. Dołożył wszelkich starań, żeby dostać się na frachtowiec płynący w tamtym kierunku. Starą złotą ozdobą, którą zachował na pamiątkę, przekupił radzieckiego urzędnika, który wyrobił mu paszport i umożliwił wejście na pokład sowieckiego statku handlowego płynącego do Afryki Południowej. Był gotów wykonać każdą pracę, choćby bez wynagrodzenia, byle tylko osiągnąć swój cel. Bez słowa skargi od świtu do nocy zeskrobywał porosty i rdzę z metalowych powierzchni i malował je na nowo.

Kiedy statek zacumował w Port Elizabeth, mężczyzna zszedł na ląd ze sponiewieraną torbą zawierającą niewielką ilość biżuterii. W kieszeni

spodni miał cenną, pożółkłą kopertę, na której odwrocie widniało nadal nazwisko i adres nadawcy, pod jaki niezwłocznie się udał.

Dziesięciotysięczne miasteczko Graaf-Reinet, nazwane tak na cześć pierwszego gubernatora regionu oraz jego żony, leżało nad rzeką Sundays. Ludność żyła głównie z hodowli owiec dla potrzeb lokalnych przędzalni wełny, a także z eksportu pomarańczy i uprawy winogron. Gdy tajemniczy podróżny dotarł do miasta, szalała w nim burza piaskowa. Domy miały zamknięte okiennice, a na szerokiej ulicy zostali tylko ci, którym nie udało się nigdzie znaleźć schronienia.

Policjant, ocierając z czoła krople potu, wskazał mu drogę pod poszukiwany adres. W żółwim tempie dotarł wreszcie do okazałego domu. Miał nadzieję, że mieszkają w nim dobrzy ludzie, którzy pomogą mu zacząć życie od nowa.

Rodzina Rafaelów – ojciec, matka i pięcioro dzieci – właśnie zasiadła do popołudniowej herbaty. Dwóch czarnoskórych służących podało kanapki, ciasto i marmoladę.

W przytulnym domu panowała sielska atmosfera, a nad jego mieszkańcami czuwała opatrzność, dzięki której nigdy nie zaznali głodu. Ferdinand Rafael jako dziecko wyemigrował z Ukrainy do Afryki Południowej z rodzicami, którzy liczyli tam na lepsze życie. W nowym kraju zajęli się handlem, kupili dom i zatrudnili czarnoskórą służbę. Ferdinand okazał się bardzo przedsiębiorczym kupcem. Dorobił się na handlu ziemią, nabył kilka stad owiec i lokalne kino. Prowadził też klub, w którym spotykali się zamożni mieszkańcy miasta. Organizowano tam wystawne kolacje, a czasem zapraszano gości do wygłoszenia referatów. W dni świąteczne odbywały się tam bale.

Ferdinand miał czterdzieści dwa lata i był religijnym Żydem, który regularnie chodził do synagogi i hołdował tradycyjnym zasadom. Jego żona Miriam, pochodząca z szacownej rodziny Burów, nauczyła się gotować koszerne potrawy, ale nie zmieniła wyznania. Jednak w czasie Jom Kippur razem z mężem solidarnie zachowywała post.

Zdziwili się, słysząc dzwonek do drzwi, bo o tej porze nikt ich zazwyczaj nie odwiedzał i nie spodziewali się gości.

Pokojówka otworzyła drzwi i przerażona wróciła natychmiast do pokoju.

– Proszę szybko tu przyjść – zawołała.

Cała rodzina pobiegła do drzwi. Na wysypanej żwirem ścieżce leżał nieprzytomny mężczyzna.

– Kto to jest? – zapytała przestraszona Sylvia, córka państwa Rafael.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł jej ojciec.

2

W połowie lutego 1948 roku Hassan Salameh wyszedł nocą ze swojego małego kamiennego domku w wiosce Kula nieopodal miasta Lydda i wsiadł do amerykańskiego packarda, zaparkowanego na wiejskim placu. W Kuli mieszkało około tysiąca ludzi. Wieś miała powierzchnię kilometra kwadratowego, a w jej pobliżu znajdowało się lotnisko.

Kabriolet packard był największą dumą Hassana. W owym czasie tylko najbogatsze arabskie rodziny mogły pozwolić sobie na zakup własnego samochodu, ale Salameh, syn ubogiego kamieniarza, dokonał niemożliwego. Stać go było na własny samochód, niezrównany symbol statusu społecznego, dzięki czemu mógł stanąć w jednym szeregu z największymi bogaczami. Hassan obchodził się ze swoim autem jak z drogim koniem szlachetnej półkrwi. Wyznaczył jednego ze swoich ludzi, żeby zajmował się samochodem, codziennie go mył i polerował. Nigdy go jednak nie zamykał ani nie pilnował. Przecież nikt nie odważyłby się tknąć samochodu wodza.

Zanim Hassan Salameh zgromadził fortunę, zaznał prawdziwej biedy. Bywało, że szedł spać głodny, bo domowa spiżarnia świeciła pustkami. Jego los odmienił się dopiero wtedy, gdy zgromadził wokół siebie ludzi, którzy gotowi byli zaryzykować życie, żeby wygnać z kraju Żydów i Brytyjczyków. Nagle jego kieszenie napełniły się pieniędzmi. Niektórzy twierdzili, że pochodziły z przeprowadzanych przez jego ludzi napadów na brytyjskie banki. Wedle innych plotek mufti dostał je w czasie drugiej wojny światowej od nazistów, żeby sfinansować walkę palestyńskich Arabów.

W tę zimną noc Hassan zabrał ze sobą swojego małego syna Alego, położył ciężki angielski karabin na tylnym siedzeniu i włączył silnik. Za żywopłotem z kaktusów, który otaczał wioskę Kula, czekał na Hassana Salameha oddział uzbrojonych mężczyzn na koniach. To byli jego najlepsi żołnierze. Miało do nich dołączyć kilkudziesięciu innych z sąsiednich wsi Mazra’a, Rantis i Haditha. Prowadzony przez Hassana czarny samochód

jechał przez wyboiste pola na czele oddziału konnego, wzbijając w powietrze tumany kurzu, które zasłaniały widok jeźdźcom.

Ali siedział zaspany obok kierowcy i najprawdopodobniej marzył tylko o ciepłej kołdrze, spod której musiał się wygramolić, kiedy nadszedł czas odjazdu. Chłopiec zawsze wypełniał wolę ojca, nawet jeśli nie miał na to najmniejszej ochoty. Nikt nie ośmieliłby się sprzeciwić Hassmanowi Salamehowi, jedynemu przywódcy Arabów w środkowej części kraju. Niepozorny i niewykształcony okularnik zdołał wywrzeć na Arabach z okolic Lyddy i Ramli takie wrażenie, że zmobilizował ich do zbrojnej walki. Był dla nich wzorem odwagi i waleczności. Zanim jeszcze w połowie 1948 roku wybuchła w Izraelu wojna o niepodległość, Hassan i jego ludzie przeprowadzili wiele akcji zbrojnych, które miały naruszyć poczucie bezpieczeństwa i stabilności wśród ludności żydowskiej i w szeregach brytyjskiego okupanta.

Hassan Salameh błyskawicznie wspiął się na sam szczyt wojskowej hierarchii i został dowódcą oddziałów palestyńskich. Słynął z rozsądku i chytrości. Sprytnie i przytomnie atakował tam, gdzie Żydzi najmniej się tego spodziewali. Szósty zmysł ostrzegał go zawsze przed pułapkami, które na niego zastawiano. Z dumą obserwował, jak każdego dnia powiększają się szeregi jego armii. Jako pokorny muzułmanin i nacjonalista, nazywany również „szachem”, chciał zostać przywódcą palestyńskich Arabów, gdy tylko uda się wypędzić wszystkich Żydów z zajmowanych przez nich terytoriów.

Martwił się tylko o Alego, swojego pierworodnego syna i jedynego spadkobiercę. Ali urodził się i wychował w Kuli, wiosce położonej na drodze prowadzącej z miasta Ras al-Ajn, dziś noszącego nazwę Rosch HaAjin, do Lyddy, obecnie nazywanej Lod. Z Kuli rozciągał się widok na nadmorską równinę, a przy dobrej pogodzie widać było Tel Awiw.

Śliczny, drobny chłopiec najbardziej lubił bawić się z przyjaciółmi i bardzo niechętnie pomagał w polu. Wioska leżała na żyznych terenach i nigdy nie brakowało w niej wody. Zamieszkiwały ją głównie rodziny rolników z dziada pradziada, których potomkowie najczęściej szli w ślady rodziców. Tymczasem Ali chciał zostać gwiazdą filmową.

Hassan Salameh był znakomicie wyszkolonym żołnierzem. Eksperci wojskowi, wywodzący się z kręgu narodowych socjalistów, przygotowali go do walki partyzanckiej, żeby mógł stanąć na czele arabskiego powstania przeciwko zwierzchnictwu Wielkiej Brytanii na terenie Mandatu Palestyny.

Zdobył sławę jako nieustraszony dowódca, wyborowy strzelec i uzdolniony strateg. Natomiast jego syn bujał w obłokach, chętnie grywał w piłkę i jeździł na osiołku po starych fortecach krzyżowców, na ruinach których zbudowano jego wioskę. Hassan Salameh wstydził się swojego dziecka. Zazdrościł żołnierzom, którzy uczyli swoich synów strzelania, zabierali ich na akcje i z dumą patrzyli na nich, jak z kolbą karabinu opartą o ramię strzelają do izraelskiego wroga. Ali jako jedyny chłopiec w wiosce nie marzył o takich wyprawach i nie chciał siać zniszczenia w szeregach Żydów. Nudził się, gdy ojciec wyjaśniał, że ziemie te należą do Arabów, i głosił konieczność walki z Żydami, żeby wreszcie ich przepędzić. Ziewał, gdy ojciec przechwalał się swoimi bohaterskimi wyczynami. Matka Alego Naima tak samo jak mąż ubolewała nad tym, że ich syn nie ma żadnych ambicji, by zostać żołnierzem. Oboje rodzice często rozmawiali z synem, wyjaśniając mu, że okrywa swojego ojca hańbą, że Hassan nie ma żadnego innego potomka i że któregoś dnia wzrok wszystkich palestyńskich bojowników skieruje się na Alego i dlatego nie może ich zawieść.

Ali posłusznie zwieszał głowę i milczał.

W ósme urodziny Alego ojciec powiedział, że niebawem zacznie zabierać go ze sobą na akcje, żeby obudzić w nim chęć do walki i fascynację rzemiosłem wojennym. Wkrótce spełnił swoją obietnicę. Matka przygotowała im na drogę pity, oliwki i suszony twaróg.

– Nie martw się – powiedział Ali, jakby czytał w jej myślach. – Nie przyniosę ojcu wstydu.

Hassan Salameh zawiózł Alego do swojej kwatery głównej, mieszczącej się w czteropiętrowym budynku w Ramli, wcześniej należącym do brytyjskiej szkoły oficerskiej. Teraz w stu pięćdziesięciu salach urządzono tu koszary. Setki arabskich ochotników uczyły się codziennie na dziedzińcu, jak obchodzić się z lekką bronią i granatami ręcznymi, albo ćwiczyło taktykę walki wręcz. W piwnicy znajdował się wielki skład broni, a przed budynkiem stały trzy wozy pancerne, które brytyjscy żołnierze przeszmuglowali dla swoich znajomych Arabów za sowite łapówki. Stało się to po tym, jak liczne oddziały izraelskie zaatakowały budynek, żeby wyeliminować wreszcie Salameha, ale on na swoje szczęście nie przebywał na terenie koszar, bowiem odwiedzał wtedy swoją kochankę w Damaszku.

Ali bynajmniej nie palił się do wyjazdu, bo w ogóle go nie interesował udział w planowanych walkach zbrojnych, ale nie chciał rozczarować ojca i

nie powiedział mu, co tak naprawdę myśli o całej wyprawie.

Hassan Salameh z dumą przedstawił swoim ludziom Alego, pozwolił mu przyglądać się ćwiczeniom strzelniczym, a nawet dał mu karabin. Ali trzymał go bez większego entuzjazmu. Broń była ciężka i nieporęczna. Hassanowi przekleństwa cisnęły się na usta, gdy Ali oddał mu karabin. Stojący wokół żołnierze patrzyli na chłopca z rozczarowaniem i zapewne uważali, że kilka porządnych klapsów od ojca przywróciłoby Alemu rozsądek i rozbudziło w nim zainteresowanie dla walki Palestyńczyków. Ale choć Hassan chciał uchodzić za okrutnego i bezlitosnego wodza, nigdy nie bił swojego syna.

Następnego ranka Hassana i Alego obudził hałas strzelających karabinów maszynowych i wybuchających granatów ręcznych. Żydzi zaatakowali położoną niedaleko arabską miejscowość. Ali przeżył wtedy chrzest bojowy. Trząsł się ze strachu i zagryzał wargi, byle tylko nie pisnąć ani słowem o powrocie do domu.

Kiedy niedługo później ludzie ojca rozpoczęli pościg za napastnikami, Ali wrócił do łóżka. Po powrocie Hassan obudził go i kazał mu wstać.

– Dość już spałeś – warknął. – Wojna jeszcze się nie skończyła. Przed nami mnóstwo pracy.

Pewnego razu, zimą na przełomie 1948 i 1949 roku, o północy Hassan Salameh z synem stanął na czele oddziału, który przez wiele godzin wędrował do wioski Yazur leżącej na drodze do Jerozolimy. Gdy zza drzew eukaliptusowych wyłaniało się poranne słońce, żołnierze po obu stronach drogi zajęli stanowiska ogniowe. Hassan Salameh położył się razem z synem na ziemi i pokazał na konwój izraelskich samochodów, które jechały prosto w zasadzkę.

– Zaraz zobaczysz, jak im damy popalić – powiedział.

Ali zamknął oczy. Modlił się w duchu, żeby ojciec nie zmuszał go do oglądania martwych ciał i rannych skąpanych we krwi.

Opancerzone ciężarówki jechały powoli po wąskiej asfaltowej drodze, aż dotarły do miejsca zasadzki. Drogę zagradzała im zapora z kamieni, na której leżał naszpikowany materiałami wybuchowymi martwy pies. Kilku młodych Żydów wysiadło z ciężarówki i próbowało przesunąć przeszkodę. Pies eksplodował i zranił niektórych z nich. Salameh wydał rozkaz do ataku. Setki jego żołnierzy wybiegły na drogę, krzycząc „*Itbach al yahud*!”,

czyli „Zabij Żydów!”, i strzelając do wozów opancerzonych. Młodzi Żydzi, którzy wysiedli, żeby usunąć barykadę, zginęli pod gradem kul. Inni wyskoczyli z samochodów i zaczęli ciągnąć martwe ciała. Niektórzy zginęli lub zostali ranni.

Ci, którzy pozostali w samochodach, kontratakowali przez otwory strzelnicze, ale w tym starciu nie mieli najmniejszych szans. Ludzie Hassana Salameha w mgnieniu oka dotarli do konwoju i dobili siedzących w samochodach żołnierzy, zabrali im broń i pieniądze. Kierowcy zawrócili na wąskiej drodze i odjechali. Na asfalcie zostały tylko kałuże krwi. Ali niepostrzeżenie odszedł na pobocze i zwymiotował.

Arabscy napastnicy zgromadzili się w pobliskim sadzie w doskonałych humorach. Niektórzy gratulowali Alemu, bo zachował zimną krew i nie okazał strachu. Ali zareagował bardzo powściągliwie. Chciał tylko wracać do domu, ale nie miał odwagi wypowiedzieć tego na głos.

Salameh wydał rozkazy dotyczące dalszego postępowania. Wyjaśnił, że blokada drogi do Jerozolimy jest niezwykle istotna.

– Żydzi próbują dostarczyć zapasy do obleganego miasta, nie możemy do tego dopuścić.

Przez dwa dni Ali razem z ojcem i jego ludźmi koczował przy blokadzie drogi. Spał na ziemi, jadł pity, oliwki i samodzielnie zebrane owoce, brał udział w zasadzkach, słyszał świstające mu nad głową kule i widział śmiertelne ofiary zarówno po żydowskiej, jak i arabskiej stronie.

Trzeciego dnia Salameh przekazał dowództwo swojemu zastępcy i razem z Alim pojechał do domu w Kuli. Był pewien, że udzielił ważnej lekcji synowi, który nareszcie dojrzeje i pójdzie w ślady ojca. Zauważył kilka pozytywnych symptomów. Chłopiec ani razu się nie poskarżył, nie próbował uciekać i choć nie okazywał entuzjazmu, to wykonał pierwszy krok, by z dziecka stać się godnym następcą swojego ojca.

– Cieszę się, że mi towarzyszyłeś – powiedział Hassan.

Ali pokiwał głową.

– Ja też się cieszę, ojcze.

Kilka kilometrów od ich wioski ich drogę przeciął pochód uciekinierów. Hassan i jego syn rozpoznali wśród nich mieszkańców Kuli. Swój skromny dobytek nieśli na plecach albo pchali w wózkach, a klucze do domów schowali głęboko w kieszeniach. Wśród uciekinierów znalazła się również żona Hassana i jego rodzice. Z bólem opowiadali, jak oddział

izraelskich żołnierzy napadł na wioskę, zajął niewielki skład broni i opanował cały teren. Wszyscy mieszkańcy pośpiesznie spakowali swoje rzeczy i uciekli. Hassan zagryzł zęby, zawiózł rodzinę do przyjaciół w Ramli i oznajmił, że wyrusza z powrotem na front.

– Wyzwolę Kulę – obiecał żonie, która żegnała go ze łzami w oczach.

– Uważaj na siebie – prosiła go.

– Nie martw się – opowiedział pewny siebie. – *Allah ma'ana*, Bóg jest po naszej stronie.

3

Służący wnieśli nieprzytomnego przybysza do domu, a Ferdynand zadzwonił po lekarza.

– Jest bardzo osłabiony – zawyrokował doktor po gruntownym badaniu. – Proszę dać mu odpocząć, a jak odzyska przytomność, powinien coś zjeść, a przede wszystkim dużo pić. – Spakował swoje instrumenty. – W jaki sposób tutaj dotarł? – zapytał.

Miriam odpowiedziała, że znaleziono go przed drzwiami ich domu.

– Musicie uważać – ostrzegł ją lekarz. – Kto wie, czy to nie złodziej albo morderca.

Ferdinand zadrżał ze strachu. Sięgnął do kieszeni mężczyzny i wyciągnął z niej radziecki paszport. Wystawiono go na nazwisko Alex Rafael, a jego właściciel urodził się w Kijowie.

– Dziwne – mruknął pod nosem. – Nosimy to samo nazwisko, ale nie mam zielonego pojęcia, kto to jest.

Zauważył, że mężczyzna ściska w prawej dłoni list. Otworzył jego zaciśniętą pięść i przyjrzał się kopercie. Była zaadresowana do Aleksa Rafaela w Kijowie na Ukrainie. Na drugiej stronie widniał adres Ferdinanda w Graaff-Reinet. Przypomniał sobie, że to ta sama koperta, w której niegdyś przesłał pieniądze na bar micwę swojego kuzyna z Kijowa. Czy teraz na łóżku leżał przed nim ten kuzyn?

Od wybuchu wojny Ferdinand stracił jakikolwiek kontakt z krewnymi. Po wojnie pisał do nich listy, ale jego starania, żeby ponownie nawiązać z nimi kontakt, spełzły na niczym. Mimo to nie tracił nadziei, że przynajmniej jeden z jego krewnych ocalał z Zagłady.

Następnego dnia w południe Alex otworzył oczy. Miriam przyniosła mu ciepły rosół, który on łapczywie zjadł. Z głębokim smutkiem, łamaną angielszczyzną opowiedział, że cała rodzina zginęła w czasie wojny i tylko on cudem ocalał. Sylvii słuchającej jego opowieści napłynęły do oczu łzy.

Przed tym spotkaniem dzieciom Rafaelów – Sylvii, Joyce, Harriet, Jonathanowi i Davidowi – wojna wydawała się czymś odległym i zupełnie

niezrozumiałym. Wprawdzie do Graaff-Reinet docierały prasowe doniesienia wojenne, a Ferdinand opowiadał dzieciom o swojej rodzinie na Ukrainie, ale nigdy nie spotkał tych ludzi i prawie nic o nich nie wiedział. Rafaelowie uzmysłowili sobie skalę katastrofy dopiero wtedy, gdy do ich domu zawitał ten dziwny uciekinier z piekła.

Żadne z dzieci nie odebrało tradycyjnego żydowskiego wychowania i żadne z nich za nim nie tęskniło. Cała piątka chodziła do szkoły powszechnej. Szabat i święta żydowskie obchodzili tylko po to, żeby zrobić przyjemność ojcu.

Nieoczekiwany gość, którym z troską opiekowała się cała rodzina, powoli wracał do zdrowia, a Ferdinand poprosił go, by został z nimi, jak długo zechce. Kilka dni później Alex stanął na nogi. Dziewięcioletniej Sylvii opowiedział, że jego córka Judith była w jej wieku, kiedy SS z bandą ukraińskich katów zagnali ją do Babiego Jaru i zastrzelili. Sylvia chciała usłyszeć więcej, a Alex opowiedział jej o swojej rodzinie w Kijowie, o tamtejszym życiu i o maszynie zagłady, której ofiarą padły tysiące ukraińskich Żydów.

– Dlaczego się nie bronili? – zapytała zdumiona Sylvia.

– Bo byli bezradni i nieuzbrojeni – odparł zdruzgotany Alex.

Ojciec opowiedział Sylvii, że miała trzech wujków i tuzin kuzynów i kuzynek.

– Dlaczego ich wymordowano? – dopytywała się Sylvia. – Czy popełnili jakieś poważne przestępstwo?

– Nie popełnili żadnego przestępstwa – zapewnił ją ojciec. – Ich największa przewina polegała na tym, że byli Żydami.

– Ja też jestem Żydówką – odparła z przestrachem Sylvia. – Mnie też ktoś zamorduje?

– W Afryce Południowej Żydzi nie muszą obawiać się o życie – uspokoił ją ojciec.

Chciała dowiedzieć się więcej o kulturze Żydów, a Alex codziennie swoją niewprawną angielszczyzną opowiadał jej historie biblijne, mówił o wędrówce dwunastu plemion Izraela, o Księdze Kronik królów Judy i Izraela, o bohaterstwie mieszkańców Masady podczas oblężenia przez Rzym i o zburzeniu Drugiej Świątyni Jerozolimskiej.

Po kilku tygodniach Sylvia napisała szkolne wypracowanie, za które zebrała wiele pochwał:

> Wszystkich naszych krewnych w Europie zamordowano, zanim zdążyliśmy ich poznać. Tata opowiadał mi, że byli porządnymi ludźmi. Mieli domy, ogrody i dzieci, cieszyli się i smucili, jak wszyscy. W okamgnieniu zniszczono cały ich świat, choć nikt nie przewidywał takiej katastrofy. Wywleczono ich z domówi i zabito, tylko dlatego że byli Żydami. Ukraińcy i Niemcy mieli karabiny i działa, a moja rodzina nie miała nawet pistoletu, żeby bronić własnego życia. Żydowski naród dość wycierpiał. Zawsze istnieli źli ludzie, którzy chcieli wymazać go z powierzchni ziemi, a Żydzi rzadko się przed tym bronili. Żydzi wierzą w Boga, modlą się codziennie i przestrzegają przykazań. Zapytałam tatę, dlaczego Bóg nie obronił swoich Żydów, dlaczego nie uratował naszej rodziny, a tata odpowiedział: „Jeśli Żydzi sami się nie obronią, nikt tego za nich nie zrobi”.

Sylvia żywo interesowała się kulturą i historią Żydów. Na jej życzenie ojciec sprowadzał napisane po angielsku książki i albumy z Ziemi Izraela. W czasie letnich wakacji zawoził ją do odległego Port Elizabeth na kolonię dla młodzieży ze wspólnoty żydowskiej. Tam grała w sztuce teatralnej o bohaterskiej śmierci Josefa Trumpeldora w czasie obrony placówki Tel Chai w północnym Izraelu. Kiedy rodzice i rodzeństwo Sylvii przyjechali razem z Aleksem, żeby obejrzeć sztukę, z dumą słuchali pochwał pod adresem Sylvii, która ciężko pracowała na rzecz wspólnoty.

Kiedy po przedstawieniu Rafaelowie chcieli odjechać z powrotem do domu, Alex źle się poczuł. Zawieziono go do Szpitala św. Jerzego w Port Elizabeth, a rodzina zadbała o to, by zajęli się nim najlepsi lekarze. Sylvia chciała zostać z nim, póki nie wyzdrowieje, a przyjaciele jej ojca, którzy mieszkali w pobliżu szpitala, zapewnili jej nocleg.

Jako wzorową uczennicę zwolniono ją z zajęć, żeby mogła stale towarzyszyć Aleksowi. Codziennie siedziała przy jego łóżku i rozmawiała z nim. Cierpienia wojenne zrujnowały jego zdrowie. Jego choroba nowotworowa okazała się już nieuleczalna. Kiedy Alex konał w ogromnych bólach, całą rodzinę wezwano do szpitala. Ostatnie słowa umierającego brzmiały:

– Uważajcie na siebie... Zróbcie wszystko, żeby już nigdy nie zabito ani jednego Żyda...

Rafaelowie pochowali go w obrządku żydowskim.

Następnego ranka po jego śmierci na pierwszych stronach gazet w Afryce Południowej ogłoszono decyzję Organizacji Narodów Zjednoczonych o utworzeniu żydowskiego Państwa Izrael. Okazały dom

Ferdinanda Rafaela był jedynym budynkiem w całym Graaff-Reinet, na którym powiewała flaga Izraela. Sylvia, jego najstarsza córka, wywiesiła ją na maszcie na fasadzie domu. Przechodnie z zaciekawieniem przyglądali się fladze. Niewielu wiedziało, jaki naród reprezentuje.

Następnego dnia pojawiła się kolejna informacja dotycząca Ziemi Izrael. Ferdinand Rafael smutnym głosem odczytał ją członkom swojej rodziny. Autobus spółdzielni transportowej Egged wpadł w Petach Tikwa w arabską zasadzkę i sześć osób poniosło śmierć na miejscu. Pół godziny później zaatakowano kolejny autobus i zginęło dwóch pasażerów.

– Znowu giną Żydzi – westchnął ojciec.

4

Postanowienie ONZ dotyczące podziału ziem Palestyny i utworzenia państw izraelskiego i arabskiego na tym terytorium było mocnym ciosem dla Hassana Salameha. Powstanie, które zorganizował, i ataki na Żydów nie osiągnęły zamierzonego celu, jego wszystkie starania okazały się daremne. Istniała jednak jeszcze szansa, że państwo żydowskie nie zostanie powołane do istnienia. Inwazja wojsk arabskich na te ziemie mogła zapobiec wprowadzeniu w życie postanowień ONZ, dzięki czemu cała Palestyna znalazłaby się pod panowaniem Arabów. Hassan Salameh z utęsknieniem czekał na wojska Ligi Arabskiej i miał nadzieję, że jego ludzie odniosą największą korzyść ze zwycięstwa nad Żydami. Kto od tylu lat uprzykrzał Żydom życie? Kto powinien zebrać teraz plon zwycięstwa? Kto, jeśli nie on? Ale jego nadzieje okazały się płonne. Wkrótce Salameh pojął, że przywódcy arabscy w ogóle nie potrzebują jego pomocy. Dowódcy arabskiego „oddziału ratunkowego” byli pewni swojego zwycięstwa i nie prosili o wsparcie z zewnątrz. Nie wiedzieli jeszcze, jak podzielą między siebie trofea wojenne, ale na pewno nie zamierzali uwzględniać roszczeń Hassana Salameha. Z ciężkim sercem pojął, że buława wymknęła mu się z rąk, a on stracił pozycję wodza. To nie była już tylko jego wojna. Teraz brały w niej udział wszystkie państwa arabskie.

Nie miał jednak najmniejszego zamiaru zejść z pola walki i schylić karku przed dowódcami oddziałów z Jordanii i Iraku. Chciał się upewnić, że po zakończeniu tej wielkiej kampanii wojskowej w czasie podziału łupów dostanie mu się jakiś smakowity kąsek. Uważał, że postępuje właściwie i wykonuje swojej obowiązki nie gorzej niż zawodowi oficerowie. Powtarzał, że kiedy już Arabowie odniosą zwycięstwo, to również jemu przypadnie w udziale pokaźna nagroda. Wierzył, że o jego nagrodzie zadecyduje sam Allah.

15 maja 1948 roku, tuż po proklamacji państwa żydowskiego, wojska irackie rozpoczęły inwazję. Dwa tygodnie później irac-
ka grupa zwiadowcza napadła na arabską wioskę Ras al-Ajn, na południowy zachód od Kafr Kasim. Ras al-Ajn leżało na wschód od

twierdzy Antipatris, jedynej pozostałości po mieście, które wybudował król Herod na dawnym szlaku karawan z Jaffy do Ammanu. Jednak to nie zabytkowa forteca z kamienia, pozostałość po mieście pochłoniętym przez piasek, stanowiła największy skarb w Ras al-Ajn. Z kontrolowanych przez wioskę słodkowodnych źródeł, z których wypływała rzeka Jarkon, Jerozolima czerpała wodę pitną. Dlatego miejscowość ta miała niebagatelne znaczenie strategiczne.

Gdy Irakijczycy powiększali swoje oddziały, umacniali pozycje i budowali szańce wokół źródeł, Ecel, żydowska podziemna organizacja zbrojna, przygotowywała się do ataku. Był to czas chaosu i lęku. Jak spod ziemi wyrosły nagle wojska żydowskie, które zwierały szyki zarówno przeciwko Irakijczykom, jak i „oddziałom ratunkowym" z krajów arabskich. Do walki stanęli Żydzi z podziemnych organizacji zbrojnych, takich jak Hagana, Ecel i Lechi. Izraelska armia istniała wtedy tylko na papierze.

Bojownicy z Ecel byli słabiej przygotowani do walki niż regularni iraccy żołnierze. Nie dysponowali dużym arsenałem i nigdy wcześniej nie atakowali dobrze obwarowanych celów. Mieli za to jedną, nieocenioną zaletę: ruszyli do walki z pełnym zaangażowaniem i pewni zwycięstwa.

Atak pochłonął wiele ofiar śmiertelnych, po obu stronach było wielu rannych, ale ostatecznie bojownicy z Ecel opanowali wioskę i przełamali linię obrony wytyczoną przez żołnierzy irackich.

Hassan Salameh dowiedział się o zdobyciu Ras al-Ajn przez Żydów, gdy planował serię napaści na żydowskie miejscowości w centralnej części kraju. Dobrze znał okolicę, w której położone były źródła. Prawie cztery lata wcześniej, po wizycie u Mohammeda Amina al-Husajniego, muftiego Jerozolimy rezydującego w Berlinie, miał wziąć udział w ataku terrorystycznym w Palestynie, opracowanym przez muftiego we współpracy z nazistami. Salameh, jeszcze jeden Arab i trzech nazistów zostali razem przeszkoleni, a potem zawieziono ich na niewielkie lotnisko pod Berlinem, gdzie czekał na nich niemiecki samolot typu Heinkel. Samolot zabrał ich do Palestyny i krążył nad Jerychem, gdzie pięciu mężczyzn wyskoczyło ze spadochronami. W bagażu mieli złoto, broń, fałszywe dokumenty i śmiertelną truciznę, którą zamierzali skazić wodę pitną dla Jerozolimy. Ale Brytyjczycy dowiedzieli się o tym spisku i schwytali jednego z Arabów i dwóch Niemców. Hassanowi Salamehowi i jego niemieckiemu pomocnikowi udało się uciec.

Zgodnie z poleceniem muftiego Salameh miał wsypać truciznę do źródeł Jarkonu w Ras al-Ajn. Dobrze znał tę okolicę, bowiem w tych stronach leżała jego rodzinna wioska Kula. Ze względu na intensywne działania wojskowe prowadzone w tej okolicy przez Żydów Salameh nie wprowadził planu w życie, bojąc się, że zostanie przyłapany na gorącym uczynku. Teraz nadarzyła się okazja, żeby dostać się do źródeł i pokrzyżować Żydom plany. Hassan myślał, że kiedy odbije miejscowość z rąk Żydów, Irakijczycy będą musieli okazać mu wdzięczność za uratowanie ich honoru.

Bardzo szybko zwołał kilkuset ludzi i wyruszył na Ras al-Ajn.

Izraelczycy, którzy zajęli pozycje armii irackiej, byli przygotowani na kontratak. Kiedy ludzie Salameha o świcie otworzyli ogień i wjechali do wioski wozami pancernymi, Izraelczycy natychmiast wrócili na posterunek. Obie strony strzelały z pistoletów i karabinów maszynowych, włączyły do walki moździerze i broń przeciwczołgową, ale Izraelczycy wykazali większy hart ducha i dokładniej celowali. Pocisk z moździerza wybuchł nieopodal Hassana Salameha, kiedy ten próbował zdobyć szturmem ufortyfikowane wzgórze. Odniósł wtedy ciężkie obrażenia całego ciała, a do jego płuc dostały się metalowe odłamki. Ciężarówką zawieziono go do szpitala w Ramli.

Był 31 maja 1948 roku. Wszystkie starania lekarzy, by ustabilizować stan Salameha, spełzły na niczym. Ludzie Salameha, którzy dzień i noc czuwali przy jego łóżku, sprowadzili jego żonę i syna. Naima w zaawansowanej ciąży i Ali trzymali Hassana za ręce, gorzko płakali i błagali Allaha, żeby ocalił ich ukochanego męża i ojca.

– Naima – wyszeptał ranny. – Kiedy moja dusza pójdzie do nieba, pamiętaj, że przypadnie ci w udziale wielkie zadanie. Musisz przygotować Alego do zajęcia mojego miejsca, gdy nadejdzie na to czas, żeby kontynuował walkę o Palestynę.

– Obiecuję ci to – wyszeptała.

A do Alego powiedział:

– Mój synu, ani przez chwilę nie wolno ci zapomnieć, kim był twój ojciec. Pamiętaj, los naznaczył cię, byś poszedł w moje ślady i do ostatniego tchnienia walczył z wrogiem ludu arabskiego. Dzięki tobie nazwisko Salameh będzie widniało na sztandarach wojennych.

Hassan Salameh zmarł 2 czerwca 1948 roku. Jego ludzie towarzyszyli mu w ostatniej drodze, trzymając w rękach portretowe zdjęcia swojego

wodza. Kobiety w czerni płakały, stojąc na chodnikach, kiedy trumnę z nieboszczykiem niesiono na cmentarz w Ramli.

5

Mając szesnaście lat, Sylvia Rafael zorganizowała święto żydowskiego ruchu młodzieżowego w Port Elizabeth z okazji piątej rocznicy uzyskania niepodległości przez państwo izraelskie. Przeczytała zgromadzonym słynny wiersz Natana Altermana *Srebrna taca* w angielskim przekładzie, chór zaśpiewał pieśń *Bab al-Wad* o walkach na drodze do Jerozolimy oraz *Pieśń towarzyszy* Chaima Guriego, a na wielkim ekranie pokazywano przezrocza z Izraela. W obchodach wzięli udział nie tylko przywódcy duchowi wspólnoty żydowskiej, ale także osoby niebędące Żydami. Następnego dnia w lokalnych gazetach pojawiły się fotoreportaże z imprezy.

Sylvia była bardzo ładną, szczupłą i atrakcyjną dziewczyną. Świetnie się uczyła, była błyskotliwa, wszystko chwytała w lot i miała talenty przywódcze. W domu i w kręgu przyjaciół często mówiła o planach wyjazdu do Izraela, żeby pomóc Żydom w budowie ich państwa.

Kiedy jednak poprosiła rodziców o pozwolenie na wyjazd, odmówili jej.

– Jesteś jeszcze za młoda – wyjaśniła jej matka. – Najpierw idź na uniwersytet, naucz się czegoś. Jak trochę dojrzejesz, wtedy zdecydujesz, co zrobić ze swoim życiem.

Sylvia musiała się podporządkować. Ukończyła liceum, a potem studia artystyczne. Przez rok uczyła muzyki w szkole w Port Elizabeth. Ale tęsknota za Izraelem nie dawała jej spokoju. Nadal snuła plany wyjazdu tam na stałe.

Pewnego razu u znajomych w Port Elizabeth spotkała mężczyznę, który bardzo jej się spodobał. Avri Simon był od niej o sześć lat starszy. Pochodził z zamożnej żydowskiej rodziny i właśnie rozpoczął pracę jako adwokat w świetnie prosperującej kancelarii. Zakochał się w Sylvii od pierwszego wejrzenia. Oczarowała go swoją urodą, intelektem, doskonałymi manierami i wkrótce zapłonęła między nimi wielka miłość. Kilka tygodni później, w dniu swoich urodzin, Avri zaprosił Sylvię na kolację do domu swoich rodziców. Jego ojciec prowadził duże

przedsiębiorstwo budowlane, a matka zajmowała się działalnością charytatywną. Przywitali Sylvię bardzo ciepło, a przy ich stole panowała przyjemna, rodzinna atmosfera. Po kolacji ojciec wręczył synowi w prezencie urodzinowym pęk kluczy do dużego domu, którego budowę właśnie ukończył.

Następnego dnia Avri zabrał Sylvię na oględziny nowego domu. Podziwiała wspaniały budynek i piękny widok rozciągający się za oknami.

– To będzie nasz dom – powiedział Avri ze łzami w oczach. – Tu stworzymy wspaniałą rodzinę.

Również rodzice Sylvii polubili Avriego. Zgodnie twierdzili, że nie mogliby sobie wymarzyć lepszego zięcia.

Wszystkim wydawało się, że Sylvia i Avri to idealna para. Oboje byli sympatyczni, mądrzy i wykształceni. Często rozmawiali o przyszłości. Sylvia wspomniała kiedyś o swoich zamiarach wyjazdu do Izraela, ale Avri uznał, że porzuciła już te marzenia. Kiedy się jej oświadczył, przypomniała mu, że ma inne plany i nie może się z nikim związać. Chciała najpierw się zrealizować, zrobić to, na co miała największą ochotę. Avri z ciężkim sercem odrzucił jej propozycję wspólnego wyjazdu do Izraela.

– Stoję u progu kariery – tłumaczył jej. – Mam wielką szansę na awans w kancelarii. Co miałbym robić w Izraelu? Nie znam języka i na pewno nie znajdę tam pracy jako prawnik.

– Szanuję twoją decyzję, ale musisz zrozumieć, że moje życie należy do Izraela. Każdy Żyd powinien tam jechać, żeby budować nowe państwo i bronić go – wyjaśniła. – Nasza ojczyzna jest tam, a nie w Afryce Południowej.

Rodzice Avriego stanęli murem za swoim synem i próbowali odwieść Sylvię od jej postanowienia. Avri zaproponował kompromisowe rozwiązanie. Sylvia miała jechać na parę miesięcy do Izraela, żeby pracować tam jako wolontariuszka, tak jak tego chciała.

– Zaczekam tu na ciebie – obiecał jej.

Ona spojrzała na niego z melancholią.

– Izrael to kraj moich marzeń – powiedziała. – Nie wiem, jak długo tam zostanę. Jeśli pojedziesz ze mną, będę wiedziała, że naprawdę mnie kochasz.

Ojciec Sylvii prowadził z nią długie rozmowy, próbując nakłonić ją do zmiany planów.

– Izrael poradzi sobie bez ciebie – powiedział. – Tu masz rodzinę i idealnego narzeczonego. A tam co na ciebie czeka? Nic.

Matka, choć nie była Żydówką, trzymała stronę córki.

– Pozwól jej zrobić, co chce – przekonywała męża. – Ma prawo żyć własnym życiem i realizować swoje marzenia. Nie wolno nam się do tego mieszać.

Sylvia wydawała się niewzruszona, ale tak naprawdę nękało ją wiele wątpliwości. Kochała Avriego, uwielbiała spędzać z nim czas i wiedziała, że u jego boku wiodłaby cudowne życie. Ale jej marzenie o Izraelu zwyciężyło. Kiedy wreszcie powiedziała Avriemu, że wyjeżdża, na jego twarzy odmalował się ogromny ból. Nie pojmował, dlaczego tak się uparła, by zrealizować to marzenie. Ojciec Sylvii również nie chciał zrozumieć, dlaczego córka upiera się, że Izrael to jej prawdziwy dom.

Ale Sylvia należała do ludzi, którzy nie zważają na oczekiwania innych. Nie chciała wychodzić za mąż, choć wszyscy pragnęli, żeby wzięła ślub z Avrim. Wolała wyjechać do Izraela, niż zostać z rodzicami.

W czasie testów psychologicznych, którym została później poddana, stwierdzono:

> Sylvia doskonale wie, co chce osiągnąć w życiu. Najlepiej dowodził tego fakt, że pożegnała swojego ukochanego i przeprowadziła się do Izraela. Zupełnie nie znała tego kraju, ale skok w nieznane pociągał ją bardziej niż piękny dom w spokojnym miasteczku, w którym mogła spędzić całe swoje życie.

W wieku dwudziestu dwóch lat Sylvia miała już sprecyzowany cel życiowy. Spakowała się i pojechała z rodzicami na lotnisko. Przed odlotem ojciec przytulił ją mocno i podarował jej na pamiątkę drogi aparat fotograficzny.

– Będziemy czekali na twój powrót – powiedział.

Ona trzymała go długo w ramionach, bo serce podpowiadało jej, że nie tak prędko zobaczy go znowu.

6

Ali Hassan Salameh bawiłby się jeszcze lepiej, czerpałby z życia garściami, przepijałby pieniądze w restauracjach i nocnych klubach, gdyby nie jego matka, siostra, kuzynostwo i bliscy przyjaciele jego zmarłego ojca. Oni nie pozwolili mu zapomnieć o tym, co najchętniej wymazałby z pamięci. Stale przypominali mu o wojnie w 1948 roku, o zmarłych, rannych i morzu przelanej krwi.

Wydarzenia po śmierci ojca pamiętał jak przez mgłę. Czasem przed oczami stawały mu niewyraźne obrazy z tamtych dni, gdy w samochodzie krewnych uciekał z Ramli. W arabskich wioskach na zachód od Jordanu kolebali się po wąskich, nierównych uliczkach i co rusz musieli zjeżdżać na pobocze, żeby nie zderzyć się z wojskami jordańskimi wyruszającymi na front. Jego matka w fałdach ubrania ukryła pieniądze, które zostawił jej mąż. Była to tylko niewielka część ogromnej sumy, którą Hassan Salameh zgromadził, napadając na brytyjskie placówki i rabując je albo szantażując arabskich notabli, którzy nie chcieli z nim współpracować. Wdowa po nim wiedziała, że Hassan otrzymywał też niebagatelne kwoty od muftiego Jerozolimy, żeby zdobyć broń, wypłacić żołd swoim ludziom i przekupić brytyjskich oficerów chcących go postawić przed sądem za działalność terrorystyczną. Nie wiedziała, jaką część majątku wydał na publiczne i prywatne cele, ale kwota, którą zostawił w metalowym pudełku na podwórzu domu, wystarczyła, żeby wyżywić całą rodzinę do końca ich dni.

Po czterech dniach męczącej podróży przez Haszymidzkie Królestwo Jordanii rodzina Salamehów dotarła wreszcie do Bejrutu i zatrzymała się w obozie dla uchodźców, do którego chrześcijańscy urzędnicy kierowali napływających masowo Palestyńczyków. Żeby ograniczyć liczebność populacji muzułmańskiej, odmawiano uciekinierom libańskiego obywatelstwa, a także prawa do zakupu ziemi i domów.

Rodzina Salamehów musiała przetrwać pewien czas w obozie dla uchodźców. Dopiero dzięki wsparciu wpływowych Libańczyków, znajomych ojca rodziny, Naimie Salameh pozwolono wynająć dom w dzielnicy bogatych muzułmanów Al-Hamrze. Na ścianach powiesiła zdjęcia

męża w mundurze maskującym, w czasie ćwiczeń strzelniczych, na koniu i przy gotowym do strzału granatniku. Córkę, urodzoną niedługo po śmierci męża, nazwała Dżihad, święta wojna. Ani przez chwilę nie zwątpiła, że któregoś dnia Ali zajmie miejsce ojca jako powszechnie szanowany dowódca i uwolni Palestynę od Żydów. Postanowiła osiągnąć ten cel wszelkimi dostępnymi środkami. W czasie każdego spotkania rodzinnego Naima czytała wspomnienia z rodzinnej wioski i opowiadała o bohaterskich czynach męża.

– Ali to spadkobierca Hassana – powtarzała bez końca.

Ali słuchał jej w milczeniu.

W dziesiątą rocznicę śmierci Hassana Salameha, 2 czerwca 1958 roku, na głównym placu w Bejrucie odbyły się wielkie obchody rocznicowe. Wziął w nich udział nawet Jasir Arafat. Miał wtedy prawie dwadzieścia dziewięć lat i marzył o tym, by Palestyński Ruch Wyzwolenia Narodowego (Al-Fatah), który współzakładał w 1957 roku, któregoś dnia stał się tak silny, żeby odzyskać Palestynę dla Arabów. Sześć lat później, w 1964 roku, w czasie pierwszego spotkania na szczycie przywódców państw arabskich, utworzono Organizację Wyzwolenia Palestyny (OWP). Musiały jednak minąć kolejne cztery lata, żeby Jasir Arafat został przewodniczącym Al-Fatah, głównej frakcji Organizacji Wyzwolenia Palestyny opowiadającej się za walką zbrojną. Rok później, w 1969 roku, Arafat stanął na czele OWP.

W dziesiątą rocznicę śmierci Hassana Salameha wdowa po nim, jego syn i córka stanęli na podium, twarzą w twarz z jego towarzyszami broni, trzymając w dłoniach jego wielkie portrety. Jasir Arafat objął Alego i ucałował go na oczach wszystkich.

– Cały naród arabski czeka na dzień, w którym chwycisz za broń swojego czcigodnego ojca i ruszysz do walki przeciwko Żydom.

Wszyscy zgromadzeni przytaknęli, kiwając głowami.

Ali Salameh miał wtedy osiemnaście lat i krążył między uniwersytetem Bir Zeit w Bejrucie i uczelnią w Berlinie. Rzekomo studiował nauki polityczne, ale w salach wykładowych widywano go rzadko. Od nauki odciągało go wiele pokus, których nie brakowało w jego otoczeniu: eleganckie kluby nocne, dziewczyny lekkich obyczajów i szybkie samochody. Alego stać było na drogie restauracje i kluby oraz najmodniejsze ubrania. Miał mnóstwo pieniędzy i z radością nimi szastał. Swoim krwistoczerwonym mustangiem przemierzał szlak cielesnych uciech.

Przystojny, zielonooki Ali złamał serce niejednej kobiecie. Jego koledzy ze skrywaną zazdrością patrzyli na niego, gdy w czasie przygotowań do egzaminów końcowych rzucał książki w kąt i szedł do łóżka z prześliczną tancerką, którą poderwał w nocnym klubie. Młode dziewczyny pisały do niego listy miłosne, kobiety go wręcz oblegały.

Przez długie lata matka Alego patrzyła na jego postępowanie z gniewem i rozczarowaniem. Przyjaciele donosili jej o trybie życia syna i zaklinali ją, by ze względu na dobro rodziny jak najszybciej położyła kres jego wybrykom. Naima raz po raz wzywała syna na rozmowę, zaklinała go, by na poważnie zajął się studiami, przestał romansować i odwiedzać bary. Ali złościł się, słuchając wyrzutów matki, ale z szacunku dla niej milczał. Liczył na to, że Naima kiedyś wreszcie da za wygraną, ale nie docenił jej uporu. Matka nie zamierzała kapitulować, bowiem miała wobec syna poważne plany, których nie mogło zniweczyć jego zamiłowanie do kobiet i dobrej zabawy. Obawiała się, że nigdy nie spełni się przedśmiertne życzenie ojca Alego. Chciała, żeby syn się opamiętał, zajął swoimi obowiązkami i wreszcie spoważniał. Uznała, że osiągnie swój cel, gdy nakłoni
go do małżeństwa.

Naima uważnie rozważyła wszelkie możliwości. Sporządziła listę niezamężnych córek kupców, żołnierzy i polityków i spośród nich wybrała Zeinab, krewną Abda al-Qadira al-Husajniego. W czasie izraelskiej wojny o niepodległość razem z Hassanem Salamehem poprowadził on do walki wojska palestyńskie przeciwko Żydom i poległ w walce o Quastal na drodze do Jerozolimy. Zeinab, która odziedziczyła po ojcu ogromny majątek i wielkie posiadłości, była też spokrewniona z jednym z najznamienitszych arabskich dygnitarzy, muftim Jerozolimy Hadżem Aminem al-Husajnim, charyzmatycznym przywódcą Hassana Salameha i Abda al-Qadira al-Husajniego. Do jej rodziny należał również Faisal al-Husajni, późniejszy minister w Autonomii Palestyńskiej.

Po długich namowach matki Ali przyjechał do Jerozolimy na pierwsze spotkanie z Zeinab. Rodzina powitała go z otwartymi ramionami, on porozmawiał z młodą dziewczyną i jej rodzicami, ukrywając swoją obojętność. Dziewczyna wybrana na jego żonę w ogóle go nie zainteresowała, ale matka i pozostali członkowie rodziny nie dawali za wygraną. Z naciskiem powtarzali, że młoda para dostępuje ogromnego zaszczytu, łącząc więzami małżeńskimi dwa najznamienitsze rody

palestyńskie. Matka ze łzami w oczach mówiła synowi, że jego ślub uraduje duszę ojca w raju.

Ali poddał się naciskom. W czasie hucznych zaślubin, w obecności setek gości z najwyższych kręgów społecznych Palestyny, pojął za żonę młodą kobietę, którą dla niego wybrano. Stoły uginały się pod wyszukanymi potrawami, a Ali musiał zjeść podwójną porcję nadziewanych gołębi, których mięso ponoć wzmaga męskie siły witalne. Jednak po ślubie poszedł do nocnego klubu, żeby potańczyć z innymi kobietami.

7

Punkt zgłoszeń dla młodych ludzi, którzy chcieli pracować w kibucu prowadzonym przez żydowską organizację skautowską Haszomer Hacair, znajdował się w biurowcu przy ulicy Leonarda da Vinci w Tel Awiwie. Pewnego letniego poranka w 1959 roku prosto z lotniska przyjechała tu Sylvia. Miała dwadzieścia dwa lata. Przed zamkniętymi drzwiami czekało już kilku pełnych zapału turystów z plecakami. Pracownicy organizacji pytali każdego, co potrafi i gdzie chciałby pracować, a potem przydzielali go do jednego z kibuców. W grupie ludzi między dwudziestym i trzydziestym rokiem życia byli Żydzi i przedstawiciele innych narodowości, osoby wolne i żądne przygód, studenci podróżujący w czasie wakacji i młode kobiety, które w Izraelu szukały męża. Wszyscy palili się do pracy. Opowiedzieli Sylvii, że spędzili w Izraelu kilka tygodni, i pytali ją, jak długo chce tu zostać.

– Zostanę tak długo, jak długo będzie tu dla mnie coś do zrobienia – odparła.

O 9.00 stanęła przed towarzyszką z kibucu, która zajmowała się nowo przybyłymi wolontariuszami. Młoda kobieta zmierzyła Sylvię wzrokiem, zanotowała jej nazwisko i zapytała o stan zdrowia.

– Dobry, o ile mi wiadomo.

– Co studiowałaś?

– Jestem nauczycielką muzyki.

Rozmówczyni nie była zachwycona.

– W naszych kibucach nie potrzebujemy nauczycieli muzyki – odparła obojętnym tonem. – Umiesz coś jeszcze?

– Podejmę się każdej pracy. Nie boję się ciężkiej roboty.

Chwilę później Sylvia miała już w ręku list polecający do kibucu Gan Szmuel, położonego o dziesięć minut drogi od Hadery. Nigdy wcześniej nie słyszała o tym miejscu i nie miała pojęcia, jaka praca tam na nią czeka. Nie wiedziała wiele o życiu w kibucu. Słyszała i czytała o wspólnotowym życiu w spartańskich warunkach i o ciężkiej pracy, ale to jej nie przerażało.

Chciała działać, na coś się przydać, choćby oznaczało to prawdziwą harówkę.

Na dworcu autobusowym kupiła bilet na autokar. Jadąc, mijała wielkie blokowiska, dzielnice willowe, gaje cytrusowe i pola. Nie mogła się napatrzyć na piękne krajobrazy. Z zainteresowaniem przyglądała się też współpasażerom. Zobaczyła kibucników w lnianych strojach roboczych, starszych mężczyzn w garniturach, żołnierzy i żołnierki w mundurach. Po raz pierwszy spotkała izraelskich żołnierzy i słyszała tylu ludzi mówiących po hebrajsku.

Po południu dotarła do Gan Szmuel. Towarzysze wracający z pracy uśmiechali się do niej, młodzież w strojach Haszomer Hacair – niebieskich koszulach z białym sznurem naramiennym – mijała ją, wydając radosne okrzyki. Sylvia podziwiała równo przystrzyżone trawniki i napawała się zapachem kwiatów. Po krótkiej rozmowie z towarzyszem, który przedstawił jej wszystkie prawa i obowiązki wolontariuszki, wysłano ją do baraku, gdzie w każdym pokoju mieszkało dwóch ochotników. Sylvii przydzielono łóżko, ręczniki, kołdrę, odzież roboczą i środki czystości. Później razem z innymi wolontariuszami poszła na kolację w położonej centralnie stołówce i porozmawiała przez chwilę ze swoją współlokatorką, szczupłą, krótkowłosą studentką ze Szwecji, a kiedy tylko położyła się do łóżka, zmorzył ją sen. Spała twardo i głęboko, póki nie obudzono jej o świcie pierwszego dnia pracy w fabryce konserw.

Rankiem panował przyjemny chłód, ale słońce szybko wspięło się na niebo. Maszyny grzały niemiłosiernie, a Sylvię zalewał pot. W Afryce Południowej przeżyła wiele gorących dni, ale nic nie równało się z duchotą panującą w kibucu. Pierwszy dzień kosztował ją wiele wysiłku. Nie sądziła, że przyjdzie jej tak ciężko pracować.

Po zakończeniu zmiany późnym popołudniem wróciła do długiego drewnianego baraku na obrzeżach kibucu. Wzięła prysznic w zbiorowej kabinie dla kobiet, włożyła czyste ubranie i rozmawiała z młodymi ludźmi z różnych krajów, którzy przyjechali do pracy w kibucu. Była jedyną osobą z Afryki Południowej.

Następne dni okazały się jeszcze trudniejsze. Razem z innymi towarzyszami i wolontariuszami została po godzinach, żeby podnieść wydajność fabryki w środku sezonu produkcyjnego. Pracowała bez ociągania, ale wkrótce zauważyła, że zaczyna brakować jej sił.

Sylvia mówiła trochę po hebrajsku i mogła bez trudu prowadzić proste rozmowy z innymi wolontariuszami w kibucu, ale to jej nie wystarczało. Choć miała niewiele wolnego czasu, poświęciła go na naukę hebrajskiego w ulpanie, robiąc szybko postępy. Poza tym wypożyczała z biblioteki kibucu hebrajskie książki i czytała je do późna w nocy.

Każdego wolontariusza przydzielono do jednej z mieszkających w kibucu rodzin, żeby łatwiej było mu się przyzwyczaić do życia w nieznanym otoczeniu. David i Dorit, młode małżeństwo, wzięli Sylvię pod swoje skrzydła. Dorit pracowała w przedszkolu, a jej mąż w ogrodzie warzywnym.

Kiedy po raz pierwszy przyszła do ich schludnego domu, oboje przywitali ją przyjaznym uśmiechem, a Sylvii wydali się bezpośredni i sympatyczni. Zapytali ją, jak jej poszło pierwszego dnia pracy.

– Było ciężko – odparła po angielsku, wtrącając hebrajskie słowa. – Ale wcale sobie nie wyobrażałam, że będzie łatwo.

Zaprowadzili ją do stołówki, w której wspólnie jadali towarzysze i wolontariusze. Na ścianach wisiały rysunki członków kibucu i transparenty z hasłami wychwalającymi kolektywną pracę. W sali powitał ją szum przyjaznych głosów, a świeża sałata, warzywa prosto z pola i pieczywo z miejscowej piekarni smakowały wybornie. Taki sam chleb piekła jej matka w domu.

David wyjaśnił jej podstawowe zasady życia w kibucu. Powiedział jej o podziale pracy, przedszkolach dla dzieci, sekretariacie i zebraniach członków. Przedstawił jej historię kibucu Gan Szmuel, utworzonego w 1921 roku, mówił o przejęciu ziemi, okresie głodu i skromnym życiu, o wrogich arabskich sąsiadach i bezustannej walce o większe plony. Wryła jej się w pamięć historia Uriego Ilana, syna kibucu. Wykonując zadanie specjalne na terenie zajętym przez wroga, został złapany przez Syryjczyków i w więzieniu popełnił samobójstwo, żeby w czasie przesłuchania pod wpływem tortur nie zdradzić żadnej tajemnicy. Kiedy jego zwłoki wróciły do Izraela, znaleziono przy nich kartkę, na której zgaszoną zapałką napisał zdanie: „Nie byłem zdrajcą”.

– Myślę, że też bym tak postąpiła – powiedziała Sylvia swoim opiekunom z kibucu.

Pierwsze tygodnie w kibucu przysporzyły jej wiele radości. Pracowała bez wytchnienia, a w piątkowe wieczory spotykała się w stołówce ze wszystkimi mieszkańcami, by przy dźwiękach akordeonu w kręgu tańczyć skoczną horę. Ale szybko jej entuzjazm przygasł. Czuła się powołana do ważniejszych zadań i poprosiła o radę Dorit i Davida. Wysłuchali jej ze zrozumieniem.

– Kiedy tylko przyjechałaś, od razu zauważyłam, że nie należysz do ludzi, którzy zadowalają się pomniejszymi zadaniami – powiedziała Dorit. – Chcesz dokonać czegoś istotnego, od razu to widać. Produkcja konserw jest ważna dla kibucu, ale to za mało, żeby zaspokoić twoje ambicje.

Dorit bezskutecznie próbowała znaleźć dla swojej podopiecznej inną pracę. Sylvia sama musiała zdecydować, jaką drogę chce obrać. Myślała, że może praca pedagogiczna podobałaby się jej bardziej niż monotonna robota w fabryce, ale w kibucu nie oferowano żadnego stanowiska w jej zawodzie.

Po czterech miesiącach Sylvia spakowała swój niewielki dobytek, pożegnała się z Gan Szmuel i przeniosła się do Tel Awiwu, gdzie razem z inną dziewczyną wynajęła mieszkanie. Powoli budowała mały krąg izraelskich przyjaciół, którym dała się poznać jako błyskotliwa rozmówczyni o wspaniałym poczuciu humoru. Niektórzy z nich traktowali ją jako swoją terapeutkę i powiernicę.

Zaczęła gorączkowo szukać nowej pracy i w końcu znalazła zatrudnienie jako nauczycielka angielskiego w gimnazjum w Cholonie. Wielu uczniów miało trudności w nauce języków obcych, a ona w miarę potrzeb pomagała im także po lekcjach. Zaangażowała wszystkie swoje siły i cały talent, żeby przygotowywać interesujące lekcje, które prowadziła lekko i z humorem. Dyrektor często ją chwalił, koledzy i rodzice szanowali jej kompetencje, a uczniowie garnęli się do niej. Nauczanie dawało jej satysfakcję, ale ona i tak mierzyła wyżej. W pracy wykorzystywała tylko nikłą część swoich umiejętności, a chciała się w pełni zrealizować. Nadal intensywnie poszukiwała nowego wyzwania, pragnęła przyczynić się do rozwoju państwa. Najbardziej fascynowała ją pustynia Negew i dolina Arabah. Pojechała do fabryki chemicznej nad Morzem Martwym, ale nie miała szczęścia. Poza pracą w biurze nie znalazło się tam dla niej żadne zajęcie. Sylvia grzecznie podziękowała za tę ofertę. Udała się dalej na południe, do Ejlatu, ale i tam jej nie zatrudniono. „Kocham ten kraj, ale jeszcze nie zapuściłam tu korzeni”, napisała do swoich rodziców.

Jej związek z Avrim rozpadł się, ale któregoś dnia dostała od niego telegram:

„Czekam z tęsknotą na twój powrót. Kocham cię całym sercem”.

Odpisała mu krótko i zwięźle:

„Kochany Avri, zamierzam jeszcze tu zostać. Nie jest łatwo, ale jeszcze się nie poddaję”.

8

Jednego z ostatnich chłodnych zimowych wieczorów Sylvia poprawiała zeszyty uczniów, kiedy ciche dźwięki muzyki koncertowej dobiegające z radia zostały przerwane przez specjalny komunikat. Szef rządu David Ben Gurion oznajmił na forum Knesetu, że zbrodniarz wojenny i oficer SS Adolf Eichmann został pojmany w Argentynie i przywieziony do Izraela, gdzie ma stanąć przed sądem. Wszystkie serwisy informacyjne przywoływały argentyńskie doniesienia prasowe na temat akcji przeprowadzonej przez agentów Mossadu. W tych okolicznościach Sylvia po raz pierwszy usłyszała o tajnych służbach Izraela.

Adolf Eichmann, człowiek, który uruchomił maszynę zagłady Hitlera, po drugiej wojnie światowej uciekł do Argentyny, gdzie przybrał fałszywe nazwisko Ricardo Clement i kupił niewielki dom na przedmieściach Buenos Aires. Agenci Mossadu wpadli na jego trop i dostali go w swoje ręce 11 maja 1960 roku, kiedy w pobliżu domu wysiadał z autobusu. Nafaszerowali go narkotykami i w tym stanie przewieźli samolotem do Izraela. W czasie dramatycznego posiedzenia Knesetu prawie dwa tygodnie później premier David Ben Gurion oznajmił:

– Zbrodniarz nazistowski Adolf Eichmann został pojmany przez izraelskie służby wywiadowcze, zostanie postawiony przed sądem w Izraelu i oskarżony o ludobójstwo.

Historia porwania i procesu trafiła na pierwsze strony gazet na całym świecie i do głębi poruszyła Sylvię. To były najbardziej wstrząsające dni w całym jej dotychczasowym życiu. Płakała, słuchając zeznań tych, którzy przeżyli obozy zagłady.

Po pojmaniu Eichmanna Mossad przeżywał chwile chwały. Nazwę izraelskich służb specjalnych wymawiano z najwyższym szacunkiem, podziwem i fascynacją. Udane uprowadzenie najbardziej poszukiwanego nazisty napawało dumą kierownictwo i agentów Mossadu, dla których – jak się zdawało – nie było rzeczy niemożliwych.

Sylvia wytrzymała w szkole w Cholonie dwa lata. Lekcje zajmowały jej prawie cały dzień, ale czerpała z nich coraz mniejszą satysfakcję. Niestrudzenie poszukiwała dla siebie większego wyzwania i zaangażowała do tego wszystkich przyjaciół, chodziła na rozmowy z pracodawcami, ale żadna z ofert jej nie odpowiadała, dlatego z braku lepszego zajęcia nadal uczyła w szkole. Czasem zastanawiała się, czy faktycznie pomaga w budowie państwa. Jako nauczycielka nie miała zbyt wiele do zaoferowania. Czas szybko upływał. Wiedziała, że jeśli w jej życiu nie nastąpi wkrótce przełom, nie pozostanie jej nic innego, jak wrócić do domu, wziąć ślub i urodzić dzieci.

Ale sprawy przybrały inny obrót.

Przypadek sprawił, że Sylvia przypomniała sobie o działaniach izraelskich służb specjalnych, kiedy prasa w kraju donosiła o testach rakiet w Egipcie. Prezydent Egiptu Gamal Abdel Naser z dumą ogłosił swoje plany budowy rakiet ziemia-ziemia, zdolnych zniszczyć każdy cel w Izraelu. Zaangażował nawet do współpracy niemieckich i austriackich specjalistów od budowy rakiet, co budziło spore obawy w Izraelu. Żydzi nie zapomnieli jeszcze o Holokauście, a nad całym narodem znowu zawisło widmo zagłady. Tym razem zagrożenie stanowili naukowcy, między innymi dawni naziści pracujący dla Egiptu, największego i najpotężniejszego wroga Izraela.

Izraelskie służby wywiadowcze pracowały pełną parą nad planami zniweczenia zamiarów Egiptu. Zadanie to miała wykonać elitarna Jednostka 188 służb wywiadowczych izraelskich sił zbrojnych, odpowiedzialna za zadania specjalne poza granicami kraju. Na jej czele stał Josef (Yoske) Yariv, przedsiębiorczy, doświadczony i uparty człowiek czynu, któremu przypadło trudne zadanie powstrzymania produkcji rakiet w Egipcie i prowadzenie walki z naukowcami przy wsparciu Mossadu.

Kwatera główna Jednostki 188 mieściła się w starym budynku w Tel Awiwie, w domu zbudowanym przez templariuszy na terenie ich kolonii Sarona (dziś kamienica ta leży na terenie dzielnicy Kirya). Templariusze byli pietystyczną sektą, która zasiedlała teren Izraela, wspomagając dzieło zbawienia. W okresie Trzeciej Rzeszy wielu jej członków sympatyzowało z nazistami. W czasie drugiej wojny światowej Brytyjczycy wygnali większość templariuszy do Australii, pozostali wyjechali do Niemiec.

Jak na ironię, to w właśnie w tej spokojnej dzielnicy, w której domy z dachami z czerwonej dachówki stały wzdłuż wąskich, zadbanych ulic,

znajdowała się centrala Jednostki 188. Stąd kierowano walką z nazistami, którzy znaleźli schronienie w krajach arabskich, z niemieckimi naukowcami, którzy wspierali egipski przemysł rakietowy, i z wszystkimi wrogami państwa izraelskiego.

Główne biuro niemieckich specjalistów od balistyki znajdowało się w ruchliwym centrum Frankfurtu nad Menem i właśnie tutaj przysłano paczkę z materiałami wybuchowymi, która miała trafić następnie w ręce naukowców w Egipcie. Niepozorna przesyłka rzeczywiście wylądowała w zatrudniającej Niemców fabryce broni w Heluanie. Po otwarciu pakunku nastąpiła detonacja materiału wybuchowego, a w wyniku eksplozji wielu znanych naukowców odniosło poważne obrażenia. Zamach odbił się echem na całym świecie. Doskonale skoordynowana współpraca izraelskich tajnych służb w Europie i Egipcie sprowokowała ingerencję wielu szefów państw i niedługo później budowę rakiet powstrzymano.

Jednostka 188 pracowała po cichu i dyskretnie, unikając rozgłosu. Jej członkowie musieli podpisać zobowiązanie do zachowania poufności i nie mogli nikomu opowiadać, czym się w rzeczywistości zajmują. Sylvia nie wiedziała o istnieniu tego oddziału, ale jego dowództwo słyszało o Sylvii. Jej współlokatorka Chana studiowała prawo na Uniwersytecie Bar Ilan. Jej przyjaciel Zvika prowadził szkolenia w akademii dla agentów Jednostki 188. Podczas odwiedzin u przyjaciółki poznał Sylvię i długo z nią rozmawiał. Jej mądrość, znakomita znajomość angielskiego i gorące zaangażowanie w budowę państwa izraelskiego zrobiły na nim ogromne wrażenie.

– Wydaje mi się, że pasowałaby do nas – przekonywał swojego kolegę, kierownika akademii agentów specjalnych.

Jednostka 188 jako jedna z pierwszych komórek tajnych służb w Izraelu wprowadziła równouprawnienie mężczyzn i kobiet. Już w czasie wojny w 1948 roku, na długo przed utworzeniem Jednostki 188, po raz pierwszy w zakończonej sukcesem misji zagranicznej wzięły udział agentki. Shulamit Cohen-Kishik, urodzona w Argentynie i zamieszkała w Jerozolimie, w wieku szesnastu lat wyszła za żydowskiego kupca z Libanu, przeniosła się do Bejrutu i stamtąd przekazywała ważne informacje na temat wrogich Izraelowi libańskich sił zbrojnych. Później, po utworzeniu Jednostki 188, rekrutowano do niej Dafnę Gal z Bat Jam, której ojciec w czasie drugiej

wojny światowej służył w Egipcie jako oficer brytyjskiej armii. Dafna wyszła za mąż za pracującego dla Mossadu Shlomo Gala i w zaawansowanej ciąży wyjechała z nim do jednego z krajów arabskich, gdzie razem zajmowali się zdobywaniem cennych informacji.

Członkowie Jednostki 188 dowiedli absolutnej i bezkompromisowej lojalności wobec swoich dowódców i z poświęceniem wykonywali każde zadanie. Ogromną sławą okrył się na przykład Wolfgang Lotz, którego matka była Żydówką. Podając się za Niemca z nazistowską przeszłością, wyjechał do Kairu, gdzie prowadził stadninę koni. Poznał wiele ważnych egipskich i niemieckich osobistości i dzięki temu sporządził pełną listę niemieckich specjalistów od balistyki pracujących w Heluanie i Heliopolis. Jego kolega Eli Cohen, udając kupca, przeniósł się do Damaszku i wkrótce przeniknął do najbliższego kręgu znajomych prezydenta Amina al-Hafiza i obracał się wśród jego ministrów oraz wysoko postawionych przywódców armii. Urodzony w Egipcie Eli został zwerbowany do Jednostki 188 i był długo szkolony w Izraelu, zanim przeniósł się do stolicy Syrii i tam zbudował ogromną sieć znajomości. Złapano go dopiero w czasie nadawania zaszyfrowanej wiadomości przez radio ukryte w jego mieszkaniu. Do jego dekonspiracji przyczynili się radzieccy specjaliści od podsłuchów, którzy namierzyli jego nadajnik.

Jednostka 188 szukała kandydatów na agentów w kręgach wszystkich imigrantów, również wśród zagranicznych studentek na uniwersytetach w Izraelu. Werbunek prowadzono też za granicą. Niektóre agentki z Jednostki 188 mieszkały we wrogich Izraelowi krajach, często piastując ważne stanowiska w dużych instytucjach publicznych.

Wiele rekrutowanych kobiet stawało się potem agentkami i stale ryzykowały życiem. Wymagano od nich takiej samej determinacji, lojalności i gotowości bojowej jak od mężczyzn. Zarazem miały jedną przewagę nad swoimi kolegami: znacznie rzadziej niż oni wzbudzały podejrzenia.

Część III

Noc w arabskiej wiosce

1

Był wieczór jednego z ostatnich dni października 1962 roku. Skończył się okres letnich upałów, a w powietrzu czuło się już jesienny chłód. Sylvia leżała w łóżku, czytając *Dzieje wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom* Józefa Flawiusza. Po męczącym dniu w szkole chciała jeszcze przed zaśnięciem przeczytać kilka rozdziałów. Nagle zadzwonił telefon. Nieznajomy rozmówca przeprosił za to, że niepokoi ją tak późno. Przedstawił się jako „Gadi, reprezentant instytucji państwowej, która poszukuje współpracowników". Zapytał, czy Sylvia zechciałaby się z nim spotkać.

– Mam dla pani ciekawą propozycję pracy – wyjaśnił.

Sylvia nie ukrywała swojego zdumienia.

– Kto panu powiedział, że w ogóle szukam pracy? – zapytała.

– Nasi wspólni przyjaciele – odpowiedział wymijająco. – Ale myślę, że nadawałaby się pani do wykonania zadania, o którym chciałbym z panią porozmawiać.

– O jakie zadanie chodzi? – dopytywała się Sylvia.

– To nie jest rozmowa na telefon. Czy znajdzie pani dla mnie czas jutro przed południem?

– Jutro uczę w szkole.

Umówili się następnego popołudnia. Sylvia zaproponowała, żeby spotkali się w kawiarni Harley przy ulicy Ben Jehudy w Tel Awiwie.

„Gadi", który naprawdę nazywał się Moti Kfir i prowadził akademię agentów w Jednostce 188, czekał na Sylvię przy stoliku dla dwojga w głębi bardzo tłocznej kawiarni, z dala od pozostałych gości. Sylvia weszła do środka, rozejrzała się szybko i podeszła prosto do niego. Odgadła, że to właśnie z tym mężczyzną się umówiła.

Wyciągnął do niej rękę, a ona uścisnęła ją mocno i zdecydowanie.

– Miło mi cię poznać – powiedział. – Mam na imię Gadi. Czego się napijesz?

Sylvia zamówiła kawę.

Najpierw Gadi musiał się upewnić, że cała rozmowa pozostanie w tajemnicy. Nie chciał jednak spłoszyć i odstraszyć Sylvii, dlatego starannie dobierał słowa.

– To, o czym będziemy rozmawiali, musi oczywiście pozostać między nami – powiedział.

Sylvia spojrzała na niego pytająco.

– Jeśli to ma zostać między nami, to dlaczego spotykamy się w kawiarni? – zapytała po hebrajsku.

Gadi nie mógł jej zdradzić, że kandydatów do tajnych służb w kraju i za granicą nigdy nie zapraszano do kwatery głównej jednostki. Adres siedziby organizacji znało niewiele osób.

– Przecież kawiarnia to doskonałe miejsce na spotkanie – wyjaśnił. – W tym hałasie i tak nikt nie usłyszy, o czym rozmawiamy.

– Chciałeś mi zaproponować pracę – przypomniała mu Sylvia.

– Najpierw muszę zadać ci kilka pytań, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Ależ proszę, nie mam nic do ukrycia.

Pytał ją o dom rodzinny, o powód jej przeprowadzki do Izraela, o plany na przyszłość, o współlokatorkę w Tel Awiwie, o to, jak spędza wolny czas, i o aktualne zajęcie. Odpowiadała szybko i bez skrępowania, swobodnie i z humorem.

– Jak oceniłabyś swoje obecne zadowolenie w skali od jednego do dziesięciu? – zapytał Gadi.

– Ach, pewnie osiem. Jestem nauczycielką, a to ciekawy zawód, ale coś mi podpowiada, że sprostałabym również poważniejszym zadaniom.

– Masz na myśli jakieś konkretne zajęcie?

– Chciałabym robić coś ciekawego, szukam jakiegoś wyzwania.

– Na przykład?

– Szczerze mówiąc, najchętniej zaciągnęłabym się do armii. – W jej oczach pojawił się błysk.

– To czemu tego nie zrobisz?

– Jestem za stara. Poza tym moja matka jest chrześcijanką, więc zgodnie z halachą nie jestem Żydówką. Czuję jednak przynależność od narodu żydowskiego, choć do armii nie chcą mnie wziąć.

– Nie uda mi się załatwić ci miejsca w armii – powiedział Gadi. – Ale spróbuję znaleźć coś dla ciebie w służbach bezpieczeństwa.

– Możesz mi chociaż zdradzić, dla kogo tak naprawdę pracujesz? – zapytała, przyglądając mu się długo i przenikliwie.

– Reprezentuję organizację państwową, która współpracuje z Ministerstwem Obrony Narodowej.

– A możesz mi zdradzić, jakie zadanie miałabym wykonać?

– Jeszcze nie teraz. Najpierw musisz przejść badania i zdać testy, żebyśmy byli pewni, że nadajesz się do tego zadania. Potem porozmawiamy o twoim ewentualnym zatrudnieniu.

– Proszę, powiedz mi choć z grubsza, o co chodzi – poprosiła, dobrze wiedząc, że nikt nie potrafi się jej oprzeć.

– No więc... – Gadi zawahał się przez moment. – Chodzi o bardzo odpowiedzialne zadanie, wymagające częstych podróży za granicę.

Zastanawiała się, co odpowiedzieć. Oczywiście marzyła o nowej, fascynującej pracy, ale musiałaby podjąć decyzję w ciemno. Propozycja wydawała jej się zbyt tajemnicza. Domyślała się jednak, co w trawie piszczy.

W czasie rozmowy Gadiemu rzuciło się w oczy, że mężczyźni i kobiety przy sąsiednich stolikach z zainteresowaniem spoglądają na Sylvię. Kiedy wychodziła z kawiarni, ściągnęła na siebie wiele zaciekawionych spojrzeń. Kiedy kandydat do służb specjalnych budził zbyt duże zainteresowanie, zastanawiano się bardzo długo nad tym, czy można go przyjąć do Jednostki 188. Agentów uczono przecież przede wszystkim umiejętnego wtapiania się w tłum. Sylvia wywarła jednak na Gadim pozytywne wrażenie. Czuł, że potrafi ona odnaleźć się w każdym położeniu i z pewnością wykorzysta to, że ściąga na siebie uwagę.

Kiedy kilka dni później spotkali się znowu w kawiarni, zapytał ją:

– Co byś powiedziała, gdybym zaproponował ci pracę w korpusie wywiadu?

– Bardzo bym się ucieszyła.

– Szczerze mówiąc, mamy już dla ciebie pewne zadanie, ale...

– Wiem – przerwała mu. – Już mówiłeś, muszę najpierw zdać testy.

– Zgadza się.

– Co to za testy? – zapytała.

– Najpierw musiałabyś zdać testy psychologiczne, a potem egzamin z bezpieczeństwa narodowego.

– To długo potrwa?

– Tak, kilka miesięcy.

– Podaj mi jakieś szczegóły. Jak mogę podjąć decyzję, kiedy nie wiem, jakich umiejętności ode mnie oczekujecie?

– Mogę powiedzieć ci tylko tyle, że chodzi o interesującą, fascynującą i bardzo nietuzinkową pracę – odparł spokojnie Gadi.

– Czy to niebezpieczne zajęcie?

– Czasami.

Z uśmiechem odchyliła się na oparcie krzesła.

– Właśnie takiej pracy szukam. Przez ostatnie miesiące strasznie się nudziłam – powiedziała.

– I jeszcze jedno. Tak naprawdę nie nazywam się Gadi, ale zwracaj się do mnie tym imieniem. Gdy cię zwerbujemy, będziesz się posługiwała imieniem Ilana, przynajmniej dopóki nie zdecydujemy się na inny kryptonim.

Po kilku kolejnych spotkaniach z Sylvią Gadi porozmawiał z Szimonem, który prowadził rekrutację i weryfikację agentów do Jednostki 188. Szimon jeszcze przed powstaniem państwa izraelskiego należał do Jednostki Palmach jako jej założyciel i szkoleniowiec, a jego ludzie potrafili przeniknąć niezauważenie do arabskiej społeczności. Był starym wyjadaczem, który dogłębnie poznał język, kulturę i zwyczaje Arabów. Jednostkę Palmach przekształcono potem w Jednostkę 188, dlatego wielu jej członków było już od wielu lat zaznajomionych ze światem arabskim.

– Co o niej sądzisz? – zapytał Szimon.

– Jest błyskotliwa, trzeźwo myśli i jest raczej ekstrawertyczką – powiedział Gadi. – Ale wydaje mi się, że potrafi trzymać swój wybuchowy temperament na wodzy.

To obudziło zainteresowanie Szimona.

– Opowiedz mi o niej coś jeszcze – poprosił.

Gadi opowiedział mu o jej rodzinie w Afryce Południowej, przeprowadzce do Izraela, wolontariacie w kibucu i pracy w szkole.

– Myślisz, że nadaje się do tajnej służby we wrogim nam kraju? – zapytał Szimon.

– Moim zdaniem da radę.

– Brzmi ciekawie. Uważasz, że powinienem się z nią spotkać?

– Jak najbardziej.

Sylvia po zdaniu wszystkich egzaminów miała zacząć służbę w Jednostce 188, stanowiącej integralną część korpusu wywiadu wojskowego. Kierujący Mossadem Isser Harel wielokrotnie próbował przyłączyć tę jednostkę do swoich służb wywiadowczych, ale wciąż spotykał się z odmową dowódcy Sztabu Generalnego Moszego Dajana. W październiku 1963 roku dowódca korpusu wywiadu generał major Meir Amit został powołany na stanowisko szefa Mossadu i konflikt został zakończony. Jednostka 188 znalazła się na właściwym miejscu w strukturze służb wywiadowczych, jako część Mossadu. Została połączona z jednostką do zadań specjalnych za granicą Hamifratz (Zatoka), kierowaną przez późniejszego premiera Izraela Icchaka Szamira. Po tej fuzji dowodzenie w nowej jednostce objął pułkownik Josef Yariv. Meir Amir, który nazywał Yariva „burzycielem granic", z okazji przyłączenia do Mossadu napisał do niego: „Dokonania Jednostki przynoszą całemu narodowi sławę i chwałę, wnosząc znaczący wkład w poprawę naszego bezpieczeństwa. (...) Dziękuję opatrzności, że pozwoliła nam współpracować. Działasz na bardzo trudnym i delikatnym obszarze, nie tylko dlatego, że w grę wchodzi często życie ludzkie, ale również dlatego, że choć wasza praca przebiega po cichu i w ukryciu, to wywołuje oddźwięk na całym świecie (...)".

Po utworzeniu nowej jednostki do zadań specjalnych wszyscy członkowie Jednostki 188 przeszli do Mossadu. Zjednoczenie nie zmieniło zasadniczo charakteru pracy jednostki, a jej zadania i cele pozostały takie same. W praktyce jednak połączone siły tajnych służb budziły większy szacunek, zdobyły wyższą rangę i zyskały większą skuteczność. Jej członkowie czuli się coraz silniejsi i dumnie ją reprezentowali.

2

Ze względów bezpieczeństwa spotkania Sylvii z psychologiem odbywały się u niego w domu.

– Opowiedz mi o swoich lękach z dzieciństwa – poprosił ją.

Miał aksamitny głos i przyjazne spojrzenie. Chciał poznać jej najsłabsze strony, żeby ocenić jej charakter.

– Zawsze chciałam być najlepszą uczennicą w klasie – opowiadała Sylvia. – I bardzo się bałam, że mi się to nie uda.

– Ale udało się?

– Tak.

– Co jeszcze?

– Często powracał do mnie pewien sen. Widziałam w nim, jak do naszego domu wdzierają się jakieś zamaskowane postacie i zabijają nas wszystkich strzałami z karabinu. Takie wydarzenia często miały miejsce w Afryce Południowej. Kilkoro naszych sąsiadów, którzy próbowali przeciwstawić się włamywaczom, pożegnało się z życiem. Z tych snów zawsze budziłam się roztrzęsiona. Myślałam, że coś takiego mogłoby się zdarzyć w naszym domu, i kiedyś rzeczywiście się zdarzyło. Miałam osiem lat i obudziłam się w środku nocy. Było cicho. Nasze psy nie szczekały, ale z salonu dobiegał jakiś dziwny hałas. Wstałam, żeby zobaczyć, co się dzieje, i zobaczyłam dwie postacie, które próbowały wybić okno. Pamiętam, że w pierwszej chwili skamieniałam ze strachu i nie mogłam się ruszyć, ale szybko zrozumiałam, że muszę powstrzymać intruzów. Pobiegłam do sypialni rodziców i obudziłam ojca. On wziął strzelbę, którą trzymał koło łóżka. Poszliśmy po cichu do salonu, zobaczyliśmy rozbitą szybę w oknie i dwóch mężczyzn, którzy właśnie zwijali dywan. Ojciec wycelował i strzelił. Kule trafiły obu włamywaczy. Jeden zmarł na miejscu, a drugi padł na podłogę, wyjąc z bólu. Ojciec zadzwonił po policję, a ja wyszłam na podwórze, żeby zobaczyć, co się stało z psami. Płakałam, gdy znalazłam je martwe. Zabili je włamywacze. Wróciłam do salonu, spojrzałam na rannego włamywacza, który leżał na podłodze obok swojego

martwego wspólnika, i powiedziałam: „Zasłużyliście sobie na to”. On tylko popatrzył na mnie z przerażeniem w oczach.

– I wtedy się bałaś?

– Nie, wtedy strach już minął, czułam tylko gniew.

W swojej opinii psycholog napisał później:

> Wspomnienie Sylvii o włamaniu do jej domu świadczy o jej odwadze i trzeźwości umysłu. Odwaga to zasadniczo dowód umiejętności rozwiązywania problemów w sytuacji kryzysowej. Sylvia słyszy hałas w domu, ale nie wpada w panikę, tylko podchodzi do problemu zadaniowo. Również kiedy jej ojciec strzela i trafia włamywaczy, Sylvia zapamiętuje to wydarzenie jako udaną operację, a nie jako reakcję dziecka, które po raz pierwszy ma kontakt z przemocą i śmiercią. Podchodzi do sprawy bez emocji, z dystansem, jakby chciała powiedzieć: „Problem rozwiązany”. Emocje okazuje dopiero na widok martwych psów (...). Sylvia ufa swojemu ojcu. To do niego biegnie, żeby go obudzić, i obserwuje, jak on z zimną krwią unieszkodliwia włamywaczy. Ojciec jej nie chroni, traktuje ją jak członka zespołu, pozwala jej patrzeć, gdy sam strzela. On też jej ufa i wierzy, że córka nie zacznie krzyczeć i nie odwróci jego uwagi. Działają jak zgrany zespół.
>
> Wynika z tego, że Sylvia ufa osobom z autorytetem, a osoby z autorytetem ufają jej. Odpowiedzialność i umiejętność rozwiązywania problemów odgrywają w jej życiu istotną rolę. Cechuje ją trzeźwość umysłu. Nie przerażają jej nowe sytuacje, ruch i zmiana, niebezpieczeństwo i sytuacje krytyczne. Wręcz przeciwnie, poszukuje ich.

– Coś jeszcze budziło twój lęk w dzieciństwie? – zapytał psycholog.

– Niczego więcej sobie nie przypominam.

– A czego się bałaś w okresie dojrzewania? Coś musiało cię niepokoić.

Zaśmiała się.

– Jasne, bałam się, że zostanę starą panną. Do szesnastego roku życia nie miałam chłopaka.

– A budziłaś się czasami w środku snu, który nie dotyczył włamania do domu?

– Rzadko.

– Załóżmy, że zdasz wszystkie testy i zostaniesz przyjęta. Masz świadomość, że często staniesz w obliczu niebezpieczeństwa, a może nawet śmierci? – pytał dalej psycholog.

– Chyba tak. Tak, właściwie mam tego świadomość.

– Boisz się tego?

– Trochę.

– Boisz się śmierci?

– Nie, boję się tylko, że nie podołam zadaniu.

– Wyobraźmy sobie, że otrzymujesz zadanie, ale coś idzie nie tak i grozi ci śmierć. Poddałabyś się, poszłabyś do swojego oficera prowadzącego i powiedziała, że zadanie jest niewykonalne?

– Gdybym dostrzegała szansę na to, że operację uda się doprowadzić do końca zgodnie z planem, nie zawahałabym się przed działaniem.

– Nawet gdyby groziła ci śmierć?

– Myślę, że nie miałabym czasu się nad tym zastanawiać. Kiedy człowiekowi przychodzi nacisnąć spust, nie boi się poświęcić własnego życia. Zastanawia się raczej, jak je uratować, prawda?

3

Jak wszyscy kandydaci do służby zagranicznej Sylvia przeszła długie i żmudne testy bezpieczeństwa i została zbadana przez wielu psychologów. Ich opinie okazały się pozytywne. Podkreślano w nich jej solidarność z narodem żydowskim, jej odwagę, szczerość i zapał do pracy. Cytowano jedno zdanie, które wypowiedziała w czasie kwalifikacji: „Słowo »niemożliwe« nie występuje w moim słowniku”. Psychologowie doszli do wniosku, że to urodzona agentka. Chętnie pracowała sama, potrafiła zaprezentować się niczym rasowa aktorka, łatwo nawiązywała kontakty z ludźmi, a mężczyźni tracili dla niej głowę.

Jej akta osobowe z listem polecającym przekazano pod rozwagę do kwatery głównej jednostki do zadań specjalnych. W posiedzeniu wzięli udział dowódca jednostki, kierownik akademii agentów, szef działu rekrutacji i szef rady nadzorczej. Wszyscy zgodnie orzekli, że Sylvię należy dopuścić do szkolenia.

W postanowieniu końcowym napisano:

> Kandydatka nadaje się do jednostki do zadań specjalnych. Odznacza się wyjątkową niezależnością, trzeźwością umysłu, dużymi zdolnościami interpersonalnymi i przedsiębiorczością, ale tylko w ściśle określonych ramach zadania. Sylvia najlepiej radzi sobie na wyraźnie zakreślonym polu, jeśli tylko pozostawić jej pewien margines samodzielności. Jest dumna z tego, że przynależy do większej całości, wzmaga to jej odwagę, bo struktura organizacji daje jej konieczne oparcie. Natomiast zbyt duża bliskość ją deprymuje, dlatego należy ostrożnie nawiązywać z nią bliskie kontakty. Szkoleniowcy i oficerowie prowadzący z Mossadu potrafią jednak w miarę potrzeb zachowywać dystans lub go skracać.

Kiedy spotkała się w kawiarni z Szimonem, odpowiedzialnym za rekrutowanie agentów, on uścisnął jej serdecznie dłoń.

– Zostałaś przyjęta – powiedział. – Przed tobą szkolenie. Kiedy ukończysz je z sukcesem, zrobimy z ciebie agentkę.

Sylvia nie wierzyła własnym uszom. Do głębi poruszona, stała przed Szimonem na miękkich kolanach, ze łzami w oczach. Słowa uwięzły jej w gardle. To był wielki dzień, być może najważniejszy w całym jej życiu. Czuła, że rozpoczęła nowy rozdział. Otworzyły się przed nią wrota do fascynującego, nieznanego świata.

Wyszła na ulicę i znalazła się pośrodku tłumu. Mnóstwo przechodniów szło chodnikiem, rozbrzmiewały klaksony, a jej wydawało się, że unosi się nad ziemią na obłoku szczęścia. Uniesienie i rozpierająca ją radość były dostateczną nagrodą. Ale Sylvia postanowiła, że musi godnie uczcić tę okazję, ten przełomowy moment w swoim życiu. Dzień, w którym odmienił się jej los, chciała uhonorować symbolicznym gestem.

Kiedy już złożyła wymówienie w szkole i przez telefon zawiadomiła rodziców, że dostała ważną pracę w państwowej organizacji, przyszło jej do głowy kilka możliwości świętowania. Mogła zaprosić przyjaciółki na kolację, pójść do teatru albo na koncert. Ale żaden z tych pomysłów nie licował z powagą chwili. Nagle zaświtała jej myśl. Pojechała na dworzec autobusowy w Tel Awiwie. Dwie godziny później, po przesiadce do innego autobusu, stanęła u stóp masywu Masada, przed górską fortecą, w której w latach 70–73 n.e. żydowscy buntownicy pod dowództwem Eleazara Ben Jaira obwarowali się otoczeni ze wszystkich stron przez rzymskie legiony. Kiedy Rzymianie wreszcie wtargnęli do twierdzy, znaleźli w niej tylko martwe ciała buntowników, którzy woleli śmierć z własnej ręki niż rzymską niewolę.

Sylvia przyłączyła się do grupy turystów mówiących po angielsku i w ich otoczeniu poszła krętą ścieżką do ruin twierdzy, w której niegdyś schronili się buntownicy. Wędrówka pod górę kosztowała ją wiele wysiłku, ale Sylvia była w doskonałej formie, a mocne postanowienie, że wyjdzie na sam szczyt, dodawało jej potrzebnej siły. Kiedy dotarła na samą górę, zobaczyła wielką inskrypcję, którą ktoś namalował na ścianie: „Masada nie upadnie po raz drugi”.

Podziwiała widok na Pustynię Judzką i Morze Martwe, a oczyma wyobraźni zobaczyła obozowisko rzymskich legionistów rozbite u podnóża gór. Wszystko, co przeczytała i czego się dowiedziała o Masadzie, stanęło jej teraz przed oczami, zyskało niemal namacalny kształt i budziło grozę. Wodziła wzrokiem po wysokim masywie i wydawało jej się, że słyszy w ruinach płacz głodnych dzieci. Podziwiała siłę woli oblężonych, którzy nie poddali się nawet wtedy, gdy już nie było żadnej nadziei. Sylvia wiedziała,

że Masada jest symbolem bohaterstwa i odwagi żydowskiego narodu, naocznym dowodem na to, że – choćby nie wiadomo co się działo – nigdy nie skapituluje on przed wrogiem. Tam, wysoko na szczycie góry, która była milczącym świadkiem śmierci dumnych Żydów, uświadomiła sobie, że przeznaczeniem Mossadu, w którego szeregi właśnie została przyjęta, jest pójść w ślady mężnych wojowników. Przysięgła sobie, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby historia się nie powtórzyła. Udział w tej misji uważała za swój obowiązek.

4

Trzypokojowe mieszkanie mieściło się na drugim piętrze w starej kamienicy na ruchliwej ulicy Dizengoffa w Tel Awiwie. Należało do bezdzietnej, starszej pary, która mieszkała w nim od wielu lat. Mężczyzna był dawnym członkiem służb wywiadowczych i często wykonywał tajne misje za granicą. Jego żona prowadziła księgarnię.

Tolka Rosen, odpowiedzialna za poszukiwanie i wynajem przestrzeni do celów szkoleniowych dla jednostki do zadań specjalnych, zapytała gospodarzy domu przy ulicy Dizengoffa, czy mogliby tymczasowo wynająć jej pokój. Zgodzili się, choć ani słowem nie zdradzono im, kto i do jakich celów będzie go używał. Nie tylko oni oddali swoje mieszkanie do dyspozycji tajnych służb. Wszyscy agenci przechodzili pierwszą część szkolenia w pokojach albo mieszkaniach wynajmowanych od dawnych pracowników wywiadu lub ich rodzin.

Sylvia stanęła na progu mieszkania razem z Gadim. W ręku trzymała walizkę z ubraniami i mały odbiornik radiowy. Gospodarze już na nią czekali. Gadi przedstawił im Sylvię jako Ilanę. Musiała powoli przyzwyczajać się do fałszywego imienia.

Gospodarze nie zadawali zbędnych pytań. Polubili dziewczynę od razu, ale gdy tylko dali jej klucz, zniknęli w swoim pokoju. Sylvii polecono, by nie próbowała nawiązać z nimi bliskich kontaktów.

Gadi zlecił szkolenie Sylvii Abrahamowi Gehmerowi. Gehmer odbył służbę wojskową w jednostce zwiadowczej strzelców spadochronowych i w jej szeregach brał udział w brawurowych akcjach odwetowych, zasadzkach i rekonesansach na terenach wroga. Kiedy odszedł z wojska w randze oficera, przeniósł się do Szin Bet, czyli Służby Bezpieczeństwa Ogólnego, a potem, dzięki wsparciu Gadiego, dostał się do Jednostki 188, w której szybko awansował. Zanim spotkał Sylvię, szkolił innych kandydatów, którzy później okazali się znakomitymi agentami.

Abraham urodził się w mieście Ness Syjona. Kiedy miał rok, jego ojciec padł ofiarą ataku bandy Arabów. Jego owdowiała matka, która musiała zatroszczyć się o dwójkę dzieci, chciała przenieść się do kibucu. Raz po raz odprawiano ją z kwitkiem, aż w końcu przyjęto wraz z dwoma synami do kibucu Kvutzat Sziller w Rehovot.

Abraham był przystojnym, silnym mężczyzną. Niewiele mówił i zawsze zachowywał dystans. Uwielbiał podróże. Znali się z Gadim jeszcze z czasów, kiedy mieszkali w sąsiednich kibucach. Jako młodzi chłopcy grali w koszykówkę, a potem obaj służyli w armii w jednostkach bojowych.

Okno w pokoju Sylvii wychodziło na spokojne podwórze na tyłach kamienicy. Na małym biurku stał kolorowy wazon ze świeżymi kwiatami z ogrodu. Nie wolno jej było tu nocować. Pokój miał służyć tylko do celów szkoleniowych. Obrzuciła go jednym spojrzeniem i wróciła do mieszkania, które dzieliła z Chaną.

Następnego dnia wcześnie rano pospieszyła do pokoju szkoleniowego. Niedługo później ktoś zadzwonił do drzwi. Sylvia otworzyła. Na progu stał Gadi z przystojnym, szczupłym brunetem. Wcześniej poinformowano ją, że zjawi się ktoś, kto będzie ją szkolić. Oczekiwała go z ciekawością, bo nigdy wcześniej go nie spotkała.

– Mam na imię Oded – przedstawił się Abraham Gehmer.

Szkoleniowcy z Jednostki 188 zawsze ukrywali swoje prawdziwe personalia, a kandydatów wcale to nie dziwiło.

„Oded” stał przez chwilę przed Sylvią. Przyglądali się sobie jak para nieznajomych, który zrządzeniem losu mieli od teraz dążyć do wspólnego celu. Sylvia potrafiła po mistrzowsku przełamać pierwsze lody i żartem rozbrajać chwile napięcia. Uśmiechnęła się do Gadiego i szelmowsko puściła do niego oko.

– Proszę, wyjaśnijcie mi obaj, co to wszystko ma znaczyć.

– Nie rozumiem – zdziwił się Gadi.

– Wydawało mi się, że zdałam wszystkie egzaminy – zażartowała Sylvia. – A wy teraz próbujecie sprawdzić, czy potrafię się oprzeć urokowi gwiazdora filmowego?

Cała trójka wybuchnęła śmiechem, bo Sylvia wcale nie patrzyła na Abrahama z pożądaniem. Później Gadi opowiedział jej historię o

zaprzyjaźnionym szkoleniowcu, który wdał się w romans ze swoją uczennicą.

– Przemilczał to przed swoimi przełożonymi, ale ta młoda kobieta im o tym doniosła – powiedział. – Wiedziała doskonale, że musi informować ich o wszystkim, co dzieje się w jej życiu, nawet o romansie ze szkoleniowcem. Wkrótce potem wydalono go z jednostki.

– A co się z nią stało? Nie wyrzucono jej?

– Nie. Z bardzo prostego powodu: w przeciwieństwie do niego powiedziała prawdę.

Gadi wyjaśnił, że to z tego względu zawsze nakazywał swoim podwładnym, żeby zachowywali dystans do szkolonych kobiet.

Pierwszego dnia Sylvia i Abraham tylko rozmawiali, żeby lepiej się poznać, i razem przejrzeli punkt po punkcie plan ćwiczeń. Następnego ranka Sylvia wstała wcześnie i w drodze na szkolenie kupiła świeże bułeczki i inne pyszności. Abraham przyniósł pomarańcze. Zaprosiła go do wspólnego śniadania. Na koniec obrała dwie pomarańcze, jedną dla siebie, drugą dla niego.

On spojrzał na nią z uśmiechem.

– Przyjmijmy, że pracujesz pod przykrywką jako szwedzka dziennikarka. W czasie wykonywania jednego z zadań reporterskich poznajesz ludzi, którzy zapraszają cię na kolację – powiedział Abraham. – Nie mają pojęcia, że cokolwiek łączy cię z Izraelem. Na deser gospodyni podaje każdemu z gości pomarańczę. Co robisz?

Sylvia nie zrozumiała pytania.

– Oczywiście obieram ją i zjadam.

– I wtedy wszyscy od razu się orientują, że jesteś Żydówką – zaśmiał się.

– Jak to? – zapytała zdumiona Sylvia.

– Bo tylko Izraelczycy obierają pomarańcze tak, jak ty to robisz – odparł.

Wyglądała na zbitą z tropu.

– Nie pomyślałam o tym... – szepnęła.

– To tylko dowodzi, że dobry agent wywiadu musi dowiedzieć się absolutnie wszystkiego o miejscu, w którym wykonuje akcję, musi poznać nawet codzienne zwyczaje przy stole.

Sylvia westchnęła.

– Już rozumiem – powiedziała. – Sugerujesz, że muszę się nauczyć o wiele więcej niż to, czego dowiedziałam się do tej pory, żeby móc dobrze wykonywać moje przyszłe zadania.

– Właśnie to miałem na myśli, Ilano.

Pracowali codziennie od rana do wieczora. Lekcje przebiegały bardzo sprawnie, a Abraham chwalił Sylvię, która pojmowała wszystko w lot. Z całych sił próbowała zapamiętać każdy szczegół, każde polecenie wykonać tak dokładnie, jak tylko potrafiła, poradzić sobie z ogromem materiałów, którymi zasypywał ją Abraham. Co kilka dni opowiadała Gadiemu o swoich wrażeniach ze szkolenia.

W czasie ćwiczeń mieli z Abrahamem bardzo niewiele czasu na prywatne rozmowy. Między kolejnymi lekcjami, w trakcie przerwy na kawę lub posiłek, próbowała dowiedzieć się tego i owego o jego życiu, zainteresowaniach i rodzinie. Odpowiadał krótko i zdawkowo, a czasem zbywał ją milczeniem i to nie tylko dlatego, że był z natury małomówny. Tego wymagały reguły obowiązujące w Jednostce 188.

5

Każdego ranka Abraham przychodził od mieszkania przy ulicy Dizengoffa i ćwiczył z Sylvią umiejętności przydatne każdemu agentowi. Uczył ją czytać plan miasta i mapę, analizować ujęcia lotnicze, zapamiętywać rozkazy wkroczenia do akcji, adekwatnie oceniać sytuację, bronić się, szukać dróg komunikacyjnych, szyfrować wiadomości, śledzić i odkrywać śledzących, unikać podejrzanych osób i niebezpiecznych miejsc oraz organizować wyjazdy zagraniczne (zdobywać wizę, paszport, wynajmować samochód czy znajdować hotel). Poznał ją z doświadczonym nauczycielem alfabetu Morse'a i zabrał na plac ćwiczebny, gdzie specjaliści od działań terrorystycznych pokazali jej, jak niewinnie wyglądające przedmioty naszpikować materiałami wybuchowymi. Dzięki temu dowiedziała się, na przykład, że koperty nie zawsze zawierają listy, a kostka przypominająca do złudzenia mydło może kryć w sobie niebezpieczną bombę. Dowiedziała się też, że w domowej wadze można zainstalować nadajnik, a lakieru do paznokci używać jako niewidzialnego atramentu. Sylvia była pilną i pojętną uczennicą. W czasie cotygodniowych rozmów z kierownikiem akademii Abraham chwalił szeroką wiedzę swojej podopiecznej, jej postępy w czasie ćwiczeń i jej determinację. Ona zaś prawiła mu komplementy, chwaląc jego metody szkoleniowe. Uważała go za znakomitego fachowca.

Przez całą zimę, a potem aż do połowy lata Sylvia spotykała się ze swoim nauczycielem w wynajętym pokoju. Kiedy Abraham po skończonej lekcji wychodził, Sylvia również wracała do własnego mieszkania. Niełatwo było jej przejść ze świata tajnych służb do prywatnego życia. Chanie nie opowiadała o tym, co robi przez cały dzień, a kiedy jej współlokatorka ją o to wypytywała, Sylvia twierdziła, że zapisała się na studia dla archiwistów w Ministerstwie Obrony Narodowej. Doskwierała jej samotność, a obowiązek zachowania absolutnej tajemnicy okazał się ciężkim brzemieniem. Miała ogromną ochotę podzielić się z kimś swoimi przeżyciami, ale wiedziała, że jest to surowo zabronione. Teraz dostrzegła jeden z najpoważniejszych problemów, jakie niósł ze sobą wybrany przez nią zawód. Ale i tak nawet przez moment nie żałowała swojej decyzji.

Wszelkimi dostępnymi środkami radziła sobie z samotnością. Czytała książki, przede wszystkim wspomnienia osób, które przeżyły Holokaust, korespondowała z rodzicami i bratem Davidem oraz malowała krajobrazy akwarelami i farbami olejnymi.

W jednym z listów do rodziców Sylvia napisała:

> Zrezygnowałam z pracy w szkole w Cholonie i uczę się nowego zawodu w spółce handlowej, która ma swoje oddziały na całym świecie. Praca jest ciężka, ale ciekawa, a poza tym nie mogłabym sobie wymarzyć lepszych współpracowników. Są błyskotliwi, mądrzy, szczerzy i przyzwoici, to fachowcy, którzy bardzo mnie szanują. Inspiruje mnie ich radość z wykonywanej pracy, skromność i rzetelność. To wspaniali ludzie, którym usilnie staram się dorównać.

6

Któregoś ranka Abraham przyniósł ze sobą projektor filmowy i zainstalował go w pokoju. Sylvia nie miała pojęcia, co się teraz stanie. Abraham wyciemnił pokój, na ścianie pojawiły się pierwsze obrazy.

Był to francuski film o dziewczynie ze wsi, która zakochuje się w swoim nauczycielu. Zaprasza go na swoje urodziny w wiosce. Jej przyjaciele i przyjaciółki, rodzice i krewni oraz ukochany nauczyciel zasiadają przy wielkim, zastawionym stole pod drzewem gęsto porośniętym liśćmi. Matka przynosi jedzenie.

Film urwał się i zapanowała ciemność.

– Spróbuj sobie przypomnieć, co miał na sobie ojciec – powiedział nauczyciel.

Sylvia natychmiast przywołała w pamięci fragment filmu.

– Białą koszulę, kapelusz, ciemne spodnie...

– Co jedli?

– Potrawkę z mięsa, sałatę, chleb.

– A co pili?

– Czerwone wino.

– Czy butelki z winem miały etykietę?

– Nie.

– Doskonale.

Abraham włączył znowu film, ale raz po raz go zatrzymywał. Sylvia musiała przypominać sobie kolejne szczegóły: wyposażenie pokoju, w którym rozgrywał się fragment akcji, ilość krów na łące, po której spacerowała dziewczyna z ukochanym, a także sekwencje dialogów między postaciami.

Zapamiętała wszystko.

Na stole pośrodku pokoju leżało kilka bezładnie rozrzuconych fotografii rodzinnych, dwa długopisy, zeszyt, koperta, aparat telefoniczny, okulary do

czytania i portmonetka.

– Przyjrzyj się przedmiotom na stole – polecił Sylvii jej nauczyciel. – A teraz zamknij oczy. – Zakrył przedmioty ręcznikiem. – Co leży w lewym górnym rogu blatu? – zapytał.

Sylvia i tym razem się nie pomyliła. Już jako dziecko potrafiła zapamiętać mnóstwo nawet mało istotnych drobiazgów. W szkole umiała odtworzyć z pamięci zaledwie raz przeczytane, długie akapity z książek.

Szkolenie odbywało się przeważnie w wynajętym mieszkaniu, przeznaczonym na lekcje teoretyczne i ćwiczenia w zainscenizowanych sytuacjach. Sylvia najbardziej lubiła jednak ćwiczenia terenowe, w czasie których mogła zaczerpnąć świeżego powietrza. W niewielkiej bazie w zielonej dolinie, w pobliżu równiny Szaron, z dala od zamieszkanych terenów, uczyła się posługiwać materiałami wybuchowymi, unikając wypadków, w czym szkolili ją specjaliści od budowania bomb. W gronie nauczycieli Sylvii znalazł się tajny agent, który dziesięć lat wcześniej umieścił materiał wybuchowy w książce. Bomba miała zabić generała Mustafę Hafeza, szefa egipskich służb specjalnych w Strefie Gazy i dowódcę oddziałów fedainów, palestyńskich jednostek terrorystycznych, które ówcześnie atakowały Izrael. Specjalista ten opowiedział Sylvii, że Hafez był bardzo przezornym człowiekiem, któremu nie można było bezpośrednio wysłać żadnych ładunków wybuchowych, bowiem każdą przesyłkę do niego gruntownie kontrolowano. Izraelscy specjaliści z tajnych służb opracowali wyrafinowany plan. Postanowili włączyć do akcji podwójnego agenta Muhammada al-Talalkę, który pracował jednocześnie dla izraelskich tajnych służb i dla generała Hafeza. Izraelczycy wiedzieli o jego działalności na usługach Egiptu, ale on nie przeczuwał podstępu. Któregoś dnia izraelskie służby specjalne przekazały al-Talalce fałszywą informację, że komendant policji w Gazie Lufti al-Akawi to izraelski agent, i polecili mu umieścić malutki nadajnik w niewinnie wyglądającej książce, którą miał podarować temu człowiekowi. Podwójny agent ochoczo przystąpił do działania. Zgodnie z przewidywaniami Izraelczyków, al-Talalka z bombą w książce pospieszył najpierw do Mustafy Hafeza, żeby donieść mu, że komendant policji w Gazie to zdrajca. Oddał swojemu dowódcy książkę, informując go o ukrytym w niej nadajniku przeznaczonym dla al-Akawiego. Hafez podziękował podwójnemu agentowi za informację i otworzył książkę. Eksplozja zabiła go na miejscu.

Prowadzący zajęcia z Sylvią ekspert od materiałów wybuchowych opowiedział jej tylko o tej jednej akcji. Ale Sylvia była pewna, że miał w zanadrzu jeszcze wiele podobnych historii, które wolał jednak zachować dla siebie.

Sylvia musiała zdać wiele egzaminów z ćwiczeń. Jeden polegał na tym, że musiała przejść z jednego miejsca w mieście do drugiego i sprawdzić, czy ktoś ją śledzi. Gdyby chciała się przekonać, czy ktoś depcze jej po piętach, mogła, na przykład, wejść do sklepu i wymknąć się na zewnątrz tylnym wejściem. Jeśli ktoś wyszedłby za nią, wtedy miałaby pewność, że ją śledzi. Inna metoda polegała na tym, że należało wsiąść do autobusu i wysiąść na następnym przystanku. Gdyby ktoś wysiadł razem z nią, to oznaczałoby, że ją śledzi. Niekiedy faktycznie ktoś za nią szedł. Nauczyła się odpowiednio zachowywać w sytuacji, gdy zauważyła, że prześladowca zbliżył się do niej, a ona nie miała dokąd uciec.

Sylvii szczególnie podobały się ćwiczenia z wtapiania się w tłum. Na przykład musiała w kawiarni zainicjować rozmowę z kobietą lub mężczyzną przy sąsiednim stoliku i pogawędzić o modzie, pogodzie albo ukochanym psie czy kotku. Z niezwykłym talentem potrafiła zjednywać sobie nieznajomych. Jej radość życia, ciepłe spojrzenie i urok osobisty powodowały, że nawet zupełnie obcy ludzie w jej towarzystwie czuli się tak doskonale, jakby przyjaźnili się z nią od lat. Wkrótce odkryła w sobie cechę, o którą wcześniej siebie nie podejrzewała. Potrafiła spowodować, że ludzie otwierali przed nią serca i wtajemniczali ją w swoje najgłębsze sekrety. Przy niej zyskiwali pewność siebie i odwagę. Jej nauczyciele powtarzali, że łatwość nawiązywania kontaktów międzyludzkich bez wzbudzania podejrzeń to jedna z najważniejszych umiejętności agenta.

Każdy agent potrzebuje fikcyjnego życiorysu, tak zwanej legendy. Niekiedy występuje pod swoim prawdziwym nazwiskiem, a niekiedy pod zmyślonym. Legenda przydaje się w czasie misji. Czasem okazuje się niezbędna, by przeżyć, stanowi pierwszą linię obrony, gdy agent zostanie zdekonspirowany, pojmany lub poddany przesłuchaniu. Agent dysponuje sfałszowanymi, dopasowanymi do jego potrzeb paszportami. Wolfgang Lotz użył w Egipcie swojego prawdziwego paszportu. Kiedy stamtąd odlatywał, śledczy postanowili go skontrolować i ustalili, że paszport był autentyczny, a podane w nim nazwisko prawdziwe. Na szczęście Lotz nie był obrzezany, bo jego ojciec nie był Żydem. Śledczy kazali mu się

rozebrać, żeby to sprawdzić. Uznali go za Niemca, który pracował dla Izraela, a nie za izraelskiego Żyda.

Wolfgang Lotz to dobry przykład ilustrujący różnicę między „bojownikiem”, jak często nazywa się izraelskich pracowników wywiadu, a „agentem”. Lotz był bojownikiem i należał do Jednostki 188. Mianem agenta określa się zazwyczaj szpiega, który działa na szkodę własnego narodu, zazwyczaj dla pieniędzy. Kiedy zostanie złapany, nieuchronnie uznaje się go za zdrajcę.

7

Któregoś dnia, w czasie ćwiczeń z umiejętności nawiązywania kontaktów z ważnymi osobistościami, Sylvii kazano wymyślić jakąś adekwatną do tego zadania legendę. Jej przykrywka nie mogła jednak mieć nic wspólnego z Afryką Południową. Sylvia przez kilka dni pracowała nad tym zadaniem, aż wreszcie oznajmiła, że chce udawać dziennikarkę „Daily Mirror", żeby móc porozmawiać z izraelskimi VIP-ami. Abraham wręczył jej paszport i postanowił sprawdzić wiarygodność jej legendy, zadając kilka pytań, które najprawdopodobniej postawiłby także jej potencjalny rozmówca.

– W której części Londynu mieszkasz?

– W Swiss Cottage. Greencroft Street 25.

Znalazła ten adres w dziale z ogłoszeniami o wynajmie w brytyjskiej gazecie i teraz bardzo się cieszyła, że ma pod ręką gotową odpowiedź.

– A jakie ostatnie zlecenie wykonywałaś dla „Daily Mirror"?

– Przeprowadzałam wywiad z pisarzem Johnem le Carré.

Również na to pytanie się przygotowała.

– Załóżmy, że twój rozmówca pyta cię, jak nazywa się redaktor naczelny gazety. Co odpowiesz? – Abraham pytał dalej.

Tego pytania się nie spodziewała.

– Nie pomyślałam o tym – wyszeptała.

– W takim razie dajmy na to, że ktoś zapyta cię o numer do redakcji.

Sylvia czuła, że traci grunt pod nogami. Abraham pokręcił głową.

– Fatalnie, bardzo niedobrze.

Sylvia wpadła w popłoch, bo wyszła na zwykłą dyletantkę, która nie jest w stanie stworzyć idealnej legendy i wcielić jej w czyn. Ćwiczenia i lekcje były trudniejsze, niż się spodziewała i choć sumiennie wypełniała wszystkie zadania, bała się, że ostatecznie nie zostanie agentką. Zatrudniano przecież tylko tych, którzy zdali wszystkie praktyczne egzaminy. Wolała nie myśleć, co się stanie, jeśli otrzyma złe świadectwo.

Abraham polecił jej, by przeprowadziła wywiad z Babą Idelsohn, sekretarzem Rady Pracownic. Sylvia zadzwoniła do jej biura, przedstawiła

się jako korespondentka „Daily Mirror” i umówiła się na spotkanie. Wyglądała przyjaźnie i budziła zaufanie, zapewne dlatego nikt nie poprosił jej o pokazanie legitymacji prasowej.

Po wszystkich błędach, jakie popełniła w czasie próby generalnej z Abrahamem, Sylvia pieczołowicie przygotowała się do wywiadu. Zebrała więcej informacji na temat gazety, która rzekomo zleciła jej przeprowadzenie wywiadu, przeczytała wiele materiałów na temat ubóstwa i biedy wśród dorosłych i dzieci, zapoznała się zadaniami Rady Pracownic i przeczytała życiorys Baby Idelsohn, byłej członkini Knesetu i związków zawodowych, która odniosła wiele sukcesów zawodowych. Rozmówczyni chętnie odpowiadała na pytania Sylvii i chwaliła jej znakomite przygotowanie do rozmowy.

Po wywiadzie Sylvia wróciła do Tel Awiwu do Abrahama.

– I jak ci poszło? – zapytał.

– Doskonale – odparła radośnie.

Czuła, że ten egzamin zdała na piątkę.

8

Noc 1 stycznia 1965 roku była bardzo zimna, deszczowa i mglista. W takie noce najczęściej przeprowadza się tajne akcje, bo wtedy straż wojskowa często traci czujność. Na tę noc zaplanowano akcję terrorystyczną, która miała odbić się echem na całym świecie.

Późną nocą, pod osłoną deszczu, trzej członkowie Al-Fatah przekroczyli Jordan w dolinie Bet Sze'an. Byli ubrani na czarno i cali się trzęśli z zimna. Do ich ciał przywiązane były wodoszczelnie opakowane ładunki wybuchowe.

Poruszali się naprzód, czołgając się po izraelskim terenie. Nagle zamarli, gdy tuż obok nich przejechał rutynowy patrol armii izraelskiej. Gdy niebezpieczeństwo minęło, podnieśli się i szybkim krokiem pomaszerowali do wodociągów w północno-zachodniej części Jeziora Tyberiadzkiego. Wodociągi, które kosztowały setki milionów dolarów i zostały otworzone zaledwie rok wcześniej, dostarczały ubogim w wodę regionom Izraela znaczą część wody ze strumienia Banias w Syrii i rzeki Hasbani w Libanie, która wpadała do Jeziora Tyberiadzkiego.

Atak na wodociągi został zaplanowany przez Jasira Arafata. Miała to być pierwsza akcja Al-Fatah. Arafat przebywał w Jordanii, czekając w napięciu na sukces przedsięwzięcia. Miał nadzieję, że dzięki temu jego organizacja zdobędzie poważanie w krajach arabskich i wpłynie na opinię publiczną na całym świecie, co przysłuży się jego sprawie.

Deszcz padał nieubłaganie na trzech terrorystów, którzy idąc na przełaj, brnęli w błocie. Zgodnie z planem mieli dotrzeć do głównej pompowni wodociągów, tam przejść przez ogrodzenie, zainstalować ładunki wybuchowe w hali maszyn i zaprogramować zapalniki czasowe tak, by eksplozja nastąpiła trzy godziny później. Potem mieli wrócić po własnych śladach, przekroczyć rzekę w tym samym miejscu i wrócić do bazy.

Akcja rozpoczęła się bez najmniejszych problemów, ale trzej terroryści nie dotarli do wodociągów. Patrol graniczny odkrył ich ślady i otoczył ich.

Zostali zmuszeni do poddania się, ale próbowali uciekać. Dwóch zginęło na miejscu od kul, trzeciemu udało się zbiec.

Jednym z zabitych był dwudziestotrzyletni Abed, krewny Alego Salameha. W czasie pogrzebu Abeda w Ammanie zjawił się sam Jasir Arafat, który złożył rodzicom wyrazy współczucia i pochwalił bohaterstwo ich syna. Tam spotkał też Alego, jego siostrę i matkę. Arafat z dumą oznajmił, że akcja terrorystyczna, w której Abed brał udział, choć poniosła klęskę, rozsławiła Al-Fatah na całym świecie. Przysiągł, że zamierza tak długo nękać Żydów atakami terrorystycznymi, póki nie skapitulują i nie oddadzą ziemi Palestyńczykom.

– To, co zabrano nam przemocą, odbierzemy przemocą – wygłosił swoje motto i wziął Alego w ramiona. – Teraz potrzebujemy cię bardziej niż kiedykolwiek – powiedział. – Przyłącz się do nas.

Tym razem Ali nie mógł odmówić. Abed był nie tylko jego krewnym, ale również dobrym przyjacielem z okresu ich wspólnych studiów na uniwersytecie Bir Zeit w Ramallah. Zgromadzeni żałobnicy apelowali do jego sumienia.

– Abed chciałby, żebyś poszedł w jego ślady – przekonywali go.

Ali nie miał sprecyzowanych planów na przyszłość. Właściwie żaden zawód nie budził jego zainteresowania. Chciał tylko smakować życie, bo to sprawiało mu przyjemność. Ale rodzina, krewni ofiar i sam Arafat coraz częściej namawiali go, by przejął spuściznę po ojcu. Nie pozostawili mu wyboru. Poza tym wydawało mu się, że działając w Al-Fatah, będzie mógł od czasu do czasu zabawić się jak za dawnych czasów. Koniec końców uznał, że jest w stanie ponieść ofiarę, której od niego wymagano.

Matka Alego zwróciła się do syna.

– Nadszedł moment na decyzję – powiedziała poruszona. – Nie zapominaj, że jesteś synem Hassana Salameha. Wiele osób oczekuje od ciebie, że pójdziesz w jego ślady. Nie zawiedź ich.

Ali zwiesił głowę.

– Przyłączę się do was – obiecał Jasirowi Arafatowi.

Arafat spojrzał na niego życzliwie.

– Od bardzo dawna czekałem, by to usłyszeć – powiedział i przycisnął go do serca.

9

Raz w tygodniu szkoleniowcy z akademii agentów zwoływali zebranie, żeby omówić przebieg ćwiczeń i postępy kandydatów. Biuro akademii znajdowało się w mieszkaniu na trzecim piętrze starego budynku bez windy na rogu ulic Allenby’ego i Maze w centrum Tel Awiwu. Mieszkanie składało się z trzech wysokich pokojów. Okna wychodziły na ulicę, a duże okiennice były zamknięte, żeby z sąsiednich domów nikt nie mógł podglądać, co się dzieje w środku.

Dwa z trzech pokoi wynajmowała Jednostka 188. Całe wyposażenie składało się z kilku mebli i paru metalowych szafek na akta. Na ścianie wisiały dwie oprawione w ramki reprodukcje izraelskich krajobrazów autorstwa Reuvena Rubina. Spartańskie wyposażenie odpowiadało atmosferze panującej zazwyczaj w jednostce do zadań specjalnych. Oficerowie sztabowi i agenci nie opływali w luksusy, mieli najzwyklejsze biura, niewielki budżet i skromne pensje.

Mieszkanie należało do państwa Warzmannów, pary emerytów, których synowie zajmowali najwyższe pozycje w służbach bezpieczeństwa. Małżeństwo mieszkało w trzecim pokoju i często zapraszało pracowników biura na herbatę, witając ich promiennym uśmiechem. Dużo czasu Warzmannowie spędzali w domu, jakby nie wiedzieli, co się dzieje w obu wynajmowanych pokojach. Jedyne zdanie, które ośmielał się wypowiedzieć pan domu, brzmiało:

– Nie martwcie się, pilnuję waszego biura.

W czasie zebrań szkoleniowcy z akademii omawiali nowe metody walki i sposoby ich dopasowania do specjalnych potrzeb ich jednostki. Na porządku dziennym było też wprowadzanie nowych ćwiczeń i modyfikacja starych, omawianie planu szkolenia i ocenianie postępów kandydatów. W czasie zebrań Sylvia otrzymywała najwyższe oceny za pewność siebie, zdecydowanie i determinację.

Idealny agent Mossadu powinien łączyć w sobie przeciwstawne cechy: odwagę i roztropność, żądzę przygód i umiejętność zapanowania nad sobą, śmiałość i opanowanie, samodzielność i posłuszeństwo, fantazję i wyczucie rzeczywistości, prostolinijność i spryt, dynamizm i agresywność, talent przywódczy i elastyczność. Akademia agentów miała za zadanie rozpoznać w kandydatach te cechy i rozwijać je.

Szkolenie Sylvii postępowało krok po kroku, a ćwiczenia robiły się coraz trudniejsze i coraz bardziej wymagające. Wkrótce nadszedł czas, żeby sprawdzić jej reakcje również w warunkach praktycznego wykonywania misji, na terenie arabskim. Szkoleniowcy wiedzieli, że każdy kandydat ma swoje słabe punkty, które należy odkryć, zanim zagrożą one powodzeniu jakiejś ważnej operacji we wrogim kraju. W czasie badań psychologicznych Sylvię uznano za osobę śmiałą i odważną, ale ani ona, ani jej szkoleniowcy nie wiedzieli, jak zareaguje w sytuacji kryzysowej. Wymyślili dla niej szczególnie wymagające zadanie.

Najpierw państwowy urząd katastralny wydrukował w jednym egzemplarzu fałszywą mapę, na której granicę z Jordanią przesunięto nieco na zachód na tereny izraelskie, a wszystkie żydowskie miejscowości na tym obszarze wymazano. Duża arabska wioska, która należała do Izraela, teraz wydawała się leżeć na terytorium jordańskim.

Mapę pokazano Sylvii.

– Twoje zadanie polega na tym, żeby dostać się do tej wsi i zebrać dokładne informacje na temat położenia studni, prowadzących do niej ulic i okolicznych domów – powiedziano jej.

Sylvia rzuciła okiem na mapę.

– To Jordania?

– Tak.

– To nie będzie łatwe – powiedziała.

– Chcesz zrezygnować?

– Nie to miałam na myśli – odparła. – Najchętniej już bym wyruszyła. Nareszcie stanęło przede mną prawdziwe wyzwanie.

Sylvia wnikliwie przestudiowała mapę, zapamiętała całą trasę, a szczególnie drogę, która prowadziła bezpośrednio do wioski. Prócz tego powtórzyła swoją legendę. Miała być turystką z Afryki Południowej, która chciała dotrzeć do twierdzy Antipatris niedaleko granicy i zgubiła drogę.

Abraham zawiózł ją do ruin twierdzy, żeby dobrze poznała okolicę i w razie potrzeby mogła uwiarygodnić swoją legendę.

– Co zrobisz, jak zażądają od ciebie paszportu?

– Powiem, że zostawiłam go w hotelu.

Wiedziała, że jeśli Jordańczycy ją schwytają i uznają jej przykrywkę za kłamstwo, wtedy oskarżą ją o szpiegostwo i zastrzelą na miejscu, jej zwłoki zakopią w piasku, a wtedy nikt nie dowie się o jej losie. Wszystko zależało tylko od tego, jak przekonująco wypadnie i jak sprytnie zdoła przekonać swoich wrogów, że nie jest izraelskim szpiegiem.

Kilka dni później ciemną jesienną nocą samochód jej jednostki podwiózł ją pod rozpadający się grobowiec szejka. Przypomniała sobie jego lokalizację na mapie.

– Przed tobą granica – usłyszała Sylvia. – Powodzenia.

Sylvia miała sama dotrzeć do wioski, zatrzymać się przy studni i wrócić z dokładnym opisem okolicy. Nie dostała broni.

– Nie wolno ci z nikim nawiązać kontaktu – surowo zakazał jej towarzysz. – O ile to możliwe, trzymaj się z dala od ludzi.

Księżyc skrył się za gęstymi chmurami, kiedy Sylvia ruszyła drogą do arabskiej wioski. Otaczała ją ciemność, zimne podmuchy wiatru rozwiewały jej włosy i dopadł ją irracjonalny strach. Wierzyła święcie, że znajduje się w Jordanii, i cały czas liczyła się z niebezpieczeństwem pojmania przez jordańskich żołnierzy albo rozgniewanych mieszkańców wioski.

Z domów ogrzewanych krowim łajnem dochodził stęchły swąd. Psy szczekały dziko, kiedy Sylvia zbliżała się do wioski. Dochodziła północ. Sylvia dostrzegła ciemne bryły domów. Oderwała gałąź z drzewa i odpędziła nią dwa psy, które szczerzyły kły i groźnie warczały.

Sylvia znalazła studnię i w szczegółach zapamiętała jej położenie. Ktoś wyszedł z jednego z domów i zniknął w sąsiednim. Jakiś samochód zatrzymał się przed jednopiętrowym domem z kamienia. Sylvia skryła się w cieniu pobliskiego budynku, a kiedy na ulicy zrobiło się pusto, wróciła do punktu wyjścia. Szybkim krokiem szła polną drogą. Jeszcze nie minęło niebezpieczeństwo, wciąż ktoś mógł ją zobaczyć. Znała tę drogę. Trochę dalej zobaczyła grobowiec szejka. Odetchnęła na widok samochodu, w którym czekał na nią jej towarzysz.

– Zadanie wykonane? – zapytał.

Nie zdradził jej, że w rzeczywistości wcale nie przekroczyła granicy.

– Tak.

Obiecała mu, że za kilka godzin dostarczy wyczerpujący raport z wszystkimi informacjami.

– Doskonale – powiedział mężczyzna, który rzadko chwalił uczniów. – Mam jedno pytanie: bałaś się?

– Trochę.

10

Kiedy pewnego deszczowego dnia w październiku 1965 roku Ali Salameh wysiadł ze swojego sportowego samochodu przed główną kwaterą Al-Fatah w Ammanie, usłyszał w budynku nieoczekiwany tumult. Po schodach w górę i w dół biegali uzbrojeni mężczyźni, krążyli między biurami i rozmawiali ze wzburzeniem. Z gabinetu Jasira Arafata dochodziły krzyki. Wychodzący z pokoju wyglądali na wyczerpanych i zrozpaczonych. Ali próbował się dowiedzieć, co się stało.

– Wielkie nieszczęście – powiedział mu człowiek z naładowanym kałasznikowem. – Bardzo wielkie nieszczęście.

Ali czekał cierpliwie przed biurem przywódcy zwanego *rais*. To był pierwszy dzień Alego w Al-Fatah. Miał porozmawiać z Arafatem na temat przyszłości organizacji, ale szef musiał przesunąć umówiony termin spotkania o dwie godziny.

Kiedy Ali wszedł wreszcie do jego biura, zastał przywódcę Al-Fatah w grobowym nastroju. Uścisk jego dłoni był słaby, a w jego oczach czaił się ból.

– Wybacz mi – powiedział. – Miałem ciężki dzień.

Ali przyjrzał mu się uważnie i zapytał, co się stało.

– To nasza największa porażka od chwili założenia Al-Fatah – powiedział *rais*. Zasmucony Arafat opowiedział Alemu, że po udaremnionym zamachu bombowym na izraelskie wodociągi jego ugrupowanie wielokrotnie ostrzeliwało cywilów na terenie Izraela. – Ale to nie zrobiło większego wrażenia ani na Arabach, ani na Izraelczykach. Wiedzieliśmy, że musimy przeprowadzić większą akcję, która odbije się w świecie głośnym echem. Dlatego postanowiliśmy zastawić pułapkę na drodze prowadzącej z Tyberiady do Bet Sze’an i ostrzelać autobus z broni maszynowej. Byliśmy pewni, że operacja się powiedzie. Ale na miejscu planowanej pułapki już czekali na nas izraelscy żołnierze. Zabili wszystkich naszych ludzi. Najpierw wydawało nam się, że to tylko wypadek przy pracy. Przeszliśmy nad tym do porządku i od wielu miesięcy planowaliśmy

wielką akcję, przygotowywaną w najściślejszej tajemnicy. Zwerbowaliśmy do tego najlepszych ludzi. Mieli wedrzeć się do kibucu Aszdot Jaakov i zabić tylu mieszkańców, ilu tylko się da. Wydawało mi się, że nic nie może nas zaskoczyć. A jednak kiedy oddział z ogromną ilością broni, amunicji i materiałów wybuchowych przekroczył Jordan, został zdziesiątkowany przez czekające tam na nas wojsko izraelskie. Już pierwsza salwa zabiła większość naszych ludzi, a pozostałych złapano i zaprowadzono na przesłuchanie. Czy tak ogromne niepowodzenie może być dziełem przypadku?

– Chcesz powiedzieć, że w naszych szeregach skrywa się zdrajca, który przekazuje nasze plany operacyjne do Izraela? – Ali odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie jestem pewien... – Arafat zawiesił głos. – Tylko członkowie mojego sztabu operacyjnego znali dokładny plan akcji. Znam ich wszystkich bardzo dobrze. To ludzie godni zaufania. Nie wierzę, że któryś z nich pracuje dla Izraela.

– Powinieneś jak najszybciej sprawdzić, czy przeczucia cię nie mylą – powiedział Ali.

Słudzy Arafata przynieśli filiżanki z gorzką mokką. Obaj mężczyźni wypili ją jednym haustem i popili zimną wodą.

– Zastanowię się nad tym – powiedział Arafat. – Znasz Salaha Khalafa, zwanego też Abu Iyadem?

– Słyszałem o nim – odparł Ali.

Abu Iyad pochodził z Lod i od wielu lat przyjaźnił się z Jasirem Arafatem. Należał do grupy założycieli Al-Fatah i dowodził tajnymi służbami. Arafat wprowadził go do biura.

Abu Iyad, korpulentny mężczyzna z brzuszkiem, czarnymi wąsami i przenikliwym spojrzeniem, wszedł do pokoju. Arafat przedstawił mu Alego.

– Imię twojego ojca otacza legenda – powiedział Abu Iyad do Alego. – Był *batal*, bohaterem, urodzonym przywódcą. Życzę ci, żebyś godnie go zastąpił.

Nie marnowali jednak czasu na kurtuazyjne konwersacje. Arafat poprosił Abu Iyada, żeby włączył do akcji oddział specjalny, który wykryje agentów pracujących dla Izraela.

– W tej chwili to nasz najpoważniejszy problem – wyjaśnił.

Zaproponował, żeby Ali przejął dowodzenie nad nowym oddziałem, a Abu Iyad się zgodził.

Ten pomysł spodobał się Alemu Salamehowi. Dostał niekonwencjonalne zadanie, które wymagało trzeźwości umysłu, analitycznego myślenia i czujności. Ali nie miał wprawdzie żadnego doświadczenia, ale zgodnie z oczekiwaniami otaczających go ludzi był mądry, ambitny, sprytny i przenikliwy.

– Dziękuję – powiedział do Abu Ammara i Abu Iyada. – Zrobię, co w mojej mocy, a Allah wesprze mnie na tej drodze.

11

W przeciwieństwie do Ammanu w Bejrucie kwitło nocne życie. W porównaniu z kipiącą życiem stolicą Libanu, pełną klubów, restauracji i kobiet lekkich obyczajów, stolica Jordanii wydawała się prowincjonalnym miasteczkiem, którego mieszkańcy kładli się spać z kurami. Sklepy zamykano po zmroku, a we wszystkich domach gasło światło, zanim jeszcze w Bejrucie zaczynały się pierwsze przyjęcia.

Jednak to właśnie do Ammanu musiał się przenieść Ali Salameh z żoną i małym synkiem, żeby wykonać swoje pierwsze zadanie. Niechętnie zrezygnował z wszystkich rozrywek, które miał do zaoferowania Bejrut. W stolicy Jordanii nie czuł się dobrze, bo nie znalazł tam choćby jednej restauracji godnej sprostać jego wymaganiom ani nawet warsztatu samochodowego, w którym fachowo naprawiono by jego mustanga. Brakowało mu klubów nocnych z prawdziwego zdarzenia, a jordańskie kobiety wydawały mu się nazbyt konserwatywne. Kiedy zaś żona oświadczyła, że podoba jej się życie w Ammanie, wbił w nią gniewny wzrok. Wolała to miasto, bo wierzyła, że tutaj mąż będzie miał mniej okazji do zdrady.

Amman miał jedną wielką zaletę. Tu Ali znalazł ciekawe zajęcie i mógł szybko awansować. Z entuzjazmem podszedł do swojego zadania, polegającego na wyśledzeniu agentów izraelskich w szeregach Al-Fatah. Wszyscy w jego otoczeniu życzyli mu sukcesu, a Arafat i Abu Iyad wiązali z nim wielkie nadzieje. To było wspaniałe, nowe uczucie.

Ekscytowało go również to, że od teraz musiał pracować ze zdwojoną ostrożnością i w najgłębszej tajemnicy. Sztab służb wywiadowczych Al-Fatah ze względów bezpieczeństwa często zmieniał swoją siedzibę. Kiedy Ali do niego przybył, sztab mieścił się w dobrze utrzymanym budynku w obozie dla uchodźców niedaleko Ammanu. Pracowało tam około dziesięciu członków Al-Fatah, którzy przede wszystkim gromadzili informacje na temat potencjalnych celów w Izraelu. Wcześniej nie zajmowali się wykrywaniem izraelskich agentów.

Ali dostał do dyspozycji biuro i rozpoczął pracę. Wiedział, że podjął się bardzo trudnego zadania, ale od początku wierzył w swój sukces. Nikomu nie ufał i najchętniej pracował sam. W ciągu kilku dni sporządził pełną listę ludzi, którzy zazwyczaj brali udział w decydujących naradach sztabu, i prześledził drogę, jaką przemierzają plany operacyjne z kwatery głównej do wykonawców. Najpierw polecił, by Arafat i jego szef wywiadu Abu Iyad utrzymywali w ścisłej tajemnicy planowane miejsce każdego zamachu. Mieli informować o nim oddziały bezpośrednio przed wykonaniem zadania. Jego propozycję przyjęto, ale na niewiele się to zdało. Armia izraelska udaremniała prawie każdą operację Al-Fatah i likwidowała albo zatrzymywała oddział wyznaczony do akcji, zanim jeszcze doszło do planowanego ataku. Strach zapanował w obozie szkoleniowym Al-Fatah. Żołnierzom wydawało się, że są wysyłani na pewną śmierć.

Z każdym udaremnionym przez Izrael atakiem Arafat i Abu Iyad coraz bardziej tracili odwagę. W obawie, że zbyt częste porażki przysporzą ich organizacji złej sławy, naciskali Alego, żeby przyspieszył swoje dochodzenie. W czasie posiedzenia kryzysowego Ali powiedział krótko i zwięźle:

– Założę się, że jakiś agent wkradł się do naszego sztabu operacyjnego.

Arafat aż się trząsł z gniewu.

– To niemożliwe – zawołał. – Mam bezgraniczne zaufanie do wszystkich w naszych szeregach. Nikt nie ośmieliłby się nas zdradzić.

– Obyś miał rację – odparł Ali i zapytał, czy mógłby inwigilować osoby zaangażowane w prowadzenie akcji.

Wściekły Arafat udzielił mu pozwolenia.

– Pod jednym warunkiem – podkreślił. – Nikt nie może się dowiedzieć, że go śledzimy.

Część IV

Aresztowanie
i przesłuchanie

1

Georgina Rizk była piękną młodą kobietą o okrągłej twarzy i kasztanowych włosach, córką libańskiego chrześcijanina i magnata finansowego. Jej ojciec, przystojny mężczyzna o ciemnej karnacji, ubierał się niezmiernie elegancko. Pochodząca z Węgier matka Georginy miała jasną cerę i blond włosy. Willa należąca do rodziny – trzy wytwornie urządzone piętra z armią służących – mieściła się w zamożnej chrześcijańskiej dzielnicy Bejrutu, Al-Aszrafijji. Z oddali dobiegał szum fal Morza Śródziemnego, którego fale uderzały o złoty brzeg, zostawiając na piasku pasmo piany.

Georgina z siostrą Feliciną chodziły do jednej z najlepszych i najdroższych szkół prywatnych w Libanie. Szofer zawoził je do szkoły elegancką limuzyną i przyjeżdżał po nie po lekcjach. Ubrania kupowały w Paryżu, a fryzjer przychodził do nich do domu.

Georgina dorastała jak księżniczka. Rodzice otoczyli ją miłością i spełniali każde jej życzenie. Nauczyciele ją chwalili, synowie z zaprzyjaźnionych rodzin starali się o jej względy, a pokojówka opiekowała się nią dzień i noc. Słała łóżko Georginy, przynosiła jej jedzenie i spełniała każdą zachciankę swojej pani.

Ali Salameh miał dwadzieścia siedem lat, kiedy stawiał pierwsze kroki w Al-Fatah. Georgina skończyła właśnie czternaście lat. Jak wiele osób w Bejrucie, Ali również słyszał o Rizkach, a w czasie swoich wizyt w tym mieście nieraz przechodził obok otoczonej murem willi. Nigdy by się nie spodziewał, że przestąpi próg tego domu, bo ojciec Georginy nie miał w zwyczaju gościć u siebie terrorystów. Przekazywał wprawdzie znaczne sumy palestyńskim instytucjom charytatywnym, działającym w obozie dla uchodźców w Libanie, ale nie opowiadał się po żadnej ze stron konfliktu. Nic nie wskazywało na to, że Ali Salameh kiedykolwiek pozna Georginę Rizk, ale los chciał, że spotkali się wiele lat później.

Kiedy Georgina miała szesnaście lat, jej ojciec dał wywiad do bejruckiej gazety „Al Hakat”. Fotoreporter zrobił zdjęcie domu i Georginy. Jej pierwsze fotografie prasowe wywołały duże zainteresowanie. Kilka dni

później zadzwonili do niej organizatorzy dorocznego konkursu piękności i zaproponowali, żeby ubiegała się o tytuł Miss Libanu.

Georgina ucieszyła się z szansy na tytuł, o którym marzyło tyle młodych dziewczyn w Libanie, i poprosiła ojca o pozwolenie na udział w wyborach. Ale on się rozgniewał.

– Przyniesiesz nam hańbę, gdy wystąpisz przed ludźmi, którzy będą cię rozbierali wzrokiem – mówił oburzony.

W konkursach piękności nie brały udziału dziewczyny z dobrych domów. Pan Rizk przekonywał córkę, że gdyby wystartowała w wyborach miss, naruszyłaby dobre imię rodu, a może nawet zaszkodziła jego interesom. Ale matka była innego zdania i gorąco broniła prawa córki do udziału w imprezie. Nie widziała w tym niczego zdrożnego i powtarzała, że wiele młodych dziewczyn z dobrych arabskich rodzin brało udział w konkursach piękności. Zmobilizowała też krewnych i przyjaciół, żeby nakłonili jej męża do zmiany zdania.

Domem wstrząsnęły burzliwe dyskusje. Matka i córka dopięły swego.

Konkurs odbywał się w wypełnionej do ostatniego miejsca sali w centrum Bejrutu. Spośród dwudziestu jeden uczestniczek jury jednogłośnie przyznano palmę pierwszeństwa Georginie. Zeszłoroczna miss Libanu założyła jej na głowę złotą koronę, a fotoreporterzy i operatorzy kamer tłumnie ją oblegali.

Twarz Georginy ozdobiła okładki wszystkich libańskich tygodników. W witrynach wielu sklepów na Rue Hamra, głównej ulicy w Bejrucie, wisiało jej zdjęcie. Gazety i producenci telewizyjni walczyli o wywiad z nią. A jej ojciec wyłączył telefon, bo nie mógł już znieść bezustannego dzwonienia.

Początkowo sława cieszyła Georginę, ale wkrótce zamieszanie wokół jej osoby zaczęło ją nużyć. Młoda dziewczyna nie sądziła, że stanie się tak popularna i będzie dostawać tyle wulgarnych listów od muzułmańskich współobywateli, którzy potępiali jej udział w konkursie. Przez kilka tygodni nie wychodziła z domu w nadziei, że gazety znajdą sobie jakiś inny temat. Kiedy medialny szum wreszcie ucichł, dostała pocztą oficjalne zaproszenie do udziału w wyborach Miss Universe w Stanach Zjednoczonych.

Nie chciała jednak doprowadzać ojca do jeszcze większej rozpaczy i odrzuciła propozycję.

2

Lekki wiosenny wiatr muskał spokojne wody Jarkonu, a powietrze pachniało wodorostami. Słońce zniżało się za horyzont, a miękkie wieczorne światło otulało kajaki, które ścigały się na rzece, a także młodą dziewczynę idącą brzegiem. Była wysoka, ciemnowłosa i miała zielone oczy. W jednej ręce niosła wędkę, a w drugiej torbę z płótna żaglowego. Szła na północ.

Po chwili usiadła na brzegu rzeki, niedaleko innych wędkarzy, którzy wpatrywali się w wodę i czekali, by poruszył się spławik na końcu żyłki, a ryba połknęła przynętę. Rybacy obojętnie spoglądali na Sylvię, kiedy nabijała robaka na haczyk i zarzucała wędkę. Sylvia łowiła ryby po raz pierwszy i ostatni w życiu i robiła to tylko z konieczności. Wędkowanie służyło jej jako przykrywka. Udawała tylko, żeby móc cały czas obserwować wylot betonowego tunelu, który częściowo wystawał nad wodę, w połowie zakryty przez gałęzie wierzby rosnącej na brzegu rzeki. Kiedy pozostali rybacy koncentrowali się na swoich wędkach, ona rzucała okiem w kierunku tunelu i zastanawiała się, jak najlepiej się do niego dostać.

Spomiędzy drzew nad rzeką obserwował ją Abraham z drugim szkoleniowcem z akademii agentów. Nie spuszczali jej z oczu od chwili, gdy wyszła nad nadrzeczną skarpę i zabrała się do wędkowania.

Słońce schodziło coraz niżej, zapadał zmrok. Wędkarze jeden po drugim pakowali swój sprzęt, zbierali rzeczy i odchodzili. Młoda kobieta została tak długo, aż rzeka pogrążyła się w ciemności.

Obaj obserwatorzy wytężali wzrok. Widzieli, jak wędkarze przerywają łowienie i wracają do domów. Nie zauważyli wśród nich Sylvii, więc wiedzieli, że zaczęła wykonywać zadanie stanowiące część szkolenia na zaawansowanym poziomie. Ten egzamin miał sprawdzić jej zdolność pokonywania cielesnych i mentalnych ograniczeń.

Robiło się coraz ciemniej. Sylvia zmieniła ubranie na wygodny sportowy strój, zapakowała wędkę i inne rzeczy do płóciennej torby i

schowała je w krzakach. Z nadbrzeżnej skarpy zsunęła się do wody i zbliżała się do tunelu, który tak bacznie obserwowała w czasie wędkowania. Podczas rekonesansu zauważyła, że wejście do tunelu zamknięte jest zardzewiałą żelazną kratą.

Rozkaz wykonania akcji otrzymała kilka dni wcześniej i od razu się zorientowała, że nie będzie łatwo. Przede wszystkim potrzebowała dobrej przykrywki, która usprawiedliwiałaby jej obecność w tym miejscu. Dlatego udawała zapaloną wędkarkę na brzegu Jarkonu, i to z sukcesem, bo nie zwróciła na siebie uwagi prawdziwych wędkarzy. O wiele więcej problemów sprawiał jej betonowy tunel, którym pompowano wodę do układu chłodzącego wielkich turbin w elektrociepłowni Reading 4 w Jarkonie i dalej odprowadzano ją do morza. Szkoleniowcy Sylvii ostrzegali ją, że woda może być bardzo gorąca, i radzili jej, żeby zaopatrzyła się w gumowe kalosze, które przyniosła w torbie ze sprzętem wędkarskim. Temperatura wody okazała się znacznie wyższa, niż Sylvia się spodziewała. Gorąco przenikało przez kalosze i parzyło jej nogi. Miała dwie możliwości: zawrócić albo iść przed siebie. Wybrała tę drugą opcję.

Sylvia liczyła się z tym, że czeka ją mordercza wędrówka. W tunelu było duszno i gorąco, a nieprzenikniona ciemność bynajmniej nie ułatwiała poruszania się. Sylvia opierała się o ściany tunelu, żeby się nie poślizgnąć, i miała nadzieję, że ten koszmar nie potrwa zbyt długo. Prawie nic nie widziała i brakowało jej powietrza. Kilka razy przystawała z zaciśniętymi zębami, żeby się uspokoić, powstrzymywała się, by nie krzyknąć z bólu, ale postanowiła, że się nie podda, i szła dalej.

Niosła ze sobą paczkę, którą miała zostawić przy turbinie. Nie mógł jej złapać żaden pracownik podziemnej elektrociepłowni, która była newralgicznym i doskonale strzeżonym obiektem, ale także wymarzonym celem ataku terrorystów. Gdyby Sylvię złapano, strażnicy zostaliby zaalarmowani, a ona trafiłaby za kratki. To by oznaczało porażkę, a na to Sylvia nie mogła sobie pozwolić.

Wydawało jej się, że upłynęło mnóstwo czasu, zanim usłyszała wreszcie hałas turbin. Im dalej szła, tym mocniejszy był strumień gorącej wody. Powoli docierała do wyjścia, starając się unikać wszelkich zbędnych ruchów, żeby nie zwrócić na siebie uwagi strażników. Wyjrzała z tunelu i nieopodal zobaczyła dwóch pracowników elektrociepłowni. Nie zauważyli jej.

Turbinownia była duża i jasno oświetlona. Pośrodku stały wielkie generatory prądu. Sylvia schowała się za jednym z nich, poza zasięgiem wzroku pracowników, i rękawem bluzy wytarła mokre ślady kaloszy. Jednym szybkim ruchem położyła paczkę przy maszynie. Potem spojrzała szybko na pracowników. Oni jej nie zauważyli, ale obserwował ją ktoś inny. Z jednego z zakamarków hali mężczyzna śledził każdy jej ruch, od kiedy zjawiła się u wylotu tunelu aż do podłożenia paczki. Nad przebiegiem ćwiczenia czuwał jeden z nauczycieli Sylvii.

Po chwili znowu zniknęła w tunelu. Droga na wolność była łatwiejsza do pokonania. Im dalej Sylvia się posuwała, tym bardziej temperatura spadała, a kiedy wreszcie zaczęła brodzić w letniej wodzie rzeki, odetchnęła z ulgą.

Pobliską drogą jeździły samochody, na niebie pojawił się księżyc w pełni, a na porośniętym drzewami brzegu rzeki nie było żywej duszy. Sylvia wyszła na skarpę. Miała przemoczone ubranie. Wyciągnęła z torby suche rzeczy i przebrała się, zamieniła kalosze na sportowe buty i ruszyła w kierunku rozświetlonego miasta oddalonego o kilka minut marszu.

Obaj szkoleniowcy wyszli zza drzew i zaszli Sylvii drogę.

– I jak ci poszło? – zapytał Abraham.

Była głodna i spragniona.

– Najpierw muszę coś zjeść – powiedziała.

Podszedł do nich szkoleniowiec, który z ukrycia obserwował Sylvię w elektrociepłowni.

– Wykonałaś kawał dobrej roboty – pochwalił ją i przyznał się, że przez cały czas ją śledził.

Podeszli razem do stoiska z falafelami. Sylvia jadła z apetytem.

– To wcale nie było takie trudne – powiedziała z pełnymi ustami.

– Teraz zabieraj się do pisania raportu z akcji – polecił jej Abraham. – Jutro zaczniemy zajęcia później, żebyś miała trochę czasu na odpoczynek.

3

Ali Salameh nie musiał w ramach ćwiczebnych akcji zakradać się do elektrociepłowni czy innego pilnie strzeżonego budynku, żeby udowodnić, że jest godny przyjęcia w szeregi Al-Fatah. Sława jego ojca, legendarnego przywódcy Hassana Salameha, zapewniła mu członkostwo w ugrupowaniu i otaczała Alego, odkąd podjął pracę w służbach wywiadowczych. Przywódcy Al-Fatah przyjęli go do swojego grona jak ukochanego członka rodziny, strażnicy przy wejściu do biur salutowali mu z szacunkiem, a jemu wydawało się, że nic nie przeszkodzi mu wspiąć się na sam szczyt organizacji.

Serdeczne przyjęcie dodało mu pewności siebie, wiedział, że nie może zawieść pokładanych w nim nadziei. Musiał dowieść swojej wartości i wypełnić zadanie. Przyszedł czas na pierwszy trudny egzamin, który wymagał ogromnej delikatności i mógł łatwo zakończyć się porażką. Z zebranych przez Alego informacji na temat sztabu operacyjnego wynikało, że oprócz niego i Abu Iyada do tego gremium należało jeszcze sześciu zasłużonych dowódców Al-Fatah, członków organizacji od chwili jej założenia. Często spotykali się z Arafatem i Abu Iyadem, wykazywali ogromny zapał i cieszyli się nieskazitelną opinią. Większość z nich miała rodziny. Na pierwszy rzut oka nie budzili żadnych podejrzeń, a jednak Ali wiedział, że to któryś z nich przekazywał Izraelczykom plany zamachów, które potem udaremniono.

Ali przestudiował uważnie akta osobowe wszystkich członków sztabu, zawierające informacje na ich temat od dnia przyjęcia w szeregi ugrupowania. Niektórzy towarzyszyli Arafatowi od dnia utworzenia Al-Fatah, wszyscy prowadzili akcje przeciwko Izraelczykom. Dopiero gruntowne i sprawnie przeprowadzone śledztwo mogło wykryć, kto współpracował z wrogiem, dlatego Ali nie miał wątpliwości, że potrzebuje wsparcia. Arafat i Abu Iyad nie mogli mu pomóc. Pokładali w swoich ludziach niezachwiane zaufanie i nie wierzyli, że którykolwiek z nich mógłby zdradzić organizację.

Ali wpadł na genialny pomysł, który na pierwszy rzut oka mógł wydawać się trudny w realizacji. Ale po długim namyśle uznał, że to najlepsze rozwiązanie. Poprosił Arafata o specjalne pozwolenie na wyjazd do Niemiec Wschodnich, żeby tam spotkać się z szefem Stasi Erichem Mielkem i poprosić go o pomoc w poszukiwaniu „kreta” w sztabie Al-Fatah. Ministerstwo Bezpieczeństwa Narodowego NRD było doskonale zorganizowane i działało pod nadzorem i przy współpracy władz ZSRR. Stasi była wszechpotężna nie tylko w komunistycznych Niemczech Wschodnich, wyciągała też macki do innych krajów, między innymi na Bliski Wschód. Dowódcy Stasi często wspierali Arafata. Niektórzy spotykali się z nim wielokrotnie i dostarczali mu informacje i broń. Ali miał nadzieję, że i tym razem może liczyć na ich pomoc.

Arafat z niechęcią przystał na jego podróż. Nie spodziewał się po niej zbyt wiele, ale nie chciał rzucać Alemu kłód pod nogi i zniechęcać go, gdy stawiał pierwsze kroki w Al-Fatah.

Ali przygotował swoją podróż w najgłębszej tajemnicy. Wiedzieli o niej tylko Arafat i Abu Iyad. Ali z prawdziwym paszportem poleciał do Polski. Wtedy jeszcze był pewien, że Izraelczycy nie mają pojęcia o jego istnieniu i nie mogą mu zaszkodzić. Z Warszawy pojechał pociągiem do Berlina Wschodniego, gdzie zameldował się w hotelu Moskwa. Miasto wydało mu się szare i zaniedbane, a hotel doskonale odzwierciedlał panujące tu nastroje. W wielopiętrowym budynku zatrzymywali się przede wszystkim partyjni dygnitarze i ich goście. Podawano tam paskudne jedzenie i nie oferowano żadnych rozrywek. Na każdym piętrze strażnik pilnował kluczy do pokoi i zapisywał nazwiska wchodzących i wychodzących gości. Ali wiedział, że wszystkie pokoje były na podsłuchu. Zadzwonił tylko raz – do biura Mielkego.

Spotkali się w dużej centrali Stasi w dzielnicy Lichtenberg. Erich Mielke przywitał go serdecznie. Był pięćdziesięcioześcioletnim, łysiejącym mężczyzną średniego wzrostu, który codziennie trenował na siłowni, zdrowo się odżywiał, nie palił i nie pił. Ali nauczył się niemieckiego w czasie studiów w Berlinie i w tym języku poinformował Mielkego o celu swojej podróży. Szef Stasi słuchał w milczeniu, a potem powiedział:

– Proszę o listę podejrzanych. Obiecuję, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Mielke, który w wolnym czasie był zapalonym myśliwym, następnego dnia zaprosił swojego gościa na polowanie w położonym nieopodal lesie. Dał Alemu strzelbę myśliwską i maskujący strój moro. Powoli podchodzili zwierzynę w zagajniku. Szef Stasi ustrzelił jelonka, Ali wciąż chybiał celu.

– Nie jest pan jeszcze zawodowym myśliwym – pocieszał Mielke swojego towarzysza. – Trzeba wiele doświadczenia, żeby polować na zwierzęta i ludzi. Jeszcze się pan tego nauczy.

Na rozkaz Mielkego wschodnioniemieccy agenci w Bejrucie i Ammanie zaczęli zbierać informacje na temat sześciu członków Al-Fatah ze sztabu operacyjnego. Sprawdzali przede wszystkim kontakty tych osób z obcymi spoza Jordanii i po kilku tygodniach wpadli na trop młodej Libanki. Była kochanką jednego z podejrzanych. Tajne śledztwo wykazało, że człowiek ten, ojciec dużej rodziny, opłacał jej mieszkanie i obsypywał ją drogimi podarunkami. Informacje te przekazano Alemu, który sprawdził operacje finansowe mężczyzny i odkrył, że żył on bardzo wystawnie, choć wynagrodzenie otrzymywane od Al-Fatah wystarczało zaledwie na utrzymanie rodziny. Najwyraźniej podejrzany miał również inne źródła dochodu.

Dwóch zaufanych ludzi Alego zaczęło więc śledzić tego mężczyznę w czasie jego kolejnej podróży do Bejrutu i zaskoczyło go w mieszkaniu kochanki. Twierdził, że nie przekazuje informacji Izraelczykom, ale nie potrafił wyjaśnić, skąd pochodzą pieniądze dla jego utrzymanki.

Wynik dochodzenia rozsierdził Arafata. Jego podwładny uchodził za znakomitego eksperta i ważnego członka sztabu. Kiedy udowodniono mu zdradę, jego życie straciło dla przywódcy Al-Fatah jakąkolwiek wartość. Wysłał on oddział śmierci, który pewnej nocy zastrzelił zdrajcę, gdy ten wysiadał z samochodu przed swoim domem.

Pikanterii dodawał sprawie fakt, że Arafat przypisał ten zamach Izraelczykom.

4

– Jak pani się nazywa? – zapytał śledczy po hebrajsku.

Sylvia przyglądała się jego opalonej twarzy i czarnym włosom. Miał około czterdziestu lat, był wysoki i silny. W jego twardym spojrzeniu nie było widać ani krzty współczucia. Jego kolega palił papierosa i dmuchał jej dymem w twarz. Był niższy i trochę młodszy, a ze spodni wylewał mu się wielki brzuch.

– Nie mówię po hebrajsku – odpowiedziała.

Przeszli na angielski.

– Jak się pani nazywa? – zapytał ponownie śledczy.

Wymieniła fałszywe nazwisko, twierdząc, że zwiedzała okolicę.

– Ma pani dowód osobisty? – zapytał pierwszy urzędnik.

– Niestety nie. Zgubiłam dokumenty.

– Czy poinformowała pani o tym policję?

– Jeszcze nie zdążyłam, to się stało dopiero wczoraj.

– Gdzie pani mieszka?

– W hotelu.

– W którym?

– W Nof Hayam w Tel Awiwie.

Na wszelki wypadek wynajęła tam pokój i zostawiła w nim kilka ubrań oraz osobistych przedmiotów.

– Czy może nam pani podać adres hotelu?

– Ulica Ben Jehudy 28.

Drugi urzędnik nachylił się ku Sylvii.

– Próbuje nas pani wystawić do wiatru? – zapytał chłodno.

Miał głos ochrypły od palenia. Za jego plecami wisiało duże lustro, w którym Sylvia zobaczyła swoje odbicie, zmierzwione włosy, bladą twarz i zlęknione spojrzenie.

– Złapano panią na terenie koszar, gdzie cywile nie mają prawa wstępu. Czego pani tam szukała?

– Poszłam na spacer i się zgubiłam.

– Mamy pani uwierzyć, że ot tak spacerowała pani sobie po terenie wojskowym? Kto panią tu przysłał?

– Już mówiłam, że się zgubiłam.

– I to akurat w bazie wojskowej?

– Słyszałam, że to piękna okolica.

Kilka godzin wcześniej pod osłoną mroku Sylvia przeszła przez ogrodzenie na teren koszar. Stanowiło to dalszą część ważnego egzaminu. Zgodnie z rozkazami miała zakraść się do koszar Allenby w Jerozolimie i zdobyć szczegółowe informacje na temat prowadzących tam dróg, rozstawienia budynków i straży. Abraham przećwiczył z nią jej legendę.

Dotarcie na dziedziniec koszar okazało się trudne, ale wykonalne. Przyszła tam późnym wieczorem, gdy większość żołnierzy już spała. Padało, więc strażnicy przy bramie woleli siedzieć w swojej budce. Sylvia przemykała między budynkami, gromadząc informacje. Zobaczyła, że niedaleko od niej żołnierze na służbie patrolują teren wzdłuż ogrodzenia. Nikt jej nie zauważył.

Na całym terenie koszar panowała głucha cisza. Słychać było tylko krople deszczu uderzające o dachy budynków. Nie rozlegały się ani głosy żołnierzy, ani żadne inne hałasy. Sylvia zarejestrowała w pamięci położenie budynku sztabu i posterunków strażników, i już miała wracać, kiedy oślepił ją jasny strumień światła. W ułamku sekundy została otoczona przez czterech uzbrojonych żołnierzy.

– Czego pani tu szuka? – zapytał jeden z nich.

– Zupełnie zgubiłam drogę – powiedziała po angielsku. – Jestem tu na wakacjach. Turystka, rozumiecie panowie?

– Od teraz ma pani milczeć – zawołał jeden z nich.

Żołnierze zasłonili jej oczy, odebrali jej rzeczy i zabrali ją do aresztu na posterunku policji w Migrasz HaRussim. Tego nie przewidziała. Ale jej nauczyciele na pewno się zorientują, że nie potrafiła wypełnić do końca zadania i zaczną jej szukać. Miała nadzieję, że się pospieszą.

Wyższy śledczy nachylił się ku niej.

– Proszę mnie uważnie posłuchać, młoda damo – powiedział spokojnie, zacierając wielkie dłonie zapaśnika. – Ma pani teraz dwie możliwości. Albo powie nam pani prawdę, albo nie powie pani nic więcej. Mam nadzieję, że ma pani na tyle rozumu, żeby wybrać tę pierwszą możliwość. Jak odpowie pani na nasze pytania, przyniesiemy pani coś do jedzenia i pozwolimy iść spać. Jeśli podejmie pani inną decyzję, to pożałuje pani, że się urodziła. Musi pani wiedzieć, że do tej pory każdy, bez wyjątku, powiedział nam to, co chcieliśmy wiedzieć. Rozumie mnie pani?

Wiedziała, że nie są to czcze pogróżki. Ci ludzie potrafili złamać każdego. Wiedziała jak, bo uczono ją przecież metod śledczych. Ale wiedziała też doskonale, że ten, kto posłał ją na teren koszar, oczekiwał od niej, że nie powie ani jednego zbędnego słowa. Nawet gdyby poddawano ją okrutnym torturom.

– Przecież wszystko już panom wyjaśniłam – powiedziała.

Niższy urzędnik podszedł do niej i zamierzył się. Sylvia zamknęła oczy, ale oczekiwany cios nie nadszedł.

– Na ziemię.

Położyła się na zimnej kamiennej posadzce, a śledczy związał jej ręce.

– Jak się pani wreszcie zdecyduje śpiewać, proszę nas zawołać – powiedział głośno.

Obaj wyszli i zostawili ją leżącą na podłodze. Stali w pokoju obok za podwójnym lustrem weneckim, przez które widzieli wnętrze pokoju przesłuchań. Sylvia widziała w szybie tylko własne odbicie. Nie wiedziała, że po drugiej stronie przez cały czas obserwują ją też jej szkoleniowcy i kierownik akademii agentów.

Naga żarówka słabo oświetlała pokój przesłuchań. Sylvia nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc. W czasie aresztowania odebrano jej zegarek.

Więzy zaczęły wrzynać się jej w skórę, a niewygodne ułożenie ciała stawało się nieznośne. Gdyby chciała zaznać ulgi, wystarczyło zawołać śledczych i opowiedzieć im całą prawdę. Ale ona zagryzła wargi i milczała. Postanowiła, że żadną metodą nie złamią jej woli. Nie mogła zawieść swoich rozkazodawców.

Sylvii wydawało się, że leży związana na podłodze już od kilku godzin. Bolało ją całe ciało, a z otartej i poranionej skóry na nadgarstkach sączyła się krew. Próbowała zignorować ból i zasnąć, ale nie mogła

zmrużyć oka. Wiedziała, że niejeden twardziel poddał się w czasie przesłuchań prowadzonych takimi metodami. Nie wątpiła, że jej śledczy zrobią wszystko, byle tylko złamać jej opór. Nie chciała do tego dopuścić za żadną cenę.

Zawołała w kierunku drzwi. Wszedł wyższy urzędnik.

– Muszę do ubikacji – wyjaśniła.

– Okej – zgodził się.

Dla odmiany jego głos brzmiał łagodnie i uprzejmie.

Zdjął jej więzy i zaprowadził ją do toalety. Kiedy wyszła, powiedział:

– Widzę, że możemy kontynuować przesłuchanie.

– To raczej bezcelowe – opowiedziała spokojnie i z opanowaniem. – Od razu mówię, że nie mam nic więcej do powiedzenia.

W milczeniu poprowadził ją długim korytarzem, a potem schodami w dół, aż dotarli przed drzwi celi.

– Co kilka godzin przyjdzie ktoś, żeby zapytać, czy zmieniła pani zdanie – powiedział. – Życzę miłego pobytu.

Otworzył drzwi, wepchnął ją do wąskiej celi i przekręcił klucz. W środku unosił się drażniący zapach lizolu. W pomieszczeniu znajdowało się tylko żelazne łóżko i niewielka miednica, a w kącie stał sedes. Sylvia była zmęczona, ale nie potrafiła się uspokoić. Ostre światło elektryczne nie dawało jej zasnąć.

Czas dłużył się niemiłosiernie, aż wreszcie ktoś otworzył klapkę w drzwiach i wsunął przez otwór tacę z jedzeniem. Sylvia była głodna i spragniona, więc natychmiast zabrała się za posiłek. Jedzenie nie miało smaku i było go o wiele za mało. Z oczu płynęły jej łzy bezsilności. W myślach przywołała się do porządku. „To dopiero początek. Przede mną jeszcze niejedna ciężka próba”.

Nadal nie wiedziała, czy jest noc, czy dzień, kiedy wyprowadzono ją z celi do pokoju przesłuchań. Zauważyła zmianę w pomieszczeniu. Przeznaczone dla niej krzesło zniknęło. Musiała stać naprzeciwko śledczego.

– Miała pani dość czasu na przemyślenia – powiedział wyższy mężczyzna. – Jaką decyzję pani podjęła?

– Skąd ta pewność, że podjęłam jakąś decyzję? Już wszystko panu powiedziałam.

Śledczy zaśmiał się.

– Nie brakuje pani odwagi – powiedział. – Ale my jesteśmy silniejsi. Wyśpiewa nam pani wszystko, co chcemy wiedzieć.

Zasypał ją pytaniami. Nie odpowiedziała na żadne. Potem wyszedł z pokoju, a na jego miejscu pojawił się drugi śledczy. Od długiego stania Sylvię bolały nogi. Wiedziała, że nie pozwolą jej usiąść. Na tym polegała ich taktyka tortur.

Przyglądała mu się w milczeniu. Powinna się bać, ale wcale nie czuła strachu.

Obaj oficerowie śledczy przez cały dzień bombardowali Sylvię pytaniami, aż w końcu nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się na podłogę. Kilka godzin później obudziła się w celi. Ostre elektryczne światło świeciło jej prosto w oczy i dopiero po chwili dostrzegła, że ma towarzystwo. Przy jej łóżku siedziała kobieta w stroju więziennym. Była starsza od Sylvii, pulchna i bardzo gadatliwa.

– Aresztowali mnie, żebym im powiedziała, gdzie się ukrywa mój mąż – zaczęła swoją historię. – Ponoć przekazywał informacje Arabom, ale opuścił mnie kilka miesięcy temu i od tamtej pory go nie widziałam.

Zapytała Sylvię, dlaczego ją uwięziono.

– Spacerowałam po terenie wojskowym.

– A co tam robiłaś?

– Ach, nic, znalazłam się tam przypadkiem.

– To czemu cię tu trzymają?

– Bo nie mam nic więcej do powiedzenia.

– To powiedz im po prostu to, co chcą usłyszeć – poradziła jej towarzyszka z celi. – Jak dalej będziesz taka uparta, nigdy cię stąd nie wypuszczą.

Nagle Sylvia zaczęła się trząść, poczuła skurcz wszystkich mięśni jak po wielkim wysiłku fizycznym. Wydawało jej się, że jest u kresu sił, mdliło ją. Dopadł ją strach. Czy nadszedł moment załamania?

Siadła skulona w rogu celi. Znowu przyniesiono jedzenie, ale tym razem odsunęła od siebie tacę. Jej współtowarzyszka nie przestawała paplać, a jej głos coraz bardziej irytował Sylvię. W pewnej chwili miała ochotę krzyknąć na nią, żeby wreszcie się zamknęła, ale zebrała się w sobie. Opanowała się i poczuła przypływ nowych sił. Postanowiła, że nic jej nie złamie, ani teraz, ani w czasie następnego przesłuchania.

Drzwi się otworzyły i na progu stanęli obaj śledczy, a współtowarzyszkę Sylvii odesłano. Wstała i bez słowa wyszła z celi.

– Jak się pani czuje? – zapytał wyższy oficer.

– W porządku – odparła Sylvia.

– Proszę z nami – powiedział.

Wrócili do pokoju przesłuchań. Nogi nadal ją bolały. Gdy weszła do środka, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. W pokoju stał Abraham, jej nauczyciel. Uściskał ją.

– Gratuluję – powiedział. – Jestem z ciebie dumny.

Kiedy Abraham wydawał jej polecenie, by zakradła się na teren wojskowy i namierzyła położenie budynku biurowego i baraku, w którym spali żołnierze, surowo jej nakazał, żeby w przypadku pojmania nie zdradziła prawdy. Wypełniła jego polecenie.

– Czy śledczy wiedzieli, kim jestem?

– Oczywiście.

– Ani przez chwilę ich o to nie podejrzewałam – powiedziała po angielsku, śmiejąc się. – Naprawdę urządzili mi tu piekło. Jak się mówi „piekło” po hebrajsku?

– *Gehinom*.

Opowiedział jej, że przysłana do jej celi towarzyszka niedoli to w rzeczywistości współpracowniczka izraelskich służb specjalnych Szabak, która miała ją skłonić do mówienia i przyznania się do winy.

– Ten egzamin też zdałaś – powiedział.

– Naprawdę przez cały czas tu byliście?

– Śledziliśmy przesłuchanie przez lustro weneckie i mikrofony.

– Zrobiłam jakiś błąd?

– Ani jednego.

– Teraz pewnie się upewniliście, że mogłabym zostać zawodową oszustką.

– Uważamy, że potrafiłabyś z łatwością okłamać innych, ale nam powiedziałabyś prawdę. Jak się czujesz?

– Padam z nóg.

– Tak już musi być – powiedział Abraham. – Uprzedzałem cię, że u nas nie ma lekko, a to tylko testy kwalifikacyjne.

Zawiózł ją do hotelu, w którym nocowała w Jerozolimie, bowiem miała jeszcze w tym mieście do zdania kilka egzaminów: ze śledzenia,

obserwacji i nawiązywania kontaktów. Dział operacji specjalnych wybrał Jerozolimę na obszar ćwiczebny, bo dla Sylvii było to zupełnie obce miasto, w którym nie znała ani jednej ulicy.

– Na pewno umierasz z głodu – powiedział Abraham.

– Umieram ze zmęczenia.

– W takim razie dobranoc. Jutro wrócimy do pracy.

5

Odkrycie izraelskiego agenta w sztabie dowództwa Al-Fatah utrzymywano w ścisłej tajemnicy, bowiem Arafat i Abu Iyad niechętnie przyznawali, że izraelskie służby specjalne przeniknęły do ich szeregów. Tylko najbardziej zaufani członkowie ugrupowania znali prawdę i uważali, że Ali spisał się doskonale. On zaś nabrał pewności, że po raz pierwszy w życiu dokonał czegoś niezwykle ważnego, i to wprawiło go w doskonały nastrój.

Co rano przychodził do biura o świcie i bez reszty poświęcał się nowym zadaniom. Przede wszystkim opracowywał plan tajnych obserwacji wszystkich uczestników posiedzeń dowództwa Al-Fatah. Organizacja nie mogła dopuścić do kolejnej zdrady.

Na krótko przed wojną sześciodniową, wczesnym latem 1967 roku, miliony Arabów już świętowały swoje zwycięstwo, choć nie padł jeszcze ani jeden strzał. Byli gotowi do wojny i z utęsknieniem na nią czekali. Ich arsenał pękał w szwach, a wielka armia stanowiła niepodważalną gwarancję zwycięstwa. W porównaniu z nimi Izraelczycy wydawali się słabi, mało prężni i niezdecydowani.

Kiedy wreszcie Izraelczycy zaczęli zbierać siły i rozpoczęli działania wojenne, wojska arabskie – wbrew wcześniejszym oczekiwaniom – nie wykazały najwyższej gotowości bojowej. 5 czerwca izraelskie siły powietrzne zaatakowały bazy lotnicze w Egipcie, Syrii, Jordanii i Iraku i zniszczyły setki stacjonujących na ziemi bombowców i samolotów transportowych. W ciągu sześciu dni front arabski zupełnie się załamał. Wojska izraelskie zajęły Strefę Gazy i Zachodni Brzeg Jordanu.

Przedwczesna radość Arabów ze zwycięstwa zamieniła się w bolesne, frustrujące rozczarowanie klęską. Dowództwo Al-Fatah zwołało kryzysowe posiedzenie sztabu, który postanowił wzmocnić działania terrorystyczne przeciwko Izraelowi, żeby nieco podreperować poczucie dumy narodowej Arabów. Nie przewidziało, że do pracy zabiorą się inni, na przykład Georges Habasz.

Rodzice Habasza, nazywanego również „doktorem” albo „mędrcem”, należeli do greckiego Kościoła prawosławnego. Georges urodził się w 1926 roku w mieście Lod w Palestynie. Po wybuchu wojny w 1948 roku cała jego rodzina uciekła do Libanu. Ukończył medycynę na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie i przez kilka lat praktykował w obozach dla uchodźców. Teraz nawoływał do wygnania Żydów z Izraela/Palestyny i powrotu uchodźców do ich domów. Po wojnie sześciodniowej założył radykalny marksistowsko-leninowski Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny (LFWP).

W przeciwieństwie do Arafata, Habasz uważał, że ataki terrorystyczne na Izrael i tereny okupowane odnoszą niewielki skutek i nie budzą zainteresowania międzynarodowej opinii publicznej. Dlatego planował wielkie zamachy poza granicami Izraela, o których pisano by na pierwszych stronach gazet i które zwróciłyby powszechną uwagę na walkę Palestyńczyków. Po wielu miesiącach drobiazgowych, tajnych przygotowań w 1968 roku trzech terrorystów z LFWP przebrało się za zwykłych turystów i kupiło bilety na kurs linii El Al z Rzymu do Lod. W trakcie lotu poinformowali pasażerów, że samolot został uprowadzony. Grożąc pilotom bronią, zmusili ich, by polecieli do Algieru, gdzie po wielogodzinnych pertraktacjach pasażerów i personel wymieniono na terrorystów więzionych w Izraelu. Sukces tej akcji zachęcił LFWP do uprowadzenia jeszcze kilku – nie tylko izraelskich – samolotów i ataku na żydowskie instytucje w Europie. Zamachy terrorystyczne zyskały rozgłos na całym świecie, szczególnie w krajach arabskich, gdzie darzono LFWP ogromnym szacunkiem. Przywódcy Al-Fatah mieli się z pyszna. Arafat musiał wreszcie zauważyć wypisane na ścianie „*Mene, tekel, fares*”. Zrozumiał, że Georges Habasz miał rację: nastał czas wielkich zamachów terrorystycznych. Nie chciał stać za plecami szefa LFWP, którego malutka organizacja mogła przyćmić Al-Fatah, ugrupowanie liczące już wtedy tysiące członków. Arafat mierzył wyżej i wkrótce sam opracował dokładny plan akcji.

Alego w trybie pilnym wezwano do biura *raisa*.

– Spakuj się – rozkazał Arafat. – Jutro wyruszasz do Kairu.

Wyjaśnił Alemu, że celem jego podróży było wyszkolenie obiecujących, młodych członków Al-Fatah w bazie egipskich tajnych służb. Dziewięciu członków grupy, w tym kilku absolwentów wyższych uczelni znających obce języki oraz paru zawodowych zabójców, miało nauczyć się w Kairze, jak umiejętnie przybierać fałszywą tożsamość, przeprowadzać

wyrafinowane ataki terrorystyczne, likwidować przeciwników politycznych, wybierać mieszkania na zakonspirowane kryjówki i sprawnie wymykać się stróżom prawa. Po wielomiesięcznym treningu mieli wrócić do Ammanu, żeby tam utworzyć specjalną jednostkę do planowania i przeprowadzania bezprecedensowych wielkich zamachów, przede wszystkim poza Izraelem. Ta jednostka przekształciła się później w oddział Force 17, oczko w głowie Arafata.

6

Sylvia Rafael w czasie szkolenia nie narzekała na nadmiar wolnego czasu, którym dysponowała tylko w weekendy. Wtedy często jeździła na wycieczki albo szła na plażę, a przede wszystkim fotografowała ludzi i krajobrazy. Nigdy jednak nie robiła zdjęć członkom swojej jednostki.

Sylvia opowiedziała nauczycielom o swoim hobby, a oni wspomnieli o tym w pisanych na bieżąco raportach dla kierownictwa. Szefowie jednostki orzekli, że fotografowanie może posłużyć jako doskonała przykrywka i że umiejętność ta bardzo się przyda Sylvii później, w czasie wykonywania tajnych zadań. Postanowiono, że Sylvia przejdzie szkolenie dla zawodowych fotografów.

Wkrótce otrzymała rozkaz uczestnictwa w kursie fotografii dla zaawansowanych u Paula Goldmana, jednego z najlepszych fotografów prasowych w kraju. Przedstawiła mu się jako imigrantka i amatorka fotografii, która chciałaby nauczyć się lepiej robić zdjęcia.

– Jak pani na mnie trafiła?

– Uważam, że pańskie fotografie są po prostu fantastyczne. – Mossad dostarczył jej obszerne portfolio.

– To będzie trochę kosztowało – odparł Goldman.

– Nie szkodzi.

Goldman, pochodzący z Budapesztu, koneser fajki, którą nieustannie trzymał w zepsutych zębach, mieszkał z żoną Diną i córką Mediną w małym mieszkaniu w Kfar Saba. Jako utalentowany fotograf prasowy zyskał sławę w kraju i za granicą. Jedną z jego najsłynniejszych fotografii – przedstawiającą Ben Guriona stojącego na głowie na nadmorskiej plaży – zakupiły niezliczone gazety na całym świecie, a redakcje wciąż czekały na nowe, oryginalne zdjęcia.

Goldman miał wiele wad. Dla większości bliźnich żywił głęboką pogardę. Był porywczy, niecierpliwy i natychmiast zrywał współpracę z każdym, kto go rozzłościł. Gdyby nie poważne kłopoty finansowe, nie

podzieliłby się z Sylvią nawet drobnym ułamkiem swoich umiejętności zawodowych.

Wysoki i chudy fotograf stał przed nią zgarbiony, jakby przytłaczał go ogromny ciężar. Spojrzał na nią lodowatym wzrokiem i zapytał o jej doświadczenie fotograficzne. Prychnął pogardliwie, kiedy pokazała mu kilka swoich zdjęć.

– Nic pani nie umie – mruknął pod nosem.

W czasie pierwszej godziny naburmuszony wyjaśnił jej podstawowe funkcje aparatu fotograficznego. Nauczył ją rzeczy, o których wcześniej nie miała pojęcia.

– Jutro umówiłem się na kolejną sesję fotograficzną z Ben Gurionem – powiedział. – Proszę przyjść i przyjrzeć mi się przy pracy. Na pewno nie znajdę czasu, żeby pani cokolwiek wyjaśniać. Liczę na pani inteligencję i mam nadzieję, że sama pani się zorientuje, na czym polega ta robota.

Następnego wieczoru pojechali do domu Bena Guriona w Tel Awiwie przy alei Keren Kajemet. Paula, żona premiera, podejrzliwie przyglądała się Sylvii, którą Goldman przedstawił jako swoją asystentkę.

– Jest o wiele za ładna jak na zwykłą fotoreporterkę – mruczała pod nosem.

Natomiast Ben Gurion zainteresował się Sylvią, wypytywał o jej przeszłość i pochwalił ją za to, że jako wolontariuszka przyjechała do Izraela. Zaproponował nawet, żeby i ona go fotografowała, ale jedno gniewne spojrzenie żony wystarczyło, żeby zrezygnował ze swojego pomysłu.

Goldman wrócił z Sylvią samochodem do Kfar Saba i pozwolił jej asystować przy wywoływaniu klisz i robieniu odbitek. Przenikliwy zapach odczynników przyprawił ją o zawrót głowy, ale nie skarżyła się. Kiedy odbitki były gotowe, Goldman włączył światło, a Sylvię zaskoczyła jakość zdjęć.

– Nigdy nie wejdę na pański poziom – powiedziała.

Goldman nawet się nie uśmiechnął.

– Rzeczywiście, nigdy nie wejdzie pani na mój poziom, ale przy dużym wysiłku może pani się do niego zbliżyć.

Uczyła się pilnie i z każdą lekcją robiła wyraźne postępy. Goldman pokazał jej, jak fotografować krajobrazy i ludzi, jak robić zbliżenia i osiągnąć efekt dali, jak skoncentrować się na fotografowanym przedmiocie,

mając baczenie na najmniejsze szczegóły. Sylvia próbowała zapamiętać wszystkie wskazówki i każdą radę. Wiedziała, jak istotne będą umiejętności fotograficzne w jej przyszłej pracy agentki. Oczyma duszy już widziała, jak w czasie szpiegowskich misji robi zdjęcia tajnych baz wroga i śledzi dowódców organizacji terrorystycznych.

Przez trzy miesiące towarzyszyła w pracy słynnemu fotografowi. Przyglądała mu się, kiedy wybierał najlepsze ujęcia, żeby wysłać je do krajowych i zagranicznych gazet. Czytała listy pochwalne, które przychodziły do niego z redakcji wielkich gazet w Europie i Stanach Zjednoczonych. Również jej własne fotografie w miarę upływu czasu nabierały coraz lepszej jakości. Kiedy Goldman zobaczył portret dziecka, który zrobiła w parku, po raz pierwszy wypowiedział komplement pod jej adresem.

– Całkiem nieźle.

Również dowódcy jednostki wysoko ocenili jej zdjęcia i cieszyli się z jej postępów.

7

Po zakończeniu szkolenia Sylvia spotkała się w swoim mieszkaniu na podsumowującą rozmowę z Abrahamem, jej nauczycielem, i Gadim, kierownikiem akademii agentów. W grubym zeszycie zapisywała wszystko, czego nauczyła się w czasie programu treningowego.

– W trakcie szkolenia wszyscy instruktorzy wykazali się fachową wiedzą i najwyższymi kompetencjami pedagogicznymi – powiedziała, spoglądając do zeszytu. – Dziękuję wam również za możliwość współpracy ze wspaniałymi nauczycielami, z tak zdolnymi i pełnymi entuzjazmu ludźmi. Choć często mnie dręczyli i doprowadzali do kresu sił, to dali mi siłę do wykonania kolejnych zadań. Z całego serca dziękuję wszystkim za przekazaną mi wiedzę i za niezapomniane przeżycia, których mi dostarczyliście. Ćwiczenia, które musiałam wykonać, pozostawiły mi wiele miejsca na samodzielne działanie i inwencję, wystawiając na próbę moje zdolności improwizacji – mówiła dalej. – Niektóre wymagały ode mnie ogromnego duchowego i fizycznego wysiłku i wielokrotnie stawałam na skraju załamania. Mam nadzieję, że nie dałam tego po sobie poznać. Jedyny problem, z którym musiałam się przez cały czas zmagać, to samotność. Jak wiecie, żyję z dala od mojej rodziny i z nikim nie nawiązałam tutaj bliższych znajomości. Często tęskniłam za towarzystwem ludzi, z którymi mogłabym spędzać beztroski czas, ale doskonale wiedziałam, że dystans to cena, którą muszę zapłacić, jeśli chcę wykonywać tę pracę. Zawsze sobie powtarzałam, że cel, który z takim utęsknieniem próbowałam osiągnąć, jest ważniejszy niż wszystko inne. Cieszę się, że udało mi się utrzymać w karbach moje prywatne emocje.

– Dziękuję – powiedział wzruszony Moti i po raz pierwszy zdradził jej swoje prawdziwe imię.

Sylvia podeszła do komody w swoim pokoju. Skrywała w sobie sejf, w którym Sylvia przechowywała materiały szkoleniowe. Otworzyła go i wyjęła ze środka dwa samodzielnie namalowane portrety. Jeden przedstawiał Abrahama, drugi Motiego.

– Na pamiątkę ode mnie – powiedziała.

Obaj podziwiali obrazy i podziękowali jej wzruszeni.

Wieczorem zaprosili Sylvię na uroczystą kolację w restauracji Syjon w dzielnicy jemeńskiej.

– My też mamy dla ciebie drobny podarunek – powiedział Abraham, gdy usiedli w lokalu.

Podał Sylvii kasetę z farbami, a obok niej położył słynny wiersz *List do syna*... Rudyarda Kiplinga.

Jeżeli zdołasz zachować spokój
chociażby wszyscy go stracili, ciebie oskarżając
jeżeli nadal masz nadzieję, chociażby wszyscy o Tobie zwątpili
licząc się jednak z ich zastrzeżeniem

Jeżeli umiesz czekać bez zmęczenia
jeżeli na obelgi nie reagujesz obelgami
jeżeli nie odpłacasz za nienawiść nienawiścią
nie udając jednakże mędrca i świętego

Jeżeli marząc – nie ulegasz marzeniom
jeżeli rozumując – rozumowania nie czynisz celem
jeżeli umiesz przyjąć sukces i porażkę
traktując jednakowo oba te złudzenia

Jeżeli ścierpisz wypaczenie prawdy przez Ciebie głoszonej
kiedy krętacze czynią z niej zasadzkę, by wydrwić naiwnych
albo zaakceptujesz ruinę tego, co było treścią twego życia
kiedy pokornie zaczniesz odbudowę zużytymi już narzędziami

Jeśli potrafisz na jednej szali położyć wszystkie twe sukcesy
i potrafisz zaryzykować, stawiając wszystko na jedną kartę
jeśli potrafisz przegrać i zacząć wszystko od początku, bez słowa
nie żaląc się, że przegrałeś

Jeżeli umiesz zmusić serce, nerwy, siły, by nie zawiodły
choćbyś od dawna czuł ich wyczerpanie
byleby wytrwać, gdy poza wolą nic już nie mówi o wytrwaniu

Jeżeli umiesz rozmawiać z nieuczciwymi, nie tracąc uczciwości
lub spacerować z królem w sposób naturalny
jeżeli nie mogą Cię zranić nieprzyjaciele ani serdeczni przyjaciele
jeżeli cenisz wszystkich ludzi, nikogo nie przeceniając

Jeżeli potrafisz spożytkować każdą minutę
nadając wartość każdej przemijającej chwili
twoja jest ziemia i wszystko, co na niej
i co – najważniejsze – synu mój – będziesz Człowiekiem*.

* Tłumacz nieznany.

8

Ściśle tajne
Do kierownika akademii agentów.

Szalom,

na zakończenie podstawowego szkolenia Sylvii Rafael chciałbym stwierdzić co następuje:

1. Kandydatka dowiodła pozytywnych cech charakteru. Jest bardzo solidna, ponadprzeciętnie inteligentna, szybko się uczy i zapamiętuje. Kandydatka potrafi doskonale nawiązywać kontakty z ludźmi, ma poczucie humoru, nie odstraszają jej trudności, potrafi ustalać priorytety, wykazuje wysoką motywację i dużą solidarność z narodem żydowskim.
2. Kandydatka skrupulatnie wykonała wszystkie zlecone jej zadania, nawet wtedy gdy sprawiły jej trudności.
3. Nigdy nie słyszałem z jej ust ani słowa skargi. Jeśli na następną lekcję zadano jej obszerny materiał do opanowania, pracowała przez całą noc, byle tylko dobrze przygotować się do zajęć.
4. Wszyscy nauczyciele wyrażają się o niej w samych superlatywach. W czasie całego szkolenia otrzymała bardzo dobre oceny. Codziennie wykazywała inicjatywę i trzeźwość myślenia, gdy należało przeniknąć na strzeżone tereny, i pozytywnie przeszła próbne przesłuchanie.
5. W mojej opinii posiada wszelkie cechy konieczne do tego, żeby odnaleźć się w trudnych sytuacjach, działać samodzielnie i jak najlepiej wypełniać tajne misje.

Z poważaniem

Abraham Gehmer

Czas nauki w akademii agentów dobiegł końca. Teraz przyszła pora na przejście do oddziału operacyjnego, gdzie agentów przygotowywano do misji terenowych. Ami, kierujący oddziałem operacyjnym, był wysokim czterdziestolatkiem, typowym Yeke, Żydem niemieckiego pochodzenia, o czym świadczyło najlepiej jego usposobienie. Był pedantyczny i skrupulatny, a na jego twarzy nigdy nie gościł uśmiech. Moti przyprowadził go do domu Sylvii, przedstawił i po krótkiej chwili pożegnał się, ściskając jej dłoń i życząc wszystkiego dobrego w dalszej pracy.

– Od teraz przybierzesz inną tożsamość – powiedział Ami bez zbędnych uprzejmości. – Ten proces potrwa kilka miesięcy. Jeden z nas pomoże ci na wstępnym etapie. Potem przydzielimy ci oficera prowadzącego, od którego będziesz otrzymywać rozkazy.

– Rozumiem.

– Niekiedy przyjdzie ci działać samotnie, czasem nawet na terenie wroga. To nie będzie łatwe. Może się zdarzyć tak, że zostaniesz zarazem dowódcą i żołnierzem wykonującym własne rozkazy, bo nikt inny ci ich nie wyda. Żeby samodzielnie działać, będziesz musiała użyć całej zdobytej wiedzy i wszystkich umiejętności. – Sylvia pokiwała głową.– Słyszałem o twoim szkoleniu i wiem, że poprawnie zrealizowałaś wszystkie zadania i nie przeraziły cię żadne trudności. Ale prawdziwy egzamin dopiero przed tobą. To będzie największe wyzwanie twojego życia. Jesteś na to gotowa?

– Ależ oczywiście – odparła Sylvia z entuzjazmem.

Dobrze wiedziała, że czeka ją droga pod górę. Każdy agent musiał uporać się z tą samą przeszkodą: stałym konfliktem między życiem prywatnym i zawodowym. Misja ma zawsze absolutne pierwszeństwo. W takich warunkach trudno założyć rodzinę. Agent musi jak z rękawa sypać przekonującymi wymówkami, kiedy przychodzi mu wykonać misję i odsunąć na bok prywatne zajęcia. Musi w jednej chwili odłożyć inne zobowiązania, i to najczęściej na nieokreślony czas. Miłość, ale także sport i inne hobby schodzą na drugi plan, gdy trzeba wykonać zadanie wymagające absolutnej koncentracji. Realizacja misji to najwyższy priorytet, do jej wykonania potrzeba żelaznej woli i determinacji.

9

Tętniący życiem Kair, miasto o wielu obliczach, podobnie jak kolorowy Bejrut, stanowił diametralne przeciwieństwo Ammanu, gdzie na co dzień mieszkał Ali. Intensywne ćwiczenia w bazie tajnych służb pod miastem najczęściej trwały przez cały dzień. Na rozrywki pozostawały tylko noce, wolne od zajęć. Ali był w siódmym niebie. Takiej swobody i wolności nie zaznał od dawna. Bez żony i syna Hassana u boku napawał się błogimi chwilami, z dala od krępujących więzów rodzinnych.

W Kairze Ali mógł oddać się przyjemnościom, o których prawie zupełnie zapomniał. Al-Fatah na czas wyjazdu zapewniła mu pokaźną sumę, a on lekką ręką wydawał pieniądze na wystawne kolacje w restauracji słynnego hotelu Shepheard na brzegu Nilu i w barze klubu Harun al-Rashid. Flirtował z kobietami, palił amerykańskie papierosy i rozdawał hojne napiwki kelnerom i tancerkom. Tym razem jednak wiedział, że przyjemności trzeba oddzielać od obowiązków zawodowych. Szkolenie traktował niezwykle poważnie i z zaangażowaniem brał udział nawet w najprostszych ćwiczeniach. Swoim nauczycielom często powtarzał, że wykorzysta nowo zdobyte umiejętności, żeby pomścić śmierć ojca.

Ali pilnie się uczył, ale jak zawsze chciał się czymś wyróżnić, był łasy na komplementy i szukał poklasku. Coraz lepiej strzelał z broni palnej, opanował sztukę nawigacji i był w każdym calu wzorowym uczniem. Zdał wszystkie praktyczne i teoretyczne egzaminy. Jego nauczyciele, egipscy urzędnicy służb specjalnych, chwalili go na każdym kroku i dali mu na drogę swoje serdeczne błogosławieństwo.

Po powrocie do Ammanu spędzał czas przede wszystkim w kwaterze głównej Al-Fatah i na wystawnych kolacjach z przyjaciółmi. Do domu wracał tylko po to, żeby się przespać, a żonie nigdy nie opowiedział o tym, co robił w Egipcie.

Wyszkolony w Kairze dziewięcioosobowy oddział do zadań specjalnych zaczął przeprowadzać akcje terrorystyczne za granicą. Ali otrzymał polecenie, by przygotować teren w Europie. Miał utworzyć

komórkę Al-Fatah w Rzymie i zwerbować palestyńskich studentów i innych sympatyków ugrupowania do udziału w zamachach w Europie. Ali z radością przyjął propozycję wyjazdu do Włoch. Z entuzjazmem wykonywał każde zadanie, jeśli tylko pozwalało mu ono opuścić nudny Amman. A jeszcze bardziej cieszyło go to, że Arafat wysłał go do Rzymu na nieokreślony czas.

Na samą myśl o tym, co czeka go w Rzymie, czuł przypływ adrenaliny, ale rzeczywistość przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Stolica Włoch kusiła go tysiącem rozrywek, od pięknych jak z obrazka kobiet w kawiarniach przy Via Veneto i nocnych lokali oferujących wyborne drinki i taneczną muzykę po dziewczyny lekkich obyczajów gotowe na każdą przygodę. Ali bardzo chętnie pozwalał się uwodzić. Utworzenie komórki organizacji w stolicy Włoch wydawało mu się łatwym zadaniem i Ali bez większych problemów werbował aktywistów w środowisku palestyńskich emigrantów i studentów gotowych wspierać sprawę arabską.

Wstawał późno, często z bólem głowy po suto zakrapianej imprezie poprzedniej nocy. Pił jedną kawę za drugą i przez pozostałą część dnia próbował znaleźć odpowiednią siedzibę dla tworzonej właśnie komórki Al-Fatah. Wreszcie wynajął mieszkanie na parterze starego domu w pobliżu fontanny di Trevi, a jako przykrywkę utworzył Klub Przyjaźni Europejsko-Arabskiej. Potem spędzał całe dnie na rzymskich uniwersytetach, gromadząc wokół siebie arabskich studentów i sympatyków z Europy. Stworzył zgraną grupę młodych ludzi, którzy w swoim czasie mieli pomóc w planowaniu i przeprowadzaniu brutalnych akcji terrorystycznych. Pewnego razu zaproszono go do wygłoszenia wykładu na temat tragedii uchodźców z 1948 roku w jednym z klubów studenckich na Uniwersytecie Rzymskim. Kiedy studenci żydowskiego pochodzenia nie pozwolili mu dojść do głosu, w wielkiej sali doszło do rękoczynów i dopiero zaalarmowana policja rozdzieliła walczących.

Ali wykonał misję w Rzymie i już zbierał się do odjazdu do ojczyzny, kiedy kurier dostarczył mu wiadomość od Arafata. *Rais* prosił go, by „oddał niewielką przysługę mojemu przyjacielowi, przywódcy Libii Muammarowi Kaddafiemu”. Kurier poinformował Alego, że za kilka godzin otrzyma paczkę dostarczoną pocztą dyplomatyczną do libijskiej ambasady w Rzymie.

Jeszcze tego samego dnia skontaktował się z nim libijski dyplomata, który wspierał Al-Fatah, i umówił się z nim na parkingu dworca głównego. Kiedy Ali się tam zjawił, Libijczyk wręczył mu paczkę zawierającą trzy pistolety z tłumikami i amunicją, a także kartkę z nazwiskiem, adresem i krótkim opisem codziennych zwyczajów pewnego wygnańca z Trypolisu, zaprzysięgłego przeciwnika Kaddafiego.

– Proszę pozbyć się tego człowieka – powiedział dyplomata bez ogródek.

Ali nigdy wcześniej nie słyszał tego nazwiska, ale dobrze wiedział, że Kaddafi odwdzięczy się Arafatowi, kiedy ten wyeliminuje zaciekłego wroga przywódcy Libii. Z pomocą dwóch jordańskich studentów, których zwerbował do Al-Fatah w Rzymie, Ali odnalazł skazanego na śmierć. Ustalił miejsce i czas zamachu i postanowił osobiście wziąć w nim udział.

Zamachowcy czatowali na swoją ofiarę nocą, przez kilka godzin. Wreszcie mężczyzna wyszedł z domu, a dwaj studenci oddali w jego kierunku strzały i uciekli. Ali został na miejscu. Zbliżył się do rannego, który leżał na chodniku, strzelił i oddalił się dopiero wtedy, gdy upewnił się, że mężczyzna nie żyje.

To był pierwszy człowiek, którego zabił. Wypełniała go radość, poczucie spełnienia i uniesienie, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył.

10

Przełożeni Sylvii cieszyli się z doskonałych wyników jej szkolenia. Jednostka do zadań specjalnych potrzebowała agentów jej pokroju. Zanim jednak Sylvii zlecono pierwszą misję, czekało ją jeszcze jedno trudne zadanie. Musiała wymazać wszelkie ślady swoich powiązań z Izraelem i Afryką Południową oraz stworzyć fałszywą tożsamość. Nikt jej nie powiedział, jak powinna wyglądać jej nowa biografia i dokąd zostanie wysłana na ćwiczenia. Wiedziała tylko, że czeka ją jeszcze spotkanie z człowiekiem, który zmieni jej życie i będzie odtąd towarzyszył jej krok w krok.

Człowiek ten nazywał się Icchak i urodził się w Niemczech, jako syn znanego lekarza, który w czasie pierwszej wojny światowej służył w armii jako oficer medyczny i za to otrzymał Krzyż Żelazny. Rodzice Icchaka mieszkali w ślicznym domu, świetnie im się powodziło i otaczał ich duży krąg krewnych i przyjaciół. Syn ostrzegał rodziców przed nadchodzącą katastrofą. Z niepokojem obserwował dojście do władzy narodowych socjalistów w Niemczech, widząc, że sytuacja robi się coraz bardziej niebezpieczna dla Żydów. Dlatego błagał rodziców, żeby oficjalnie wyemigrowali do Palestyny. Oni jednak wahali się przekonani, że naziści nic im nie zrobią, bo przecież ojciec rodziny walczył na froncie pierwszej wojny światowej i został odznaczony. Dla nazistów nic to jednak nie znaczyło. Rodzice Icchaka zostali deportowani do obozu koncentracyjnego i tam zamordowani.

Icchak sam wyjechał do Palestyny. Mieszkał u rodziny zastępczej w Hajfie, chodził tam do elitarnego liceum Reali, zgłosił się jako ochotnik do armii brytyjskiej i w czasie pierwszej wojny izraelsko-arabskiej służył jako kanonier. Niedługo po zwolnieniu ze służby wojskowej w randze porucznika wstąpił do Mossadu i między innymi pomagał w nielegalnych ucieczkach Żydów z Afryki Północnej do Izraela.

W kwaterze głównej jednostki poproszono go, żeby zaplanował dalsze kroki Sylvii Rafael na drodze do zostania agentką. Ledwie kilka dni wcześniej wrócił z misji w Ameryce Południowej, a teraz próbował

udobruchać swoją żonę, której w czasie nieobecności wysyłał pocztówki z safari w Afryce, a ona po jego powrocie dowiedziała się, że mąż był zupełnie gdzie indziej.

Icchak, niewysoki i niepozorny mężczyzna o spokojnym, introwertycznym usposobieniu, wydawał się tak bezbarwny, że mógł łatwo wtopić się w tłum i nikt nie zapamiętałby jego twarzy. Był jednak mądry, przedsiębiorczy, pewny siebie, odważny, rozważny i budził zaufanie. Mówił płynnie w siedmiu językach i w jednostce do zadań specjalnych słynął z tego, że potrafił wykonać każde zadanie, przybrać każdy kamuflaż i poruszać się w nieznanym środowisku.

Ze względu na wszechstronne uzdolnienia Icchaka przydzielono go do oddziału, który miał zlikwidować „Kata z Rygi", łotewskiego pilota i inżyniera Herberta Cukursa, który kolaborował z nazistami i w czasie drugiej wojny światowej z okrucieństwem zabił tysiące Żydów. Cukurs, silny mężczyzna o czerwonej twarzy i białych włosach, mieszkał w Brazylii, niedaleko São Paulo, gdzie znalazł schronienie po wojnie. Wedle zeznań tych, którzy przeżyli, Cukurs zrabował swoim ofiarom mnóstwo pieniędzy i cennej biżuterii, ale znaczną część jego łupu pochłonęła ucieczka do Ameryki Południowej i opłaty za uzyskanie brazylijskiego obywatelstwa. Ostatecznie pozostał prawie bez środków do życia i z trudem utrzymywał się, prowadząc wypożyczalnię łodzi i taksówkę powietrzną w wypoczynkowym regionie kraju. W swoim przedsiębiorstwie zatrudniał żonę, syna i synową.

Icchak odwiedził go, udając austriackiego kupca. Twierdził, że przyjechał na zlecenie inwestorów, którzy chcieli założyć duże biuro turystyczne w Ameryce Południowej.

– Bądź ostrożny – ostrzegł go Joska Jariw, kierujący jednostką do zadań specjalnych, kiedy przekazywał mu szczegóły dotyczące zadania. – O ile nam wiadomo, Cukurs spodziewa się zamachu na swoje życie. Podejrzewa prawie każdego i nie da się tak łatwo nabić w butelkę.

– Pożyjemy, zobaczymy – zaśmiał się Icchak.

Jednostka zaopatrzyła Icchaka w austriacki paszport na nazwisko Anton Künzle i wysłała go do Austrii, żeby uwiarygodnił swoją legendę. Wynajął biuro, zlecił wydrukowanie wizytówek, otworzył konta bankowe na swoje nazwisko i fikcyjną firmę, którą rzekomo utworzył. Gromadził

wszelkie drobiazgi, które mogły posłużyć za dowód jego austriackiego pochodzenia – kwity z pralni, bilety autobusowe, bilety do kina, receptę na okulary – i upchnął je w kieszeniach spodni, które zapakował na podróż do Brazylii. W walizce znalazły się wyłącznie ubrania, które kupił w Austrii, a nawet mydło z fabryki nieopodal Wiednia oraz szczoteczka do zębów i maszynka do golenia austriackiej produkcji.

W Brazylii Icchak udawał bogatego europejskiego inwestora, skontaktował się z brazylijskim Ministerstwem Handlu Zagranicznego i otworzył konta firmowe w wielu bankach. Pojechał do São Paulo i zaprosił grupę lokalnych przedsiębiorców na spotkanie w swoim hotelu. Icchak opowiedział gościom, że reprezentuje grupę inwestorów zainteresowanych założeniem biura podróży w Ameryce Południowej i za jego pośrednictwem poszukujących partnerów w Brazylii. Potem udał się w podróż po sąsiednich regionach turystycznych i dotarł również nad jezioro, nad którym Cukurs prowadził wypożyczalnię łodzi. Poprosił go o zorganizowanie przelotu rekonesansowego po okolicy, a Cukurs służył mu chętnie pomocą. W ten sposób nawiązali pierwszy kontakt.

Krok po kroku Icchak i inni członkowie oddziału zapędzili „Kata z Rygi” w doskonale przygotowaną pułapkę. Mówiący płynnie po niemiecku Icchak przedstawił się jako niemiecki oficer, ranny pod Stalingradem, opowiadał wiele antyżydowskich dowcipów i miał wyjątkowo mocną głowę. Stał się mile widzianym gościem w domu Cukursa. Zbrodniarz wojenny, który od dawna zmagał się z problemami finansowymi, najwyraźniej ucieszył się z obietnicy nowego przyjaciela, „Antona”, że za wysoką opłatą uczyni go reprezentantem grupy inwestorów w Brazylii. Icchak w pisanych szyfrem listach do przełożonych relacjonował swoje postępy i wysyłał je na adres europejskiej komórki Mossadu.

Kiedy Icchak zaskarbił sobie pełne zaufanie Cukursa, zaproponował mu wspólną podróż w interesach do stolicy Urugwaju Montevideo. Zawiózł go na lotnisko, a potem razem oglądali domy, które rzekomo miały stanowić przedmiot inwestycji. Wynajętym przez Icchaka samochodem wybrali się na oględziny trzech wystawionych na sprzedaż budynków, planując ewentualny przebieg negocjacji. Cukurs z zaangażowaniem pomagał Icchakowi, ale kiedy pojechali do czwartego domu, nabrał podejrzeń, bowiem w budynku nie paliło się światło. Jego wyczulona intuicja kazała mu uciekać, ale na to było już za późno. Trzej członkowie jednostki do zadań specjalnych już na niego czekali gotowi do ataku.

Cukurs, który był w zdumiewającej formie fizycznej, nie sprzedał tanio swojej skóry. Walczył jak lew, bił pięściami i próbował bronić się przed napastnikami. Wiedział, że jego życie zawisło na włosku, ale jego przeciwnicy okazali się silniejsi. Trzy strzały z pistoletu z tłumikiem położyły kres jego życiu.

Zwłoki włożono do przygotowanej wcześniej drewnianej skrzyni, zaopatrzonej w naklejkę z wiadomością po angielsku, że Cukurs za masowe zbrodnie na Żydach został skazany na śmierć. Wiadomość podpisano: „Ci, którzy nigdy nie zapomną”. Potem agenci Mossadu wyszli z domu i pojechali na lotnisko. Icchak zdążył jeszcze oddać wynajęty samochód i odebrać kaucję. Zadowoleni z wykonanego zadania wrócili do Izraela. Ich przełożony dał im trochę czasu na odpoczynek w domu.

Po powrocie z Urugwaju Icchak został przywołany przez szefa jednostki do zadań specjalnych, który powierzył mu kolejne zadanie. Icchak miał opracować idealną przykrywkę dla Sylvii Rafael i wtajemniczyć ją w arkany szpiegostwa.

Musiał więc wkrótce znowu wyjechać za granicę, tym razem do Kanady.

11

Ali Salameh poleciał z Rzymu z powrotem do Ammanu. Jasir Arafat powitał go w biurze z otwartymi ramionami i ucałował w oba policzki. *Rais* nie szczędził mu pochwał, bo Ali perfekcyjnie wypełnił swoje zadanie. Rzymska komórka Al-Fatah działała bez zarzutu, libijski emigrant zginął i życzeniom Kaddafiego stało się zadość, a włoska policja nie wyśledziła zabójcy. Przede wszystkim zaś Ali przywiózł ze sobą listę godnych zaufania młodych Włochów, którzy na życzenie mogli w każdej chwili dokonać zamachu. Arafat poinformował Alego, że ten nie wróci do służb wywiadowczych Abu Iyada i że wkrótce pojawi się dla niego nowe, ważniejsze stanowisko.

Po pobycie Alego w Rzymie sytuacja w Jordanii uległa gruntowej zmianie. Zarzewiem nowego konfliktu stał się atak odwetowy armii izraelskiej na kwaterę główną Al-Fatah w Karame 21 marca 1968 roku. Izraelczycy stanęli naprzeciw znacznie większej armii. W czasie ataku dwudziestu ośmiu z nich poniosło śmierć, a trzech zaginęło. Izrael stracił też kilka czołgów, ciężarówek i wozów opancerzonych. Po stronie jordańskiej zginęło stu osiemdziesięciu żołnierzy i terrorystów. Arafat cały i zdrowy uciekł na motorze. Izraelczycy rozpoczęli odwrót.

Palestyńczycy świętowali „historyczne zwycięstwo”. Po katastrofalnej klęsce w wojnie sześciodniowej zobaczyli nagle światełko pośród ciemności, które pochłonęły cały arabski świat. Al-Fatah przeniosła swoją kwaterę główną do środkowej Jordanii, a setki ochotników zgłosiły się do organizacji. Wkrótce Beduini osiadli w królestwie poczuli się zepchnięci na margines przez Palestyńczyków. Teraz w obozach dla uchodźców niepodzielnie rządziła Al-Fatah. Jej ludzie prowadzili administrację obozu, karali zbuntowanych uchodźców, pobierali podatki i za nic mieli przedstawicieli państwa jordańskiego. W miastach po ulicach przechadzały się duże grupy głośnych, uzbrojonych i pewnych siebie członków Al-Fatah. Tłumnie przesiadywali w kawiarniach, ordynarnie zaczepiali innych gości i prowokowali żołnierzy, którzy nie odważali się ich zaatakować. Właściwie stworzyli państwo w państwie i zapuścili korzenie wśród populacji

palestyńskiej, która powoli zyskiwała dominację w Jordanii. Rząd jordański siedział na beczce prochu, która w każdej chwili groziła wybuchem, i nie mógł dłużej tolerować tej sytuacji. Król Husajn nie miał wątpliwości, że jeśli szybko nie podejmie jakichś działań, Al-Fatah obrabuje również jego pałac i położy kres jego panowaniu. Często odwiedzał bazy militarne, żeby złagodzić niezadowolenie żołnierzy narastające w obliczu prowokacji Al-Fatah. Wierne królowi jednostki Beduinów domagały się likwidacji organizacji Arafata, nim ten spróbuje sięgnąć po władzę, ale król zwlekał z wydaniem rozkazu. Bał się, że rozlew krwi doprowadzi jego królestwo na skraj ruiny.

Czas działał na jego niekorzyść. Powściągliwość króla tylko ośmielała członków Al-Fatah. Ustawili punkty kontrolne na ulicach i przeprowadzali rewizje osobiste, rzekomo po to, by odkryć zdrajców współpracujących z Izraelem. Król co noc słyszał salwy z broni, które oddawano na obrzeżach miasta, a jego gniew narastał.

Żołnierze coraz częściej dawali wyraz swojemu niezadowoleniu. Uważali, że król powinien wysłać wojska z koszar na niespokojne ulice, żeby powstrzymać Al-Fatah. Powszechnie twierdzono, że jego powściągliwość podkopuje autorytet armii. Kiedy na początku września 1970 roku król odwiedzał jednostkę pancerną na obrzeżach miasta, na antenach radiowych jednego z czołgów zobaczył kilka powiewających staników.

– Co to ma znaczyć? – zapytał król Husajn.

– To nasze nowe mundury – odparł zuchwale dowódca czołgu. – Zakładamy je, od kiedy Wasza Wysokość zamienił nas w kobiety.

Król zbladł ze strachu. W posępnym nastroju wrócił do pałacu, bo wreszcie dotarło do niego, że musi niezwłocznie działać. Kiedy jednak obmyślał dokładny plan dalszego postępowania, Palestyńczycy po raz kolejny go ośmieszyli. Członkowie Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny pod wodzą Georges’a Habasza, organizacji podobnie jak Al-Fatah działającej pod auspicjami Organizacji Wyzwolenia Palestyny, próbowali uprowadzić cztery maszyny różnych linii lotniczych jednocześnie. W jednym przypadku udało się unieszkodliwić terrorystów, ale w trzech pozostałych samoloty z setkami pasażerów na pokładzie zmuszono do lądowania na pustynnym lądowisku Dawson’s Field w pobliżu jordańskiego miasta Az-Zarka. Trzystu zakładników zabrano do Ammanu i tam wypuszczono na wolność. Ta kropla przelała czarę goryczy.

Choć to nie Al-Fatah uprowadziła samoloty, król uznał, że Palestyńczycy to źródło wszelkiego zła. Doszedł do wniosku, że jeśli nie zaatakuje, porwania samolotów będą się powtarzały, a sprawcy nabiorą dzięki temu pewności siebie. Zwołał sztab generalny na posiedzenie kryzysowe i rozkazał, by położono kres zakusom Palestyńczyków.

Jeszcze tej samej nocy duże kontyngenty wojskowe wiernych królowi Beduinów ewakuowały obóz dla uchodźców i otworzyły ogień do każdego, kto miał przy sobie broń albo był podejrzany o członkostwo w Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Już w ciągu kilku pierwszych godzin zginęły setki ludzi, w wąskich uliczkach rozlegały się krzyki rannych wzywających pomocy. Jordańczycy nie wpuścili jednak służb medycznych na teren działań wojskowych. Armia zaatakowała również obóz ćwiczebny Al-Fatah, zabijając i raniąc wielu żołnierzy, zniszczyła skład broni oraz podpaliła biura i dyspozytornie. We wszystkich miastach w kraju członków Al-Fatah wyrwano z łóżek, postawiono pod ścianą i zastrzelono. Kilkudziesięciu, którym udało się uciec z piekła, przekroczyło Jordan i błagało izraelskich żołnierzy o schronienie.

Syria pospieszyła z pomocą Jasirowi Arafatowi i wysłała do Jordanii kolumnę trzystu czołgów, grożąc królowi odwetem. Przerażony Husajn poprosił o wsparcie Stany Zjednoczone, a te z kolei poprosiły Izrael, żeby postawił oddział czołgów w gotowości bojowej przeciwko syryjskim czołgom. Izraelska kolumna czołgów przejechała ze Wzgórz Golan do granicy z Syrią. Syryjczycy wycofali się i wkrótce w Jordanii nie pozostawał ani jeden syryjski czołg.

Jak większość mieszkańców Bejrutu również libańska królowa piękności Georgina Rizk oglądała telewizyjne doniesienia z Ammanu. Na ekranie toczyły się ostre walki między bojownikami z Al-Fatah i wojskami jordańskimi. Spiker donosił o niezliczonych ofiarach śmiertelnych w obozach dla uchodźców i o masowej ucieczce przywódców Al-Fatah z Ammanu. Georginę niewiele interesowały te reportaże. Nie znała nikogo z Al-Fatah i właściwie nie rozumiała, dlaczego rozgorzała walka.

Tymczasem Ali Salameh z żoną i synem uciekali samochodem przez wyboiste i kręte drogi, żeby nie wpaść w ręce wojsk jordańskich. Zeinab przez cały czas robiło się niedobrze. Oczekiwała kolejnego syna.

Samochody innych dowódców Al-Fatah pojechały tą samą drogą. Uciekinierzy poruszali się małą grupą, przede wszystkim nocą, przekroczyli granicę z Syrią i stamtąd chcieli dostać się do Bejrutu. Ali Salameh z rodziną wynajął dom w zachodniej części miasta, niedaleko domów Arafata i Abu Iyada, którzy dotarli tu już wcześniej. Z Jordanii bezustannie docierały kolejne przerażające doniesienia. Wśród ofiar znalazło się wielu najwyższych dowódców Al-Fatah.

– Już wkrótce dosięgnie ich nasza zemsta – obiecał w gniewie Arafat.

Te krwawe wydarzenia określił mianem „czarnego września”, a potem tak samo nazwało się ugrupowanie terrorystyczne w łonie Al-Fatah, działające ze szczególnym okrucieństwem i wyrafinowaniem. Na jego czele stanął Ali Salameh.

12

Patricia Roxburgh miała trzydzieści lat i była sekretarką w dziale testamentów w dużej kancelarii prawniczej w Montrealu. Prowadziła spokojne i beztroskie życie, kochała operę i wycieczki na łono natury. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że po świecie może chodzić jej sobowtór, ktoś, kto przejął jej nazwisko, biografię, a nawet charakterystyczny kanadyjski akcent.

Prawdziwa Patricia mieszkała w niewielkim mieszkanku w centrum miasta i hodowała dwa syjamskie koty. Pewnego pięknego dnia wczesną wiosną razem ze swoim partnerem Żydem wybrała się na wycieczkę do wodospadu Niagara. Kiedy przez okno w kawiarni podziwiali ten monumentalny spektakl natury, jej partner poprosił ją bez ogródek, żeby pożyczyła mu paszport.

– Do czego potrzebny ci mój paszport? – zapytała zaskoczona.

– Nie potrzebuję go dla siebie, tylko dla przyjaciół z Izraela – odpowiedział.

Patricia domagała się wyjaśnień, ale partner skąpił jej szczegółów.

– Mogę powiedzieć ci tylko tyle, że Izrael potrzebuje twojego paszportu w bardzo ważnym celu.

Wiedziała, że mężczyzna, którego kochała, był zagorzałym sprzymierzeńcem Izraelczyków.

– A kiedy dostanę paszport z powrotem? – zapytała.

– Za rok, najpóźniej za dwa lata.

Stworzenie nowej biografii dla agenta Mossadu to niezwykle żmudne i skomplikowane zadanie. Zanim ktoś może się nią posłużyć, eksperci Mossadu sprawdzają gruntownie, czy faktycznie fikcyjny życiorys pasuje do określonego agenta. Wygląd musi zgadzać się z danymi osobowymi w nowym paszporcie. Agent powinien znać doskonale język danego kraju i orientować się w lokalnych obyczajach.

W porównaniu z innymi, ogromnie skomplikowanymi misjami Icchaka wymyślenie nowej biografii dla Sylvii wydawało się dziecinną

zabawą. Główny ciężar i tak spoczywał na barkach agentki. To ona musiała poświęcić mnóstwo czasu i wykazać się cierpliwością, zdolnością adaptacji i determinacją, żeby odnaleźć się w nowym otoczeniu. Zadanie to nie pociągało za sobą żadnego niebezpieczeństwa. Icchak spodziewał się, że nowy życiorys Sylvii powstanie w ciągu kilku miesięcy.

Najpierw specjaliści z Mossadu umieścili zdjęcie Sylvii w kanadyjskim paszporcie Patricii. Wszystkie dane osobowe zgadzały się z danymi agentki, poza wiekiem. Patricia była trzy lata starsza, ale w Mossadzie odpowiednio spreparowano zdjęcie Sylvii. Na widok zmian zaprotestowała.

– Czemu mnie tak postarzyliście? – marudziła, kiedy wręczono jej paszport.

– Kto chce kłamać, musi dobrze ukryć wszystkie dowody – odpowiedział jej Icchak żydowskim przysłowiem.

Dał jej do zrozumienia, że lepiej będzie, jeśli zostanie wysłana do dalekiego kraju, gdzie będzie mało prawdopodobne, że ktoś z kręgu znajomych ją rozpozna, przez co jej starania o jak najlepszą przykrywkę mogłyby pójść na marne.

Po długich debatach w jednostce do zadań specjalnych postanowiono, że Sylvia wyjedzie do Vancouver na zachodnim wybrzeżu Kanady. Na decyzji zaważył też fakt, że ówcześnie każda prowincja kanadyjska cieszyła się dużą niezależnością, dlatego było mało prawdopodobne, że urzędnicy w prowincji Quebec, do której należał Montreal, odkryją, że w dalekim Vancouver ktoś używał paszportu na nazwisko Patricia Roxburgh.

Od tego momentu Sylvia zaczęła działać pod przykrywką jako fotoreporterka. Przyszło jej to bez trudu, bo była spostrzegawcza, znała się na fotografii i łatwo nawiązywała kontakty. Jednostka do zadań specjalnych musiała w tym przypadku podjąć pewne ryzyko, bowiem agenci Mossadu rzadko udają dziennikarzy. Ludzie mediów zbyt szybko budzą podejrzenia nieprzyjaznego arabskiego narodu, który argusowym okiem obserwuje każdego przybysza z obcego kraju. Zarazem jednak fotoreporter może z łatwością wszędzie się dostać, zbierać ważne informacje i szybko zniknąć. Poza tym Sylvia doskonale fotografowała, a aparat w jej rękach wydawał się przyrodzonym jej rekwizytem. Potrafiła po mistrzowsku zagrać fotoreporterkę.

Icchak podał jej nazwy sklepów w Vancouver ze sprzętem fotograficznym najwyższej klasy. Za zakupy zapłaciła ze środków Mossadu

przeznaczonych na takie wydatki. Jej budżet był równie skromny jak jej pensja i z nawet najdrobniejszego wydatku musiała się rozliczyć.

Sylvia została sama w Vancouver i dała sobie dużo czasu na przyzwyczajenie się do nowej sytuacji. Wynajęła umeblowane mieszkanie w sześciopiętrowym domu przy małej uliczce, prowadzącej wprost nad zatokę. Z okna rozciągał się widok na okazałe jachty i wielkie statki wycieczkowe, które zabierały pasażerów na wielodniowe rejsy wzdłuż wybrzeży Alaski. Niebo nad Vancouver często się chmurzyło, ale temperatura nie spadała poniżej zera i rzadko padał śnieg. Miasto było prześliczne, ciche i spokojne, niezbyt gęsto zabudowane. Niezliczone, wspaniałe restauracje – tajskie, chińskie, wietnamskie i japońskie – oraz bary rybne w pełni zasłużyły na swoją sławę.

Sylvia zaczęła żyć jak typowa Kanadyjka, zawsze płaciła czynsz na czas i nie zadłużała się w sklepie spożywczym. Utrzymywała przyjacielskie stosunki z sąsiadami. Mówiła im, że jest z zawodu fotoreporterką, a dzieciom mieszkającym w kamienicy robiła zdjęcia, które potem dawała ich rodzicom. Nie rzucała się w oczy, ale zostawiała ślady na wypadek, gdyby jakaś obca organizacja zechciała kiedyś zweryfikować jej biografię. Dlatego chętnie odwiedzała sąsiadów, którzy zapraszali ją na urodziny i inne rodzinne uroczystości. Zawsze przynosiła im jakiś mały prezent. Dopiero wiele lat później dowiedziała się, że w tej samej kamienicy mieszkał przed nią inny szpieg, radziecki pułkownik Oleg Władimirowicz Pieńkowski, który przekazywał państwom zachodnim tajne informacje na temat rakiet Armii Czerwonej i wyjeżdżał raz po raz za granicę, żeby spotykać się z brytyjskimi i amerykańskimi pracownikami wywiadu. Kiedy KGB odkryło jego działalność, stanął przed sądem, skazano go na śmierć za zdradę stanu i zabito na oczach najbliższych przyjaciół.

Sylvia cierpliwie prowadziła swoje przykładne życie. Co drugi dzień robiła zakupy w supermarkecie, zamieniała kilka miłych słów ze sprzedawcami i poświęcała dużo czasu, żeby poznać miasto. Szybko zapamiętała prawie wszystkie ulice i najważniejsze budynki, położenie centrum handlowego i najważniejszych sklepów na jego terenie, a przede wszystkim przyswoiła sobie lokalny akcent. W weekendy zwiedzała okolicę w czasie przejażdżek swoim ulubionym rowerem kanadyjskiej marki Rocky Mountain. Kilka razy w tygodniu rano karmiła okruchami chleba ptaki w Stanley Park, malowała okoliczne krajobrazy akwarelami i farbami olejnymi i donosiła Icchakowi o swoich postępach. W niedzielę po

południu piła angielską herbatę w hotelu Vancouver. Zimą fotografowała nieustraszonych pływaków na plaży Kitsilano, a raz nawet udało jej się sprzedać zdjęcie do dziennika „Vancouver Sun”. Pod nim widniało nazwisko Patricia Roxburgh, jako naoczny dowód na to, że była zawodową fotoreporterką. Za zdjęcie dostała sto pięćdziesiąt dolarów, które wydała na płyty z muzyką klasyczną, farby i sztalugi.

W czasie całego pobytu w Vancouver Sylvia unikała spotkań z Izraelczykami i mieszkańcami Afryki Południowej i nie czytała izraelskich gazet. O wydarzeniach w Izraelu dowiadywała się z lokalnych dzienników. W tym czasie bardzo rzadko otrzymywała instrukcje od Icchaka i nigdy się z nim nie spotykała.

13

Organizatorzy konkursu Miss Universe w Miami, w czasie którego wybierano królową piękności świata, zareagowali konsternacją na odmowę Georginy Rizk. W całej historii konkursu jeszcze żadna kandydatka nie zrezygnowała z udziału w finałowym etapie, dlatego odmowa Georginy wydawała im się zupełnie niezrozumiała. Organizatorzy, którzy koniecznie chcieli zobaczyć arabską kandydatkę, nie poddali się tak łatwo. Kiedy wysłanniczka organizacji nic nie wskórała, jej szefowie przylecieli do Bejrutu, odwiedzili Georginę w domu, zaangażowali w sprawę swoich wpływowych znajomych i opublikowali nawet artykuł prasowy nakłaniający ją do udziału w konkursie. Georgina wahała się przez dwa lata, z obawy przed burzą, która na pewno rozpętałaby się w prasie w czasie konkursu. Wreszcie jednak zgodziła się, pod warunkiem że rodzice pojadą razem z nią.

Zgodnie z oczekiwaniami media zgotowały jej w Miami gorące przyjęcie. Na lotnisku czekali na nią fotografowie, a w tłumie zjawili się również krewni Rizków z Portland i Quebecu, którzy wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Nawet bejrucka telewizja wysłała do Miami ekipę z kamerą.

Konkurs odbył się wiosną 1971 roku w olbrzymiej hali widowiskowej w Miami. Kandydatki, w tym także miss Izraela Eti Orgad, weszły na scenę, na której wzniesiono wysadzany klejnotami pałac królewski. W długich białych sukniach kandydatki kroczyły po wybiegu wcinającym się w widownię. Kamery telewizyjne transmitowały to wydarzenie do milionów domów na całym świecie.

Za faworytki uważano królowe piękności z Brazylii i Holandii. Obie były prześliczne i zyskały już wcześniej sławę jako modelki, dlatego nikt nie spodziewał się, że upragniony tytuł otrzyma ktoś inny. Członkowie jury podjęli szybką i nieoczekiwaną decyzję. Wybrali Georginę Rizk, co było historycznym wydarzeniem. Pierwszy raz królowa piękności z Bliskiego Wschodu otrzymała tytuł Miss Universe.

Pod Georginą uginały się kolana, gdy niczym we śnie podeszła do prowadzącego imprezę, żeby odebrać od niego berło. Drżącym, ściszonym głosem złożyła wszystkim podziękowania. Znowu otoczyli ją dziennikarze, mikrofony i kamery. Do zdjęć pozowała z ojcem i matką.

Przez następne tygodnie Georgina robiła wszystko, czego oczekiwano od miss universe. Jeździła na drugi koniec świata, pojawiała się na przyjęciach w Nowym Jorku i Londynie, tańczyła na balach charytatywnych w Peru i na Tajwanie, spotykała się z szefami rządów i ministrami w Afryce Południowej, a także w krajach Zatoki Perskiej. Prawie wszędzie pytano ją o to, czy popiera walkę Palestyńczyków. Przytakiwała, ale nie mówiła wiele na ten temat.

– Proszę zadawać pytania dotyczące mojej osoby – prosiła dziennikarzy, gdy próbowali skierować rozmowę na tematy polityczne. – Proszę pytać o to, o co zapytalibyście każdą miss universe.

Gdy po sześciu tygodniach wróciła do Libanu, na lotnisku powitały ją gorące owacje. W drodze do domu widziała na wiaduktach transparenty z gratulacjami i swoje zdjęcia w koronie miss. W domu czekało na nią morze kwiatów.

W ciągu jednej nocy dziewiętnastoletnia Georgina stała się najpopularniejszą kobietą w kraju. Młode dziewczyny czesały się tak jak ona i całymi godzinami czekały pod drzwiami jej domu, żeby zdobyć jej autograf. Ośrodek narciarski w górach Szuf zapłacił jej, by móc umieścić w nazwie jej imię. Zaangażowano ją do udziału w filmach i spotach reklamowych libańskiego Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Powierzono jej funkcję pierwszej hostessy w Casino du Liban, w którym bawiła się śmietanka towarzyska, a bogaci arabscy turyści zostawiali ogromne sumy. Razem z siostrą otworzyła luksusowy butik i była mile widzianym gościem na każdym balu i przyjęciu.

W ekskluzywnych restauracjach i nocnych klubach w mieście pojawiała się w towarzystwie coraz to innych mężczyzn, a działy z plotkami towarzyskimi w lokalnych gazetach rozpisywały się na jej temat. Nauczyła się żyć w świetle reflektorów, zaplanowała stworzenie ogólnokrajowej sieci sklepów, otrzymywała wiele propozycji małżeństwa, choć nie spieszyło jej się do ślubu. Chciała jeszcze tak wiele zrobić, zanim zwiąże się z kimś na stałe.

Nie spodziewała się, że wkrótce zrządzeniem losu na jej drodze stanie mężczyzna, który wywróci jej życie do góry nogami.

14

28 listopada 1971 roku w odseparowanej sali restauracyjnej na drugim piętrze hotelu Sheraton w Kairze kelnerzy dwoili się i troili, obsługując członków arabskiej Rady Wspólnej Obrony, którzy przed posiedzeniem zgromadzili się na uroczystym obiedzie. Rada stanowiąca część Ligi Państw Arabskich zastanawiała się nad wspólnymi kwestiami bezpieczeństwa państw członkowskich.

Za wielkimi oknami hotelu płynął spokojnie Nil, a w promieniach słońca żagle feluk rybackich wyglądały jak jasne, ruchome plamki. W sali restauracyjnej i w korytarzu uzbrojeni ochroniarze czuwali nad bezpieczeństwem członków rady.

Wasfi al-Tal, premier Jordanii stojący na czele delegacji swojego kraju, skończył obfity posiłek, przez kilka minut rozmawiał ze swoimi sąsiadami przy stole i wstał, żeby wrócić do sali posiedzeń, w której podejmowano decyzje dotyczące planowanych działań przeciwko Izraelowi.

Al-Tal, który właśnie skończył pięćdziesiąt lat, był przyjacielem i zaufanym króla Husajna. Należał do grona tych, którzy nakłaniali króla do pozbycia się bojowników z Al-Fatah, a nawet osobiście nadzorował część przesłuchań i tortur, którym poddani zostali wysoko postawieni członkowie Al-Fatah, schwytani przez jordańską armię. Arafat z zaciśniętymi zębami przyjął wiadomość o współudziale al-Tala w wymordowaniu jego ludzi i postanowił, że przy pierwszej nadarzającej się okazji weźmie na nim odwet. Misję tę miał wypełnić Czarny Wrzesień.

Al-Tal przeszedł przez lobby hotelowe w towarzystwie swojej obstawy. Znajomi ściskali mu dłoń, turyści przyglądali się z zaciekawieniem, a jego żona powiedziała mu, że razem z małżonkami innych delegatów wybiera się właśnie na wycieczkę po mieście. Pożegnała się, powiedziała, że wróci wieczorem, i życzyła mu owocnej dyskusji. Ochroniarze rozglądali się uważnie, ale nie dostrzegli w lobby hotelowym żadnego niebezpieczeństwa.

Gdy zauważyli zagrożenie, było już za późno. Ciemnowłosy, młody mężczyzna siedział w rogu lobby, czytając dziennik „Al-Ahram”. Odłożył gazetę, powoli podniósł się z fotela, podszedł do al-Tala, krzyknął „*Ya chian*!”, czyli „Ty zdrajco!”, wyciągnął pistolet i strzelił do swojej ofiary pięć razy, zanim ochrona zdążyła go powstrzymać. Al-Tal zgiął się wpół. Napastnik, dwudziestotrzyletni Monzer Kalifa, upadł na kolana i zaczął zlizywać krew zamordowanego.

– To mój obiad! – zawołał. – Nigdy nie jadłem czegoś równie dobrego!

Wasfi al-Tal wkrótce zmarł w wyniku odniesionych ran. Egipskie służby specjalne aresztowały zamachowca i przetrzymywały go w sali tortur w piwnicy bazy tajnych służb. Żaden ze śledczych nie okazał mu współczucia. Zlany krwią, obolały i bliski śmierci Monzer zdradził swoich wspólników, których jeszcze tego samego dnia ujęto, gdy próbowali zbiec z kraju. Wszyscy trzej przyznali się do członkostwa w Czarnym Wrześniu i w ten sposób po raz pierwszy nazwa organizacji trafiła na pierwsze strony gazet.

Król Husajn zareagował przerażeniem na wieść o śmierci premiera. Krwawy zamach w jednej chwili przypomniał mu dzień, w którym od kul zginął jego dziadek król Abdullah I. Husajn miał szesnaście lat, kiedy 20 lipca 1951 roku towarzyszył dziadkowi w modłach w meczecie Al-Aksa w Jerozolimie. Tam, na zlecenie muftiego Jerozolimy, ukrył się palestyński zamachowiec, który strzelił do króla i jego wnuka. Abdullah poniósł śmierć na miejscu, a Husajn przeżył, bo kula trafiła w złotą odznakę na jego piersi. Wiedział, że palestyńscy zamachowcy również jego chcieli zabić.

Po zamachu na Wasfiego al-Tala w kwaterze głównej Mossadu w Tel Awiwie wydobyto z archiwum wszystkie zebrane do tej pory materiały na temat Czarnego Września. Segregator był prawie pusty. Wiedziano tylko, że organizacja została utworzona po to, żeby odpłacić Jordanii za masakrę na Al-Fatah i że szef służb specjalnych Salah Khalaf *alias* Abu Iyad przejął nad nią zwierzchnictwo. Nie tylko w Mossadzie, ale także w szeregach Al-Fatah nikt nie wiedział, ilu członków liczy organizacja i kim są jej najważniejsi ludzie. Niektórzy przypuszczali, że głównodowodzącym Czarnego Września był nie kto inny, jak prawa ręka Abu Iyada, czyli Ali

Salameh, człowiek, który zwerbował wykonawcę zamachu na Wasfiego al-Tala i opracował w szczegółach plan działania.

Ale nawet bez większej wiedzy na temat Czarnego Września izraelskie służby wywiadowcze uważały tę organizację za potencjalnie niebezpieczną. Informatorów z Libanu i Jordanii poproszono o zebranie wszelkich danych na temat struktury dowodzenia, kwatery głównej, obozu szkoleniowego, arsenału i planów operacyjnych Czarnego Września. Pracownicy Mossadu gorączkowo gromadzili dane w Bejrucie i Ammanie. Często wykorzystywali do tego celu nowoczesne urządzenia podsłuchowe. Ale dowiedzieli się tylko tego, że dowódcy Czarnego Września rekrutowali się z grupy, którą kilka lat wcześniej szkolono w egipskich bazach tajnych służb i że na czele ugrupowania stał Ali Salameh. Szefowie Mossadu po gruntownym zapoznaniu się z jego biografią i analizą charakterologiczną musieli dojść do wniosku, że stanął im na drodze twardy przeciwnik.

15

Spotkali się w słoneczny dzień w położonym na uboczu, małym lokalu w Vancouver, z dala od tłocznych, ekskluzywnych restauracji przy kei, gdzie cumowały wielkie statki pasażerskie, wypływające w dłuższe i krótsze rejsy. W sali restauracyjnej oprócz nich siedziały jeszcze dwie pary, które w ogóle nie zwracały na nich uwagi. Rozmawiali po angielsku.

– Mam dobre wieści. Wkrótce dostaniesz awans o jeden stopień – powiedział z uśmiechem Icchak, jedząc łososia gotowanego na parze.

Tego dnia mijało sześć miesięcy, od kiedy Sylvia zawitała do Vancouver. Spojrzała radośnie na Icchaka.

– Opowiadaj – ponaglała go.

– Nie tak szybko. – Icchak próbował ostudzić jej entuzjazm. – Do tej pory przeszłaś pomyślnie pierwszą fazę przyswajania sobie nowej biografii. Przyzwyczaiłaś się do nowego miejsca zamieszkania, przejęłaś lokalne zwyczaje i zaprzyjaźniłaś się z sąsiadami. Teraz zaczyna się kolejny etap i tym razem twoja nowa tożsamość zostanie wystawiona na trudniejszą próbę. Musisz wykazać się inicjatywą i przedsiębiorczością, bo, tak jak w pierwszej fazie, czeka cię samodzielna praca. Masz udowodnić, że Patricia Roxburgh zdoła wkrótce wykonać swoje pierwsze prawdziwe zadanie.

Icchak wyjaśnił jej, że jednostka do zadań specjalnych chce znaleźć dla niej zatrudnienie w międzynarodowej agencji fotograficznej z siedzibą w Paryżu, bowiem tam najłatwiej i najtaniej można było stworzyć dogodną bazę wypadową.

– Masz na oku jakąś konkretną agencję? – zapytała Sylvia.

Odkąd udawała fotoreporterkę, dowiedziała się wiele na temat międzynarodowych agencji fotograficznych.

– Tak naprawdę jeszcze nie – przyznał Icchak. – Wiem tylko, że Paryż to dla ciebie najlepsze pole działania.

Podkreślił też, że do tego typu agencji trudno dostać się z ulicy. Francuscy fotografowie z większym doświadczeniem zawodowym daremnie stukali setki razy do drzwi agencji. W tej branży pracę znajdowali

tylko najlepsi, których zdjęcia prasowe miały szanse na znalezienie nabywcy. Następnego dnia Icchak miał polecieć do Londynu, żeby spotkać się z brytyjskim biznesmenem, który już wcześniej często pomagał Mossadowi nawiązać właściwe kontakty we właściwych miejscach. Teraz miał podjąć współpracę z jakąś paryską agencją fotograficzną. Icchak obiecał, że wkrótce wróci i opowie Sylvii o rezultacie
spotkania.

Kiedy się pożegnał, Sylvia poczuła, że jest nazbyt podekscytowana, by od razu pójść spać. Nareszcie nadeszła długo oczekiwana chwila. Pod nowym nazwiskiem miała polecieć do Paryża, żeby tam zrealizować pierwszą misję. Długo błąkała się po pustych ulicach swojej dzielnicy, sprawdzając raz po raz, czy ktoś jej nie śledzi, bowiem ostrożność weszła jej już w krew.

Spotkanie z biznesmenem odbyło się w eleganckim klubie przy Trafalgar Square. Icchak opowiedział swojemu rozmówcy, że szuka pracy w Paryżu dla swojej krewnej, fotoreporterki z Kanady. Biznesmen nie zadawał zbędnych pytań. Nie znał wprawdzie nikogo w żadnej agencji fotograficznej, ale obiecał, że zasięgnie języka. Już następnego dnia zadzwonił do Icchaka.

– Umówiłem pana na spotkanie z kimś, kto ma w paryskim środowisku lepsze kontakty niż ja.

– Jak się nazywa?

– Michel de-Carson, jest producentem filmowym. Jego nazwisko coś panu mówi?

– Nie.

– Jest Żydem i przyjacielem Izraela. To dobry człowiek.

Michel de-Carson okazał się sympatyczny i gotowy do pomocy. Jeden z jego przyjaciół w Paryżu prowadził renomowaną międzynarodową agencję fotograficzną. Zapytał, kogo ma polecić.

– Patricię Roxburgh.

– Ma talent? – zapytał Francuz.

– I to ogromny.

Louis Delmas, przyjaciel de-Carsona, był właścicielem agencji Delmas Photo, której przestronne biuro mieściło się niedaleko paryskiego lotniska Orly. Delmas był utalentowanym fotografem i dobrym biznesmenem.

Zdjęcia z jego agencji kupowano na całym świecie, a do jego klientów zaliczały się największe gazety.

Na prośbę de-Carsona Delmas był gotów spotkać się z Sylvią, żeby wyrobić sobie o niej własne zdanie. Sylvia kupiła bilet lotniczy i przyjechała do Paryża z grubym portfolio. W środku nie znalazło się żadne zdjęcie z Afryki Południowej czy Izraela, które mogłoby zdradzić jej prawdziwą tożsamość.

Paryż w grudniu 1971 roku zrobił na niej ogromne wrażenie. Stare domy, zapach świeżych rogalików i bagietek, który dobiegał z piekarni na ulicy, eleganckie damy, szum wody, gdy wcześnie rano zamiatacze sprzątali ulice miasta, i szelest ich mioteł na chodniku i asfalcie ulic, obezwładniający aromat naleśników i pieczonych kasztanów przy Łuku Triumfalnym, monumentalne mosty nad płynącą spokojnie Sekwaną i małe łódki, zostawiające za sobą na rzecznej wodzie delikatną pianę.

Francja była doskonałą bazą wypadową. Można było z łatwością przekroczyć granicę z sąsiednimi państwami, czuło się tu przyjazny, proizraelski nastrój, który wtedy przeważał w społeczeństwie. Sylvia cieszyła się, że właśnie tutaj się znalazła.

Louis Delmas spoglądał na nią sceptycznie. Z doświadczenia wiedział, że fotografowie gorąco polecani przez przyjaciół i znajomych nie dysponowali znakomitym warsztatem. Mówiąc po angielsku z mocnym francuskim akcentem, poprosił ją o portfolio. Rozłożyła przed nimi kilkadziesiąt zdjęć: ujęcia krajobrazów i portrety, serie zdjęć z zawodów sportowych, demonstracji i strajków.

– Nieźle – mruknął pod nosem Delmas.

Zapytał ją, gdzie poznawała tajniki zawodu. Przemilczała prawdę, żeby nie zdradzić mu, że tyle czasu spędziła w Izraelu.

– Uczyłam się w Vancouver – powiedziała.

– Kiedy może pani zacząć pracę?

– Potrzebuję kilku dni na znalezienie mieszkania. Potem jestem do pańskiej dyspozycji.

Delmas dał jej dwa tygodnie na konieczne przygotowania.

Po wyjściu z biura Sylvia wstąpiła do kilku agencji pośrednictwa nieruchomości i za pozwoleniem jednostki do zadań specjalnych wynajęła jednopokojowe mieszkanie przy spokojnej uliczce w centrum miasta, w pobliżu studia telewizyjnego. Zadzwoniła do Icchaka, który szkolił ją w

Vancouver i załatwił jej pracę w Delmas Photo. Cieszył się, że znalazła mieszkanie, i podał jej numer wolno stojącej budki telefonicznej.

– Stamtąd możesz zadzwonić między 12.00 a 12.20 – powiedział. – Człowiek, który odbierze, to twój oficer prowadzący. Przygotuj się na niespodziankę.

Kiedy zadzwoniła o umówionej godzinie, odpowiedział jej znajomy głos. Nie wierzyła własnym uszom.

– To ty? – zapytała z radością.

– We własnej osobie...

Jej oficerem prowadzącym w Paryżu był Abraham Gehmer, jej wcześniejszy nauczyciel. Również teraz nie wolno jej było posługiwać się jego prawdziwym imieniem, dla niej pozostał Odedem. Nie znała jego prywatnego numeru telefonu i nie mogła odwiedzać go w domu ani poznać jego rodziny. W porozumieniu ze swoimi przełożonymi przekazywał jej polecenia i odbierał od niej raporty. Poza tym miał zapewnić jej wszystko, czego potrzebowała.

Oficerowie prowadzący panują właściwie nad całym życiem agentów. Wiedzą dokładnie, gdzie agent przebywa i jak się z nim natychmiast skontaktować, gdyby zaszła taka konieczność. Spotykają się w kawiarniach i restauracjach, ale rozmawiają tylko o zaplanowanych akcjach. Często między agentem i jego oficerem prowadzącym rodzi się relacja zależności. Oficer wydaje polecenia, a agent je wykonuje. Polecenie od oficera prowadzącego to jasny rozkaz. Tylko wyjątkowe okoliczności, na przykład choroba, mogą usprawiedliwić niewykonanie polecenia.

Pomimo wszystkich ograniczeń narzuconych wzajemnym kontaktom oficera prowadzącego i agenta mają oni okazję poznać się nawzajem w różnych sytuacjach. Jeśli oficer prowadzący zostaje odwołany i zastąpiony przez innego kolegę, rozpoczyna się faza przejściowa, w której obie strony muszą przywyknąć do odmiennego charakteru partnera, jego sposobu pracy, tonu jego głosu czy skrupulatności. Nie zawsze proces ten przebiega bezkonfliktowo.

16

Dwa tygodnie później Sylvia zadzwoniła do Delmasa.

– Jestem do pańskiej dyspozycji – powiedziała.

– Bardzo dobrze. Mam dla pani interesujące zadanie. Proszę wpaść do mnie. Czekam na panią.

Metrem pojechała do biura. Jak zawsze upewniła się, że nikt jej nie śledzi, i przezornie przesiadła się kilka razy, zanim dotarła do celu.

– Wie pani, gdzie leży Somali Francuskie? – zapytał Delmas, gdy weszła do biura.

– W Afryce Wschodniej?

– Bardzo dobrze. Była tam pani?

– Nie!

– To teraz ma pani możliwość. Wygląda na to, że wkrótce dojdzie tam do wojny domowej.

– Kiedy mam się za to zabrać?

– Jak szybko się da.

Zadzwoniła do Abrahama, a on przekazał wiadomość do jednostki do zadań specjalnych. Tam zatwierdzono podróż i przekazano Sylvii długą listę środków ostrożności, które powinna przedsięwziąć.

Gdyby nie doskwierające upały panujące w rejonie Somali Francuskiego, to półmilionowe państwo, które w 1977 roku zyskało niepodległość jako Republika Dżibuti, można by z powodzeniem uznać za prawdziwy raj na ziemi. Były tu wysokie góry, urozmaicone krajobrazy pustynne i dzikie zwierzęta, a nad zatoką Tadżura, nad którą leżała stolica państwa, rozciągały się przepiękne, czyste plaże. Błękitna woda przyciągała masowo fanów nurkowania, a przy brzegu pływały stada niegroźnych rekinów, wśród których ludzie mogli bez obaw się kąpać.

Sylvia przybyła do Dżibuti w trudnym dla tego kraju okresie. Około jedną trzecią populacji stanowili członkowie plemienia Afarów, którzy już w III wieku p.n.e. przywędrowali tu z Etiopii. Następnie osiedlili się tu Somalijczycy, którzy przynieśli ze sobą islam. Francuzi zbudowali stolicę,

Dżibuti, rozpowszechnili język francuski i kulturę, a także zamienili tę część lądu we francuską kolonię, a potem we francuskie terytorium zamorskie. W referendum w 1958 roku populacja zagłosowała za przynależnością do Francji. W 1972 roku doszło do zamieszek zbrojnych, kiedy przeciwnicy Francuzów, przede wszystkim Somalijczycy, chcieli założyć państwo islamskie. Francuzi mieli swój interes w kontrolowaniu państwa w północno-wschodniej Afryce, ze względu na jego strategiczne położenie i dostęp do Morza Czerwonego i cieśniny Bab al-Mandab. Francuskie siły zbrojne zostały przysłane, żeby położyć kres niepokojom i przywrócić porządek. Oczywiście te wydarzenia wzbudziły ogromne zainteresowanie we Francji, a we francuskich gazetach pisano o tym na pierwszych stronach.

W stolicy obowiązywała godzina policyjna, kiedy samolot Air France z Paryża wylądował na niewielkim lotnisku. Pasażerów do miasta odeskortowała francuska straż wojskowa. Na poboczach ulic Sylvia widziała dziesiątki rozkładających się ciał. Przyjechała do hotelu Miramar w centrum miasta. Pomimo ostrzeżeń personelu hotelowego odważyła się wyjść na ulicę uzbrojona tylko w dwa aparaty fotograficzne, żeby sfotografować walki demonstrantów z policją. Uwieczniła wymianę ognia między wrogimi obozami i przeprowadziła wywiad z francuskimi kupcami, którzy zabarykadowali się z bronią w swoich domach. Kule przelatywały jej ze świstem obok uszu, ale ona bez strachu rzucała się na ziemię i nie przestawała robić zdjęć.

Jeden dzień spędziła we francuskim obozie wojskowym na obrzeżach miasta, rozmawiała z oficerami i żołnierzami, towarzyszyła im w trakcie akcji zbrojnych, podczas pojmania Somalijczyków i wydalenia ich z kraju. Swoje fotografie przekazała samolotem wojskowym do Francji.

Ostatniego dnia poszła popływać w morzu. Plaża była pusta i nawet tutaj słychać było echo wystrzałów. Wypożyczyła sprzęt do nurkowania i urządziła sobie podwodną wycieczkę po rafach koralowych ciągnących się wzdłuż wybrzeża.

Kiedy wróciła do Paryża, jej zdjęcia wciąż jeszcze ukazywały się na pierwszych stronach gazet. Jako jedyna fotoreporterka w całej Francji udokumentowała niepokoje w Dżibuti, a Louis Delmas, właściciel i dyrektor agencji fotograficznej, który ją tam wysłał, wypłacił jej premię za zdjęcia doskonałej jakości.

17

Ali Salameh podróżował po Europie ze sfałszowanym paszportem. Był w Monachium, Brukseli, Amsterdamie, Paryżu i Madrycie, zakładając tam nowe komórki Czarnego Września, zawsze wspierany przez dyplomatów reprezentujących państwa arabskie, szczególnie przez Libijczyków. Doborowych żołnierzy, których wokół siebie zgromadził, wyposażył w broń i amunicję, zdeponowane w tajnych arsenałach.

Salameh, podróżując po Europie, miał na oku jeszcze jeden cel. Szukał odpowiednich wykonawców planowanego właśnie, spektakularnego zamachu. I nie szukał wyłącznie mężczyzn.

Marzyło mu się, że Czarny Wrzesień przyćmi kiedyś wszystkie inne organizacje terrorystyczne na świecie, budząc postrach polityków i obywateli wszystkich państw, w tym przede wszystkim Izraela. Dlatego chciał zorganizować akcję na wielką skalę. Skończył z niewielkimi zamachami i atakami terrorystycznymi, bowiem uważał, że przyszła pora na sensacyjne wyczyny, które miały zdobyć rozgłos i budzić powszechne przerażenie.

Jego podekscytowanie narastało, w miarę jak szczegółowo planował pierwszy atak. Ali wierzył, że sukces akcji zapewni mu światowy rozgłos. Musiał zjednać sobie najlepszych ludzi. Wiedział, że im więcej specjalistów zwerbuje do swojego zespołu, tym większe szkody zdoła wyrządzić.

Bez większego wahania Ali mianował dowódcę oddziału. Abu Sneine pochodził z fanatycznej rodziny muzułmanów, jednego z największych i cieszących się największym poważaniem klanów z Hebronu. To on cztery lata wcześniej dowodził porwaniem samolotu El Al do Algieru. Miał duże doświadczenie nie tylko jako porywacz samolotów, ale także jako uzdolniony negocjator, gdy trzeba było wymienić zakładników na więzionych w Izraelu terrorystów. Ali uważał, że nikt inny nie nadaje się lepiej do kierowania nową misją.

Potem wybrał wywodzącego się z Druzów Abdula Aziza al-Atrasza, który należał do aktywnych członków Czarnego Września. Abdul Aziz miał

młodą ukochaną Rimę Tannous, która dorastała jako sierota w klasztorze w Betlejem, a potem wyjechała do Libanu, gdzie mieszkała sama, bez grosza przy duszy, i często padała ofiarą gwałtów i napaści. Rima była gotowa wziąć udział w akcji i poleciła swoją przyjaciółkę Thérèse Halsę, chrześcijankę i byłą uczennicę szkoły prowadzonej przez zakonnice w Akce, która uciekła do Libanu ze swoim ukochanym muzułmaninem, gdy jej rodzina nie zaakceptowała ich związku. Thérèse była żarliwą orędowniczką sprawy palestyńskiej i kiedy Abdul Aziz zaproponował jej udział w zamachu, bez wahania się zgodziła.

Całą czwórkę zaopatrzono w fałszywe paszporty, dzięki którym mogli polecieć do Brukseli. Nie bali się kontroli bezpieczeństwa, bo w czasie próbnego obchodu lotniska kilka dni wcześniej stwierdzili, że jest bardzo niedbale strzeżone. Z lotniska osobnymi taksówkami pojechali na dworzec główny. W skrytkach w przechowalni bagażu czekały już na nich pistolety i materiały wybuchowe, przeszmuglowane pocztą dyplomatyczną przez libijską ambasadę do Belgii. Obie kobiety dostały peruki.

8 maja 1972 roku terroryści wrócili na brukselskie lotnisko i wsiedli do samolotu linii Sabena lecącego do Lod pod Tel Awiwem. Służby bezpieczeństwa nie znalazły broni w ich bagażach. W samolocie siedziało dziewięćdziesięciu dziewięciu pasażerów. Stewardesy podawały obiad, kiedy jeden z terrorystów wdarł się z odbezpieczonym pistoletem do kokpitu i zawołał do kapitana:

– To jest porwanie!

Kapitan miał przekazać rządowi izraelskiemu, że oddział uwolni pasażerów i obsługę lotu, gdy Izrael wypuści z więzienia terrorystów i umożliwi porywaczom powrót do Libanu. Po wylądowaniu na lotnisku Lod rozpoczęły się negocjacje, ale w ich trakcie żołnierze z elitarnej jednostki szefa sztabu generalnego, przebrani za mechaników samolotowych, przeprowadzili brawurową akcję w samolocie, zabili obu mężczyzn, aresztowali obie kobiety i uwolnili pasażerów.

Terrorystki natychmiast przesłuchano. Śledczy chcieli wiedzieć, kto wydał im polecenie wykonania misji. Thérèse i Rima, przesłuchiwane oddzielnie, podały tę samą wersję: przysłali je aktywiści Czarnego Września.

– Chcemy usłyszeć nazwiska – domagali się śledczy.

Kobiety wymieniły Al-Atrasza i Alego Salameha.

– Co wiecie o Salamehu? – zapytano.

– Niewiele. Spotkaliśmy się tylko raz, żeby omówić plan.

– Gdzie on mieszka?

– Nie mamy pojęcia.

Nawet po długich i nużących przesłuchaniach ich zeznania się nie zmieniły.

Uprowadzenie samolotu linii Sabena zaskoczyło izraelskie służby specjalne. Żaden z uczestników posiedzenia kryzysowego w biurze szefa Mossadu Zwi Zamira nie przewidział takiego obrotu wydarzeń. Po długiej serii ataków Al-Fatah na Izraelczyków na terenach okupowanych kierujący Południowym Dowództwem generał major Ariel Szaron za pośrednictwem jednostek elitarnych wprowadził w Strefie Gazy politykę prewencyjnego odstraszania, dzięki czemu prawie w ogóle nie dochodziło tam do ataków. Wydawało się, że organizacje terrorystyczne dały za wygraną, ale spokój okazał się pozorny, zaś zwycięstwa Szarona tylko na krótką chwilę zapewniły Izraelczykom poczucie bezpieczeństwa.

Ścigając Czarny Wrzesień, izraelskie służby wywiadowcze nadal kroczyły po omacku. Wprawdzie liczono się z możliwością porwania i wysadzenia samolotów z wszystkimi pasażerami na pokładzie, ale uważano taki scenariusz za mało prawdopodobny, wręcz niemożliwy do realizacji. Porwanie samolotu linii Sabena na lotnisko Lod boleśnie zweryfikowało przewidywania Izraela.

Mossad w pierwszej kolejności wziął pod lupę Alego Salameha. Do tej pory nie udało się zdobyć na jego temat żadnych nowych informacji. Od kiedy rozpoczął służbę w Czarnym Wrześniu, otaczała go tajemnica. Sprzedał swojego mustanga i nie kupił żadnego nowego samochodu, unikał publicznych miejsc rozrywek i otoczył siebie i swój dom uzbrojonymi ludźmi. Tylko szef wywiadu Abu Iyad wiedział, gdzie dokładnie znajduje się Ali, co robi i jakie ma plany.

Wydano polecenie, by zintensyfikować poszukiwania informacji o Salamehu w archiwach Mossadu, pełną parą pracowały służby rozpoznawcze i Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Wspólnymi siłami nakreślono portret śliskiego jak węgorz, przebiegłego i inteligentnego terrorysty, który mówił płynnie po angielsku i niemiecku, a w razie potrzeby potrafił wykazać się okrucieństwem, torturował przesłuchiwanych i mordował wrogów z zimną krwią. Był samotnym wilkiem, który z nikim

się nie przyjaźnił, nie zwierzał się nawet własnej żonie i rzadko sypiał w domu. Izraelskie służby wywiadowcze nie wiedziały nic więcej. O jego powiązaniach z libijskimi i algierskimi ambasadami, które dostarczały jego ludziom broń, materiały wybuchowe i ważne informacje na temat aktualnych celów ataków, wiadomo było jeszcze mniej niż o jego podróżach po Europie i codziennych zwyczajach. Zgromadzono niewiele informacji na temat współpracy Alego ze Stasi i rekrutacji palestyńskich studentów we wschodniej i zachodniej Europie.

Co gorsza, gdy wtajemniczeni w sprawę Izraelczycy wciąż gorączkowo poszukiwali słabych punktów Alego, ten już szykował się do ataku znacznie bardziej tragicznego w skutkach niż uprowadzenie samolotu Sabeny. Ali osobiście opracował plan zamachu, zaś Abu Iyad, jego przełożony, z radością się na niego zgodził. Akcja mogła się rozpocząć.

30 maja 1972 roku o godzinie 22.00 na lotnisku Lod wylądował samolot Air France z Paryża. W trakcie międzylądowania w Rzymie wsiedli do niego trzej młodzi ludzie z organizacji terrorystycznej Japońska Czerwona Armia. Podróżowali ze sfałszowanymi paszportami i nikt nie przeszukał ich bagażu.

Na lotnisku Lod ze stoickim spokojem czekali na swoje walizki. Położyli je na podłodze hali przylotów, wyjęli z nich pistolety maszynowe i ręczne granaty, otworzyli ogień do stojących wokół ludzi i na chybił trafił rzucali granatami w tłum. Dwadzieścia dziewięć osób zginęło na miejscu, z czego większość stanowili chrześcijańscy pielgrzymi z Puerto Rico, którzy przybyli tu, by odwiedzić Święte Miasto. Wśród zabitych Izraelczyków znalazł się profesor Aharon Katzir, znany na całym świecie chemik i współzałożyciel korpusu naukowego izraelskich sił zbrojnych. Przeżył tylko jeden terrorysta, obłąkany młody Japończyk Kōzō Okamoto, który doprowadzał śledczych do wściekłości, opowiadając historie o tym, że ludzie po śmierci zamieniają się w gwiazdy na niebie.

Dzięki intensywnej pracy przy użyciu rozmaitych metod wywiadowczych izraelskie służby specjalne odkryły, że japońskie ugrupowanie terrorystyczne działało wedle planu opracowanego przez Czarny Wrzesień. Żeby w przyszłości ukrócić działalność tej organizacji, należało jak najszybciej zlikwidować jej przywódcę.

Część V

Przesłuchanie w obozie dla uchodźców

1

Nie bez przyczyny Bejrut zyskał miano „Paryża Bliskiego Wschodu”. Francuskie władze mandatowe zostawiły po sobie niezatarty ślad w postaci francuskiego stylu życia i kultury. W Bejrucie mieszkało wielu bardzo bogatych ludzi, swoje siedziby miały tu wielkie arabskie banki, tłumnie przybywali tu turyści w poszukiwaniu rozrywki w ekskluzywnych nocnych klubach, a piękne kobiety dla pieniędzy gotowe były zrobić wszystko. W ciągu dnia w Bejrucie kwitł handel. Na złotych plażach beztrosko opalali się urlopowicze, a z wielkich statków rejsowych regularnie schodziły na ląd grupki pasażerów, żeby zwiedzać miasto lub dalsze okolice. Wieczorami swoje podwoje otwierały restauracje i nocne kluby, zaś na parkietach tłoczyli się goście, którzy tańczyli w rytm ogłuszającej muzyki. W dzielnicy rozrywki robił się korek, a po ulicach chwiejnym krokiem chodzili pijani ludzie.

Roziskrzone światła i kwitnący przemysł rozrywkowy odwracały uwagę od ciemnej strony miasta. Z zagranicy przyjeżdżali tu doświadczeni terroryści ze sfałszowanymi paszportami, którzy dyskretnie spotykali się ze swoimi palestyńskimi gospodarzami w obozie dla uchodźców, żeby naradzić się, jak można zaatakować Izrael i podkopać jego bezpieczeństwo. Zawitali tutaj terroryści z niemieckiego ugrupowania Baader-Meinhof, członkowie Japońskiej Armii Czerwonej odpowiedzialni za szkolenie zabójców i terrorystów oraz dowódcy włoskiego ugrupowania terrorystycznego Czerwone Brygady. Nawet niesławny mistrz terroryzmu Carlos przyjechał tu, żeby podzielić się z innymi swoimi doświadczeniami.

W eleganckiej restauracji przy ulicy Saifa al-Dina al-Katiba w Bejrucie panowała radosna i beztroska atmosfera. Georgina Rizk siedziała przy stoliku z kilkorgiem przyjaciół. Kelnerzy nadskakiwali szacownym gościom, a niekiedy obsługiwał ich sam właściciel, na scenie występował świetny zespół. Jedli i śmiali się, a między kolejnymi daniami wmieszali się w tłum tańczący na parkiecie.

Nie patrzyli na drzwi i nie zauważyli, że do lokalu wszedł Ali Salameh. Z dwoma przyjaciółmi podszedł do stolika, który kelnerzy czym

prędzej dla niego uprzątnęli, i z zachwytem przyglądał się pięknym kobietom przy sąsiednim stoliku. Na widok Georginy w jego oczach zapaliły się płomienie. Natychmiast ją rozpoznał, przecież widywał ją w gazetach niezliczoną ilość razy.

Była najpiękniejszą kobietą w lokalu i kiedy wróciła do stolika, on podszedł do niej, ukłonił się i zaprosił ją do tańca.

Georgina obrzuciła go wymownym spojrzeniem. Nie znała tego przystojnego mężczyzny. Czarna koszula opinała jego muskularny tors. Ali posłał jej uroczy uśmiech, który złamał już serce tylu kobietom, i wyciągnął do niej rękę. Wyszła z nim na parkiet.

Oczy wszystkich zwróciły się w ich kierunku. Byli piękną parą i doskonale tańczyli. Jego ramiona otulały jej szczupłą talię, jej dłonie dotykały jego ramion.

– Nazywam się Ali – przedstawił się. – Ali Hassan Salameh.

– Chyba już gdzieś słyszałam to nazwisko – odparła.

– To pewnie z powodu mojego ojca – powiedział. – Nazywał się Hassan Salameh i stał na czele Palestyńczyków w czasie wojny w 1948 roku – dodał z nieskrywaną dumą.

Georgina przypominała sobie mgliście, że w szkole uczyła się na temat jego ojca.

– Czym się zajmujesz? – zapytała.

– Mam stanowisko w Al-Fatah, pracuję dla Jasira Arafata.

Poczuła dreszcze na plecach. Nigdy wcześniej nie poznała żadnego członka Al-Fatah i nikt z kręgu jej przyjaciół nie utrzymywał kontaktów z ekstremistycznymi organizacjami arabskimi. Wiedziała o Al-Fatah tylko tyle, ile napisano w gazetach, ale to wystarczyło, żeby ją zniechęcić.

– Zabiłeś już kogoś? – zapytała.

– Tylko złych ludzi.

– Kobiety i dzieci?

Ali był zakłopotany.

– Czasem nie ma innego wyboru.

– Zawsze jest inny wybór – odparła z wyrzutem.

– Posłuchaj – powiedział pojednawczo. – Czy to nie Żydzi zaczęli zabijać kobiety i dzieci? W 1948 roku zrównali z ziemią mnóstwo arabskich wiosek, przepędzili mieszkańców z ich domów i nigdy nie pozwolili im do nich wrócić. Również w Kuli, wsi, w której się urodziłem,

rabowali i niszczyli, przepędzając mieszkańców. Trwa wojna, Georgino. A w czasie wojny umierają także niewinni.

Te zdania, wypowiedziane w radosnej i beztroskiej atmosferze lokalu, poruszyły Georginę. To nie były odpowiednie miejsce i czas na takie rozmowy.

– Przepraszam, że wciągnęłam cię w tę rozmowę – powiedziała. – Wolałabym porozmawiać o czymś innym.

– A o czym?

– Na przykład o tobie.

– A czego chciałabyś się dowiedzieć?

– Wystarczyłyby mi najważniejsze informacje.

– Zadaj mi pytanie.

– Jesteś wolny?

– Nie, żonaty.

Jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

– Twoja żona tu jest?

– Oczywiście, że nie.

– Dlaczego?

Znowu był zakłopotany.

– Nasze relacje... no cóż, powiedzmy, że pozostawiają wiele do życzenia – wymamrotał.

– Rozumiem.

Muzyka ucichła. Ali odprowadził Georginę do stolika.

– Zobaczymy się jeszcze? – zapytał.

Odpowiadając, odwróciła wzrok.

– Nie sądzę.

Ali wrócił do swojego stolika rozczarowany i przygnębiony. Jeszcze nigdy nie dostał kosza. Przywykł już do tego, że kobiety leżały u jego stóp, nawet gdy niespecjalnie się o nie starał. Georgina była inna. Jej odmowa spowodowała tylko, że jeszcze bardziej zapragnął ją zdobyć.

Przywołał do siebie kelnera i wcisnął mu w dłoń zwitek banknotów. Kelner zniknął i po chwili postawił na stoliku Georginy butelkę wyśmienitego szampana.

– To od pana przy sąsiednim stoliku – wyjaśnił, pokazując palcem na Alego.

W podziękowaniu skinęła głową. Korek cicho strzelił, gdy kelner otworzył butelkę i nalał Georginie szampana. Poprosiła, żeby napełnił też kieliszki jej przyjaciół. Chwilę później cała grupa wstała i opuściła lokal, a Georgina nie zaszczyciła Alego nawet jednym spojrzeniem.

2

Zdjęcia Sylvii-Patricii z Dżibuti wzbudziły jednogłośny podziw, dlatego od Delmas Photo i francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych otrzymała propozycję pokazania ich na wystawie w Paryżu. Poinformowała o tym swojego oficera prowadzącego Abrahama, pytając, jaką ma podjąć decyzję. Pytanie przekazano do kwatery głównej jednostki do zadań specjalnych, gdzie niezwłocznie poddano sprawę pod dyskusję. W czasie wszelkich publicznych imprez istniało niebezpieczeństwo, że pojawi się tam jakiś dawny znajomy Sylvii i ją rozpozna. Ale po rozważeniu wszystkich za i przeciw uznano, że taka wystawa może przysłużyć się Sylvii. Przyniesie jej sławę jako fotoreporterce światowej klasy i być może ułatwi jej wjazd do krajów arabskich.

Zdjęcia zawisły na ścianach przestronnego lobby luksusowego hotelu Ritz przy placu Vendôme. W czasie wernisażu zwisające z sufitu kryształowe żyrandole świeciły tysiącem świateł, a paryska śmietanka towarzyska wypełniła salę. Elegancko ubrani dziennikarze i dyplomaci chcieli poznać fotoreporterkę, o której wcześniej nie słyszeli. W zaproszeniu na wernisaż napisano: „Żywe świadectwo z Dżibuti, fotografie Patricii Roxburgh”. W swojej mowie powitalnej przedstawiciel francuskiego Ministerstwa Kultury pochwalił fotografie i całą wystawę, wywołując burzę oklasków.

Czarno-białe i kolorowe zdjęcia oprawiono w jednakowe drewniane ramy. Niektóre fotografie ukazały się już we francuskiej prasie, ale wiele po raz pierwszy ujrzało światło dzienne. Niektóre dokumentowały zamieszki w Dżibuti, widniały na nich zwłoki leżące na ulicach, płaczące dzieci w ramionach matek i rozwścieczony tłum wdzierający się do francuskich sklepów. Obok wisiały jednak również zachwycające portrety ludzi uchwyconych przez obiektyw Sylvii: afarskich dygnitarzy w kolorowych strojach, pracujących na roli Issów, którzy w odległych zakątkach kraju uprawiali nieurodzajną ziemię, francuskich żołnierzy, rodzinę w czasie skromnego posiłku w wiejskiej chacie, żebrzące dzieci i wdowy w łachmanach oraz rybaków wyciągających sieci w zatoce.

Sylvia wmieszała się w tłum gości, którzy chcieli dowiedzieć się więcej o jej przeżyciach. Miała na sobie długą czarną suknię i choć nie założyła żadnej biżuterii i nie zrobiła makijażu, i tak rzucała się w oczy. Nie tylko dlatego, że była szczupła i wysoka, ale przede wszystkim dlatego, że miała w sobie nieodparty urok. Wiele osób wymieniło z nią wizytówki.

Zainteresował się nią między innymi wysoki rangą dyplomata z jordańskiej ambasady. Przedstawił się i wyraził się bardzo pochlebnie o wystawionych fotografiach. Sylvia wykorzystała okazję, żeby zdradzić mu swoje marzenie: chciała choć raz sfotografować ważne osobistości i prostych ludzi z krajów arabskich.

– Egzotyka tych miejsc mnie zauroczyła – powiedziała.

– Była pani już kiedyś w Jordanii? – zapytał dyplomata.

– Niestety nie.

– To proszę nas kiedyś odwiedzić.

– Chętnie, to świetny pomysł – odparła Sylvia.

Był od niej starszy. W jego czarnych włosach pojawiły się już srebrne kosmyki, a Sylvii wydawało się, że okazał jej zainteresowanie nie tylko z czysto zawodowych względów. Uważnie przysłuchiwała się temu, co opowiadał o jordańskim narodzie i rządzie w swoim kraju. Kiedy tłum zaczął się przerzedzać, zaprosił ją na kolację. Nie widziała powodu, by mu odmówić. Wybrał restaurację w Ritzu, jedną z najdroższych w Paryżu.

W czasie kolacji Jordańczyk z zachwytem wypytywał o jej pochodzenie i pracę. Opowiedziała mu, że urodziła się w Kanadzie, mieszkała w Vancouver i tam robiła zdjęcia do gazet, a później przyjechała do Paryża.

– Dowiem się, czy nie moglibyśmy sprowadzić pani na zaproszenie Ministerstwa Informacji – obiecał jej.

Zanotował jej numer telefonu. Po kolacji zaproponował, że podwiezie ją do domu swoim samochodem z dyplomatycznymi tablicami rejestracyjnymi. Grzecznie odmówiła.

– Mieszkam niedaleko – skłamała, żeby nie zdradzać mu swojego adresu.

– Czy mogę zaprosić panią jeszcze kiedyś na kolację? – zapytał.

– Czemu nie? Proszę zadzwonić.

Sylvia złożyła swojemu oficerowi prowadzącemu sprawozdanie z rozmowy z jordańskim dyplomatą. On powiedział, że jeśli dostanie zaproszenie do Jordanii, zgodę na jej wyjazd musi wyrazić centrala.

Natomiast Louis Delmas, szef agencji fotograficznej, od razu zapalił się do tego pomysłu.

– Żaden z naszych fotografów nie był jeszcze w Jordanii – powiedział. – Jeśli pani tam pojedzie, proszę koniecznie sfotografować uchodźców, żołnierzy i tamtejszych przywódców, po prostu wszystko, co wyda się pani interesujące. Jestem pewien, że takie zdjęcia świetnie się sprzedadzą na całym świecie.

Jordański dyplomata zadzwonił dwa dni później, żeby poinformować ją, że jordańskie Ministerstwo Informacji przychyliło się do pomysłu jej wizyty.

– Nasz dom to pani dom – powiedział po arabsku i natychmiast przetłumaczył na angielski. – Czy mogę pani przekazać dalsze informacje w czasie wspólnego obiadu? – dodał.

Zaproponował L'Espadon Bleu, lokal słynący z owoców morza. Kiedy przyszła, dyplomata już czekał na nią przy stoliku pod oknem. Wstał, żeby się z nią przywitać, i serdecznie uścisnął jej dłoń.

– Bardzo się cieszę, że znów możemy się zobaczyć – powiedział na przywitanie.

– Ja również – odparła Sylvia i wcale nie kłamała.

Bardzo ciekawiła ją Jordania, a perspektywa podróży wydawała jej się niezwykle ekscytująca. Jednostka do zadań specjalnych bez większych oporów udzieliła jej pozwolenia na wyjazd, bowiem nawiązywanie kontaktów z wpływowymi osobistościami w państwach arabskich stanowiło ważny etap działalności agenta. Sylvia miała wszelkie powody do zadowolenia. Przebyła trudną drogę – przyswoiła sobie nową biografię w Vancouver, zdobyła zatrudnienie w paryskiej agencji fotograficznej i uznanie jako fotoreporterka – ale wysiłek się opłacił. Nie wątpiła, że sprawy dalej potoczą się po jej myśli, choć wcale nie spodziewała się, że teraz wszystko pójdzie jak z płatka.

Jordański dyplomata powiedział jej, że za kilka tygodni musi wyjechać do ojczyzny. Z radością oznajmił Sylvii, że może towarzyszyć jej w podróży.

– Obiecuję pani niezapomniane przeżycia – powiedział z błyskiem w oku.

Zanim kilka tygodni później Sylvia wyruszyła w drogę, Abraham poinstruował ją, że ma nawiązać z nim kontakt, mimo że jednostka do zadań specjalnych nie przewidziała dla niej żadnej misji związanej z tym wyjazdem. Potencjalnie mogłaby przy takiej okazji wykonać również czynności operacyjne, bowiem nie należała do agentów wyspecjalizowanych w określonym typie działań. Nie była, na przykład, zwiadowcą, wyszkolonym wyłącznie do stałej obserwacji określonego celu. Została przygotowana do zadań wszelkiego typu. Jednak przełożeni z Mossadu nie zlecili jej żadnej misji w Jordanii. Przynajmniej nie tym razem.

Na jordańskim lotnisku jej towarzysz podróży pomógł jej zdobyć wizę i wraz z nim bez problemów przeszła przez kontrolę paszportową. Zaś po wyjściu z lotniska kierowca otworzył jej drzwi do czekającej już na nią rządowej limuzyny z jordańską flagą. Zarezerwowano dla niej pokój w luksusowym hotelu Regency Palace w Ammanie.

Amman, stolicę Haszymidzkiego Królestwa Jordanii i siedzibę rządu, nazywano także „miastem siedmiu wzgórz". Zabytkowa część miasta przypominała wschodnią Jerozolimę, a część nowsza była podobna do zachodniej Jerozolimy, z jej kamiennymi budynkami, zielonymi parkami i tętniącymi życiem ulicami. Poznany w Paryżu dyplomata służył jej za przewodnika. Oprowadził ją po medynie, starej dzielnicy w centrum miasta, gdzie znajdowały się najważniejsze zabytki Ammanu. Odwiedzili górujący nad miastem pałac Umajjadów, rzymski amfiteatr i świątynię Herkulesa, a w słynnej restauracji Kan Zaman zjedli *mansaaf*, tradycyjną potrawę z jagnięciny, ryżu i jogurtu. Cały zastęp kelnerów w tradycyjnych beduińskich strojach obsługiwał ich jak najznamienitszych gości. Stawiali na stole najbardziej wykwintne potrawy kuchni jordańskiej i częstowali gości sokiem z tamaryndowca.

Przez trzy następne dni Sylvia przemierzała ze swoim towarzyszem kraj wzdłuż i wszerz, od Akaby na południu po Dżarasz na północy, od Wadi Rum po zachwycające budowle zachowane w Petrze. Sylvia niestrudzenie fotografowała wszystko i każdego, kto wydał jej się interesujący: sprzedawcę obwarzanków z sezamem na plaży w Akabie (skąd rzucała tęskne spojrzenia w stronę Ejlatu), dorożki dla turystów w Petrze, mieszkańców pustyni, rolników i uczniów w szkolnych mundurkach

w Ammanie. Portretowała też lokalnych polityków z rodzinami. Nie wolno jej było fotografować tylko obiektów militarnych.

3

Ali Salameh nie mógł zapomnieć przypadkowego spotkania z Georginą Rizk. Wspomnienie o niej prześladowało go cały czas i zawładnęło jego myślami. Żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia.

Niezliczoną ilość razy przywoływał w pamięci ich krótką rozmowę na parkiecie. Czuł, że stracił panowanie nad sobą i powiedział jej o sprawach, o których nie powinien nikomu mówić, a już na pewno nie na tak wczesnym etapie znajomości. Najwyraźniej się przeraziła, kiedy opowiedział jej, że należy do Al-Fatah, i pod naporem jej natarczywych pytań przyznał się do udziału w krwawych zamachach. Przypomniał sobie odrazę malującą się na twarzy Georginy, gdy słuchała jego wyznań.

Niczym robotnik w kopalni diamentów, poszukujący niestrudzenie najcenniejszych kamieni, Ali poprzysiągł sobie, że za wszelką cenę zdobędzie upragniony, wspaniały klejnot. Następnego dnia po ich pierwszym spotkaniu zadzwonił do Georginy i zaprosił ją na kolację. Odmówiła.

– Z jakiego powodu? – dopytywał się.

– Nie podoba mi się to i owo.

– Nie podoba ci się, że należę do Al-Fatah?

– To też.

– I że mam żonę?

– To też.

– No to mamy dwa powody, żeby się spotkać i pogadać.

– Ależ nie, te dwa powody wykluczają nasze spotkanie.

Próbował ją udobruchać, wykorzystując całą swoją siłę przekonywania, ale i tak nic nie wskórał.

Nie zamierzał dać za wygraną. Jeszcze tego samego dnia wysłał jej olbrzymi bukiet czerwonych róż, a na załączonym karneciku napisał: „Od mężczyzny, który nie przywykł słyszeć słowa »nie«”. Przez kolejne dni Georgina otrzymywała kolejne bukiety i krótkie liściki, w których otwierał przed nią swoje serce i cytował wiersze miłosne libańskiego poety Gibrana

Khalila Gibrana. (Pisał na przykład: „Miłość ma tylko jedno życzenie – być spełnioną”). Dwa tygodnie później tragarz przyniósł jej dziesięć wazonów, żeby mogła wstawić do nich wszystkie bukiety.

Ali dowiedział się, gdzie najczęściej bywa Georgina, i pojawiał się tam ni stąd, ni zowąd. Dwa czy trzy razy Georgina spojrzała na niego przychylniej i dała się zaprosić do tańca, ale na parkiecie uparcie milczała, póki nie ucichła muzyka, a potem w okamgnieniu odchodziła. Ali przyszedł kilka razy do kasyna, w którym pracowała, i tam próbował z nią porozmawiać, spotkał się jednak z zupełnym lekceważeniem. Za dobrą monetę wziął jednak to, że Georgina nigdy nie odesłała go z kwitkiem. Po prostu nie ulegała jego namowom.

Zanim Ali wyjechał za granicę, w jednej z bejruckich kwiaciarni zamówił dla Georginy po jednym bukiecie na każdy dzień swojej nieobecności. Po powrocie wysłał do niej ich wspólnych znajomych, żeby namówili ją do spotkania z nim.

Dopiero po sześciu miesiącach starań Georgina zgodziła się pójść z nim na kolację. Ali poszedł do fryzjera, włożył ciemny garnitur i z zachwytem obserwował swoją wybrankę, gdy majestatycznie wkroczyła do lokalu, podeszła do stolika i zmierzyła go wzrokiem. Jej pierwsze pytanie brzmiało:

– Zawsze osiągasz to, czego chcesz?

– Zawsze osiągam to, co dla mnie naprawdę ważne.

Zaśmiała się.

– Ja też zebrałam na twój temat kilka informacji – powiedziała. – Słyszałam, że jesteś uparty, mądry, szybko myślisz i niczego się nie boisz.

– To nieprawda, boję się ludzi mądrzejszych ode mnie.

– A są tacy? – zapytała z przekąsem, udając zdziwienie i unosząc brwi.

– Niestety jest ich zbyt wielu.

W tle rozbrzmiewały piosenki egipskiej piosenkarki Umm Kulthum. Ali zamówił butelkę wina i wzniósł toast za ich przyjaźń.

– Za twoje życie – dodała Georgina. – Życzę ci długiego i szczęśliwego życia.

– Dziękuję.

– Słyszałam, że twoje życie wisi na włosku.

– Czasami.

– Dlaczego nie znajdziesz sobie innej, bezpieczniejszej pracy?

– Bo jestem przekonany, że to, co robię, jest ważne.

– I nie dbasz o to, że twoja żona owdowieje, a dzieci zostaną sierotami?

– Owszem, martwi mnie to, ale wybrałem tę drogę i nie mogę zawrócić. Ze względu na pamięć o moim ojcu postanowiłem pracować dla dobra mojego narodu.

– To akurat mogę zrozumieć – powiedziała i w jej oczach pojawił się smutek.

Ali ucieszył się, że Georgina wspomniała o ryzyku, z jakim on musi się liczyć. Uznał to za oznakę zainteresowania z jej strony.

Jedli potrawy kuchni libańskiej, przygotowane na francuską modłę. Potem Ali odwiózł ją swoim samochodem do domu. Georgina zauważyła, że za nim w jeepie bez dachu jechało trzech uzbrojonych ludzi.

– Ktoś nas śledzi – powiedziała z przerażeniem.

Kiedy zatrzymali się przed wielką willą jej rodziców, Ali zapytał, czy spotkają się znowu. Tym razem nie odmówiła. Miał ochotę objąć ją i ucałować, ale nie odważył się.

– To był naprawdę miły wieczór – powiedziała. – Dziękuję.

A potem zniknęła za ciężką żelazną bramą.

4

Ostrożność weszła Sylvii w krew. Jak często powtarzali jej nauczyciele, agent cały czas powinien mieć świadomość, że w każdej chwili może być inwigilowany. Sylvia zawsze planowała o jeden krok naprzód, rozważała wszystkie możliwości i brała pod uwagę najczarniejszy scenariusz. W Jordanii przed każdym wyjazdem na sesję zdjęciową podejmowała specjalne środki ostrożności, pozwalające stwierdzić, czy pokój hotelowy podczas jej nieobecności został przeszukany. Zostawiała włos na walizce i po powrocie sprawdzała, czy nadal tam leży.

Dwa dni przed wyjazdem z Jordanii zapytała, czy wolno jej udokumentować na kliszy życie w obozie dla uchodźców. Jej przewodnik nie widział powodu, żeby odmówić. Zawiózł ją do obozu Al-Wihdat. Ubrana na czarno i z nakrytą głową, spacerowała razem z nim po uliczkach, wzdłuż których w rowach płynęły ścieki, odwiedzała byle jak urządzone chatki z gliny i baraki, za pośrednictwem tłumacza rozmawiała z mieszkańcami i fotografowała dorosłych i dzieci. Wszyscy chętnie pozowali do zdjęć.

Jej przybycie wywołało wielkie zbiegowisko. Dorośli przyglądali jej się z zaciekawieniem. Dzieci żebrały o niewielki datek. Problemy zaczęły się dopiero w chwili, gdy przedzierając się przez tłum, do Sylvii podeszli dwaj mężczyźni z pistoletami maszynowymi. Wycelowali broń w nią i w jej towarzysza i zapytali, czego tutaj szukają. Dyplomata wyjaśnił im, że został poproszony przez Ministerstwo Informacji o oprowadzenie po obozie fotoreporterki z Paryża. Ale to nie przekonało strażników. Mierząc w gości z pistoletów, zaprowadzili ich do pobliskiego domu z kamienia. Tam kazali Sylvii i jej przewodnikowi usiąść na podłodze i wylegitymowali ich. Jordańczyk wyciągnął swój portfel i podał strażnikom dowód osobisty, a Sylvia wyjęła paszport i legitymację prasową.

– To was będzie drogo kosztować – zagroził im towarzysz Sylvii.

– Cisza! – krzyknął jeden z uzbrojonych ludzi.

Przyprowadzili kogoś, kto mówił łamaną angielszczyzną, i zasypali Sylvię pytaniami.

– Co dokładnie pani fotografowała?

– Ludzi, mieszkańców obozu.

– Również uzbrojonych.

– Nie.

– W jakim celu przyjechała pani do tego obozu?

– Chciałam zrobić fotoreportaż dla mojej agencji.

– Była pani kiedykolwiek w Izraelu?

– Nie – odpowiedziała Sylvia spokojnie. W jej paszporcie nie znaleźli żadnych stempli świadczących o przekroczeniu granic Izraela.

– Ma pani przyjaciół w Izraelu?

– Ani jednego.

– Jest pani zamężna?

– Nie.

– Ale ma pani chyba przyjaciela?

– Nie.

– Żyje pani tylko z fotografowania?

– Tak, to mój zawód.

Pytali o jej adres, plan podróży po Jordanii i zagrozili, że ją zastrzelą, jeśli nie powie im prawdy. Sylvia patrzyła im prosto w oczy, odpowiadając na kolejne pytania. Podczas szkolenia przeszła wiele trudnych przesłuchań, które przygotowały ją na takie wydarzenia w prawdziwym życiu. Nauczyła się kurczowo trzymać swojej legendy i odpowiadać na pytania nawet najbardziej upartych śledczych tak, by nie stracić panowania nad sobą i nie dać się zbić z tropu.

Ostatecznie strażnicy skonfiskowali jej klisze. Jeden wyszedł z pomieszczenia, drugi został, żeby pilnować zatrzymanych.

– Przepraszam, to nie powinno było mieć miejsca – przeprosił Sylvię dyplomata.

Strażnik, krzycząc i wymachując bronią, kazał im się uciszyć. W pomieszczeniu panował niemiłosierny upał, ale nikt nie zaproponował im nawet szklanki wody.

Wreszcie drugi mężczyzna wrócił. Oddał Sylvii wywołane filmy.

– Pani zeznanie jest wiarygodne – powiedział. Wszystkie zdjęcia przedstawiały zwykłych mieszkańców obozu, nie znalazł się na nim ani

jeden uzbrojony strażnik. – Nie jest pani izraelskim szpiegiem. Przykro mi, że naraziliśmy panią na nieprzyjemności. Musi pani zrozumieć, dlaczego jesteśmy tak czujni – usprawiedliwiał się strażnik. – Tropią nas rządowe organizacje jordańskie, a Izraelczykom zawsze udaje się przeniknąć do naszych wspólnot.

Sylvia i jej przewodnik wrócili do hotelu. Po wejściu do pokoju natychmiast sprawdziła, czy na walizce nadal leży jej włos. Gdy znalazła go na miejscu, upewniła się, że nikt jej nie podejrzewał i że w czasie jej nieobecności nie przeprowadzono u niej rewizji.

5

Agenci albo „bojownicy”, wyselekcjonowana grupa mężczyzn i kobiet pracujących we wrogich państwach lub w arabskich diasporach w innych krajach, stanowią najważniejszą część jednostki do zadań specjalnych. Są wyszkoleni po to, by reagować na zmieniającą się sytuację, co wymaga wiele odwagi i pewności siebie. Ich zadanie polega na uzupełnianiu wiedzy wywiadu wojskowego, wywiadu sił powietrznych i innych jednostek zwiadowczych. Próbują zdobyć plany operacyjne przeciwników i gromadzą szczegółowe informacje na temat ugrupowań terrorystycznych, centrów dowodzenia, obozów szkoleniowych i aktualnych działań terrorystów. Prowadzą inwigilację, stoją na posterunkach obserwacyjnych i są przygotowani na wszelkie nieprzewidziane wydarzenia. Agent może w każdej chwili zostać zdekonspirowany. Jeśli zdemaskują go służby bezpieczeństwa z krajów innych niż arabskie, grozi mu więzienie lub wydalenie z kraju. Natomiast na wrogich terytoriach najczęściej skazuje się go na śmierć.

Te niebezpieczeństwa są nierozerwalnie związane z każdą tajną misją. W czasie szkolenia, a także po jego zakończeniu agenci uczą się, jak radzić sobie z poczuciem stałego zagrożenia i jak dodać sobie otuchy. „Mnie się to nie przytrafi” – tak brzmi mantra, którą podświadomie powtarza każdy agent. Żeby odsunąć od siebie lęk, poświęca się bez reszty swojej misji i nigdy nie daje za wygraną, choćby nie wiadomo jak niebezpieczne zadanie przyszło mu wykonywać.

Do drzwi zakonspirowanego mieszkania należało zapukać cztery razy. Tego sygnału używała Sylvia i jej oficer prowadzący, kiedy nie wchodziło w grę spotkanie w kawiarni czy restauracji. Mieszkania takie wynajmowano najczęściej w niestrzeżonych kamienicach, bowiem dozorcy stanowią dla agentów nie lada zagrożenie. Szpiedzy wystrzegają się też kontaktów z obsługą hotelową, kierowcami czy ciekawskimi sąsiadami, którzy mogą świadomie lub nieświadomie pomagać w pracy miejscowym służbom

bezpieczeństwa. Choć nie stanowią bezpośredniego zagrożenia, mogą narazić na wiele niebezpieczeństw agentów wykonujących skomplikowaną, tajną misję.

Dwa stuknięcia, pauza, kolejne dwa stuknięcia. Sylvia otworzyła drzwi zakonspirowanego mieszkania, a w progu stanął Abraham. Wcześniej zadzwonił i za pomocą umówionego hasła zapowiedział swoje przyjście. Sylvia zaproponowała mu kawę, ale on odmówił gestem. Ktoś zapukał do drzwi. To był Moti, niedawno mianowany szefem sztabu służby zagranicznej jednostki do zadań specjalnych w Europie. On również chciał wziąć udział w spotkaniu.

– Wkrótce musisz wyjechać – powiedział Abraham swoim głębokim głosem. Sylvia w napięciu czekała na dalszy ciąg. – To bardzo delikatna sprawa – wyjaśnił. – Musimy kogoś wyeliminować.

To już nie było próbne zadanie. Powierzono jej prawdziwą, skomplikowaną i ryzykowną misję, której mógł sprostać tylko doskonale wyszkolony agent. Pomimo niewielkiego doświadczenia Sylvii uznano, że podoła temu wyzwaniu.

– Dokąd mam jechać? – zapytała.

Abraham wymienił nazwę wrogiego arabskiego kraju.

Przeszył ją dreszcz na wspomnienie afery Lavona z 1954 roku, szaleńczego przedsięwzięcia izraelskich agentów z wojskowych tajnych służb. Zaatakowali oni amerykańskie cele w Egipcie, próbując obarczyć winą Egipt, żeby doprowadzić do konfliktu między USA a prezydentem Gamalem Abdelem Naserem. Oskarżonych, młodych Żydów wyszkolonych w Izraelu, bronili doświadczeni izraelscy prawnicy, ale egipscy sędziowie nie mieli ani czasu, ani ochoty na wysłuchiwanie mów obrończych. Zależało im na wymierzeniu pokazowej, odstraszającej kary i tak właśnie zrobili. Dwóch oskarżonych, doktora Moszego Marzouka i Samuela Azzara, skazano na śmierć, a pozostałych na karę wieloletniego więzienia. Niedługo później Egipcjanie pod zarzutem szpiegostwa aresztowali izraelskiego agenta Maksa Bennetta. W celi odebrał sobie życie za pomocą brzytwy.

– Czy tym razem może powtórzyć się afera Lavona? – zapytała cicho.

– Miejmy nadzieję, że nie – odparł Abraham z poważną miną.

Afera, w nazwie której znalazło się nazwisko ówczesnego ministra obrony narodowej Pinchasa Lavona, wstrząsnęła tajnymi służbami w Izraelu. Abraham wolał nie kontynuować tematu.

Agenci na wrogich terytoriach stanowili przedłużenie organów operacyjnych państwa Izrael i mieli zapewnić mu strategiczną przewagę. Opracowywali niektóre akcje samodzielnie, inne w porozumieniu z elitarnymi jednostkami armii izraelskiej. Na przykład agenci z jednostki do zadań specjalnych pomagali oddziałom wojskowym, które w ramach operacji „Wiosna młodości” likwidowały wysoko postawionych dowódców Al-Fatah. Gdy zachodzi konieczność wysłania agenta do wrogiego kraju, prawie zawsze rodzi się pytanie, czy lepiej wysłać osobę samotną czy posiadającą rodzinę. Każdy taki przypadek trzeba rozpatrzyć indywidualnie.

W czasie spotkania z Sylvią Abraham wymienił nazwisko dowódcy ugrupowania terrorystycznego z wrogiego kraju, do którego miała wyjechać. Chodziło o wykształconego i zamożnego człowieka, który posiadał dobre kontakty i licznych sprzymierzeńców w wojsku i w policji. Kupił mnóstwo broni, z pomocą której jego ludzie przeprowadzali spektakularne zamachy i samobójcze ataki, żeby pognębić Izraelczyków.

Tajna policja w tym kraju była wszędobylska. Na lotniskach i w portach wszyscy przyjezdni byli poddawani pieczołowitej kontroli. Każdego obcokrajowca z góry uznawano za podejrzanego. Ale każdy agent wywiadu wie doskonale, że nawet idealny system nadzoru nie działa bezbłędnie. Nawet w perfekcyjnie strzeżonym arabskim kraju można uzyskać dostęp do najwyższych państwowych instytucji. I w tym przypadku Mossad odkrył właściwy sposób postępowania.

– Wiele czasu poświęciliśmy na planowanie – powiedział Abraham. – Sprawdziliśmy wszystkie drogi dojazdowe do kraju i droga morska wydaje się najbezpieczniejsza. Wyruszysz w podróż z doświadczonym agentem. Będziecie udawali młodą parę w podróży poślubnej i dostaniecie używany samochód, wyposażony specjalnie do naszych potrzeb. Jest naszpikowany materiałami wybuchowymi, których na pewno nikt nie wykryje. Popłyniecie promem. Wedle naszych informacji w porcie nie kontroluje się przyjezdnych aż tak gruntownie.

Powtórzył z Sylvią jej legendę i udzielił jej wskazówek na wypadek, gdyby zepsuł się silnik samochodu.

– Nie zostawiaj go w warsztacie, nawet w razie poważnej awarii. Powtarzaj, że bardzo ci się spieszy i auto musi zostać natychmiast

naprawione. Jak zabraknie wam argumentów, żeby sprawę przyspieszyć, zapłaćcie im po prostu każdą cenę, jakiej zażądają. – Obiecał dostarczyć jej i jej partnerowi mapy z zaznaczonymi popularnymi szlakami turystycznymi. – Trzymajcie się ściśle tamtejszych przepisów drogowych – ostrzegł. – Kilka dni po przyjeździe zaparkujecie samochód o określonej godzinie na głównym placu miasta, bezpośrednio przed wskazanym domem – mówił dalej. – Tam mieszka człowiek, którego musimy usunąć. Następnego dnia odbędą się w tym miejscu obchody święta narodowego. O 11.00 nasz cel opuści dom, żeby wziąć udział w masowej manifestacji. Kiedy tylko wyjdzie, za pomocą zdalnego zapalnika wysadzicie samochód w powietrze i natychmiast wyjedziecie z kraju.

– A jeśli nas złapią?

– To zrobimy wszystko, żeby was stamtąd jakoś wyciągnąć.

Jeszcze tego samego dnia Abraham poznał ją z agentem, który miał udawać jej męża. Był w jej wieku. Sylvia wiedziała o nim tylko tyle, że zna wiele języków, między innymi angielski, a jeszcze dwa lata wcześniej studiował na Sorbonie nauki polityczne. Powtórzyli swoje legendy, otrzymali dokładne wskazówki dotyczące zadania oraz komunikacji z oficerami prowadzącymi i złożyli podania o wizy turystyczne do państwa, do którego się wybierali.

Kiedy Sylvia i jej towarzysz dostali wreszcie samochód, wybrali się na kilka jazd próbnych. Trudność sprawiało im nie tyle przestrzeganie ograniczenia prędkości, ile raczej pogodzenie się z myślą o tym, że znajdują się wewnątrz śmiercionośnej bomby. Sylvia przypomniała sobie oglądany dawno film *Cena strachu*, w którym Yves Montand, grający jednego z bohaterów, po bardzo wyboistych drogach jedzie ciężarówką naładowaną nitrogliceryną.

– Wiesz, na czym polega różnica? – zapytał jej partner siedzący za kierownicą.

– Na czym?

– To był tylko film, a my działamy naprawdę.

Bardzo dokładnie przygotowali się do podróży, kupili obrączki, zapakowali aparat fotograficzny i dokumenty zakupu samochodu, włożyli sprane dżinsy i otrzymali ostatnie instrukcje dotyczące odpalenia materiałów wybuchowych. Zdalny zapalnik ukryto w samochodzie.

Kiedy przyjechali do portu, okazało się, że nie przewidzieli jednego szczegółu: zapomnieli zarezerwować bilety na prom, a teraz zabrakło już

wolnych miejsc. Wyprzedano też bilety na następne dni. Partner Sylvii wpadł na pewien pomysł. Poszedł do kapitana, wcisnął mu do ręki kilkaset dolarów i kilka minut później wjechali na pokład promu.

Zgodnie z oczekiwaniami zejście na ląd obyło się bez problemów. Pracownicy portu rutynowo odprawiali pasażerów, którzy wyruszali własnym samochodem do znanych miejsc turystycznych. Dość powierzchownie sprawdzili dokumenty i bagaże młodej pary. Kiedy nie odkryli niczego podejrzanego, życzyli przyjezdnym miłej podróży i podbili ich paszporty oraz zezwolenie celne na wjazd do kraju samochodem.

Agenci wynajęli skromny pokój w hotelu. Musieli liczyć się z tym, że cały czas są podsłuchiwani i fotografowani, dlatego zachowywali się jak nowożeńcy w czasie miesiąca miodowego.

W wyznaczonym dniu o umówionej godzinie mieli odebrać telefon z Paryża z zaszyfrowaną wiadomością dotyczącą ewentualnej zmiany planów operacyjnych. Gdyby nikt nie zadzwonił, mieli przez kolejne dni stale pozostawać w pokoju hotelowym i czekać na dalsze rozkazy. Jednak telefon uparcie milczał. Cisza niepokoiła agentów, bo wiedzieli, że jeśli zbyt długo pozostaną w pokoju hotelowym, personel zacznie wreszcie coś podejrzewać. Musieli znaleźć sobie zajęcie, które tłumaczyłoby, dlaczego nie wychodzą na zewnątrz. Teraz przydały się zdolności improwizacyjne Sylvii. Żaden z nauczycieli nie przygotował jej na taką ewentualność, a ona desperacko szukała rozwiązania problemu, aż wreszcie przyszedł jej do głowy zbawienny pomysł. Opowiedziała pracownikowi obsługi hotelowej, że razem z mężem są malarzami i zafascynował ich widok z okna ich pokoju hotelowego. Dlatego poprosiła, żeby kupiono dla niej dwie sztalugi, bloki rysunkowe i farby. Mężczyzna po kilku godzinach poszukiwań po wygórowanej cenie kupił zamówione materiały u lokalnego malarza, który sprzedawał turystom widoczki.

Sylvia i jej partner ustawili sztalugi pod oknem i zaczęli malować położony w pobliżu meczet, uliczki i sąsiednie domy. Wkrótce w pokoju stało mnóstwo samodzielnie wykonanych przez nich obrazów, a oni z dumą pokazywali je każdemu pracownikowi hotelu, który wszedł do ich pokoju. Niektórzy prosili o swój portret, a oboje agenci obiecywali, że namalują go w ciągu nadchodzących dni.

Telefon zadzwonił dopiero po trzech dniach. Rozkaz brzmiał jasno: operacja miała zostać przeprowadzona zgodnie z planem.

Agenci odstawili sztalugi w kąt. Nadszedł czas, by przygotować operację. Oboje opuścili hotel, żeby obejrzeć trasę prowadzącą do miejsca zamachu i opracować plan ucieczki. Kiedy partner Sylvii kupował w kiosku papierosy, przechodząca obok kobieta z zasłoniętą twarzą zapytała go po angielsku o godzinę. Wiedział dobrze, że religijne muzułmanki ubrane na czarno nie zaczepiają zazwyczaj nieznajomych mężczyzn na ulicy. Odpowiedział na jej pytanie i szepnął do Sylvii, że ktoś ich śledzi, po czym skręcił w boczną uliczkę. Jego obawy się potwierdziły, bo kobieta z zasłoniętą twarzą deptała im po piętach. Kiedy wszedł do sklepu, ona weszła za nim. Kiedy wyszedł, ona znowu się do niego zwróciła.

– Potrzebuje pan pomocy? – zapytała.

– Nie – odparł. – Świetnie sobie radzę.

Przyspieszył kroku i posłużył się kilkoma trikami, których nauczył się w jednostce do zadań specjalnych, żeby wreszcie uciec przed prześladowczynią. Kiedy wrócił do hotelu, próbował ukryć swój strach i poprosił Sylvię, żeby sama kontynuowała przerwany obchód. Po chwili wróciła.

– Wydaje mi się, że nikt mnie nie śledził – powiedziała, ale to nie uspokoiło jej partnera.

Był pewien, że w taki czy inny sposób wzbudzili czyjeś podejrzenia.

Dopiero potem alarm okazał się fałszywy. Kobieta, która zagadnęła partnera Sylvii, była najprawdopodobniej dziewczyną lekkich obyczajów. W tym mieście prostytutki zakrywały twarz i niby mimochodem pytały o coś turystów, żeby wzbudzić ich zainteresowanie.

Następnego ranka Sylvia i jej towarzysz po raz ostatni wybrali się na obchód okolicy, w której mieli umieścić samochód z bombą. Szli tłocznymi ulicami, raz po raz sprawdzając, czy ktoś ich nie śledzi. Kiedy dotarli do placu, przy którym mieszkał dowódca terrorystów, uważnie się rozejrzeli.

– Widzisz to co ja? – zapytała Sylvia.

– Tak – odparł. – Mamy problem.

Z powodu święta narodowego na planowanym miejscu ataku ustawiono długi szereg stoisk z jedzeniem i napojami, wokół których już teraz kręciła się setka ludzi. Jedli, pili, machali flagami, trzymali w rękach portrety szefa państwa i blokowali ulicę, co spowodowało długi korek.

– Mój Boże – powiedziała cicho Sylvia. – Doprowadzimy do katastrofy.

– Masz rację, eksplozja zabije wielu ludzi. Musimy o tym zameldować.

Zadzwonili do Paryża. Informator wysłuchał ich w milczeniu i powiedział.

– Czekajcie na mój telefon w najbliższych godzinach.

Przekazał wiadomość do centrum dowodzenia jednostki do zadań specjalnych, w której na podstawie wcześniej zgromadzonych danych źle oszacowano liczbę manifestantów, nie biorąc pod uwagę aż tylu potencjalnych ofiar.

Jeszcze tego samego dnia informator z Paryża zadzwonił i powiedział tylko:

– Mama zachorowała. Wracajcie natychmiast do domu.

Oznaczało to, że akcja została przerwana.

Nie pierwszy raz Mossad w ostatniej chwili rezygnował z zaplanowanej operacji. Niejednokrotnie przypadek powodował, że misję przenoszono na późniejszy termin albo odwoływano definitywnie. Nieprzewidziany rozwój wydarzeń wymagał niekiedy nowej oceny sytuacji i wpływał na dotychczasowe ustalenia. Tak też stało się tym razem.

Sylvia i jej partner wrócili samochodem na prom i popłynęli z powrotem do portu, z którego wyruszyli. Na pełnym morzu stanęli oparci o reling, uśmiechnęli się do siebie, zdjęli obrączki i wrzucili je do morza.

– Już drugi raz przerywają moją akcję w ostatnim momencie – powiedział partner Sylvii.

– Z tego samego powodu?

– Tak. Chcą za wszelką cenę uniknąć zabijania niewinnych ludzi.

Ze względów bezpieczeństwa agenci jednostki do zadań specjalnych nie mogą opowiadać swoim kolegom z zespołu, z którymi wykonują jakieś zadanie, o swoich wcześniejszych akcjach. Towarzysz Sylvii ukrywał to, że jedno z jego pierwszych zadań polegało na śledzeniu Saida Muqasi, ateńskiego kupca i jednego z dowódców Al-Fatah w Grecji. Otrzymano informacje, że człowiek ten zamierzał wysłać statkiem transport rodzynek z ukrytymi materiałami wybuchowymi, które miały eksplodować w porcie w Hajfie. Pracownicy Mossadu na czas dowiedzieli się o tym planie. Zastawiono na Muqasiego pułapkę pod jego domem i zastrzelono go, kiedy wyszedł, żeby załatwić interesy.

Historia ta miała jednak swoją kontynuację. Niedługo po likwidacji Muqasiego okazało się, że plan wysłania materiałów wybuchowych opracował dowódca centrali Al-Fatah w Atenach. Rozkazano, by również jego wyeliminować.

Gdy wyszedł z mieszkania, zjawili się tam agenci z jednostki do zadań specjalnych i umieścili ładunek wybuchowy pod stolikiem pośrodku salonu. Jeden z nich został na czatach przed budynkiem w miejscu, z którego widział całe mieszkanie i stolik w salonie. Czekał tylko na moment, kiedy pan domu wróci i wejdzie do salonu, żeby zdalnie uruchomić bombę. Na papierze plan wydawał się banalnie prosty w wykonaniu, ale w rzeczywistości okazał się o wiele bardziej skomplikowany. Dowódca Al-Fatah miał bowiem kochankę, która często go odwiedzała. Pech chciał, że najchętniej uprawiali seks właśnie na tym stoliku, do którego przytwierdzono ładunek wybuchowy.

Agent czekał na swoim stanowisku obserwacyjnym, póki mężczyzna nie został sam w domu. Nie dopisało mu szczęście. Kiedy tylko nadarzał się właściwy moment, kochanka znowu się pojawiała. Zgodnie z rozkazami należało zabić terrorystę, ale uniknąć niewinnych ofiar, dlatego akcję przerwano. Dowódcę Al-Fatah z Aten zabito później, gdy jechał samochodem.

Kiedy Sylvia i jej partner zeszli z pokładu promu, czekał na nich pośrednik, który odebrał od nich samochód. Oni wsiedli do pociągu i w oddzielnych przedziałach wrócili do Paryża. Abraham spotkał się z nimi w małym lokalu na Montparnasse, wysłuchał ich pełnego sprawozdania i pochwalił Sylvię.

– Nigdy nie zapomnę, że przerwaliście operację, żeby uniknąć zabicia cywilów. Gdybyśmy nie trzymali się zasad moralnych, ciążyłaby na nas taka sama odpowiedzialność jak na tych, którzy narażają niewinnych na śmierć.

6

Kobieta, która weszła do dużego domu w zachodnim Bejrucie, miała twarz zasłoniętą czarną chustką. Nie była gorliwą muzułmanką, ale chciała zachować anonimowość.

Uzbrojony strażnik zatrzymał ją i poprosił o dowód osobisty. Powiedziała, że nie ma go przy sobie.

– *Rais* czeka na mnie – wyjaśniła. – Nazywam się Zeinab.

Dzień wcześniej zadzwoniła do Jasira Arafata i umówiła się na spotkanie.

Strażnik zadzwonił do mieszkania *raisa*.

– Może wejść – powiedział Arafat. – Zapowiedziała swoją wizytę.

Strażnik powstrzymał się przed szelmowskim uśmieszkiem. To nie była pierwsza kobieta, która przychodziła do mieszkania szefa Al-Fatah. Arafata, czterdziestodwuletniego kawalera, łączyły dłuższe związki z sekretarkami i innymi kobietami, które mniej lub bardziej dyskretnie przychodziły do jego mieszkania. Przez długi czas krążyły plotki, że romansował z nimi tylko po to, żeby ukryć swój homoseksualizm.

Żona Alego Salameha zapukała do drzwi mieszkania Arafata, a on osobiście jej otworzył.

Odsłoniła chustę, pokazując smutną twarz.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną tak szybko spotkać – powiedziała bez wyrazu. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Ależ nie, cieszę się, że panią widzę. – Uśmiechnął się do niej jak troskliwy ojciec. – Bardzo szanowałem pani krewnego Abda al-Qadira al-Husajniego. Dzielnie walczył za palestyńską sprawę.

Skinęła głową, choć w tej chwili pochwały Arafata nie miały dla niej wielkiego znaczenia. Zaprzątały ją zupełnie inne problemy.

– Chciałam z panem porozmawiać, bo tylko pan może mi pomóc – powiedziała.

Arafat patrzył na nią wyczekująco. Widział ją wcześniej raz, w czasie jej ślubu. Ali nigdy nie rozmawiał o swojej żonie z Arafatem ani z innymi

dowódcami Al-Fatah, a ona nigdy nie pojawiała się w miejscach, w których bywał Arafat. Dlatego nieco się zdziwił, kiedy do niego zadzwoniła z prośbą o rychłe spotkanie.

Gestem wskazał jej, by usiadła, a ona przysiadła na krawędzi kanapy. On zajął miejsce na krześle naprzeciwko niej.

– Długo się wahałam, czy powinnam panu powierzyć moją tajemnicę – zaczęła. – Miałam nadzieję, że mój problem wkrótce sam się rozwiąże, ale teraz sama już nie wiem, co robić. Dlatego tu przyszłam.

– O jakim problemie pani mówi?

– Chodzi o Alego, to mój największy problem.

– Proszę mówić, słucham pani.

– Kiedy za niego wyszłam, wydawało mi się, że postępuję właściwie – zaczęła swoją historię. – Nasze rodziny popierały ten związek. To było zaaranżowane małżeństwo, a w takich przypadkach trudno o miłość od pierwszego wejrzenia. Ale i tak zakochałam się po uszy w moim mężu. Fascynowała mnie jego męskość, cieszyło mnie, że stale otaczają go przyjaciele, którzy go podziwiają, i byłam dumna, gdy piął się coraz wyżej. Już wcześniej się zorientowałam, że życie z nim nie będzie łatwe i przyjemne. Różnimy się od siebie jak ogień i woda. Zawsze często wychodził, szukał rozrywek, bawił się w nocnych lokalach. Początkowo miałam nadzieję, że kiedyś się ustatkuje, ale tak się nie stało. Znikał często i wracał nad ranem, a czasem całymi dniami nie zjawiał się w domu. Wszystko to znosiłam w milczeniu, bo go kochałam i miałam nadzieję, że nasz los się odmieni, gdy urodzi nam się dziecko. Kiedy jednak na świat przyszedł Hassan, Ali zachowywał się po staremu. Nie zmienił postępowania również wtedy, gdy urodził się nasz drugi syn Osama. Ali nie interesuje się mną i synami. Hassan i Osama w przeciwieństwie do innych dzieci dorastają właściwie bez ojca. Wiedzą tylko, że ich tata jest wielkim bohaterem, i stale mnie pytają, kiedy przyjdzie się z nimi pobawić. Ale mój mąż w ogóle nie dba o rodzinę. Może ma kogoś, nie wiem. A może spotyka się z kilkoma
kobietami.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Arafat.

Słowa Zeinab wcale go nie zdziwiły. Wiedział to i owo o zamiłowaniu Alego do dobrej zabawy i o jego słabości do pięknych kobiet.

– Wielokrotnie rozmawialiśmy na temat naszego małżeństwa – mówiła dalej Zeinab. – Błagałam go, by częściej zjawiał się w domu i spędzał

więcej czasu z dziećmi. On wielokrotnie obiecywał poprawę, ale nigdy nie dotrzymywał słowa.

Jasir Arafat podał jej szklankę wody. Powoli ją wypiła.

– On żyje wyłącznie swoją pracą – mówiła dalej. – Wciąż podejmuje się nowych zadań i czasem na całe tygodnie znika z domu.

– W jaki sposób mogę pani pomóc? – Arafat spojrzał na nią ze zrozumieniem.

– Wiem, że to dziwna prośba, ale proszę mi wierzyć, nie wiem już, co robić. Czy mógłby pan wyznaczyć mu stałe godziny pracy, żeby spędzał więcej czasu ze swoją rodziną? Czy może pan zlecać mu mniej zadań? Może wtedy w naszym życiu rodzinnym zagościłby ład?

Arafat zastanowił się przez chwilę.

– Rozumiem, dlaczego chciała pani ze mną porozmawiać, i nie mam pani tego za złe – powiedział wreszcie. – Ale musi pani pocieszyć się myślą, że Ali nie jest zwyczajnym członkiem Al-Fatah. To jeden z naszych najlepszych i najważniejszych ludzi. Powierzyliśmy mu zadania, które mogą doprowadzić do rewolucji na Bliskim Wschodzie, a to uświęcony cel, droga Zeinab. Ali dźwiga na swoich barkach tak wielką odpowiedzialność i robi tak wiele, że musimy mu z całych sił pomagać. Proszę zatroszczyć się o to, żeby nic nie zaprzątało jego myśli i by mógł bez reszty poświęcić się swoim zadaniom.

– Ale przecież w dowództwie Al-Fatah są również inni ludzie. Oni też mają rodziny i udaje im się znaleźć dla nich czas.

Arafat wstał i przez chwilę przechadzał się po pokoju, szukając słów, by wyrazić to, co miał na myśli.

– Proszę mnie posłuchać – powiedział zdecydowanym tonem, z narastającym zniecierpliwieniem. – Ani pani, ani ja nie mamy prawa odrywać Alego od jego pracy. Radzę uzbroić się w cierpliwość. Być może któregoś dnia, gdy osiągniemy nasze cele, wszyscy zaznamy spokoju i będziemy mieć więcej czasu dla naszych rodzin.

Wizyta jeszcze bardziej przygnębiła Zeinab Salameh. Jasir Arafat, Abu Ammar, jej ostatnia nadzieja, nie chciał jej wesprzeć. Ona i jej dzieci nie znaczyły nic w obliczu wielkich zadań Al-Fatah. Teraz już wiedziała, że prędzej czy później utraci Alego na dobre.

7

Niekiedy po zakończeniu zadania, gdy przygasał entuzjazm i znikał dreszczyk emocji, nastawały spokojne dni i samotność jak jadowity wąż zakradała się do serca Sylvii. Coraz wyraźniej czuła upływ czasu, kolejne lata mijały jak z bicza strzelił, a ona musiała odstawić na bok prywatne życie. Wciąż była piękna i atrakcyjna, szczupła i zadbana, ale pozostawała samotna, i to napawało ją smutkiem.

Kiedy poczucie osamotnienia brało górę, bez reszty oddawała się pracy. Prosiła Delmasa o dodatkowe zlecenia, czytała książki, malowała na brzegu Sekwany, chodziła do kina, wysyłała krewnym rymowane życzenia urodzinowe i jadała kolacje w małych lokalach nieopodal domu. Sama, zawsze sama.

Dzień jej trzydziestych pierwszych urodzin miał upłynąć na takich właśnie błahych zajęciach, ale niespodziewanie jej plany uległy zmianie. Rano zadzwonił do Sylvii producent z Delmas Photo i zlecił jej fotoreportaż z dziewiczego rejsu parostatku wycieczkowego po Sekwanie. Łatwe i mało wymagające zadanie wiązało się z miłą, wiosenną wycieczką w kręgu nowych ludzi. Sylvia uznała, że to doskonały sposób na świętowanie urodzin.

Biały statek połyskiwał w słońcu. Leżaki stały w równych rzędach na górnym pokładzie i niżej, w pomieszczeniu z nieskazitelnie czystymi oknami. Członkowie załogi w białych mundurach wyszywanych złotem witali każdego pasażera wytwornym ukłonem i kieliszkiem szampana.

Sylvia przechadzała się w tłumie ludzi, sączyła szampana, jadła kanapki z kawiorem i robiła zdjęcia. Oprócz niej był tam jeszcze jeden fotograf, szczupły, elegancki mężczyzna z dużym, profesjonalnym aparatem. Uśmiechnął się do niej i przedstawił. Nazywał się Hans Rauch i dokumentował rejs dla agencji Magnum. Wydawał się młodszy od niej i mówił płynnie po angielsku z niemieckim akcentem. Sylvia ucieszyła się, gdy pochwalił ją za świetny wybór perspektywy ujęcia. Wkrótce się zorientowała, że nie odstępuje jej na krok, i zaczęła się zastanawiać, czy jej

nie obserwuje. Nabrała jeszcze więcej podejrzeń, kiedy zaczął fotografować nie tylko statek, ale także i ją. Pomyślała, że jemu również robienie zdjęć służy jako przykrywka dla innej działalności.

Statek odbił od kei i wypłynął na środek rzeki. Hans zaprosił Sylvię na obiad na pokładzie, a ona nie potrafiła mu odmówić. Kiedy mijali skąpane w słońcu monumentalne paryskie budowle, Hans opowiedział jej, że pochodzi z katolickiej niemieckiej rodziny, która przeniosła się do Grecji. Zaczął pracować w Atenach jako fotograf, a teraz znalazł pracę w Paryżu. Ona opowiedziała mu swoją fikcyjną biografię. Zdała sobie sprawę, że poza oficerem prowadzącym i partnerem, z którym przeprowadzała ostatnią, przerwaną akcję, właściwie nie rozmawiała z mężczyznami.

Gorączkowo zastanawiała się, czy Hans to agent obcego wywiadu. Czy to, co opowiadał jej o sobie, było tylko legendą, którą przygotowały dla niego jakieś nieznane tajne służby? Hans mógł przecież działać na zlecenie organizacji czyhającej na tych agentów Mossadu, którzy stali za ostatnimi likwidacjami terrorystów. Może znalazł się na pokładzie tylko z jej powodu? Czy to możliwe? Nie spuszczała z niego oczu, śledziła uważnie mowę jego ciała, szukała jakichś sygnałów, zbyt szybkiego ruchu źrenic, wszystkiego, co mogłoby potwierdzić jej podejrzenia, ale niczego nie wytropiła. Hans był po prostu sympatyczny, miły i starał się o jej względy z zakłopotaniem typowym dla pierwszego spotkania.

Zanim po zakończonym rejsie rozeszli się, żeby wywołać filmy dla swoich agencji i wybrać najlepsze zdjęcia, Hans zaproponował, żeby Sylvia spotkała się z nim na drinka w barze niedaleko jego domu. Zawahała się. Choć miała ogromną ochotę przyjąć jego zaproszenie, wciąż obawiała się pułapki. W myślach snuła czarne scenariusze, jeden bardziej przerażający od drugiego. Wyobraziła sobie, że Hans zaciąga ją w jakiś ciemny zaułek, zabija i pozbywa się ciała. W jednostce do zadań specjalnych stale ją ostrzegano, że nawet najbardziej ostrożny agent może łatwo wpaść w zasadzkę.

– Dziś wieczorem mam sporo roboty – skłamała. – Daj mi swój numer. Zadzwonię, jak tylko znajdę wolną chwilę.

– Możemy też umówić się później, jak skończysz pracę. – Hans nie dawał za wygraną. – Nie chodzę aż tak wcześnie spać.

Obiecała mu spotkanie, choć nie zamierzała podjąć żadnego ryzyka.

Kilka godzin później na jej prośbę Abraham przyszedł do kawiarni przy Trocadéro. Opowiedziała mu o swoim spotkaniu z Hansem.

– Spróbuj sobie przypomnieć, czy zrobił coś, co wzbudziło twoje podejrzenia – powiedział jej oficer prowadzący.

– Nic takiego nie rzuciło mi się w oczy.

– Pytał, gdzie mieszkasz?

– Nie.

– Szedł za tobą, gdy się pożegnaliście?

– Nie.

– Jakie zrobił na tobie wrażenie?

– Wydawał się fascynującym mężczyzną.

– Chcesz go lepiej poznać?

– Może.

– Okej – powiedział. – Poczekaj kilka dni, póki nie sprawdzimy, kto to jest.

Abraham z pewnością wolałby, żeby Sylvia w czasie swojej służby w jednostce do zadań specjalnych całkowicie zrezygnowała z miłosnych związków. Wiedział, że relacje intymne bardzo przeszkadzają w pracy i że emocjonalne uwikłanie może ją drogo kosztować, ale nie chciał jej zabraniać spotkań z mężczyzną. Jej umowa o pracę, podobnie jak umowy innych agentów, nie zawierała klauzuli zakazującej nawiązywania osobistych relacji. Musiała jedynie informować o nich swoich przełożonych. Sylvia jak każda kobieta miała potrzeby emocjonalne i seksualne, które trudno tak po prostu zignorować. Wiadomo było, że prędzej czy później pozna mężczyznę, który skradnie jej serce.

Relacja z Hansem, podobnie jak z innymi obywatelami obcych państw, niosła ze sobą ryzyko. Abraham zameldował o sprawie swoim przełożonym, którzy za pośrednictwem odpowiednich organów – i nie podając szczegółowych powodów – poprosili niemieckie tajne służby o skontrolowanie wybranka Sylvii. Niemcy zabrali się do pracy z właściwą sobie skrupulatnością. Założyli nawet podsłuch w telefonie Hansa, czyhając na jakieś podejrzane rozmowy. Opowiadał komuś w Grecji o chorobie jego babci.

– Przekaż jej, że zrobię, co w mojej mocy, żeby załatwić to lekarstwo – powiedział. – Na pewno mi się uda.

To brzmiało jak tajny kod.

8

Niemiecka Federalna Służba Wywiadowcza zbierała tajne informacje na temat Hansa Raucha szybko i skutecznie. Zgromadzono dane dotyczące jego krewnych i znajomych, sprawdzono, czy archiwa Interpolu zawierają jakieś ciekawe wzmianki na jego temat, a zatrudniające go agencje poproszono, by oceniły go od strony prywatnej i zawodowej. W rezultacie ustalono, że Hans nie miał powiązań z żadną wrogą organizacją. Okazało się, że wszystko, co Sylvia o nim opowiedziała, to prawda. Nie dawał powodu do dalszych podejrzeń. Mossad natychmiast przekazał jej ustalenia Niemców.

– Twój przyjaciel jest czysty jak łza – powiedział Abraham Sylvii.

Jej twarz promieniała, a serce biło jak szalone. Czuła, że jej nowy znajomy to człowiek o nieposzlakowanej opinii.

Natychmiast zadzwoniła do Hansa. W jego głosie słychać było radość.

– Przepraszam, że dopiero teraz się odzywam – powiedziała. – Dostałam kilka zleceń pod rząd i nie mogłam znaleźć wolnej chwili.

– Nie szkodzi – uspokoił ją. – Ja też miałem sporo na głowie. Musiałem zdobyć lekarstwo dla mojej chorej babci z Aten.

– I znalazłeś?

– Tak, ale to strasznie długo trwało. Wysłałem jej lek i wczoraj dowiedziałem się, że po zażyciu poczuła się o niebo lepiej.

– Cieszę się.

Postanowiła poprosić go o spotkanie.

– Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? – odważyła się zapytać.

– Nic szczególnego. Fajnie byłoby wyskoczyć razem na kolację.

Umówili się w bistro na tyłach opery, którego właściciel był znajomym Hansa. Sylvia bardzo długo wybierała strój. Już od wielu lat nie wkładała tak wielkiego wysiłku w to, żeby się komuś spodobać.

– Wyglądasz pięknie – powiedział Hans z zachwytem.

A ona z zadowoleniem zauważyła, że inni goście również na nią spoglądają.

Usiedli przy stole, a Sylvia sama nie wiedziała, czy jedzenie smakuje tak wspaniale dzięki szefowi kuchni, czy z powodu jej towarzysza. Hans był wspaniałym mężczyzną, miał szerokie horyzonty i cudownie się z nim rozmawiało. Słuchała go jak zaklęta, kiedy opowiadał o swoich podróżach i swoim hobby, wspinaczce wysokogórskiej.

Zapytał o jej dotychczasowe życie, o to, gdzie mieszka i gdzie się uczyła fotografować, a ona wbrew sobie zataiła przed nim prawdę. Musiała okłamywać mężczyznę, który tak bardzo jej się podobał, i to mąciło jej doskonały nastrój.

– Długo jeszcze zamierzasz pracować jako fotoreporterka? – zapytał.

– Chyba tak.

– Ja mam już dość – powiedział, co zaskoczyło Sylvię.

– Dlaczego?

– Ach, fotografowanie coraz mniej mnie interesuje. Chyba się wypaliłem. Kolejny polityk na kolejnym międzynarodowym kongresie, kolejny rejs parostatku, kolejne zdjęcie pierwszego śniegu w Paryżu. Wystarczy. Straciłem serce do tego zajęcia.

– Chcesz zrezygnować z pracy w Magnum?

– Już zrezygnowałem, w tym tygodniu złożyłem wypowiedzenie.

– I co dalej?

– Zgromadziłem trochę oszczędności, za które mogę żyć przez jakiś czas. A potem poszukam nowej pracy.

– Zastanawiałeś się już, co chciałbyś robić?

– Nie, na razie nie mam pojęcia, ale najchętniej coś ciekawego, ekscytującego. Nie mógłbym pracować w nudnym biurze.

– Powodzenia, Hans.

– W przyszłym roku zamierzam wspiąć się na Mount Everest. – Hans zmienił temat. – Byłoby wspaniale, gdybyś do mnie dołączyła.

– Jeśli tylko wciąż będziemy się przyjaźnić – odparła ze śmiechem.

Bezwiednie porównała go z Avrim, jej dawnym przyjacielem z Afryki Południowej. Hans był zupełnie inny, zafascynował ją jak młodą dziewczynę, która po raz pierwszy odkryła miłość. Avriego traktowała jak dobrego przyjaciela, w którym przez jakiś czas była nawet zakochana. Teraz zrozumiała, że dopiero Hans obudził w niej prawdziwą miłość. Patrzyła w jego niebieskie oczy i widziała w nich ogromną sympatię.

– Dawno nie poznałem takiej kobiety jak ty – powiedział.

Nie protestowała, gdy zaprosił ją do siebie. Pili wino i kochali się jak szaleni. Hans zasnął, ale Sylvia czuwała, w obawie, że mogłaby przez sen zdradzić jakąś tajemnicę. O świcie z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie powiedziała Abrahamowi, dokąd się wybiera. Po raz pierwszy zapomniała o jednej z fundamentalnych zasad swojej profesji. Agent musi stale meldować o swoim miejscu pobytu, na wypadek gdyby okazał się potrzebny. Przeprosiła Hansa, twierdząc, że musi natychmiast jechać do pracy, i zadzwoniła do Abrahama z aparatu telefonicznego w pobliskiej kawiarni. Nie, tej nocy na szczęście jej nie potrzebował.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– U Hansa – odparła.

– To słychać – zauważył. – Twój głos brzmi tak, jakbyś wpadła po uszy.

– Nie mylisz się. Rzeczywiście zakochałam się na zabój.

9

Najnowsze informacje na temat Alego Salameha, zdobyte przez izraelskie tajne agencje wywiadowcze, zwiastowały prawdziwy przełom. Rozmaite źródła twierdziły, że Ali ostatnio często przebywa w Niemczech Zachodnich. W wielu niemieckich miastach wyszkoleni ludzie z Czarnego Września tworzyli małe, zamknięte grupy, bez wahania gotowe wykonać każdy rozkaz. Najwyraźniej Ali w tajemnicy spotykał się z nimi, ale za każdym razem tak szybko pojawiał się i znikał, że agenci Mossadu nie potrafili go żadną miarą wyśledzić.

Zbyt skąpe informacje nie wystarczyły, żeby namierzyć terrorystę numer jeden na liście poszukiwanych przez Mossad i wysłać w pogoń za nim doświadczony zespół agentów. Wykonano jednak pierwszy krok. Mossad zintensyfikował swoje poszukiwania na obszarze Niemiec, ale sprawa okazała się znacznie bardziej skomplikowana. Ali Salameh podróżował z fałszywym paszportem i często zmieniał wygląd. Czasem zapuszczał brodę, czasem zakładał perukę i ciemne okulary. Niekiedy udawał libańskiego kupca i nigdy nie podróżował publicznymi środkami lokomocji, a z miejsca na miejsce przemieszczał się samochodem jednego ze swoich ludzi. Rzadko rozstawał się z bronią i zazwyczaj towarzyszyli mu strażnicy. Upewniał się, że agenci Mossadu nie depczą mu po piętach, i robił wszystko, żeby zmylić trop.

Tradycyjne metody, polegające na opłacaniu informatorów skłonnych do pomocy, nie poskutkowały. Żeby trafić na trop Alego Salameha, należało wymyślić jakiś sprytny podstęp.

Pracownicy wielu oddziałów Mossadu zintensyfikowali poszukiwania, obserwowali podejrzanych, prowadzili stały podsłuch członków Czarnego Września, a także dniem i nocą w pocie czoła gromadzili szczegółowe informacje na temat podróży Alego Salameha. Centrum operacyjne Arabów znajdowało się we Frankfurcie nad Menem, dlatego Mossad skoncentrował swoje wysiłki właśnie w tym tętniącym życiem mieście biznesu. Zastawiono w nim na Alego bardzo wyrafinowaną, choć niewinnie wyglądającą pułapkę, która obiecywała rychły sukces.

Przykrywka agenta, który miał zwabić Salameha, wydawała się ze wszech miar wiarygodna. Samir al-Aini, jordański kupiec prowadzący interesy z państwami arabskimi, rezydował w eleganckim, pięciopokojowym mieszkaniu w centrum Frankfurtu. Był atrakcyjnym, przyjaznym i towarzyskim kawalerem około czterdziestki, który zdobył wielu przyjaciół szczególnie wśród arabskiej społeczności. W swoim mieszkaniu wydawał huczne przyjęcia i pozwalał u siebie nocować młodym Palestyńczykom, w tym aktywistom z Al-Fatah. Wieści o jego gościnności szybko się rozeszły, a przez jego mieszkanie przewijali się młodzi mężczyźni, którzy spędzali tam w gościnie dzień lub dwa. On nie szczędził datków dla palestyńskich organizacji charytatywnych i wysyłał paczki żywnościowe do libańskich i palestyńskich obozów dla uchodźców, choć nie wykazywał przy tym najmniejszego zainteresowania polityką.

W rzeczywistości prowadzone przez Samira interesy stanowiły tylko pomysłową przykrywkę, a on sam skrywał wielką tajemnicę. Naprawdę nazywał się Mosze Levy i pracował dla jednostki do zadań specjalnych. W Mossadzie spodziewano się, że w końcu do jego mieszkania zawitają terroryści zaangażowani przez Alego do któregoś z zamachów w Europie. Może ktoś wyjawiłby, gdzie przebywa ich dowódca. Liczono, że któryś z licznych gości Samira powie o jedno słowo za dużo i zdradzi jakieś cenne informacje. Szefowie jednostki mieli nadzieję, że w ten sposób zdobędą pierwszą wskazówkę, która umożliwi dalsze poszukiwania.

Samir al-Aini robił wszystko, żeby jego goście czuli się u niego jak u siebie w domu. Na ścianach mieszkania wisiały fotografie meczetu Al-Aksa w Jerozolimie i amulety w kształcie ręki Fatimy wysadzane drogimi kamieniami. W kuchni Samir przechowywał ogromne ilości kawy doprawionej kardamonem i zapasy jedzenia. W dzielnicy imigrantów we Frankfurcie kupował świeże pity. Każdy gość mógł gotować co dusza zapragnie. Gospodarz nigdy nie skarżył się z powodu brudnych naczyń i przepełnionych popielniczek. Gości, którym się spieszyło, odwoził, gdzie sobie zażyczyli. Gdy ktoś prosił go o pieniądze, dostawał je.

Goście nie musieli prosić gospodarza o pozwolenie, żeby przyprowadzać do jego domu swoich przyjaciół i proponować im nocleg. Toczone w jego obecności rozmowy dostarczały rozmaitych informacji, ale żadna nie naprowadziła Mossadu na trop Alego Salameha.

Każdy pracownik Mossadu, który działa pod fałszywym nazwiskiem, ma stale świadomość, że w każdej chwili ktoś może go zdekonspirować.

Wystarczy przejęzyczenie, moment dekoncentracji, jakieś nieprzewidziane wydarzenie, żeby zniweczyć wszystkie wcześniejsze wysiłki. Kiedy Mosze Levy zapuszczał coraz głębiej korzenie wśród arabskiej społeczności we Frankfurcie, wydawało mu się, że nie wpadnie w żadne tarapaty. Los chciał jednak inaczej.

Któregoś dnia młody Palestyńczyk z jordańskim paszportem, który prowadził werbunek europejskich ochotników do Czarnego Września, przywiózł do mieszkania Samira swoją matkę, która przyjechała w odwiedziny do Niemiec. Była Żydówką, która po ślubie z Arabem przeszła na islam i razem z mężem mieszkała we wschodniej Jerozolimie. Starsza kobieta w długiej czarnej sukni zatrzymała się na kilka dni u Samira, gotowała dla młodych ludzi, którzy tam nocowali, i niewiele mówiła. Któregoś dnia, za pomocą nowoczesnych aparatów podsłuchowych, agent Mossadu usłyszał, jak kobieta rozmawia ze swoim synem.

– Twój gospodarz to podejrzany typ – powiedziała.

– Jak to? – zapytał zdumiony młody człowiek.

– Moim zdaniem to Żyd.

Jej syn się zaśmiał.

– Chyba żartujesz – powiedział. – Znam go od dawna, to Jordańczyk z krwi i kości, wielki przyjaciel Al-Fatah i zaprzysiężony wróg Izraela.

– Ja wiem swoje – upierała się matka. – Jego akcent mi się nie podoba. Potrafię wyczuć Żyda na odległość. Nie zapominaj, że urodziłam się jako Żydówka.

Inni młodzi ludzie włączyli się do rozmowy. Niektórych rozbawiły stwierdzenia kobiety, inni jej uwierzyli.

– Jak tylko Samir wróci, gruntownie zbadamy tę sprawę – obiecał jej syn.

Tyle wystarczyło. Oficer prowadzący Levy’ego wezwał go natychmiast na rozmowę.

– Zdemaskowali cię – powiedział krótko. – Przyjedź do mnie.

Levy był zaskoczony, nie mógł pojąć, jak odkryto jego tajemnicę. Razem pojechali na lotnisko. Levy wsiadł do pierwszego samolotu do Izraela i już nigdy nie wrócił do Niemiec.

10

W kwaterze głównej Czarnego Września gromadzono tajne akta na temat wszystkich działaczy ugrupowania w państwach arabskich, Europie i Azji. Kartoteka zawierała nie tylko aktualne dane personalne członków, ale także szczegółowe informacje na temat ich działalności poza organizacją. Większość terrorystów z Czarnego Września w Europie pracowała pod przykrywką, co nie ułatwiało Mossadowi poszukiwań.

Ali Salameh często korzystał z tych akt, żeby znaleźć odpowiednich ludzi do zadań, które wymagały fachowych kompetencji. W taki sposób trafił na dwudziestosiedmioletniego Muhammada Masalhę urodzonego w Hajfie. W czasie wojny w 1948 roku, gdy miał trzy lata, jego rodzice uciekli do zachodniej Jordanii. Później przeniósł się na uniwersytet do Niemiec, gdzie pozostał po skończeniu studiów. Masalha prowadził podwójne życie. Oficjalnie pracował w Monachium jako wzięty architekt, którego nazwisko i zdjęcia pojawiały się czasem nawet w kronikach towarzyskich. Potajemnie był aktywistą Al-Fatah i członkiem Czarnego Września.

Po południu 18 lipca 1972 roku, prawie dwa miesiące po masakrze na lotnisku Lod, Ali spotkał się z Muhammadem Masalhą w miejscowości wypoczynkowej niedaleko Monachium. Dwaj strażnicy Salameha, którzy ukrywali pod ubraniem pistolety, pilnowali drzwi do mieszkania i wpuścili Masalhę do środka dopiero wtedy, gdy upewnili się, że nie jest uzbrojony.

Dla Alego Salameha było to szczególnie ważne spotkanie. Miało położyć kamień węgielny pod największą akcję w historii Czarnego Września. Jej sukces przyniósłby chwałę nie tylko całej organizacji, ale także Alemu.

– Czytałem w gazecie, że bierzesz udział w budowie wioski olimpijskiej w Monachium – zaczął rozmowę Ali.

– Zgadza się.

– W takim razie zakładam, że masz dostęp do budynków, w których będą nocowali sportowcy.

– Tak, oczywiście.

– Przydasz nam się, Masalha – powiedział Ali.

Poprosił swojego gościa o dochowanie ścisłej tajemnicy i wyjaśnił mu, że wybrał go na dowódcę elitarnej jednostki Czarnego Września. Miała ona za zadanie wedrzeć się do pokoi Izraelczyków w wiosce olimpijskiej i wziąć sportowców jako zakładników. Zostaliby wypuszczeni dopiero wtedy, gdy Izrael uwolni przetrzymywanych w więzieniach aktywistów Czarnego Września.

Masalha miał poinformować terrorystów, jak wejść na teren wioski olimpijskiej i dotrzeć do kwater Izraelczyków, a potem w odpowiednim czasie wydać rozkaz ataku i wycofania się.

– Móc spełnić twoje życzenie do dla mnie zaszczyt – odpowiedział Alemu do głębi wzruszony.

Po powrocie do Libanu Ali szybko zrekrutował prawie pięćdziesięciu młodych mężczyzn i wysłał ich do obozu szkoleniowego Nar al-Bared na północy kraju, daleko od Bejrutu. Szkolono tam terrorystów z całego świata, a także tajnych agentów z NRD. Ćwiczyli posługiwanie się bronią i materiałami wybuchowymi, walkę w terenie zabudowanym, a także porywanie zakładników i prowadzenie negocjacji z wrogiem. Żaden z młodych ludzi nie znał celu ćwiczeń. Mogli tylko przeczuwać, że mają one jakiś szczególnie ważny cel, bo Ali codziennie zjawiał się w obozie, żeby doglądać postępów swoich podopiecznych.

Po miesięcznym szkoleniu spośród wszystkich uczestników wybrano ośmiu najlepszych. Ali Salameh spotkał się z każdym osobiście, mówiąc im, że wkrótce dowiedzą się więcej o planowanej akcji.

Broń konieczną do wykonania zadania Ali chciał przemycić z Bejrutu. Zadanie to powierzono dwojgu aktywistom z Al-Fatah. Mieli przemycić w walizkach pistolety maszynowe i amunicję. Nie obawiali się kontroli granicznej, bowiem wysoki urzędnik celny na lotnisku Kolonia-Wahn otrzymywał stale spore sumy za przymykanie oka na przemyt broni.

23 sierpnia 1972 roku para przeleciała samolotem Lufthansy z Bejrutu do Kolonii. Mężczyzna miał na sobie drogi garnitur, pachniał wodą kolońską i był bardzo pewny siebie. Towarzyszyła mu piękna, szczupła kobieta, ubrana tak szykownie, jakby zeszła ze zdjęcia w magazynie mody. Mieli duży bagaż, który pokazali przekupionemu celnikowi na lotnisku Kolonia-Wahn. Polecił swoim ludziom, żeby skontrolowali tylko jedną z walizek. To podróżny zdecydował którą. Kiedy celnicy ją otworzyli,

znaleźli w środku mnóstwo damskich stringów i biustonoszy. Nie skontrolowano dwóch pozostałych walizek. Znajdowały się w nich pistolety maszynowe, granaty ręczne i amunicja.

Wynajętym samochodem podróżni pojechali do Monachium i zdeponowali walizki w dworcowej skrytce na bagaże. Kurier od Alego Salameha czekał przy głównej bramie, żeby odebrać od nich klucz do schowka i przekazać go Alemu, gdy przyjedzie do Monachium.

Dzień rozpoczęcia operacji zbliżał się wielkimi krokami. Ali Salameh zwołał w Bejrucie swoich ośmiu wyselekcjonowanych bojowników i wręczył im bilety lotnicze do Rzymu i Belgradu. Z fałszywymi paszportami i legitymacjami studenckimi europejskich uniwersytetów polecieli osobnymi lotami do wyznaczonych miejsc. Z Rzymu i Belgradu udali się do Monachium. Masalha i jego asystent, student wyszkolony w walce partyzanckiej, spotkali się w wynajętym monachijskim mieszkaniu z członkami oddziału i przedstawili im zadanie. Masalha ostrzegł ich, że napad na kwatery izraelskich sportowców wiąże się ze znacznym ryzykiem.

– Może się tak zdarzyć, że złapią was strażnicy wioski olimpijskiej – ostrzegał ich. – Może być i tak, że Izraelczycy otworzą do was ogień. Bądźcie ostrożni.

Do Monachium przyjechał także Ali Salameh. Podróżował pod fałszywym nazwiskiem i zatrzymał się w zakonspirowanym, wynajętym mieszkaniu razem z Mohammedem Oudehem, zwanym Abu Daoudem, który pomagał planować akcję i dowodzić nią. Przez pozostałe dni aż do chwili ataku udzielali oddziałowi terrorystycznemu szczegółowych instrukcji.

6 września 1972 roku wczesnym rankiem o 4.30 ośmiu terrorystów po odebraniu broni i amunicji przeskoczyło ogrodzenie wioski olimpijskiej i wdarło się do pokoi Izraelczyków. Dwaj sportowcy zostali ranni w czasie napadu, jeden zginął podczas próby ucieczki, a drugi w wyniku odniesionych obrażeń, zaś dziewięciu wzięto jako zakładników.

Ali Salameh i Abu Daoud zjawili się w wiosce olimpijskiej i zza ogrodzenia obserwowali, jak ich ludzie wdzierają się do pokoi Izraelczyków. Kiedy usłyszeli strzały, wiedzieli, że operacja się rozpoczęła. To był znak do odwrotu. Wsiedli do czekającego na nich samochodu i zostali natychmiast zawiezieni na lotnisko. Wcześniej kupili bilety na lot Alitalia do Rzymu. Przy stanowisku odpraw pokazali fałszywe paszporty, a już pół godziny później siedzieli na pokładzie samolotu. Z Rzymu Ali

Salameh poleciał dalej do Bejrutu. Abu Daoud poleciał do Belgradu, a stamtąd do Warszawy, gdzie ukrywał się przez kilka lat, aż wreszcie, podróżując od miasta do miasta, dotarł wreszcie do Jordanii.

Niemieckie służby bezpieczeństwa zaalarmowano wkrótce po tym, jak w wiosce olimpijskiej rozległy się strzały, ale dopiero po przybyciu na miejsce zorientowano się, co się tam dokładnie dzieje. Po wstępnej ocenie sytuacji okazało się, że każda próba unieszkodliwienia napastników naraziłaby poważnie życie izraelskich zakładników. Dlatego z braku lepszego pomysłu rozpoczęto tymczasowo negocjacje z napastnikami. Szef Mossadu Zwi Zamir, który czym prędzej przyleciał do Monachium, zaproponował Niemcom wsparcie w kontaktach z terrorystami. Zrobił ogromną karierę w armii, między innymi jako szef Południowego Dowództwa, ale nie miał dużego doświadczenia w prowadzeniu operacji wywiadowczych. Niemcy odrzucili jednak jakąkolwiek pomoc z zewnątrz. Zamir mógł tylko z daleka przypatrywać się rozwojowi wypadków, choć to, co widział, wcale mu się nie podobało.

W trakcie negocjacji Niemcy dla pozoru przystali na żądania terrorystów i obiecali przewieźć zakładników i napastników dwoma helikopterami do samolotu Lufthansy, który czekał na lotnisku wojskowym Früstenfeldbruck, gotowy zawieźć ich, dokądkolwiek sobie zażyczą. Nie przewidywano jednak startu samolotu, zaś cała akcja służyła jedynie jako wybieg, żeby uwolnić zakładników.

W trakcie przejścia z helikoptera do samolotu porywacze zostali ostrzelani przez niemiecką policję i w odwecie zabili wszystkich zakładników. W czasie strzelaniny zginęło pięciu terrorystów. Trzech pozostałych aresztowano.

Kiedy Ali Salameh przybył do kwatery głównej Czarnego Września w Bejrucie, panował tam nieopisany popłoch. Jego ludzie opowiadali mu o wymianie ognia między porywaczami i niemieckimi służbami bezpieczeństwa, a on uśmiechał się zadowolony. Nie dbał o to, że po śmierci zakładników nie mógł już ich wymienić na uwięzionych przez Izrael członków Al-Fatah. Chodziło mu przede wszystkim o oddźwięk w mediach i zwrócenie uwagi światowej opinii publicznej na walkę Palestyńczyków, i ten cel osiągnął.

Późną nocą, kiedy wielu mieszkańców obozu dla uchodźców świętowało zamordowanie izraelskich sportowców, Arafat zgromadził dowódców Al-Fatah i w obecności wszystkich pochwalił Alego.

– Wszyscy należymy do Czarnego Września! – krzyczeli zebrani.

Zaś Abu Ammar przyjaźnie objął Alego i wykrzykiwał:

– Mój syn, jesteś moim synem!

Ali wrócił do biura dumny jak paw i postanowił kuć żelazo, póki gorące. Już planował kolejne zamachy terrorystyczne.

11

Sylvia w napięciu śledziła wydarzenia w Monachium, siedząc przed telewizorem w swoim paryskim mieszkanku. Na ekranie pojawiały się kolejne koszmarne sceny. Najpierw zamaskowani terroryści prowadzili negocjacje z niemieckimi służbami bezpieczeństwa z balkonu domu, w którym mieszkali izraelscy sportowcy. Zakładnicy i porywacze pojechali potem do wojskowej bazy lotniczej, wysiedli z helikoptera i szli w stronę samolotu. Terroryści z Czarnego Września celowali z broni do Izraelczyków. Nagle niemieccy policjanci, którzy obstawili pas startowy, otworzyli ogień. Helikopter stanął w ogniu. Reflektory zgasły roztrzaskane przez kule. Przez chwilę widać było tylko płomień wylotowy z luf karabinów. Potem zapanowała głucha cisza. Na ekranie pojawiła się twarz spikera telewizyjnego, który poinformował, że połączenie z Niemcami zostało przerwane i nie wiadomo, kiedy zostanie wznowione.

Sylvia nie wierzyła własnym oczom. Liczba ataków terrorystycznych w Izraelu i poza jego granicami i tak znacznie wzrosła w ostatnim czasie, ale ten zamach przeszedł najśmielsze oczekiwania. Zorganizowano zbrojną akcję w trakcie wielkiej międzynarodowej imprezy sportowej i porwano izraelskich sportowców. Sylvia zastanawiała się, gdzie byli izraelscy i niemieccy strażnicy, kiedy terroryści wdarli się na teren wioski olimpijskiej. Pytała samą siebie, czy izraelskie siły zbrojne brały udział w próbie unieszkodliwienia terrorystów po wylądowaniu helikoptera. Na te pytania nie znalazła jednak odpowiedzi w telewizji.

Następnego ranka wstała wcześnie, żeby kupić angielskie gazety. Z wielkim poruszeniem przeczytała o zamordowaniu izraelskich sportowców w odwecie za atak ze strony Niemców. Znowu zginęli niewinni ludzie, tylko dlatego, że byli Żydami.

„Herald Tribune” już w nagłówku informował, że atakiem Czarnego Września dowodził Ali Hassan Salameh. Obszerny reportaż przedstawiał przegląd dotychczasowych zamachów tego ugrupowania oraz biografię Alego Salameha. Określono go jako „zdecydowanego i doświadczonego, nieustraszonego i sprytnego terrorystę, który nie obawia się śmierci”.

Sylvia z ciężkim sercem przeczytała pozostałe doniesienia prasowe. Zobaczyła cały Izrael pogrążony w smutku i bólu. Wiedziała, że szefowie Mossadu zgromadzili się na pewno na posiedzenie kryzysowe i wkrótce ogłoszą stan gotowości bojowej.

Musiała z kimś porozmawiać, dać upust swoim emocjom, żeby odzyskać równowagę. Przed Hansem nie wolno jej było okazać, że z Izraelem łączą ją głębokie emocjonalne więzy, ale prócz niego nie miała w Paryżu żadnych przyjaciół. Poza swoim oficerem prowadzącym nie słyszała o innych pracownikach Mossadu stacjonujących w tym mieście. On zaś właśnie organizował swój powrót do Izraela, bo okres jego służby we Francji dobiegł końca. Jej nowy oficer prowadzący o imieniu „David” już przyjechał do Paryża, żeby przejąć obowiązki swojego poprzednika.

Była zbyt wzburzona, żeby zostać sam na sam ze swoimi myślami, dlatego zadzwoniła do Davida i poprosiła go o spotkanie.

On od razu zauważył jej zaczerwienione oczy. Wiedział, że płakała, i nie musiał nawet zgadywać dlaczego. On też odczuwał ból z powodu ostatnich tragicznych wydarzeń.

Sylvia pokazała mu artykuł na temat Alego Salameha w „Herald Tribune” i powiedziała:

– Zakładam, że Salameh to teraz nasz cel.

– To bardzo prawdopodobne – odparł jej nowy oficer prowadzący. Nie otrzymał jeszcze w tej kwestii żadnych instrukcji.

– Chciałabym wziąć udział w skierowanej przeciw niemu akcji – powiedziała.

– Wiesz, że to nie zależy ode mnie, Sylvio. Najpierw potrzebujemy konkretnego planu, a potem być może rozpoczniemy działania w którymś kraju arabskim, a nie tutaj.

– Byłam już w kraju arabskim. To dla mnie żadna nowość.

Szukał odpowiedzi, która by ją zadowoliła.

– Życzę ci, by włączono cię w tę misję – powiedział wreszcie.

– To mi nie wystarczy, Davidzie. Masz dobre kontakty z szefami Mossadu. Opowiedz im o naszej rozmowie.

Z raportu swojego poprzednika David dowiedział się, że Sylvia pomimo swojego żywiołowego temperamentu była bardzo zdyscyplinowana i do tej pory nie stawiała żadnych żądań.

– Na pewno nie przywykłeś do tego, że twój podwładny stawia ci wymagania – odgadła jego myśli. – Prawie cała rodzina mojego ojca zginęła w Holokauście. Niemcy nie zabiliby tylu Żydów, gdyby ich ofiary się broniły. Musisz wiedzieć, że przyjechałam do Izraela i wstąpiłam do Mossadu, bo chciałam bronić Żydów, żeby Holokaust już nigdy się nie powtórzył. Salameh ma na sumieniu wielu Żydów i nie przestanie ich mordować, dopóki nie ukrócimy jego działalności. Chciałabym przyłożyć do tego rękę.

– Jesteś bardzo odważną kobietą – powiedział David. – Zrobię, co w mojej mocy, żeby w odpowiednim momencie uwzględniono twoje życzenie.

W analizie charakterologicznej włączonej do akt osobowych Sylvii psycholog napisał: „Sylvia pali się do działania (...). Wie, że jest wyjątkowa i posiada bardzo wszechstronne umiejętności”.

12

Rząd Izraela wiedział, że cały świat oczekuje od niego szybkiej i zdecydowanej reakcji na zamach w Monachium. Postanowiono włączyć do akcji siły powietrzne. Izraelskie samoloty zbombardowały obozy szkoleniowe w Libanie i Syrii, zabijając i raniąc dziesiątki terrorystów, ale to nie wystarczyło, żeby odstraszyć ugrupowania terrorystyczne. W tym samym czasie Mossad otrzymał informację z Bejrutu, że kwatera główna Czarnego Września opustoszała w obawie przed atakiem izraelskim. Dowództwo organizacji, ale również szefowie innych ugrupowań terrorystycznych przepadli jak kamień w wodę, żeby przeczekać gniew Izraelczyków. Arafat otoczył się strażą. Nikt nie potrafił namierzyć dowódców arabskich terrorystów. Izrael utknął w ślepej uliczce. Z jednej strony tylko bezwzględny atak na terrorystów mógłby ich ostatecznie pognębić, ale z drugiej strony pospieszna reakcja ze względu na użyte środki wydawałaby się za słaba i nie przeciwdziałałaby kolejnym zamachom. Znowu do akcji wkroczyły siły powietrzne, wznowiono naloty na Liban, gdzie zbombardowano kolejne miejscowości i obiekty infrastrukturalne. Wiele osób zginęło lub odniosło poważne obrażenia, co wzbudziło mnóstwo kontrowersji w izraelskich mediach, które ostro skrytykowały postępowanie armii. Również w ocenie opinii publicznej te akcje chybiły celu.

Ali Salameh, który na fali zwycięstwa nabrał jeszcze większej pewności siebie, dobrze wiedział, że reakcja Izraela to objaw paniki. Teraz nadszedł właściwy moment, żeby wymierzyć wrogowi kolejny cios i podkopać morale całego narodu. Niedługo po izraelskich atakach lotniczych wrócił do biura, wyciągnął z szuflady starsze i nowsze plany operacyjne, postawił ludzi w Europie w stan gotowości bojowej i przydzielił im cały szereg
zadań.

Kilka dni później oddział terrorystyczny Czarnego Września uprowadził niemiecki samolot, grożąc, że jeśli Niemcy nie wypuszczą na wolność trzech pozostałych przy życiu zamachowców z Monachium,

wszyscy zakładnicy zostaną zabici. Niemcy uległy szantażowi. Więźniów wypuszczono z więzienia i wysłano samolotem do Libii, gdzie zostało im zgotowane przyjęcie godne zwycięzców. Ludzie bili się ze sobą, byle móc dotknąć jednego z trzech wysłańców Boga na ziemi.

Ten sukces również dodał skrzydeł Czarnemu Wrześniowi. Wkrótce potem ugrupowanie zaatakowało jednocześnie na wielu frontach. Ami Schechori, *attaché* do spraw gospodarki w ambasadzie w Londynie, jak zawsze otwierał korespondencję, nie przeczuwając, że koperta przysłana rzekomo z jakiegoś ośrodka akademickiego zawierała materiał wybuchowy. Schechori zginął na miejscu. Zadok Ophir, człowiek Mossadu w Brukseli, czekał w kawiarni w centrum miasta na Araba, który miał mu sprzedać informacje na temat oddziałów terrorystycznych w Europie. Nie wiedział, że człowiek ten jest podwójnym agentem, pracującym dla Czarnego Września, który zgotował mu krwawą niespodziankę. Arab podszedł do Ophira, wyciągnął pistolet i strzelił. Izraelczyk został ciężko ranny i zawieziony do szpitala, gdzie długo walczył o życie. Dopiero po kilku miesiącach stanął na nogi.

Ataki Czarnego Września zagrażały Izraelczykom i innym Żydom. Wszystkie izraelskie i żydowskie organizacje zagraniczne podjęły kroki, by bronić się przed zamachami i uprowadzeniami. Szczególną ochroną objęto synagogi i żydowskie szkoły. W Izraelu i w żydowskiej diasporze uważano, że tylko dobrze przygotowane izraelskie uderzenie odwetowe może powstrzymać organizacje terrorystyczne.

Premier Golda Meir zwołała w trybie pilnym posiedzenie gabinetu Rady Ministrów. Na jej twarzy wypisany był ból.

– Tej sytuacji nie możemy tolerować – powiedziała i przy akceptacji całego rządu postanowiła wydać bezpardonową walkę terrorystom, rekrutować do tego celu więcej agentów i przeprowadzać więcej operacji. Obiecała szefowi Mossadu nieograniczone środki na ten cel i wyraziła nadzieję, że dopilnuje on, by nie narażać bez potrzeby pracowników Mossadu.

Mossad opracował priorytetowy plan, który zakładał wyeliminowanie wszystkich osób zaangażowanych w zamach w czasie igrzysk olimpijskich w Monachium, niezależnie od tego, gdzie aktualnie przebywali. Jednostkę do zadań specjalnych postawiono w stan podwyższonej gotowości bojowej, a jej członkowie w każdej chwili liczyli się z rozkazem wkroczenia do akcji.

13

Ali Salameh zrozumiał, że od teraz Izrael zaostrzył działania skierowane przeciwko jego organizacji.

– Rozpoczęła się prawdziwa wojna – poinformował swoich ludzi. Nie bał się. – Zgnieciemy ich, zniszczymy i zwyciężymy – oznajmił.

Pokój Alego w dobrze strzeżonym biurowcu w zachodnim Bejrucie służył za punkt spotkań dowódców Czarnego Września. Ali był pewien, że nie może z założonymi rękami czekać na kolejny atak Izraela, ale wiedział też, że ma bardzo ograniczone możliwości działania, między innymi dlatego że w ostatnim czasie linie lotnicze wprowadziły specjalne środki, żeby zapobiec porwaniom samolotów. Pasażerów kontrolowano bardziej gruntownie i przy użyciu nowoczesnej technologii, co skutecznie uniemożliwiło przerzucenie oddziałów terrorystycznych do Izraela drogą powietrzną, żeby dokonać tam równie spektakularnego zamachu jak ten w Monachium. Ali wiedział jednak, że nie ma czasu do stracenia. Czarny Wrzesień cieszył się niezwykłym poważaniem ludności arabskiej. Gdyby jednak jego oddziały okazały słabość w walce z agentami Mossadu, mógłby stracić masowe poparcie na rzecz innej organizacji terrorystycznej.

Całymi godzinami dowódcy Czarnego Września głowili się nad możliwościami dalszego postępowania. Proponowano na przykład, by oddział terrorystów przetransportować łodziami bojowymi z wybrzeży Libanu na plaże Izraela. Opracowano też plan ataku z powietrza za pomocą motolotni. Rozważano również możliwość zlikwidowania izraelskiego dyplomaty za granicą, ale na najbardziej zuchwały pomysł wpadł sam Ali.

– Pokażemy im, że pomimo wszystkich kontroli bezpieczeństwa na lotniskach potrafimy wysadzić w powietrze pasażerski samolot linii El Al.

Ali dobrze wiedział, że jego brawurowy plan ma nikłe szanse powodzenia. Na wszystkich stanowiskach El Al na całym świecie pracownicy działali pod okiem izraelskich służb specjalnych Szabak, które kontrolowały bezpieczeństwo na lotniskach w kraju i za granicą, a każdy pasażer musiał przejść przez gęstą sieć gruntownych kontroli.

– Nigdy nam się nie uda wysadzić samolotu El Al – stwierdził jeden z uczestników posiedzenia.

Ali się zaśmiał.

– Czy już dawno temu nie dowiedliśmy, że dla nas nie ma rzeczy niemożliwych?! – Zażądał, żeby natychmiast dostarczono mu rozkład lotów El Al na najbliższe trzy miesiące wraz z listą modeli maszyn. – Wysadzimy samolot w powietrze – powtórzył zuchwale. – Już nieraz wprowadziliśmy w życie szalony plan.

Ogarnięty nową ideą Ali w przebraniu księdza poleciał do Rzymu i tam spotkał się w tajemnicy ze swoim wielkim wielbicielem Abdelem Waelem Zwaiterem, zaufanym przedstawicielem Czarnego Września we Włoszech. Ali szanował Abdela Zwaitera za jego ogromną wiedzę. Pochodził on ze znanej, wykształconej rodziny, która czternaście lat wcześniej wyemigrowała z Nablus do Rzymu. Jego ojciec pisał prace historyczne i tłumaczył dzieła francuskich filozofów na arabski. Trzydziestoośmioletni Abdel również zajmował się tłumaczeniem na arabski artykułów i książek. Pracował też za skromną pensję jako tłumacz w libijskiej ambasadzie w Rzymie, wygłaszał wykłady w kręgach intelektualistów, pasjonował się muzyką i sztuką. Był zatwardziałym kawalerem, ubierał się byle jak, jadł wyłącznie wegetariańskie potrawy i chciwie strzegł swojego niewielkiego majątku.

Ali wyjaśnił Zwaiterowi swój plan, a sześć godzin później siedział już w samolocie do Bejrutu. Po wylądowaniu odetchnął z ulgą. W domu czuł się o wiele bezpieczniej.

Abdel Zwaiter potraktował swoje zadanie bardzo poważnie. Z kręgu swoich znajomych zrekrutował dwóch młodych Arabów, którzy studiowali na uniwersytecie w Rzymie i byli gotowi zrobić wszystko dla Czarnego Września. Złożył im kuszącą propozycję. Kazał im znaleźć dwie prostoduszne młode Europejki i podbić ich serca. Dał im wolną rękę w kwestii wyboru dziewczyn. Obaj natychmiast wyruszyli na łowy. Mieli zdobyć zaufanie młodych kobiet, wprowadzić je na pokład samolotu El Al z dobrze ukrytymi materiałami wybuchowymi i doprowadzić do eksplozji, która zabije wszystkich izraelskich podróżnych.

Latem kąpielisko w Sperlonga niedaleko Rzymu było pełne urlopowiczów. Obaj studenci wałęsali się przez chwilę po plaży, póki ich wzrok nie spoczął na dwóch młodych kobietach, które opalały się na

złotym piasku. Nie grzeszyły urodą i były trochę zbyt pulchne. Wydawały się łatwym łupem.

Młodzi mężczyźni podeszli do nich z napojami chłodzącymi i zapytali, czy dadzą się zaprosić na drinka. Dziewczyny z radością przyjęły propozycję. Szybko okazało się, że to angielskie studentki, które spędzały lato we Włoszech. Arabowie przedstawili się jako synowie bogatej rodziny z Ramallah, którzy przyjechali na studia do Rzymu.

Wieczorem cała czwórka poszła do popularnego lokalu przy dworcu, zaś upojny wieczór zakończył się w mieszkaniu obu Arabów. Miłość wkrótce rozgorzała jasnym płomieniem, przynajmniej w sercach Angielek, które Arabowie uwiedli z zachowaniem wszelkich prawideł sztuki, za pomocą prezentów, kwiatów i miłosnych wyznań. Obie pary nie rozstawały się ze sobą. Kiedy młodzi Arabowie zaprosili swoje nowe przyjaciółki na wizytę u ich rodzin w Ramallah, obie entuzjastycznie przystały na tę propozycję. Mężczyźni kupili cztery bilety na lot El Al z Rzymu do Tel Awiwu i ku radości swoich przyjaciółek zaplanowali również wycieczki po Izraelu. Na dwa dni przed terminem odlotu skłamali, że muszą z nieprzewidzianych powodów zostać jeszcze kilka dni w Rzymie. Poprosili młode kobiety, żeby wyruszyły w podróż same, zatrzymały się w zarezerwowanych pokojach w hotelu w Tel Awiwie i zwiedziły miasto, zanim oni obaj do nich dołączą. Angielki nie miały nic przeciwko temu. Zgodziły się też na prośbę jednego z kochanków zabrać magnetofon szpulowy dla jego brata mieszkającego w Ramallah.

– Przyjdzie do was do hotelu i odbierze prezent – wyjaśnili im.

W najśmielszych snach nie przypuszczały, że niewinnie wyglądający sprzęt naszpikowano materiałami wybuchowymi. Abdel Zwaiter zainstalował w środku bombę z zapalnikiem podłączonym do wysokościometru. Wybuch miał nastąpić na wysokości przelotowej.

Walizka z magnetofonem przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku w Rzymie i wylądowała w luku bagażowym samolotu, który wystartował punktualnie w południe. Stewardesy zaczęły podawać ciepły posiłek, a obie Angielki siedziały obok siebie i z zachwytem rozmawiały o swoich mężczyznach.

Ali Salameh i Abdel Zwaiter zaplanowali wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Nie wiedzieli jednak, że z powodu wcześniejszych zamachów ściany luku bagażowego wzmocniono płytami pancernymi, które dobrze izolowały go od pozostałych pomieszczeń w

samolocie. Ładunek wybuchł zgodnie z planem, kiedy samolot znalazł się nad Morzem Śródziemnym, ale nie wyrządził żadnych szkód. Pasażerowie usłyszeli dziwny, głuchy hałas w ogonie, ale po chwili wrócili do swoich spraw, jednak załoga w kokpicie zorientowała się, co się stało. Czerwone światełko na tablicy rozdzielczej oznaczało eksplozję w luku bagażowym. System ostrzegania sygnalizował, że pomimo eksplozji samolotowi i pasażerom nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Pilot zawrócił i niedługo później bez problemu wylądował awaryjnie na lotnisku w Rzymie.

Pasażerów poproszono, by poczekali w samolocie, aż strażnicy ochrony przeszukają luk bagażowy. Kiedy znaleziono resztki magnetofonu z przywieszką z nazwiskami dwóch młodych pasażerek, kobiety natychmiast aresztowano. Dopiero teraz zrozumiały, że wpadły w sprytną pułapkę.

Włoską policję poinformowano, że materiał wybuchowy wniesiono na pokład samolotu w Rzymie. W całym mieście rozpoczęto natychmiast pościg za aktywistami z Al-Fatah i aresztowano między innymi Abdela Zwaitera, którego brata wcześniej wydalono z Niemiec z powodu podejrzeń o powiązania z Czarnym Wrześniem. Abdel został przesłuchany, ale odpowiadał z wolnej stopy, bowiem włoska policja nie miała żadnego dowodu na jego współudział w nieudanym zamachu. Obaj Arabowie, którzy podrzucili młodym kobietom materiał wybuchowy, zniknęli bez śladu.

Abdel jakby nigdy nic wrócił do pracy dla libijskiej ambasady. Nikt nie potrafił mu udowodnić, że maczał palce w zamachu, i nie zapowiadało się, żeby ktokolwiek chciał wyrównać z nim rachunki. Dozorczyni jego kamienicy przy Piazza Annibaliano witała go z uśmiechem. Nie, nikt pod jego nieobecność nie przeszukał jego mieszkania. Nie przyszła żadna poczta. Abdel Zwaiter wszedł do swojego mieszkania, dokończył pisanie artykułu i położył się spać.

14

Sylvia Rafael biegała z aparatem z miejsca na miejsce za kulisami paryskiej sali koncertowej Olimpia, robiąc zdjęcia Yvesowi Montandowi. Fotografowała znanego piosenkarza w czasie charakteryzacji w garderobie, gdy rozmawiał z dyrygentem orkiestry i składał autografy dla fanów, którzy zasiedli na widowni. Pracując w teatrze, spędziła kilka pięknych godzin. Uwielbiała towarzystwo artystów, a jej zawód często umożliwiał jej spotkania z wielkimi gwiazdami. Z radością wykonywała każde zlecenie swojej agencji. Zarówno jej, jak i jej przełożonym z jednostki do zadań specjalnych odpowiadało to, że jako fotoreporterka nie miała stałego zatrudnienia. Dzięki temu w miarę potrzeb mogła zawsze znaleźć czas na tajne misje.

Naświetlone klisze, na których uwieczniła najnowszy występ Yvesa Montanda, zawiozła taksówką do Delmas Photo, gdzie je wywołano, a potem kupiły je największe gazety we Francji i w całej Europie. Dopiero po północy wróciła do domu.

Telefon zadzwonił, zanim zdążyła zrobić sobie kawę. To był David, jej oficer prowadzący.

– Mam dla ciebie smutną wiadomość. Niestety, twoja siostra została ciężko ranna w wypadku. Nie powinnaś teraz wychodzić z domu, gdybym w razie czego musiał do ciebie zadzwonić w ciągu kolejnych godzin. – David przekazał jej zaszyfrowaną wiadomość.

– Czy jej stan jest poważny?

– Tak, Patricio. Teraz możemy tylko czekać i być dobrej myśli, ale jutro powinniśmy ją oboje koniecznie odwiedzić.

Odłożył słuchawkę, a Sylvia czuła kołatanie serca. Zaszyfrowana wiadomość była jednoznaczna: jednostka do zadań specjalnych miała jej najprawdopodobniej powierzyć nową, ważną misję i nie powinna na razie przyjmować kolejnych zleceń fotograficznych. Kiedy David powiedział, że następnego dnia mają odwiedzić ranną siostrę, znaczyło to, że Patricia

wkrótce dowie się wszystkich szczegółów. Jedna możliwość od razu przyszła jej do głowy: Czarny Wrzesień.

Była co najmniej tak podekscytowana jak w czasie przerwanego w ostatniej chwili ataku na dowódcę grupy terrorystycznej. Teraz też przez całą noc nie zmrużyła oka. Umierała z ciekawości. Może Mossad wziął na cel osławionego terrorystę? Ale którego? I gdzie miała się odbyć operacja? Czy znowu czekała ją podróż do wrogiego kraju? A może do jakiegoś europejskiego miasta?

Jednostka do zadań specjalnych Mossadu jest równie dobrze przygotowana do prowadzenia akcji w krajach wrogich, jak i sprzymierzonych. Nadrzędny cel to eliminowanie terrorystów, niezależnie od tego, gdzie się ukrywają. Każda operacja wymaga gruntownej oceny sytuacji i dokładnego planowania. Zbiera się i ocenia dane, żeby podjąć właściwe decyzje. Specjalnie wyszkolone zespoły wytyczają najlepsze i najdogodniejsze trasy, określają metody postępowania i powrotną drogę po wykonanym zadaniu. Biorą też pod uwagę możliwość porażki i dostarczają z wyprzedzeniem wskazówki na wypadek aresztowania i wiązanych z tym dyplomatycznych komplikacji.

Nie inaczej postępowano, przygotowując nową misję Sylvii Rafael.

Następnego dnia wcześnie rano Sylvia spotkała się z Davidem i otrzymała precyzyjne instrukcje. Miała natychmiast jechać do Rzymu i tam przyłączyć się do zespołu, który deptał po piętach Abdelowi Zwaiterowi. Otrzymała następujący opis jego osoby: czterdzieści pięć lat, urodzony w Nablus, studiował literaturę i filozofię na uniwersytecie w Bagdadzie, wcześniej mieszkał w Libii, a obecnie w Rzymie, mówi po angielsku, francusku i włosku, lubi muzykę i poezję, pielęgnuje przyjaźń z włoskimi intelektualistami, tłumaczy książki z arabskiego na włoski, mieszka przy Piazza Annibaliano w Rzymie, nocuje jednak często u przyjaciółki. Przyjrzała się dokładnie jego zdjęciu, na którym siedział na ławce w parku pogrążony w lekturze książki.

W wagonie sypialnym pociągu z Paryża do Rzymu Sylvia w ogóle nie odczuwała zmęczenia. Patrzyła na mijane, pogrążone w ciemności miasta, myślała o swoim przyjacielu Hansie i ich ostatnim spotkaniu. On ugotował dla niej kolację i podał wykwintne wino. Przed odjazdem do Rzymu zadzwoniła do niego, ale nie odważyła się powiedzieć, gdzie spędzi kolejne

dni, bo bała się pytań, na które i tak nie mogłaby szczerze odpowiedzieć. W czasie rozmowy niby mimochodem rzuciła, że w ciągu kolejnych dni czeka ją mnóstwo pracy. I nic więcej. Wiedziała, że w czasie nadchodzącej operacji nie będzie jej wolno utrzymywać żadnego kontaktu z Hansem, i już sobie wyobrażała, jak on zareaguje, gdy zauważy jej zniknięcie. Wymyśliła więc wiarygodne wyjaśnienie.

Nie mogła zmrużyć oka, dlatego przechadzała się po pociągu. W jednym z przedziałów spała młoda para. Kobieta oparła głowę na ramieniu mężczyzny, a na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. Nie wyglądała na osobę, która ma jakieś tajemnice. „W przeciwieństwie do mnie", pomyślała Sylvia.

Na peronie dworca w Rzymie czekał na nią kolega z jednostki do zadań specjalnych, który przyjechał do Włoch poprzedniego dnia. Jako znak rozpoznawczy włożył niebieski krawat w gwiazdki. Uścisnął Sylvii rękę i zaprowadził ją do wynajętego samochodu. W czasie jazdy skorelowali swoje legendy. Potem podał jej elegancką szarą torebkę z wbudowaną kamerą, której obiektyw wystawał z ukrytego otworu w skórze. Sylvia doskonale znała się na tego typu urządzeniach.

Ze względów bezpieczeństwa zatrzymali auto w pewnej odległości od hotelu, w którym Sylvia wynajęła pokój na nazwisko Patricia Roxburgh. Zostawiła tam swoje rzeczy i wróciła do czekających agentów. Podjechali pod jakiś budynek.

– To libijska ambasada – powiedział jej kolega.

Tego samego dnia Ali Salameh dostał wiadomość od Abdela Zwaitera: „Przesłuchiwano mnie na policji, ale nie pisnąłem ani słowa. Jestem gotowy do kolejnej misji".

Ali miał mnóstwo pomysłów dla swojego człowieka w Rzymie, ale na razie postanowił czekać. Choć Abdela z braku dowodów zwolniono z aresztu, włoska policja mogła nadal go śledzić, a co gorsza mógł go też obserwować Mossad. Ali wysłał do Abdela telegram składający się z tylko kilku słów: „Ojciec szuka nowego domu". Ten krótki tekst oznaczał: „Uciekaj ze swojego mieszkania i na jakiś czas zejdź do podziemia".

Sylvia wzięła torebkę z ukrytą kamerą, kupiła sobie kanapkę i usiadła na ławce w parku, z której mogła bez trudu obserwować wejście do ambasady. Jej towarzysz ubezpieczał ją z pobliskiej kryjówki.

Ludzie na sąsiednich ławkach karmili gołębie okruszkami, Sylvia zrobiła to samo. Czekała, aż mężczyzna, którego miała sfotografować, wyjdzie z ambasady. Wreszcie po południu zobaczyła, jak opuszcza budynek z kilkoma książkami pod pachą. Za pomocą aparatu z torebki zrobiła mu zdjęcie i zaczęła go śledzić. Abdel Zwaiter pojechał autobusem do siedziby wydawnictwa Feltrinelli, gdzie spędził jakiś czas, potem zrobił zakupy w sklepie spożywczym, a na końcu odwiedził przyjaciółkę, z którą łączyły go intymne relacje. Kobieta była w jego wieku. Niedaleko od jej domu zaparkował wynajęty samochód, w którym Sylvia i jej kolega udawali zakochaną parę.

W międzyczasie goniec włoskiego urzędu telegraficznego zadzwonił do mieszkania Abdela z telegramem od Alego. Nikogo nie zastał, więc zostawił w drzwiach awizo i poszedł dalej roznosić pocztę.

Po dłuższym czasie Zwaiter opuścił dom swojej przyjaciółki. Sylvia i jej kolega pojechali za nim samochodem. Wsiadł do autobusu, wysiadł na przystanku w pobliżu swojego mieszkania i spacerowym krokiem poszedł do domu. Była 22.30. Dwóch wyszkolonych agentów Mossadu czekało w cieniu budynku w następnej bocznej uliczce. Zobaczyli, jak reflektory wynajętego auta dwukrotnie zapalają się i gasną. To był znak do rozpoczęcia akcji.

Abdel Zwaiter wyciągnął z torby klucz do mieszkania i ruszył w kierunku windy, ale do niej nie dotarł. Obaj agenci wycelowali w niego z pistoletów Beretta.22 z tłumikiem, wpakowali w jego ciało dwanaście kul i uciekli. Zwaiter był pierwszym terrorystą, na którym Izrael zemścił się za masakrę w Monachium. Wielu innych Mossad już wziął na celownik.

15

Agent jednostki do zadań specjalnych musi umieć kłamać bez zmrużenia powiek, trzymać się swojej legendy i fałszywej biografii, ale w raportach składanych oficerowi prowadzącemu zawsze pisze prawdę. Bezwzględna szczerość może narazić go na niebezpieczeństwo.

Kłamstwo stało się drugą naturą Sylvii. Szkoleniowcy z Mossadu nauczyli ją, jak z największym spokojem zatajać prawdę. Z ciężkim sercem przychodziło jej jednak okłamywać Hansa, ukochanego i najbliższego jej człowieka. Tak jak jej koledzy uciekała się do półprawd i niedomówień. Kogo miała okłamywać, a komu mówić prawdę? Jak można okłamywać kogoś, kogo się kocha? Jak można poprzestać na półprawdach, kiedy serce chciałoby się otworzyć, choć umysł się temu sprzeciwia?

Wkrótce po powrocie z Rzymu Sylvia stanęła przed drzwiami mieszkania Hansa Raucha. Nie widzieli się przez kilka dni, nic więc dziwnego, że on, zgodnie z obawami Sylvii, natychmiast zadał kluczowe pytanie.

– Gdzie się podziewałaś?

– Miałam mnóstwo pracy – odparła cicho Sylvia i nie skłamała.

– Nie mogłaś przynajmniej zadzwonić? Martwiłem się.

– W pobliżu nie było telefonu. – Również to na szczęście nie było aż tak odległe od prawdy.

Hans przyglądał jej się badawczo, a ona czuła się jak podczas przesłuchania na policji.

– Jesteś bardzo tajemnicza, Patricio – powiedział Hans. – Zauważyłaś, że prawie nic o tobie nie wiem?

– Nie mam nic do ukrycia – odparła. Tym razem skłamała. Jej tożsamość i prawdziwa biografia były objęte ścisłą tajemnicą.

Hans zaprosił ją na kolację. W czasie rozmowy Sylvia zapytała go:

– Co porabiałeś w czasie mojego wyjazdu?

– Ach, niewiele, leniuchowałem, piłem za dużo wina, wybrałem się na kilka wycieczek.

– Szukałeś pracy?

– Próbowałem, ale bez większych sukcesów.

W czasie całego spotkania nie opuszczał jej strach, bo wiedziała, że niedługo znowu będzie musiała ukryć przed nim prawdę.

Kiedy wrócili do jego mieszkania, odważyła się wreszcie powiedzieć:

– Przykro mi, Hans, ale wkrótce muszę znowu wyjechać na kilka dni w sprawach zawodowych.

Hans się zdziwił.

– A dokąd się tym razem wybierasz?

– Delmas chce, żebym zrobiła reportaż z podróży.

– Gdzie?

– To tajemnica.

Hans zaśmiał się zakłopotany.

– Nie wiedziałem, że Delmas Photo zleca również tajne zadania.

– Poproszono mnie, żebym z nikim o tym nie rozmawiała.

– To trochę dziwne, zupełnie tego nie rozumiem.

– Hans, nie rozmawiajmy już o tym, więcej naprawdę nie mogę ci powiedzieć.

Niedługo potem pożegnała się, bo coraz bardziej niezręcznie czuła się w towarzystwie człowieka, którego musiała okłamywać. Był pogodny letni wieczór, a Sylvia błąkała się bez celu po mieście. Turyści fotografowali się przed Łukiem Triumfalnym i siedzieli w kawiarniach przy Polach Elizejskich. Patrzyła na roześmiane twarze i słyszała okrzyki zachwytu podróżnych, którzy po raz pierwszy odwiedzali Paryż. Tylko jej było ciężko na duszy, a w jej głowie kłębiły się czarne myśli. Nie mogła przestać myśleć o swoim ukochanym Hansie. Gdyby nie znalazł pracy w Paryżu, na pewno szukałby szczęścia gdzieś indziej, daleko od Sylvii. Dzielący ich dystans i jej nagłe zniknięcia, spowodowane udziałem w tajnych misjach, na pewno doprowadziłyby do rozluźnienia czy nawet zerwania ich relacji. Przeszło jej przez myśl, że mogłaby zrezygnować ze służby i wiernie towarzyszyć Hansowi, ale to nie był dobry moment na taką decyzję. Działania agentów w Europie nabrały rozmachu, a Sylvia odgrywała w nich niebagatelną rolę. Była znakomicie wyszkolona, doświadczona i cieszyła się jednomyślnym uznaniem swoich przełożonych. Zawdzięczała im najciekawsze jak dotąd lata swojego życia, to oni dali jej możliwość samorealizacji i urzeczywistnienia wszystkich ambicji i marzeń. Gdyby

teraz uciekła, postąpiłaby nie *fair*. Zresztą, czym miałaby się teraz zająć? W porównaniu z pracą w Mossadzie każde inne zajęcie wydawało się błahe i nie dałoby jej satysfakcji. Ale rezygnacja miałaby też swoje plusy. Hans zostałby przy niej. Żyłaby z nim, wyszła za niego za mąż i zaszła z nim w ciążę. Tak bardzo chciała, żeby Hans był ojcem jej dzieci. Czy mogła teraz z niego zrezygnować?

Siedziała zamyślona na metalowej ławce pod wierzbą płaczącą, której gałęzie zwisały jak splątane kosmyki włosów. Kiedy wróciła do domu, pomimo późnej pory zadzwoniła do swojego oficera prowadzącego.

– Muszę z tobą pogadać – powiedziała.

On ustalił z nią miejsce i czas spotkania następnego dnia.

– Co się stało? – zapytał przerażony, kiedy się spotkali.

Opowiedziała mu o swojej rozmowie z Hansem.

– Jakie masz wobec niego zamiary? – zapytał David. – Czy to poważny związek?

– Bardzo poważny. Kocham go, a on mnie. Nie chcę go stracić, ale nie chcę też z jego powodu rezygnować z Mossadu. Miłość jest dla mnie ważna, ale kocham też moją pracę. Nie potrafię go już dłużej okłamywać. Myślisz, że moglibyśmy zwerbować go do jednostki?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co ci odpowiedzieć – powiedział David zbity z tropu. – Porozmawiam o tym z moimi przełożonymi.

Szefowie przyjęli propozycję Sylvii ze zdumieniem. Nigdy wcześniej nie przytrafił im się taki przypadek. Poza tym jednostka do zadań specjalnych od czasu katastrofalnej w skutkach afery Lavona w 1954 roku zatrudniała wyłącznie samotnych agentów, żadnych małżeństw czy krewnych. Ale szefowie cenili Sylvię i potrzebowali jej bardziej niż kiedykolwiek, bowiem właśnie przygotowywali zasadzkę na jednego z dowódców arabskiej organizacji terrorystycznej. Dokonania Sylvii mówiły same za siebie, czekało ją jeszcze niejedno wielkie zadanie. Gdyby Hans się zorientował, że Sylvia go okłamuje, to najprawdopodobniej odszedłby od niej. Wtedy pewnością by się załamała i być może nigdy nie wyszłaby z depresji. Stanęła przed trudnym dylematem.

W pierwszej chwili przełożeni Sylvii uznali pomysł zwerbowania Hansa do jednostki do zadań specjalnych Mossadu za czysty absurd, ale po namyśle dostrzegli pozytywne strony takiego rozwiązania. Przecież Hans został już potajemnie zweryfikowany pod kątem bezpieczeństwa

politycznego i nie budził żadnych podejrzeń. Jego przyjęcie do Mossadu, a szczególnie do tej jednostki, zagwarantowałoby dalszą współpracę z Sylvią. Mogłaby powiedzieć Hansowi całą prawdę i nadal służyć jednostce, już bez tajemnic, które tak bardzo jej ciążyły.

16

Kiedy David przekazał Sylvii zasadniczo pozytywną decyzję szefów jednostki, ona zareagowała zaskoczeniem. Przez kilka minut nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa, sądziła bowiem, że jej propozycja nigdy nie zostanie pozytywnie rozpatrzona.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem szczęśliwa – wydusiła z siebie wreszcie. – To nie była łatwa decyzja. Mam świadomość, że niesie ze sobą spore ryzyko. Tym bardziej jestem wam wdzięczna. Nigdy wam tego nie zapomnę.

– Chcieliśmy ci udowodnić, jak bardzo cię cenimy.

Sylvia była bliska łez.

– Nikt jeszcze nie zdobył się dla mnie na tak piękny gest – wyszeptała.

David szczegółowo poinstruował Sylvię, jak powinna przekazać tę wiadomość Hansowi.

– Nie wspominaj o Mossadzie. Wyjaśnij mu po prostu, że poznałaś ludzi, którzy prowadzą firmę zajmującą się gromadzeniem danych. Powiedz, że firma ta ma wiele kontaktów z Izraelem, że szuka pracowników w Europie i że może Hansa zainteresuje ta oferta. Później poddamy go szeregowi testów, a kiedy je zda, zaproponujemy mu pracę u nas. Dopiero potem powiemy mu, że ty też pracujesz dla Mossadu. Nie mogę zagwarantować, że zostaniecie włączeni do akcji w tym samym miejscu.

– Nie szkodzi.

Jeszcze tego samego dnia Sylvia opowiedziała swojemu przyjacielowi o propozycji. Hans słuchał z zainteresowaniem i pytał, kto prowadzi tę firmę i czym się ona dokładnie zajmuje. Sylvia udawała, że nie zna więcej szczegółów, i miała nadzieję, że okłamuje Hansa po raz ostatni.

Pracownicy jednostki w Paryżu po spotkaniu z Hansem Rauchem zaprosili go na rozmowy kwalifikacyjne do Izraela. Wyjaśnili mu, że chodzi o tajne

zadanie, dlatego musi na czas podróży przybrać inną tożsamość. Dostał izraelski paszport z fałszywym nazwiskiem. Izraelska służba bezpieczeństwa na lotnisku Orly w Paryżu bez problemu wpuściła go na pokład, bowiem wcześniej przekazano instrukcje, by go nie kontrolować.

Na lotnisku Lod odebrał go nieznajomy mężczyzna, który zawiózł go do Tel Awiwu do mieszkania przy ulicy Blocha, a potem zaprosił go na kolację. Potem wybrali się na spacer po Tel Awiwie i Jaffie. Hans chłonął piękne krajobrazy, przyglądał się uważnie przechodniom i próbował zrozumieć, czym ten kraj zauroczył tak wielu ludzi.

Następnego ranka zawieziono go na wstępną rozmowę do małego biura w starej, centralnej części miasta. Czekało na niego dwóch mówiących po angielsku ludzi z jednostki do zadań specjalnych i jeden psycholog spoza organizacji. Uścisnęli sobie ręce i Hansa poinformowano, że testy potrwają kilka dni i dopiero na podstawie ich wyników podjęta zostanie decyzja o jego przyjęciu. Przed rozpoczęciem pierwszej serii testów pokazano mu jeszcze Jerozolimę i Wzgórza Golan.

Przez trzy dni od rana do wieczora poddawano Hansa testom i prowadzono z nim długie rozmowy kwalifikacyjne, żeby sprawdzić jego przydatność do pracy w wywiadzie. Pytano go po angielsku o jego dzieciństwo i relacje rodzinne, kazano mu szukać wyjścia z zaaranżowanych, skomplikowanych sytuacji, wystawiano na próbę jego pewność siebie i zdolność działania pod presją, sprawdzano, czy umie wpływać na decyzje innych i radzić sobie w obcym środowisku. Musiał również w szczegółach opisać swój związek z Sylvią.

Podczas testów Hans powiedział ze śmiechem do jednego z egzaminatorów:

– Brałem udział w niejednej rekrutacji, ale tak intensywnie jeszcze nigdzie mnie nie maglowano. Czy to aby nie lekka przesada?

– Zawsze tak pracujemy – odparł krótko oficer prowadzący zespół. – Nasza procedura kwalifikacyjna gwarantuje wybór najlepszych kandydatów.

Po zakończeniu testów cały zespół zebrał się, żeby podjąć decyzję. Większość zagłosowała za przyjęciem Hansa do jednostki. Postanowiono wyszkolić go i osadzić w arabskim mieście portowym. Udając pracownika europejskiej firmy importowo-eksportowej, miał zbierać informacje na temat przemieszczania się oddziałów wojskowych, obiektów militarnych i ugrupowań terrorystycznych.

Poinformowano Hansa, że został przyjęty do jednostki i że jego szkolenie odbędzie się w Paryżu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jaka organizacja go rekrutowała, i dopiero teraz dowiedział się, że Sylvia służy w Mossadzie.

– Tak podejrzewałem – powiedział z uśmiechem. – Ale nie miałem żadnego dowodu.

Kiedy wrócił do Paryża, powiedział Sylvii, że dostał pracę. Nie miała prawa pytać, dokąd zostanie wysłany, ale i tak spodziewała się, że Hans wyjedzie w daleką podróż. Oczywiście wolałaby, żeby został blisko niej, w Europie, ale wiedziała też, że Mossad wyśle jej ukochanego tam, gdzie będzie najbardziej potrzebny. To było mniejsze zło.

Spotykali się prawie codziennie, żeby mieć co wspominać w czasie rozłąki. Trzymając się za ręce, spacerowali po paryskich parkach, chodzili na kolacje, zwiedzali wystawy i kupowali sobie nawzajem małe pamiątki.

17

Prywatne życie agenta nie powinno mieć żadnego wpływu na jego służbę, ale rzeczywistość najczęściej wygląda zupełnie inaczej. Tylko najsilniejsze osobowości potrafią udźwignąć ciężar odpowiedzialności i sprawnie lawirować między prozaiczną codziennością a wyjątkowymi okolicznościami, w których często przychodzi im wykonywać zadanie. Trudno wygospodarować czas dla partnera czy rodziny, kiedy trzeba w pełni skoncentrować się na ryzykownej operacji. Strach przed śmiercią, aresztowaniem czy porwaniem kładzie się długim cieniem na relacjach z ukochanymi osobami, które najczęściej nie wiedzą, gdzie jest i co robi agent. Z tego powodu rozpadło się wiele rodzin.

W czasie ostatniego spotkania Hansowi i Sylvii towarzyszyły ogromne emocje. On przyniósł jej bukiet kwiatów i nocował u niej. Rankiem przed wyjazdem nie mogli się ze sobą rozstać i szukali wymówek, żeby jeszcze przez chwilę pobyć razem. Sylvia zrobiła śniadanie.

– Jak wypełnię misję i znowu się spotkamy, to ja zrobię śniadanie – obiecał jej Hans.

Sylvia odprowadziła go na stację metra. Całowali się długo na schodach prowadzących na peron.

Początkowo Sylvii wydawało się, że jej związek z Hansem przetrwa rozłąkę, ale wkrótce rzeczywistość boleśnie zweryfikowała jej nadzieje. Nie wolno im było rozmawiać przez telefon ani prowadzić stałej korespondencji. Mijały miesiące, on nie dawał znaku życia, a ona nie wysyłała mu żadnych wiadomości.

Samotna i rozczarowana Sylvia zrozumiała, że sama zastawiła na siebie pułapkę bez wyjścia. Jej miłość utknęła w ślepej uliczce. Z przerażeniem zdała sobie sprawę z tego, że ich wspólna przyszłość stanęła pod znakiem zapytania. Niekiedy doskwierała jej nieznośna wręcz tęsknota za Hansem, ale przychodziły i takie dni, kiedy w ogóle o nim nie myślała. Z czasem stało się to, czego można było się spodziewać. Hans nie miał czasu, gdyż próbował jak najszybciej zaaklimatyzować się w nowym miejscu,

żeby móc skutecznie działać i zdobyć uznanie przełożonych. Sylvia czuła, że dryfuje coraz dalej od niego, pogrążyła się w pracy, realizując kolejne zadania. Wiedziała, że w odległej przyszłości jeszcze się spotkają, ale wątpiła, czy wciąż będzie łączyć ich dawna namiętność.

Nie mogła mieć pretensji do Mossadu. Przecież to na jej życzenie zatrudniono jej ukochanego. Szefowie Mossadu wyjawili mu prawdę o zawodzie Sylvii w przekonaniu, że wyświadczają obojgu wielką przysługę, jednocześnie zacieśniając więzy z Sylvią. Nie tak wyobrażała sobie ich wspólne życie. Coraz mniej tęskniła za Hansem.

Po jakimś czasie oficer prowadzący poinformował ją, że Hansowi powierzono nową misję w innym, odległym kraju. Przyjęła tę wieść z obojętnością, ale z obowiązku zapytała o szczegóły.

– Nie wyglądasz na zbyt uradowaną – powiedział David ze śmiechem.

– A czym tu się ekscytować? Nie widziałam go całe wieki.

– Żałujesz swojej decyzji?

– Żałuję, że ominęła mnie okazja do założenia rodziny.

– To zawsze możesz zrobić. Jestem pewien, że jeszcze znajdziesz mężczyznę swojego życia.

– Zapominasz, ile mam lat. Jak tak dalej pójdzie, do końca moich dni zostanę sama jak palec, bez ukochanego mężczyzny u boku.

Tym razem Sylvia się myliła.

18

– Przypominasz go sobie? – zapytał David. Pokazał jej zdjęcie mężczyzny koło pięćdziesiątki.

Człowiek na fotografii wyglądał znajomo, ale Sylvia nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej widziała.

– Był na wernisażu twojej wystawy w hotelu Ritz. – Oficer prowadzący próbował odświeżyć jej pamięć.

Teraz sobie przypomniała. Wizytówkę doktora Mahmouda Hamshari przekazała wtedy razem z wizytówkami innych arabskich gości do jednostki do zadań specjalnych.

– Czemu go śledzimy? – zapytała.

– Należy do głównych dowódców Czarnego Września w Europie. Oficjalnie jest wykładowcą historii i reprezentantem Al-Fatah w Paryżu. W rzeczywistości ma stały kontakt z Alim Salamehem. Organizuje przemyt broni i amunicji dla członków Czarnego Września w Europie i koordynuje zamachy terrorystyczne. Wiemy, że brał udział w akcji wysadzenia w powietrze samolotu Swissair z Zurychu do Tel Awiwu w lutym 1970 roku. W wyniku wybuchu na pokładzie zginęło czterdziestu siedmiu pasażerów i członków załogi. Wiadomo też, że Hamshari maczał palce w planowaniu zamachu na Ben Guriona w maju 1969 roku w Kopenhadze. Poza tym dowiedzieliśmy się, że w swoim paryskim mieszkaniu zgromadził prawdziwy arsenał.

– Niech zgadnę: jest na naszej liście osób do likwidacji.

– Tak jest.

– Jaką rolę ja mam odegrać w tej operacji?

– Mamy nadzieję, że Hamshari pamięta cię z wystawy. Jeśli nie, przypomnij mu, że jesteś dziennikarką. Poproś go o wywiad i sesję fotograficzną. Wystarczy, jak umówisz się z nim poza jego domem i przez dwie godziny czymś go zajmiesz.

– Ma żonę?

– Tak, Francuzkę o imieniu Marie-Claude. Mają córkę. Co rano jego żona idzie do pracy, a córka do szkoły. Przed południem on zostaje sam w domu, ale jeśli ty się nim zajmiesz, uda nam się wejść do środka i zrobić swoje.

– A co mam powiedzieć, jak zapyta, dla jakiej gazety pracuję?

– Powiedz po prostu, że pracujesz dla agencji fotograficznej Delmasa. Przecież oni czasami zlecają napisanie krótkich tekstów towarzyszących zdjęciom. Powiesz, że wywiad zostanie sprzedany do kilku gazet.

David podał jej egzemplarz tygodnika „Jeune Afrique” z poprzedniego roku. Zawierał wywiad z Hamsharim przeprowadzony przez redaktora naczelnego Béchira Ben Yahmeda. Sylvia władała francuskim na tyle, żeby przeczytać samodzielnie tekst. Hamshari mówił o prawie palestyńskich Arabów do niezależności we własnym kraju, krytykował postępowanie Izraela wobec Arabów i twierdził, że gdyby świat arabski utworzył wspólny front przeciwko Izraelowi, już dawno odzyskano by Palestynę. Zaprzeczył jakimkolwiek swoim powiązaniom z ugrupowaniami terrorystycznymi.

– Dobra, kiedy mam się z nim spotkać? – zapytała Sylvia.

– Zadzwoń do niego jeszcze dzisiaj. Umów się na jutro albo pojutrze przed południem i daj mi znać, kiedy i gdzie się spotkacie.

– Wszystko jasne.

W słuchawce odezwał się głęboki głos, a Sylvia się przedstawiła. Hamshari ją sobie przypomniał.

– Czym się pani w międzyczasie zajmowała? – zapytał. – Bardzo bym chciał jeszcze kiedyś obejrzeć pani fotografie.

– Dziękuję, miło mi to słyszeć. Rzeczywiście zamierzam niedługo przygotować kolejną wystawę.

– Na jaki temat?

– Byłam w Jordanii i sfotografowałam tam mnóstwo ciekawych osób. Mam nadzieję, że wkrótce uda mi się pokazać niektóre z tych portretów.

– Z ogromną radością przyjmę zaproszenie.

– Oczywiście nie zapomnę o panu.

Sylvia z grzeczności zapytała, co u niego słychać.

– Wszystko w porządku – odparł. – Wygłaszam często wykłady, piszę...

Wreszcie Sylvia zaproponowała mu wywiad.

– Na jaki temat?

– Na temat pańskiej działalności akademickiej i oczywiście pańskich poglądów politycznych.

– Niedawno udzieliłem na ten temat wywiadu dla „Jeune Afrique”, nie chcę się powtarzać.

Przewidziała taką odpowiedź z jego strony.

– To było rok temu – odparła szybko. – W międzyczasie wiele się wydarzyło, szczególnie w krajach arabskich. A pańska opinia się liczy.

– Naprawdę?

– Czy w przeciwnym razie prosiłabym pana o wywiad?

– Bardzo przekonująco mi pani schlebia. No dobrze, kiedy chciałaby się pani spotkać?

– Kiedy tylko znajdzie pan czas, jak najszybciej. My, dziennikarze, zawsze się spieszymy – odparła Sylvia.

Umówili się na następny dzień, 8 grudnia 1972 roku, w kawiarni na parterze kamienicy przy Rue d’Alesia 175, w której mieszkał Hamshari.

– Spotkam się z nim jutro o 10.00 – powiedziała Sylvia swojemu oficerowi prowadzącemu.

– Wszystko przygotujemy – powiedział David.

Hamshari zjawił się punktualnie co do minuty i kiedy wszedł do kawiarni, rozejrzał się ostrożnie. Żaden z gości nie wzbudził jednak jego podejrzeń, nawet starszy pan czytający „Le Monde”, który był członkiem jednostki do zadań specjalnych i ubezpieczał Sylvię.

Hamshari podszedł do stojącego na tyłach kawiarni stolika Sylvii i pocałował ją na powitanie w oba policzki.

– Wspaniale pani wygląda – powiedział. – Jak pani to robi?

Zamówili kawę i rozpoczęli wywiad. Sylvia pytała Hamshariego, jak potoczą się dalej wydarzenia w świecie arabskim i jaki oddźwięk wywołały zamachy terrorystyczne organizacji palestyńskich w krajach arabskich i na świecie. Pytała go również o pracę i rodzinę. Hamshari odpowiadał płynnie, krótkimi, precyzyjnymi zdaniami. Krytykował szefów państw islamu za to, że nie wspierają dostatecznie walk Palestyńczyków o prawo uchodźców do powrotu na ziemie arabskie, uważał, że konflikt z Izraelem potrwa, aż Arabowie nie postawią na swoim. Hamshari przeważnie powtarzał swojej wypowiedzi z poprzedniego wywiadu, ale Sylvia zadała mu więcej pytań.

Musiała zająć przez jakiś czas swojego rozmówcę, dlatego przygotowała zawczasu wiele tematów do rozmowy, żeby dobrze wypełnić swoje zadanie. Notowała każde słowo, sfotografowała Hamshariego i obiecała mu, że przyśle po egzemplarzu każdej gazety, która wydrukuje ten wywiad. Pożegnali się o 12.15.

– Proszę się postarać, żeby moje słowa wydrukowano w oryginalnym brzmieniu, i to jak najszybciej – poprosił ją na zakończenie rozmowy.

Potem Sylvia wtopiła się szybko w tłum na ulicy. Niebo było szare, a przechodnie nie zwracali na nią uwagi. Była zadowolona ze swojej pracy, bo udało jej się wywabić Hamshariego z mieszkania, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Wiedziała, co czeka Hamshariego, ale nie robiła sobie wyrzutów. Był przestępcą, który popełnił niewybaczalne zbrodnie. Zasłużył na karę.

Kiedy się upewniła, że nikt jej nie śledzi, zatrzymała taksówkę i pojechała do Delmas Photo. Doktor Mahmoud Hamshari wszedł do swojego mieszkania. Jego żona i córka jeszcze nie wróciły. Usiadł przy biurku. Zadzwonił telefon. Kiedy Hamshari podniósł słuchawkę, eksplodował ładunek wybuchowy, który zainstalowano pod aparatem, gdy on rozmawiał z Sylvią w kawiarni.

Hamshari został ciężko ranny i zmarł w szpitalu.

19

Trudna, ryzykowna i wymagająca stalowych nerwów praca, ciągły przymus zachowywania ostrożności oraz dojmująca samotność dawały się Sylvii coraz bardziej we znaki. Zauważyła, że coraz częściej traci cierpliwość, a praca nie daje jej takiego zadowolenia jak kiedyś. Prawie co noc budziła się z koszmaru, a czasem z niewyjaśnionej przyczyny dopadał ją ból brzucha.

– Nie wiem, co mi jest – zwierzyła się Davidowi.

On się zaśmiał.

– Po prostu przyda ci się urlop – powiedział.

Agenci po okresie ciężkiej i wyczerpującej pracy często wracają do Izraela na urlop wypoczynkowy. David, oficer prowadzący Sylvii, uznał, że po trudach pracy powinna wybrać się na beztroskie wakacje, żeby zregenerować siły. Zarekomendował jej urlop, który został natychmiast zatwierdzony. Sylvia poprosiła, żeby w tym samym czasie również Hans dostał wolne, żeby mogli odbudować swoją relację. On jednak wykonywał właśnie niezwykle trudną misję i w jego przypadku urlop nie wchodził w grę.

Sylvia dostała izraelski paszport. Żeby się upewnić, że nikt jej nie śledzi, pojechała pociągiem z Paryża do Brukseli i jeszcze przed odlotem przez kilka godzin spacerowała po mieście. Izrael ją zaskoczył. W ciągu lat, które spędziła za granicą, wykonując misje Mossadu, powstały nowe dzielnice mieszkalne, parki i ulice.

W Tel Awiwie dostała do dyspozycji małe umeblowane mieszkanie tuż przy nadmorskiej promenadzie. Lubiła przesiadywać na balkonie, patrzeć na niebieskie morze i łodzie rybackie. Co rano schodziła na plażę i pływała w morskich falach.

Dużo podróżowała po kraju i pisała długie listy do rodziny w Afryce Południowej. Swoim najbliższym opowiadała, jak wiele satysfakcji daje jej praca w międzynarodowym towarzystwie handlowym. Spotkała się ze swoimi „rodzicami” z kibucu Gan Szmuel, malowała obrazy olejne i

akwarele i udało jej się na jakiś czas zapomnieć o swojej fałszywej tożsamości.

Jednak w czasie urlopu wypoczynkowego przewidziano również czas na spotkania z przełożonymi. Poinformowano Sylvię o aktualnych poszukiwaniach dowódców ugrupowań terrorystycznych, szczególnie Alego Salameha, i o nowych metodach działania. Z dumą słuchała pochwał za swoją znakomitą pracę. Szef Mossadu osobiście uścisnął jej dłoń i życzył dalszych sukcesów.

Dowódcy jednostki do zadań specjalnych rozpieszczali ją od pierwszego dnia i robili wszystko, żeby wypełnić jej urlop rozrywkami. Zapraszali ją na wycieczki i do restauracji, jeden zabrał ją nawet na koncert do filharmonii i na wystawę do muzeum sztuki w Tel Awiwie. Przypadkowo napotykanym dawnym przyjaciółkom opowiadała, że pracuje w dużej spółce handlowej w Europie, dobrze zarabia i zastanawia się, czy po zakończeniu umowy nie wrócić do Izraela. Żaden z jej znajomych w Izraelu nie podejrzewał, że w rzeczywistości Sylvia prowadzi podwójne życie.

W czasie urlopu skontaktowała się z Abrahamem Gehmerem, który po powrocie z Paryża objął kierownicze stanowisko w jednostce do zadań specjalnych. Dopiero teraz poznała całą prawdę o życiu swojego nauczyciela i pierwszego oficera prowadzącego. Odwiedziła go w jego domu i poznała jego żonę Dinę. Abraham powiedział jej, że oprócz pracy w Mossadzie zaczął studiować prawo na uniwersytecie w Tel Awiwie.

– Marzę o tym, żeby studiować psychologię, ale nie sądzę, by udało mi się to w najbliższym czasie – powiedziała Sylvia.

Pod koniec urlopu pożegnała się z przyjaciółmi. Rozpierała ją energia i już się nie mogła doczekać, kiedy znowu otrzyma jakieś tajne zadania. Zatęskniła za dreszczykiem emocji i niebezpieczeństwem.

Poleciała do Brukseli, a stamtąd wróciła pociągiem do Paryża. Na Gare du Nord czekał na nią David.

– Co słychać? – zapytała.

– Ledwo zipię – odparł.

– Dużo pracy?

– Można tak powiedzieć.

– Znajdzie się dla mnie jakieś zajęcie?

– Przede wszystkim dla ciebie.

20

Mossad walczył zajadle z Czarnym Wrześniem. Na początku 1973 roku izraelskie służby wywiadowcze zyskały nareszcie przewagę. Wprawdzie Alego Salameha jeszcze nie zlikwidowano, ale pierwsi z podległych mu dowódców już nie żyli.

Jasir Arafat miał wiele powodów do zmartwień. Wezwał Alego Salameha na spotkanie i domagał się od niego, by podwoił wysiłki, przeprowadzał spektakularne zamachy, jak ten w Monachium, i zabijał więcej ludzi z Mossadu. Ali siedział naprzeciwko niego zakłopotany i zawstydzony. Arafat nie ganił go wprost, ale okazał mu swoją irytację. Nagle przestał być dobrotliwym, wyrozumiałym ojcem. Przywódca Al-Fatah w mgnieniu oka przeobraził się w surowego wodza, który rozliczał swoich podwładnych z ich dokonań.

– Możesz na mnie polegać – odparł Ali. – Jeszcze cię zaskoczę.

Wyszedł z biura w ponurym nastroju. Niespodziewanie Mossad zyskał przewagę i wymierzał jego ludziom cios za ciosem. Ali wiedział, że musi zmobilizować wszystkie siły, żeby opanować trudną sytuację i na nowo zaskarbić sobie życzliwość i zaufanie Arafata.

Jeden z zastępców wpadł do jego biura.

– Zabili al-Chira – zawołał.

Ali otworzył szeroko oczy. Tylko tego mu brakowało.

Husajn al-Bashir alias Husajn Abd al-Chir, reprezentant Czarnego Września na Cyprze, utrzymywał w Nikozji bliskie kontakty ze wschodnioniemieckimi służbami bezpieczeństwa. Przez Nikozję przerzucano terrorystów do obozów szkoleniowych w NRD. Z Niemiec Wschodnich przysyłano tu broń, amunicję i materiały wybuchowe dla Czarnego Września. Ali uważał al-Chira za jednego ze swoich najważniejszych przedstawicieli zagranicą.

– Jak go zabili? – zapytał.

– Poszedł na kolację z przyjacielem z ambasady radzieckiej, a potem wrócił do hotelu. O pierwszej w nocy położył się spać, a kilka minut

później w jego pokoju eksplodował duży ładunek wybuchowy. Sufit się zawalił i cały pokój legł w gruzach. Al-Chir zmarł, zanim zdążył wezwać pomoc.

Ali ukrył twarz w dłoniach i przez chwilę milczał. Nie miał najmniejszych wątpliwości, kto przeprowadził atak na al-Chira. Obiecał sobie, że da Izraelowi nauczkę, zanim Mossad wymierzy mu kolejny cios.

Dał się jednak zaskoczyć po raz kolejny.

Następny na liście Mossadu był profesor Basil al-Kubaissi. Pochodził z Iraku, wykładał prawoznawstwo na uniwersytecie w Bejrucie, a o przygotowywaniu ataków terrorystycznych wiedział dosłownie wszystko. W 1956 roku musiał uciekać z Iraku, bo wziął udział w zamachu na króla. Kilka lat później przewiózł irakijskiego zabójcę do Stanów Zjednoczonych, żeby ten zlikwidował premier Izraela Goldę Meir, która właśnie odbywała tam wizytę państwową. Na szczęście amerykańskie służby bezpieczeństwa odkryły samochód z ładunkiem wybuchowym, który miał eksplodować tuż obok jej samolotu. Śledczy z FBI poszukiwali sprawców, nie wpadli jednak na trop Kubaissiego.

Ten bowiem przeniósł się do Paryża, gdzie mieszkał w małym hotelu przy Place de la Madeleine. Co rano pił kawę w pobliskiej kawiarni, spędzał cały dzień w bibliotece na Sorbonie, a wieczorami spotykał się z aktywistami Czarnego Września, którzy przyjeżdżali do niego z całej Europy.

Po jednym z takich spotkań wracał wieczorem do hotelu. Kiedy mijał kościół Świętej Magdaleny drogę zaszło mu dwóch mężczyzn, oddali w jego kierunku dziewięć strzałów i zniknęli bez śladu.

Następnego dnia Ali Salameh otrzymał smutną wiadomość. Zwołał wszystkich swoich dowódców na nagłe posiedzenie, ale zanim jeszcze się zgromadzili, przyszła kolejna hiobowa wieść. Zastępca al-Chira w Nikozji zginął w ataku bombowym. Gdy położył się na łóżku hotelowym, eksplodował sprytnie zamontowany pod nim ładunek.

Ali Salameh wiedział, że jeśli wkrótce nie podejmie zdecydowanych kroków, straci dowodzenie nad Czarnym Wrześniem. Arafat chciał zażartej wojny na wyczerpanie i pałał żądzą zemsty, domagając się od Alego natychmiastowego działania. Salameh był jak bokser na ringu, który słania się i ledwie widzi przez zapuchnięte oczy, ale nie chce się poddać. Zadanie, które teraz przed nim stanęło, wymagało jeszcze większej zawziętości.

Pomimo beznadziejnej sytuacji Ali palił się do działania i był pewny zwycięstwa.

21

Od czasu krwawego zamachu na izraelskich sportowców w Monachium i masakry dwudziestu trzech pasażerów na lotnisku w Lod premier Golda Meir często naradzała się z szefem Mossadu Zwim Zamirem, ministrem obrony narodowej Mosze Dajanem i jego zastępcą Jigalem Allonem. Meir bała się kolejnych ataków na Izrael i żydowskie cele na całym świecie. Czarny Wrzesień spędzał jej sen z powiek. To ugrupowanie dowiodło, że potrafi trafić Izrael w czuły punkt, zaś rozlew krwi nie skończy się, póki na jego czele stoi Ali Salameh.

W czasie posiedzenia w jej biurze szef Mossadu przekazał pani premier najnowszy tajny raport, który potwierdzał jej najgorsze obawy. Czytając go, Golda Meir zbladła jak ściana. Wynikało z niego czarno na białym, że działające w Europie jednostki wywiadowcze otrzymały informacje na temat kolejnej planowanej przez Salameha akcji zbrojnej na wielką skalę. Oddział terrorystów z Czarnego Września zamierzał porwać samolot linii El Al w Paryżu albo Wiedniu, podłożyć w nim ładunki wybuchowe i zmusić pilotów do zmiany kursu, żeby wysadzić samolot nad Tel Awiwem. Do tego samobójczego oddziału rekrutowano arabskich studentów z Francji i Austrii, którzy należeli do Czarnego Września.

– Czy taki atak da się przeprowadzić? – zapytał minister obrony narodowej.

– Dawniej tak, dziś już nie – odparł Zwi Zamir.

– Dlaczego?

– Jeszcze rok temu mogliby nas zaskoczyć, ale dzisiaj stosujemy nowe środki bezpieczeństwa. Samoloty są znacznie lepiej chronione.

– Ale czy terrorystom i tak nie mogłoby się to powieść?

– Zawsze istnieje ryzyko, którego nie można wykluczyć.

Golda Meir miała jeszcze inne powody do zmartwień. Czarnemu Wrześniowi udało się w odwecie za śmierć innych terrorystów zabić agenta Mossadu w Europie. Baruch Cohen działał na terenie Hiszpanii pod nazwiskiem Mosze Hanan Ischai. Cohen stworzył sieć palestyńskich

agentów, którzy dostarczali mu plany operacyjne arabskich organizacji terrorystycznych działających w okolicy. Kiedy Ali Salameh dowiedział się o istnieniu tej sieci, wysłał podwójnego agenta, który podał Cohenowi fałszywe informacje. Kiedy Salameh planował egzekucje na ludziach Mossadu, Baruch Cohen widniał na samym szczycie jego listy.

Pewnego deszczowego, zimowego ranka Cohen siedział w tylnej części kawiarni w Madrycie i rozmawiał z podwójnym agentem. Nie przeczuwał, że zastawiono na niego pułapkę. Kiedy tuż przed 11.00 opuścił kawiarnię, dwóch mężczyzn strzeliło mu trzy razy w pierś z pistoletów z tłumikiem. Natychmiast wsiedli do samochodu z podrobionymi tablicami rejestracyjnymi i uciekli, zanim jeszcze nadjechały karetka i wóz policyjny. Pomoc lekarzy nadeszła zbyt późno.

– Panowie, tak dalej być nie może – powiedziała zdecydowanym tonem pani premier. – Musimy położyć kres działalności Alego Salameha.

– Wedle naszych ocen jeszcze nigdy nie zbliżyliśmy się do niego tak bardzo jak teraz – odparł szef Mossadu. – Zlikwidowaliśmy większość jego dowódców w Europie. W komórkach Czarnego Września w Rzymie i Paryżu panuje chaos, a wbrew planom Salameha w zeszłym roku nie powstały żadne nowe filie organizacji...

– Co to znaczy? – przerwała mu zniecierpliwiona Golda Meir.

– To znaczy, że Ali Salameh najprawdopodobniej opuści Bejrut, żeby odwiedzić swoich ludzi w Europie i dodać im odwagi. Mamy go na oku i jesteśmy gotowi do ataku przy pierwszej nadarzającej się okazji.

22

Oficera prowadzącego zawsze otacza tajemnica. Sylvia znała tylko jego numer telefonu i słyszała, że mówi dobrze po francusku. Nie miała pojęcia, gdzie mieszka, nie wiedziała, czy urodził się w Izraelu, od jak dawna służył w Mossadzie, czy miał żonę i dzieci. Nie zadawała mu żadnych osobistych pytań, bo on i tak nie mógłby na nie odpowiedzieć.

Relacje między oficerem prowadzącym i agentem opierają się na wzajemnym zaufaniu i bliskości, na zrozumieniu i porozumieniu. To trudna relacja, bowiem oficer prowadzący wie wszystko o swoim agencie, ten zaś ze względów bezpieczeństwa nie wie nic o oficerze prowadzącym.

Sylvia nie znała osobiście żadnego z agentów ze swojej jednostki w Europie. Nawet wtedy, gdy pracowała z nimi w tej samej grupie operacyjnej, rzadko poznawała ich prawdziwe imiona. Sama zresztą też posługiwała się wyłącznie fałszywymi personaliami.

Kilka razy widziała oddział egzekucyjny w akcji, ale najczęściej działał on pod osłoną ciemności, żeby utrudnić wrogom ewentualną identyfikację. Zawsze wykonywał swoją misję bardzo profesjonalnie, a agenci kierujący autami w czasie ucieczki wykazywali się umiejętnościami zawodowych kierowców rajdowych. Nie słyszała, by kiedykolwiek służby bezpieczeństwa w jakimś kraju zatrzymały któregoś z takich agentów. Była dumna z tego, że strzelcy dzięki jej pomocy eliminowali właściwych ludzi we właściwym miejscu i czasie. Liczyła się z tym, że w nieprzewidzianych okolicznościach, gdy wróg przywoła posiłki lub niespodziewanie kontratakuje, będzie musiała uciekać razem z nimi i zatrzeć po sobie ślady. Potrafiła posługiwać się bronią palną i wiedziała, że w razie konieczności zdołałaby przejechać rozpędzonym samochodem przez labirynt wąskich uliczek, byle tylko uciec przed napastnikami.

Początkowo podwójne życie agentki wydawało jej się zbyt trudnym wyzwaniem, teraz do niego przywykła. Mówiła coraz lepiej po francusku, czytała, malowała, zwiedzała muzea i małe kina z ambitnym repertuarem. Sąsiedzi widywali ją codziennie, wcześnie rano, gdy wracała ze świeżą

bagietką z pobliskiej *boulangerie*, niczym Francuzka z krwi i kości. Nie ruszała się z domu bez przewieszonego przez ramię nowoczesnego aparatu fotograficznego. Pisała do rodziców i dostawała od nich listy, które przychodziły na *poste restante*. Konsjerżka, zajmująca niewielkie mieszkanie na parterze, odpowiedzialna za utrzymanie budynku i roznoszenie poczty, wiedziała prawie wszystko o mieszkańcach kamienicy. Zauważyła, że piękna kobieta z trzeciego piętra nigdy nie przyjmowała mężczyzn i często wyjeżdżała na wiele dni z małym bagażem. Kiedy zapytała Sylvię, dokąd tak często wyjeżdża, samotna lokatorka odpowiedziała krótko:

– Na sesję fotograficzną.

Sylvia konsekwentnie unikała wszelkich spotkań z Izraelczykami i mieszkańcami Afryki Południowej, żeby nikt przypadkowo jej nie rozpoznał. Najczęściej wieczory spędzała w domu, gotowała, piła dobre wino i redagowała humorystyczne pisemko dla pracowników agencji Delmasa, które sama założyła i w którym publikowała własnoręcznie narysowane karykatury. W łazience urządziła niewielkie laboratorium fotograficzne, żeby wywoływać w nim swoje prywatne zdjęcia. Kupowała mnóstwo albumów fotograficznych, które wypełniały jej regał. Na pchlim targu znalazła kwieciste firanki, które zawiesiła w oknach, żeby sąsiedzi z naprzeciwka nie zaglądali jej do mieszkania. W dniach wolnych od pracy rozstawiała sztalugi nad Sekwaną i malowała.

Dostawała skromne wynagrodzenie i diety, które musiała rozliczać za okazaniem rachunków. Pieniądze wydawała przede wszystkim na bieżące zakupy i stare albumy, które wyszukiwała na stoiskach bukinistów nad Sekwaną. Nie kupowała drogich ubrań w ekskluzywnych butikach, nie chadzała do salonów piękności, a o kondycję dbała, spacerując godzinami po mieście.

Nie przerażało jej to, że ktoś może ją śledzić. Uważała, że ma doskonałą przykrywkę, ale i tak za każdym razem wychodząc z mieszkania, sprawdzała, czy ktoś się za nią nie skrada. Wszyscy agenci jednostki trzymali się ściśle określonych zasad bezpieczeństwa.

23

Zima 1973 roku dobiegała końca i powoli nadchodziła wiosna. Nagie gałęzie drzew na paryskich bulwarach wypuszczały pierwsze pączki, wiele osób zostawiało w domu ciepłe płaszcze, zaś na brzegu rzeki siedziało mnóstwo zakochanych par.

Czasami Sylvię dopadał smutek, gdy przypominała sobie o ukochanym Hansie. Z melancholią wyobrażała sobie, jak wspaniale byłoby spędzić z nim nadchodzącą wiosnę. Chodziliby za rękę po paryskich ulicach. Ale Hans wciąż był tak daleko. Czuła, że jej życie może się toczyć dalej bez niego.

Wielkanoc to wolny czas, przeznaczony na odpoczynek. Sylvia przyjęła od jednego z kolegów z agencji zaproszenie na kolację, choć zazwyczaj unikała bliskich relacji osobistych. Z powodu świąt nie dostała żadnych nowych zleceń od Delmas Photo. Od wielu dni nie nadchodziły też wieści od Davida, dlatego zakładała, że nie przewidziano dla niej żadnych nowych zadań. Wypiła kawę w swojej małej kuchni i postanowiła wybrać się do Luwru. Zanim jednak wyszła z mieszkania, zadzwonił jej oficer prowadzący.

– Musimy się natychmiast spotkać – powiedział.

Pospieszyła w umówione miejsce, podejrzewając, że znowu weźmie udział w poszukiwaniu groźnego terrorysty. W duchu przygotowywała się na nowe, interesujące zadanie.

David przywitał ją z uśmiechem.

– Zgadnij, dokąd cię wysyłamy? – powiedział.

– Na plażę na Riwierę... – odparła ze śmiechem.

– Zgaduj jeszcze raz.

Po raz pierwszy zobaczyła błysk w oku Davida. Zazwyczaj kiedy zlecał jej zadanie, był chłodny i rzeczowy.

– Dość, przestań już mnie torturować.

– Salameh – powiedział prawie szeptem.

– Naprawdę? Mówisz poważnie?

– Serio.

„Nareszcie, tak długo na to czekałam”, pomyślała Sylvia.

– Widzisz – powiedział David. – Potraktowaliśmy poważnie twoje życzenie.

– Fantastycznie!

– Wkrótce musisz wyjechać.

– Dokąd?

– Do Bejrutu. – Zrobił krótką pauzę. – Nie mogę ci jeszcze zdradzić żadnych szczegółów dotyczących operacji, ale wydaje mi się, że czeka nas akcja na wielką skalę. Masz jechać do Bejrutu jako fotoreporterka. Jeszcze dziś powinnaś zarezerwować pokój w hotelu Sands przy nadmorskiej promenadzie Corniche Beirut. Po przyjeździe do hotelu wynajmiesz samochód, w którym oprócz kierowcy zmieści się pięciu albo sześciu pasażerów. O 22.00 zejdziesz do baru. Przedstawi ci się mężczyzna o nazwisku James Morgan. Bądź dla niego miła. To jeden z naszych. Następnego dnia pójdziesz z nim na spacer po Bejrucie. Razem z innymi agentami będziecie obserwować i śledzić przywódców organizacji terrorystycznych, Jasira Arafata, Alego Salameha i Georges’a Habasza, którzy zamierzają się spotkać w ciągu nadchodzących dni w Bejrucie, żeby omówić rozszerzenie działań przeciwko Izraelowi. Niektórzy z nich, w tym Ali Salameh, mieszkają przy Rue Verdun. Dalsze rozkazy otrzymasz od Jamesa Morgana. Pamiętaj, że Bejrut ma dwa oblicza, jawne i ukryte. Obok oficjalnych władz rządzi tam po cichu tajny palestyński reżim terrorystyczny – cierpliwie tolerowany przez oficjalne instytucje – który zyskuje coraz większą władzę i wpływy. Nam chodzi o zdobycie szczegółowych informacji na temat terrorystów.

David polecił jej złożyć wniosek o wizę do Libanu i kupić bilet lotniczy do Bejrutu. Zrobiła to niezwłocznie. Dwa dni później o 15.30 miała wylecieć bezpośrednio do Bejrutu samolotem linii Air France. Jej kanadyjski paszport na nazwisko Patricia Roxburgh był ważny i zawierał podbitą wizę libańską. Celnicy nie mieli powodu, by zatrzymać ją na granicy.

Zgłosiła urlop w agencji Delmasa i czym prędzej wróciła do domu, by się spakować. O 13.30 wzięła małą walizkę, zeszła na ulicę i zatrzymała taksówkę. Kiedy jeszcze stała na chodniku, rozbolał ją brzuch. Zignorowała napad bólu, a kiedy zaniepokojony kierowca zatrzymał samochód, poprosiła, by zawiózł ją na lotnisko. W drodze znowu zrobiło jej się słabo i

straciła przytomność. Kierowca zawiózł ją do szpitala, gdzie stwierdzono u niej zapalenie wyrostka robaczkowego.

– Trzeba natychmiast operować – powiedział lekarz.

Sylvia błagała go, żeby przesunął termin zabiegu, bo ona spieszy się na lotnisko. On spojrzał na nią ze współczuciem.

– Ani dziś, ani jutro nie wsiądzie pani do samolotu. Jeśli nie zrobimy natychmiast operacji, narazimy panią na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Pracownik szpitala zapytał ją o ubezpieczenie zdrowotne. Sylvia poprosiła o telefon, zadzwoniła do Davida i opowiedziała mu, co się stało.

On wysłał do niej natychmiast lekarza, który wydał drugą opinię. Potem David odwiedził ją w szpitalu i z żalem usłyszał, że lekarze jednomyślnie orzekli, iż Sylvię należy natychmiast operować. W szpitalu miała spędzić co najmniej tydzień

– Wracaj szybko do zdrowia – powiedział na pożegnanie.

Sylvia odwróciła wzrok i płakała w poduszkę, kiedy wieziono ją na salę operacyjną.

Część VI

Mężczyzna w kobiecym przebraniu

1

Miejsce Sylvii zajął agent z jednostki do zadań specjalnych. 4 kwietnia 1973 roku wylądował w Bejrucie. Jeszcze tego samego dnia pojawiło się tam pięciu jego kolegów. Każdy przyleciał z innego europejskiego miasta. Na lotnisku wynajęli samochody, którymi pojechali do trzech hoteli przy Corniche Beirut. Ich pokoje rezerwowały różne europejskie biura podróży. Zostawili bagaże w pokojach i wybrali się na obchód po sąsiednich ulicach, w czasie którego sprawdzili trasy prowadzące do okolic mieszkalnych i ewentualną drogę odwrotu ku wybrzeżu. Zastępca Sylvii dołączył do nich.

Akcja miała rozpocząć się za pięć dni. W tym czasie cała szóstka zwiedziła Bejrut i stale obserwowała dwie kamienice, jedną przy Rue Madame Curie, a drugą przy Rue Verdun. W pierwszej mieszkali członkowie Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, w drugiej Czarnego Września. Za pośrednictwem radia cała szóstka złożyła dokładny raport na temat budynków i ich ochrony.

W Izraelu szefowie jednostki komandosów w Sztabie Generalnym przestudiowali dokładnie informacje na temat kamienic przy Rue Curie i Rue Verdun. W północnej części Tel Awiwu znaleźli dzielnicę o podobnej topografii. W ciągu kolejnych dni w tej okolicy komandosi ćwiczyli nocne ataki. Zdziwionym mieszkańcom wyjaśniali, ze wykonują rutynowe ćwiczenia z działań zbrojnych w terenie zabudowanym.

9 kwietnia izraelskie kutry rakietowe opuściły bazę morską w Hajfie, obierając kurs na Bejrut. Na ich pokładzie znajdowało się około czterdziestu strzelców spadochronowych i komandosów ze Sztabu Generalnego, wyposażonych w broń i materiały wybuchowe. Wszyscy włożyli cywilne ubrania, a niektórzy również peruki. Ehud Barak, późniejszy szef Sztabu Generalnego i premier Izraela, przebrał się za kobietę.

Niedługo po północy kutry rzuciły kotwice nieopodal kąpieliska. Pontonami motorowymi żołnierze przepłynęli na ląd, gdzie na drodze

biegnącej wzdłuż wybrzeża czekało na nich sześć wynajętych przez agentów Mossadu samochodów z wyłączonymi reflektorami.

Żołnierze bezszelestnie wsiedli do aut i pojechali do miasta. Samochody zatrzymały się pod domami terrorystów i wysiedli z nich żołnierze. Oddział podzielił się na dwie grupy. Jedna ruszyła do budynku Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny przy Rue Curie, druga na Rue Verdun, gdzie mieszkali szefowie Czarnego Września. Wszyscy żołnierze mieli zdjęcia przywódców ugrupowań terrorystycznych, którzy nocowali w obserwowanych budynkach. Grupie, która miała zaatakować budynek przy Rue Verdun, pokazano cztery portrety dowódców Czarnego Września, między innymi tego, którego najbardziej gorączkowo poszukiwano: Alego Hassana Salameha. Operacja przebiegała pod piękną nazwą: „Wiosna młodości”.

Obie grupy działały szybko i sprawnie pod osłoną ciemności. Agenci z jednostki do zadań specjalnych wcześniej opracowali dokładne trasy. Jak w wielu innych podobnych przypadkach służyli jednostkom atakującym bezcenną pomocą.

Kiedy żołnierze zbliżali się do siedziby LFWP, dwaj strażnicy zauważyli przy wejściu grupę cywilów, nie spodziewając się, że ludzie ci pod ubraniami schowali broń i materiały wybuchowe. Zanim się zorientowali, co się dzieje, z bliska oddano do nich strzały i ponieśli śmierć na miejscu.

Równocześnie strzelcy spadochronowi wdarli się do drugiego budynku. Żołnierze forsowali drzwi do kolejnych pokoi, strzelając do śpiących terrorystów. Niektórzy z nich otworzyli ogień w samoobronie. Zginęło dwóch izraelskich żołnierzy, wielu zostało rannych, a pozostali walczyli dalej. Od kul zginęło kilku wysoko postawionych dowódców z obu organizacji terrorystycznych, między innymi trzej komendanci z Czarnego Września. Tylko jeden, ten najpilniej poszukiwany, uszedł z życiem. Ali Salameh tej nocy spał w pobliskim budynku, stale osłanianym przez jego ludzi. Kiedy usłyszał wystrzały, wydawało mu się, że doszło do starcia między wrogimi sobie frakcjami Al-Fatah.

Rozgorzała walka na śmierć i życie z terrorystami, którzy przybyli na ratunek swoim towarzyszom. Izraelczycy odparli kontrofensywę i zaatakowali warsztaty, w których wytwarzano broń, rakiety i miny morskie dla Al-Fatah, a potem obie grupy, niosąc rannych i zabitych, wróciły do samochodów i pospieszyły na wybrzeże. Pontony zabrały żołnierzy i

sześciu agentów Mossadu do kutrów rakietowych, które pełną parą popłynęły ku izraelskiemu wybrzeżu. Wynajęte samochody zostawili na plaży.

2

W powieściach szpiegowskich, które czytała Sylvia, słynne tajne agentki opisywano jako mistrzynie uwodzenia o nieodpartym uroku. Zaciągały do łóżka szefów rządów i dowódców wojskowych, ministrów i wysokich urzędników państwowych, zawracały im w głowie i wyciągały od nich największe tajemnice państwowe. Uśmiechała się do siebie, kiedy czytała o uwodzicielskich szpiegach, którzy potrafili usidlić swoje ofiary. Z doświadczenia wiedziała, że rzeczywistość wygląda znacznie bardziej prozaicznie i szaro, zaś prawdziwi szpiedzy nigdy nie są tak piękni i atrakcyjni jak bohaterowie powieści. Dlatego zdziwiła się, kiedy wkrótce po jej powrocie do zdrowia David pokazał jej zdjęcie przystojnego, wysokiego mężczyzny o szerokich ramionach. To był jej następny cel.

– Kto to? – zapytała, przyglądając się mężczyźnie, który wyglądał jak gwiazdor filmowy i prawdziwy łamacz kobiecych serc.

– Najprawdopodobniej nigdy o nim nie słyszałaś. Nazywa się Mohammed Boudia.

– Francuz? Arab?

– Algierczyk.

– Z Czarnego Września?

– Tak.

– Co jeszcze o nim wiadomo?

– To wytrawny uwodziciel, który werbuje kobiety do udziału w zamachach terrorystycznych.

David powiedział Sylvii, że już w kwietniu 1971 roku Izrael dowiedział się o wielkim ataku terrorystycznym zaplanowanym przez Czarny Wrzesień na święto Paschy. Kilkoro mężczyzn i kobiet z francuskim obywatelstwem miało rzekomo przylecieć do Izraela na pokładzie kilku samolotów, przywożąc materiały wybuchowe nowego typu, niewykrywalne dla czujników rentgenowskich na lotniskach. Tajny informator przekazał tę wiadomość do odpowiedniej jednostki, dlatego kontrole bezpieczeństwa na lotniskach zostały znacznie zaostrzone. Kiedy zrewidowano dwie młode

paryżanki, które rzekomo przyjechały na wycieczkę krajoznawczą po Izraelu, w ich walizkach i obcasach butów znaleziono biały proszek. Natychmiast poddano go badaniu i zidentyfikowano jako materiał wybuchowy. W czasie przesłuchania obie kobiety bardzo łatwo załamały się pod presją.

Nadia i Marlene Bardeli były córkami bogatego marokańskiego kupca mieszkającego w Paryżu. Twierdziły, że ich podróż sfinansował człowiek, z którym obie miały romans, i to pewnie on umieścił materiały wybuchowe w obcasach ich butów. Polecił im też skontaktować się z innymi francuskimi turystami, którzy przyjechali do Izraela nieco wcześniej. Po dokonaniu tego odkrycia służby bezpieczeństwa aresztowały również parę starszych Francuzów, którzy mieszkali w hotelu w centrum Tel Awiwu. W czasie rewizji ich pokoju znaleziono radio z wbudowanym zapalnikiem czasowym. Następnego ranka zatrzymano także Evelyne Barges. Przyjechała z Paryża, żeby w Izraelu skonstruować bomby, które miały eksplodować w czasie sederu w wypełnionej do ostatniego miejsca sali restauracyjnej wielkiego hotelu nad samym morzem. Człowiekiem łączącym siostry Bardeli, Evelyne Barges i starszą Francuzkę był Mohammed Boudia, który z każdą z nich nawiązał romans.

– To on. – David pokazał na zdjęcie.

– Może się poszczycić wielkimi sukcesami – powiedziała z uznaniem Sylvia.

– Jeszcze kilka szczegółów na temat Boudii – kontynuował David. – Był aktywnym członkiem algierskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego, brał udział w wielu akcjach sabotażowych w Paryżu, tam go pojmano i skazano na trzy lata więzienia. Po zwolnieniu wrócił do Algierii, ale nie zagrzał tam długo miejsca i szybko wrócił do Francji. W Paryżu został dyrektorem małego teatru. Trzy razy się żenił i trzy razy rozwodził. Evelyne Barges pracowała w kasie jego teatru. Boudia utrzymywał bliskie kontakty z palestyńskimi organizacjami terrorystycznymi i radzieckimi szpiegami, a w końcu przyłączył się do Czarnego Września. Jest bardzo aktywnym terrorystą, połączył w sieć tajne komórki Czarnego Września w Europie, szmugluje broń i planuje masowe zamachy w Izraelu oraz w żydowskich wspólnotach na całym świecie.

– Co mam zrobić?

– Wiemy, gdzie Boudia mieszka. Wiemy też, że po udanym zamachu na Hamshariego zrobił się bardzo ostrożny i unika ruchliwych miejsc i

spotkań z nieznajomymi. Ma tylko jedną wielką słabość, piękne kobiety. Odnajdziesz go na pewno, śledząc jego kochanki. Musimy się dowiedzieć, z kim i gdzie się spotyka, w które dni przesiaduje w domu, jaki prowadzi samochód i gdzie zwykle jada. – Potem dodał jeszcze, że tym razem Sylvia dostanie do pomocy młodą agentkę. – Jest bardzo utalentowana, ale niedoświadczona – powiedział. – Daj jej jakieś proste zadania, a potem powiedz mi, co o niej sądzisz.

Poznał ją z rezolutną i energiczną dwudziestoośmiolatką, która studiowała na uniwersytecie w Tel Awiwie nauki polityczne i prawo.

David przygotował listę sześciu paryżanek, z którymi Boudia utrzymywał bliskie stosunki. Podał Sylvii i obu agentom również ich adresy i zdjęcia.

Przez kolejne dni obie agentki zbierały informacje o kochankach Mohammeda Boudii. Jedna wykładała na uniwersytecie, inna działała w organizacji zrzeszającej palestyńskich uchodźców, trzecia niedawno wyemigrowała z Algierii, dwie kolejne prowadziły sklepy, a ostatnia była sekretarką w kancelarii prawnej. Dwa tygodnie później Boudię widziano na klatce schodowej mieszkania Algierki.

Agentki obserwowały dom Boudii. To była dobra okazja, by mogły się lepiej poznać. Miały ze sobą wiele wspólnego: były piękne, odważne i bardzo ambitne. Obie uwielbiały sztukę i muzykę klasyczną i z dumą pracowały na rzecz państwa izraelskiego. Obie wiedziały wiele o organizacjach terrorystycznych, a szczególnie na temat Czarnego Września.

Któregoś ranka z domu Boudii wyszła mocno umalowana blondynka z dużym biustem. Rzuciła się Sylvii w oczy, bo szła bardzo szybko, z nienaturalną pewnością siebie. Sylvia przyjrzała jej się uważnie i z trudem zdusiła okrzyk zdumienia. To był Boudia przebrany za kobietę.

Sylvia i jej partnerka śledziły go aż do kawiarni na dworcu Saint-Lazare. Tam Boudia spotkał się z dwoma młodym Azjatami. Potem pieszo ruszył w kierunku bulwaru Haussmanna.

Pod wieczór wrócił do domu, nadal w kobiecym przebraniu. Następnego ranka wyszedł w niebieskim berecie baskijskim i ciemnych okularach. Długo spacerował po mieście, a potem wszedł do restauracji przy Saint-Germain, gdzie spotkał się z piękną kobietą. Później wstąpił do pobliskiej księgarni, kupił kilka książek i wrócił do domu.

W ciągu kolejnych dni Sylvia wielokrotnie donosiła Davidovi o wyniku swoich obserwacji. Boudia spędził ostatnie noce w domu, skąd

wychodził punktualnie o 7.00. Centrala jednostki do zadań specjalnych natychmiast zabrała się do planowania zamachu. Po zakończeniu przygotowań do domu Mohammeda Boudii wysłano oddział specjalny. Zidentyfikowano jego samochód przed budynkiem i podłożono w nim ładunek wybuchowy. Kiedy następnego popołudnia Boudia uruchomił silnik, zdetonował bombę, która rozerwała jego ciało na strzępy.

Na jego pogrzebie zjawiło się wyjątkowo dużo pięknych kobiet.

3

Długo oczekiwana wiadomość pojawiła się niczym jasny promyk słońca, który długo przedzierał się przez grubą warstwę chmur. Informator Mossadu w Niemczech, zaprzyjaźniony z młodą kochanką Salameha, usłyszał od niej, że poszukiwany terrorysta miał rzekomo wkrótce pojawić się w Ulm. Informator nie wiedział, co sprowadzało Salameha do miasta nad Dunajem, ale twierdził, że terrorysta spędzi tam kilka dni.

Natychmiast wysłano do Ulm czterech agentów z jednostki do zadań specjalnych. Parami zajęli dwa posterunki obserwacyjne na dworcu kolejowym i autobusowym. Po kilku dniach jeden z agentów w tłumie podróżnych wypatrzył mężczyznę, którego postura i rysy twarzy odpowiadały rysopisowi Salameha. Agent ruszył za nim. Mężczyzna wszedł do mieszkania na drugim piętrze starego domu w zachodniej części miasta i tam spędził noc. Agenci na zmianę obserwowali budynek. Noc minęła, nastał ranek, ludzie wchodzili do kamienicy i wychodzili na zewnątrz, ale Salameh przepadł jak kamień w wodę.

Po południu jeden z agentów zamówił pizzę. Udając dostawcę, próbował ustalić, czy Salameh wciąż jest w mieszkaniu, ale gdy zapukał do drzwi, nikt mu nie otworzył. Obserwacja domu trwała przez kolejne dwa dni. Ostatecznie agenci uznali, że jakimś cudem Ali im się wymknął.

Porażka ogromnie ich rozczarowała. Kontynuowali intensywne poszukiwania Salameha w Ulm, ale nie trafili na jego trop. Miasto było za duże. Nie zdołaliby skontrolować wszystkich pociągów, autobusów i tras wylotowych z miasta, którymi mógł potencjalnie podróżować Ali Salameh.

Kiedy już wydawało się, że Salameh po raz kolejny wywiódł w pole Mossad, zapaliła się ostatnia iskierka nadziei. Informator z Czarnego Września wyjawił, po co Salameh pojechał do Ulm. Werbował w Niemczech terrorystów do udziału w zamachu na ambasadę Izraela w Sztokholmie, przygotowywanym w odwecie za egzekucję Mohammeda Boudii w Paryżu.

Poszukiwanie zintensyfikowano na terenie Szwecji. Wzmocniono kordon policyjny wokół ambasady, szwedzka Policja Bezpieczeństwa została postawiona w stan gotowości bojowej, a agenci z jednostki do zadań specjalnych polecieli do Sztokholmu, żeby wytropić potencjalnych zamachowców. Mieli nadzieję, że wśród nich znajdą Alego Salameha.

W tym samym czasie pojawiły się nowe wiadomości na temat jego podróży. Wszystko wskazywało na to, że wybierał się do Skandynawii.

W kwaterze głównej jednostki do zadań specjalnych ogłoszono stan najwyższej gotowości. Nigdy wcześniej nie pojawiła się tak duża szansa pojmania i wyeliminowania Salameha. Ale gdzie on się ukrył? Czy w drodze do Szwecji zatrzymał się w innym kraju skandynawskim?

Jedna wiadomość goniła następną, a chaos narastał. Wreszcie okazało się, że Czarny Wrzesień zrezygnował z zamachu w Sztokholmie. Szwedzi zbyt starannie chronili izraelskie ambasady. Informatorzy tajnych służb dowiedzieli się, że Salameh planował zamach w innym skandynawskim państwie. Nie było jednak wiadomo w którym.

Nowe wieści skłoniły dowództwo jednostki do natychmiastowego działania. Na cały świat rozesłano agentów z rozkazem, by nie szczędząc sił i środków, bezustannie obserwowali ludzi potencjalnie powiązanych z Salamehem, żeby go schwytać lub zdobyć plan jego podróży.

Zespół agentów, którzy w Genewie śledzili przyjaciela Salameha, wpadł na obiecujący trop. Odkryto kilka interesujących faktów w czasie obserwacji Kamala Benamanego, tajemniczego, dwudziestoośmioletniego Algierczyka, który ożenił się ze Szwajcarką. W dzień Benamane pracował jako robotnik w fabryce na obrzeżach miasta. Codziennie jeździł do pracy i wracał do domu autobusem w kombinezonie roboczym. Wieczorami w położonych na uboczu knajpkach pił piwo i flirtował z kobietami. Jak później ustalił zespół agentów, w tych lokalach spotykał się również z łącznikami z Czarnego Września z całej Europy. Od czasu do czasu Benamane pokazywał jeszcze inne oblicze. W eleganckim ubraniu zaszczycał swoją obecnością bankiety na cześć arabskich delegacji i spotykał się z ważnymi osobistościami z krajów islamu. Nigdy nie wspominał o swoich powiązaniach z Czarnym Wrześniem.

14 lipca 1973 roku agenci z Genewy wysłali pilny meldunek do centrali jednostki: Kamal Benamane wyszedł z budynku, w którym mieściła się siedziba delegacji Arabii Saudyjskiej w Organizacji Narodów Zjednoczonych i samochodem z dyplomatycznymi tablicami

rejestracyjnymi pojechał na lotnisko w Genewie, gdzie z niewielką torbą podróżną podszedł do stanowiska skandynawskich linii lotniczych SAS. Kilka minut później wszedł na pokład samolotu lecącego do Kopenhagi.

W jednostce do zadań specjalnych nikt nie znał celu podróży Algierczyka. Zakładano, że zamierzał się spotkać z członkami Czarnego Września, żeby zaplanować kolejny zamach. Rozważano również inną możliwość: Ali Salameh czekał w Kopenhadze, a jeden z jego głównodowodzących w Europie właśnie tam miał się z nim spotkać. Na wszelki wypadek postanowiono, że Benamanego nie wolno spuścić z oka. Numer jego lotu przekazano agentom w Kopenhadze, którzy natychmiast pojechali na lotnisko.

Spodziewając się, że Kamal Benamane wskaże drogę do Alego Salameha, Mossad natychmiast wysłał do Skandynawii grupę doskonale wyszkolonych agentów.

David, oficer prowadzący Sylvii Rafael, natychmiast do niej zadzwonił.

– Rzuć to, co w tej chwili robisz, i przygotuj się do podróży.

Nie pytała, dokąd tym razem ją wysyłają. Nigdy nie rozmawiała o pracy przez telefon, ale jej serce mocniej zabiło. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, że nie chodzi o rutynowe zadanie.

– Powinnam wiedzieć coś jeszcze? – zapytała.

– W tej chwili nie. – David też nie został jeszcze wtajemniczony w szczegóły planu.

4

Zwi Zamir, szef Mossadu, dla którego likwidacja Alego Salameha stanowiła jeden z priorytetów, zlecił Mike’owi Harariemu, kierownikowi działu do zadań specjalnych, wybrać w trybie pilnym agentów, którzy mają polecieć do Skandynawii. Harari, szczupły, opalony czterdziestosześciolatek z długoletnim doświadczeniem w służbach specjalnych, znał swoich ludzi na wylot. Często się z nimi spotykał i wiedział wszystko o ich specjalizacji, dokonaniach oraz mocnych i słabych stronach. W ciągu dwóch dni sporządził listę najlepszych szpiegów, na której znaleźli się Abraham Gehmer, urodzony w Danii Dan Arbel i Sylvia Rafael, która w trakcie niezliczonych misji wykazała ogromną trzeźwość umysłu i konsekwencję w dążeniu do celu. Poszukiwał również ludzi, którzy znali języki skandynawskie, dlatego włączył do zespołu urodzoną w Szwecji Marianne Gladnikoff. Dopiero niedawno rozpoczęła podstawowe szkolenie w jednostce. Choć nie miała żadnego doświadczenia w pracy wywiadowczej, wybrano ją ze względu na pochodzenie.

Tymczasem wydarzenia następowały po sobie w zawrotnym tempie. Arabski szpieg pracujący w Bejrucie dla Mossadu przekazał do Tel Awiwu wiadomość, że Ali Salameh faktycznie szykuje się do nowego ataku. Agent donosił, że Salameh wybiera się do Norwegii, żeby tam stworzyć oddział do ataku na izraelskie cele. Wszystkie elementy układanki powoli składały się w całość. Mossad otrzymał dwie informacje. Najpierw Algierczyk Kamal Benamane, należący do zaufanych Alego Salameha, pojechał do Danii, a potem Salameh poleciał do Norwegii. Zamierzali zapewne się spotkać, ale gdzie? W Danii czy w Norwegii?

Szybko okazało się, że Benamane nie poleciał do Danii. Samolot SAS z Genewy wylądował wprawdzie 14 lipca po południu w Kopenhadze, ale Benamane nie poszedł do wyjścia, tylko do hali tranzytowej, a potem do stanowiska odlotów linii SAS. Personel naziemny sprawdził bilety zaledwie kilku pasażerów, którzy potem weszli na pokład. Agent śledzący Algierczyka na tablicy odlotów sprawdził, że samolot leciał do Oslo.

Agent za pomocą ukrytego radia przekazał swojemu oficerowi, dokąd wybiera się podejrzany. Oficer przekazał tę wiadomość dalej. W siedzibie Mossadu informacja ta wywołała wielkie poruszenie. Teraz wszystko stało się jasne. Benamane i Salameh mieli się spotkać w Norwegii. Na taką okazję Mossad czekał od dawna.

Zespół agentów, który miał ścigać Salameha, szybko zakończył ostatnie przygotowania i wyjechał z Izraela i innych miast europejskich do Oslo. Sylvia wyleciała z Paryża i w stolicy Norwegii spotkała się z Danem Arbelem. Oboje pełni wiary uścisnęli sobie ręce. Już trzy lata wcześniej wykonywali razem zadanie, w czasie którego udawali zakochaną parę, badając w wynajętej łodzi wybrzeże wrogiego kraju arabskiego. Przez kilka godzin bez przeszkód płynęli wzdłuż lądu, ale gdy nieomal dotarli do celu, zostali zatrzymani przez straż wybrzeża. Śledczy odebrali im wtedy klisze i długo ich przesłuchiwali. Ale oboje trzymali się swojej wersji wydarzeń i uparcie twierdzili, że są parą zakochanych, spędzającą urlop w egzotycznym kraju. Strażnicy wybrzeża nigdy nie poznali prawdziwego powodu ich podróży i w końcu wypuścili ich, wydając im jednak zakaz wjazdu na teren kraju.

W Oslo agenci spotkali się z dowódcą grupy, niewysokim i krępym mężczyzną po czterdziestce, którego Sylvia nigdy wcześniej nie spotkała. Miał długoletnie doświadczenie w służbie zagranicznej, a dzięki swojej odwadze i trzeźwości umysłu przeżył Holokaust oraz piekło drugiej wojny światowej. Opowiedział jej, że w wieku dwunastu lat razem z Żydami z rodzinnego miasta został zapędzony na miejsce masowego mordu w pobliskim lesie. Korzystając z chwili nieuwagi strażników, uciekł na pole pszenicy, gdzie nie mogły go dosięgnąć strzały Niemców. Wytropiły go psy gończe. Niemcy zbili go brutalnie kolbami karabinów i postawili z innymi Żydami na skraju zbiorowego grobu. Kiedy wydano rozkaz strzału, wszyscy padli bez życia do grobu, ale chłopiec osunął się na ziemię, zanim jeszcze dosięgły go kule i udawał umarłego. Gdy nastała ciemność, uciekł i znalazł schronienie w obozie pracy, którego więźniowie zajmowali się niemieckim lotniskiem. Codziennie mył samoloty i pilnował, by żadna przeszkoda na pasie startowym nie utrudniała startów i lądowań. Któregoś dnia zobaczył, jak niemiecki samolot ciągnący za sobą słup dymu podchodzi do lądowania. Maszyna runęła w dół i rozbiła się o pas startowy. Chłopiec pobiegł na miejsce katastrofy, zobaczył nieprzytomnego pilota w kokpicie i wyciągnął go na zewnątrz na kilka sekund przed tym, jak

samolot stanął
w ogniu. Pilota, wysoko postawionego oficera i dowódcę eskadry, zawieziono do szpitala. Gdy doszedł do siebie, przywołał swojego młodego wybawcę i mianował go osobistym adiutantem. Dzięki temu chłopiec przeżył wojnę. Gdy dobiegała już końca, zaopiekował się nim Żyd służący jako oficer w Armii Czerwonej. Chłopiec wyemigrował do Izraela i walczył w wojnie o niepodległość. Potem został członkiem Szin Bet, Służby Bezpieczeństwa Ogólnego, a wreszcie Mossadu, dla którego wykonał wiele zadań. Należał do najważniejszych ludzi w jednostce do zadań specjalnych w Europie.

W Oslo przedstawił agentom szczegółowy plan działania. Podał każdemu zdjęcie Alego Salameha i powiedział:

– Tego człowieka szukamy. Prawdopodobnie teraz wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciu. Możliwe, że stosuje kamuflaż za pomocą wszelkich dostępnych rekwizytów: peruki, brody, wąsów czy stroju.

Sylvia z gniewem wpatrywała się w zdjęcie. Poszukiwany numer jeden na liście Mossadu ukrył się gdzieś w pobliżu, a ona postanowiła, że tym razem jej się nie wymknie.

Sylvia Rafael i Abraham Gehmer nie widzieli się od dawna. Ucieszyli się ze spotkania w Oslo.

– To dobry znak, że wybrali nas oboje do tej akcji – stwierdziła Sylvia.

Przypomniała sobie, że kiedy Abraham szkolił ją do pracy w jednostce do zadań specjalnych, wszystko szło jak z płatka.

Spotkali się z pozostałymi członkami zespołu, żeby otrzymać dokładne wskazówki. Nie wolno im było używać kart kredytowych, mogli płacić wyłącznie gotówką, żeby nie zostawić po sobie żadnych śladów.

Sylvia i Marianne były jedynymi kobietami w zespole. Marianne, pulchnej blondynce, brakowało pewności siebie. Uważała, że ta spektakularna akcja ją przerasta. W rozmowie z Sylvią przyznała się, że to jej pierwsza misja zagraniczna i że nie czuje się do niej dostatecznie przygotowana.

Sylvia nie mogła wyjść ze zdumienia. Wcześniej święcie wierzyła, że jej przełożeni doskonale wiedzą, co robią. Wydawało jej się, że tak ważne zadanie powierzono tylko najbardziej doświadczonym agentom, a teraz wątpliwości nie dawały jej spokoju.

– Na pewno masz jakieś szczególne umiejętności – dociekała Sylvia.

– Mówię po szwedzku – powiedziała Marianne.

– Ale tu jest Norwegia – przypomniała jej Sylvia. – Znasz też norweski?

– Trochę.

Sylvia obawiała się, że Marianne narazi na szwank całą misję, gdy zacznie sprawiać problemy, których ani Sylvia, ani jej przełożeni nie zdołają przewidzieć.

– Mam nadzieję, że dasz sobie radę – szepnęła z ciężkim sercem.

W innej, mniej napiętej sytuacji mogłaby poprosić szefów jednostki o to, żeby jeszcze raz rozważyli udział Marianne w zadaniu. Teraz jednak Mossad stał na progu ważnej akcji, grupa operacyjna dotarła już na miejsce, a wszelkie zmiany personalne na tak zaawansowanym etapie mogłyby postawić całe przedsięwzięcie pod znakiem zapytania.

Sylvia odsunęła od siebie złe myśli. W obliczu problemów starała się dostrzec pozytywne strony misji. Poza Marianne w norweskim zespole znaleźli się sami doświadczeni i doskonale wyszkoleni agenci, którzy w razie komplikacji potrafili jak z rękawa sypać awaryjnymi rozwiązaniami. Gdyby każdy wykorzystał cały swój potencjał, wspólnymi siłami odnieśliby sukces.

Ale kolejne godziny i dni tylko przysporzyły Sylvii zmartwień, które po raz pierwszy zachwiały jej niewzruszonym zaufaniem do przełożonych. Kiedy zapytała, jak mają się zachowywać członkowie zespołu w razie nieprzewidzianych problemów, które mogłyby zagrozić wykonaniu zadania, ku swojemu zaskoczeniu usłyszała, że w tej kwestii nie wydano żadnych rozkazów. Okazało się, że nie opracowano planu odwrotu. Zapytała Abrahama Gehmera, czy wie coś na ten temat. On tylko wzruszył ramionami.

– O ile mi wiadomo, nikt się nad tym nie zastanowił – powiedział.

– Dlaczego? – zapytała Sylvia w panice.

– Nikt chyba nie wierzy, że coś może pójść nie po naszej myśli i że będziemy zmuszeni do ucieczki.

Abraham przyznał jednak, że i jemu ta sprawa nie daje spokoju. Sylvię ogarnęły złe przeczucia. Przyzwyczaiła się, że w czasie akcji każdy szczegół, w tym również plan ucieczki, był pieczołowicie przemyślany.

Trzech agentów natychmiast wysłano w pościg za Benamanem, który miał wskazać drogę do Salameha. Nikt nie wiedział jednak, gdzie Benamane się zatrzymał. Poszukiwanie go w hotelach nie nastręczyło wielu trudności, gdyż Oslo nie mogło poszczycić się ogromną bazą noclegową. Marianne i Dan Arbel, który również mówił trochę po norwesku, z książki telefonicznej wynotowali adresy wszystkich hoteli w stolicy. Potem zadzwonili do każdego z nich, pytając o Kamala Benamane, ale nie znaleźli go ani w najdroższych, ani w najtańszych hotelach. Wreszcie po wielogodzinnych poszukiwaniach postanowili jeszcze sprawdzić akademiki przy uniwersytecie w Oslo, w których w czasie wakacji wynajmowano jako kwatery dla turystów. Okazało się, że to właśnie tam zatrzymał się Benamane.

Od świtu Dan Arbel obserwował bacznie wejście do akademika. Kilka godzin później z budynku wyszedł Benamane, kupił kanapkę i napój w butelce w małym kiosku na rogu ulicy i wrócił do środka. Dan Arbel nie dał za wygraną. Czekał na swoim stanowisku gotowy w każdej chwili śledzić Algierczyka. Ale godziny mijały, a Benamane nie dawał znaku życia. Przeczucia mówiły Arbelowi, że coś tu nie gra i że trzeba natychmiast działać. Energicznym krokiem wszedł do akademika i zaczął rozmawiać ze studentką na recepcji. Ona spojrzała na niego znad książki. Arbel przedstawił się jako przyjaciel Benamanego i zapytał o numer jego pokoju.

– 114, na pierwszym piętrze – odparła recepcjonistka.

Arbel wbiegł po schodach na górę i odnalazł pokój. Ku jego zdumieniu drzwi były otwarte na oścież. Benamane najwyraźniej wymknął się z akademika bocznym wyjściem. Arbel wszedł do środka, w poszukiwaniu czegoś, co mogłyby naprowadzić go na ślad ściganego. Wyposażenie pokoju składało się z wąskiego łóżka, szafy, stołu i umywalki. Szafa była pusta, w pokoju nie został żaden bagaż, ale na łóżku leżał rozkład jazdy norweskich kolei, otwarty na stronie z odjazdami i przyjazdami pociągów do Lillehammer. Ołówkiem zakreślono połączenie o 11.55.

Intuicja podpowiadała Arbelowi, że Benamane nie próbował zmylić tropu, zostawiając rozkład jazdy z zaznaczoną godziną. Uznał, że ścigany naprawdę wybierał się do Lillehammer i w pośpiechu zapomniał zabrać broszurę albo po prostu nie była mu już potrzebna. Dochodziła 10.40.

Dan Arbel wybiegł z budynku, zatrzymał taksówkę i pojechał na dworzec. Zajęło mu to dwadzieścia minut. Do odjazdu pociągu do

Lillehammer pozostała niecała godzina. Arbel pospieszył na peron siódmy, wsiadł do pociągu i przebiegł przez wszystkie wagony, lecz nie znalazł poszukiwanego. Wysiadł i czekał. Do pociągu wsiadło niewielu pasażerów – kilka starszych osób, młoda para, kobieta z małym dzieckiem na ręku. Bagażowy wiózł kilka walizek i pudeł.

Arbel stanął przy głównym wejściu. Po chwili oczekiwania zobaczył, jak Benamane wchodzi na dworzec, zatrzymuje się, a potem wycofuje. Arbel ruszył za nim. Algierczyk go nie zauważył, choć próbował się upewnić, że nikt go nie śledzi. Skręcił w boczną uliczkę, wstąpił do małej kawiarni i przy barze wypił espresso. Potem spojrzał na zegarek, wyszedł, rozejrzał się ostrożnie, pobiegł z powrotem na dworzec, w kasie kupił bilet, poszedł na peron siódmy i wsiadł do pociągu. Na elektronicznej tablicy na peronie widniała nazwa miasta, do którego jechał pociąg: Lillehammer. Kilka minut później pociąg ruszył. W jednym z wagonów siedział Benamane.

Dan Arbel natychmiast telefonicznie przekazał nowe wiadomości do centrali jednostki. Kilka minut później meldunek dotarł do Tel Awiwu. Mike Harari, który właśnie wybierał się do Norwegii, nabrał pewności, że Benamane jedzie na tajne spotkanie z Salamehem do małej miejscowości urlopowej. Wydał rozkaz, by natychmiast ruszać do Lillehammer.

Na lotnisku w Oslo zespół wypożyczył sześć samochodów. W międzyczasie Dan Arbel już dotarł do Lillehammer i tam wynajął przestronne mieszkanie dla wszystkich agentów. W każdym pokoju miały spać dwie albo trzy osoby. Drugie mieszkanie wynajął dla dowódcy zespołu oraz szefów Mossadu, Mike’a Harariego i Zwiego Zamira. Obaj chcieli na miejscu kierować operacją.

Kiedy pozostali członkowie zespołu dotarli do Lillehammer, dostali polecenie wytropienia terrorystów i oddania ich w ręce oddziału likwidacyjnego. Na tym etapie nie tylko Sylvię Rafael i Abrahama Gehmera, ale także pozostałych agentów naszło paraliżujące przeczucie, że akcji nie dopięto na ostatni guzik. Legendy nie zostały ze sobą skorelowane, a przed rozpoczęciem akcji jej uczestników nie poinstruowano należycie ani nie przeszkolono. Kilka osób znało się z poprzednich akcji, inni pozostawali zagadką dla swoich partnerów. Niedostatek wiedzy o sobie nawzajem stanowił nie lada problem. Niektórzy nie wiedzieli, czego można spodziewać się po pozostałych członkach zespołu w kryzysowej sytuacji. Nie byli pewni, czy koledzy w razie

aresztowania zdołają uwierzytelnić swoje legendy i nie wzbudzą wątpliwości, które mogłyby okazać się tragiczne w skutkach.

5

W Lillehammer, miejscowości wypoczynkowej położonej na zboczu góry dwieście kilometrów na północ od Oslo, panował sielski spokój, kiedy w południe przyjechali tam Izraelczycy. Natychmiast udali się do wynajętych mieszkań. Pierwszego dnia ich pobytu upał dawał się we znaki. Na głównej ulicy wszystkie sklepy były zamknięte, poza pizzerią i kawiarnią. Latem często tak bywało. W letnie miesiące tego dwudziestotysięcznego miasta nie odwiedzało zbyt wielu gości. Tylko w niektórych hotelach i prywatnych pensjonatach mogli nocować nieliczni turyści, którzy spacerowali po malowniczych uliczkach, podziwiając stare drewniane domki, lub odwiedzali muzeum sztuki. Turystyka kwitnie w Lillehammer w zimie, gdy przyjeżdża tu średnio ponad sześćset tysięcy osób. Ośnieżone stoki przyciągają narciarzy, zarówno początkujących, jak i zaawansowanych. Organizuje się tu nawet wiele międzynarodowych zawodów. Zimą małe miasteczko budzi się do życia. Hotele pękają w szwach, w restauracjach trudno o stolik, a kawiarnie otwarte są do późnych godzin nocnych. Natomiast latem Lillehammer to ospałe, prowincjonalne miasteczko.

16 lipca 1973 roku poza agentami Mossadu nie było w Lillehammer prawie żadnych obcokrajowców. Kilku miejscowych z zaciekawieniem przyglądało się wynajętym przez zespół dużym samochodom, jadącym główną ulicą. Izraelczycy tak bardzo wierzyli w sukces misji, że zlekceważyli elementarne zasady bezpieczeństwa. Na środku głównej ulicy rozmawiali przez krótkofalówki. Sylvii zrobiło się nieswojo, kiedy zauważyła ukradkowe spojrzenia tubylców. Gra toczyła się o wysoką stawkę. Gdyby wśród gapiów znalazł się zaufany człowiek Alego Salameha, szef Czarnego Września mógłby nabrać podejrzeń i wziąć nogi za pas.

Dowódca grupy, który wprowadził się razem z Mikiem Hararim i Zwim Zamirem do mieszkania szefów, rozkazał swoim ludziom, by szukali Kamala Benamanego w hotelach, restauracjach i kawiarniach w całym mieście. Wreszcie wytropiono go w małej pizzerii w centrum miasta. Kiedy wyszedł z restauracji, agenci ruszyli w ślad za nim. Odkryli, że zatrzymał

się w nieomal pustym hotelu Regina, przy przecznicy od głównej drogi. Benamane zameldował się pod fałszywym nazwiskiem. W ułamku sekundy meldunek dotarł do Zwiego Zamira, który już z radością zacierał ręce. Wydawało mu się, że Salameh zaraz wpadnie
w pułapkę.

Członkowie zespołu zajęli posterunki obserwacyjne wokół hotelu Regina, spacerowali po parku, udawali klientów przy małym kramie z pamiątkami i czytali gazetę na ławce w cieniu drzewa przy głównej ulicy. Wszyscy otrzymali portrety pamięciowe Benamanego, z brodą i bez brody, a teraz czekali niecierpliwie na jego pojawienie się.

Benamane dopiero następnego ranka wyszedł z pokoju. Zjadł śniadanie w restauracji hotelowej, wyszedł głównymi drzwiami i nerwowo rozglądał się, gdy tylko coś wzbudzało jego podejrzenia. Spacerował długo po Lillehammer, zatrzymał się na chwilę na brzegu jeziora Mjøsa, przyglądał się łodziom i uważnie obejrzał okolicę. Agenci śledzili go na zmianę z bezpiecznego dystansu, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Po krótkim przystanku na brzegu jeziora Benamane szybkim krokiem wszedł do kawiarenki z widokiem na góry i tam usiadł przy stoliku oddalonym od okna. Gdy podeszła do niego kelnerka, złożył zamówienie. Chwilę później do lokalu weszło dwóch mężczyzn, którzy przysiedli się do Benamanego. Jeden był szczupły i wysoki, miał czarne włosy i wąsy.

Zdjęcie Alego Salameha, które pokazano zespołowi, było trochę nieostre. Przedstawiało gładko ogolonego mężczyznę, którego rysy twarzy trudno było rozpoznać, ale to nie przeszkodziło śledzącym uznać mężczyzny z wąsami za Salameha.

– Bez wątpienia to on – wyszeptał jeden z agentów pewien, że wąsy to tylko kamuflaż.

Trzej mężczyźni prowadzili ożywioną rozmowę. Agent, który rzekomo zidentyfikował Salameha, podszedł szybko do najbliższego aparatu telefonicznego, żeby zadzwonić do mieszkania dowódców zespołu.

– Jesteś pewien, że to on? – zapytał dowódca grupy.

– Na sto procent.

Harari przekazał meldunek Zwiemu Zamirowi. Operacja wchodziła w decydującą fazę. Żeby otworzyć ogień do Salameha, niepotrzebne było dodatkowe pozwolenie od pani premier. Golda Meir udzieliła go już wcześniej.

Mike Harari naradził się z Zwim Zamirem i poinformował dowódcę grupy, że operacja rozpocznie się 21 lipca.

Od tego momentu o Benamanem zupełnie zapomniano, jakby nigdy nie istniał. Obserwowano tylko mężczyznę, który odpowiadał rysopisowi Alego Salameha. Ten wyszedł z kawiarni po około trzydziestu minutach, a jego obaj towarzysze zostali przy stoliku. O ścianę budynku oparty był rower. Mężczyzna wsiadł na niego i podjechał pod ubogi, robotniczy dom. Śledzący go agenci pozostali na posterunkach obserwacyjnych.

Mężczyzna wyszedł z budynku dopiero późnym popołudniem następnego dnia. Pojechał na rowerze na miejski basen Jorekstad, zdjął ubranie, założył kąpielówki i wskoczył do wody. W dużej, zadaszonej części basenu pływało kilkanaście matek z dziećmi i dwóch starszych mężczyzn. Podejrzany podpłynął do jednego z nich i zaczął rozmowę.

Marianne Gladnikoff natychmiast wypożyczyła kostium kąpielowy i również wskoczyła do wody. Zbliżyła się do obu mężczyzn, którzy pływali pośrodku basenu, i usłyszała, jak mówią po francusku. Nie znała tego języka. Po wyjściu z basenu powiedziała czekającym na zewnątrz kolegom z zespołu, że jej zdaniem śledzą niewłaściwego człowieka.

W głowie Sylvii zapaliło się czerwone światełko. Powiedziała Danowi Arbelowi, że w materiałach, które otrzymali na temat Salameha, rzeczywiście ani słowem nie wspominano o jego znajomości francuskiego.

– Poza tym to zdjęcie jest nieostre – powiedziała z troską w głosie. – I mówię to jako profesjonalna fotoreporterka. Trudno na jego podstawie kogokolwiek zidentyfikować. Uważam, że powinniśmy jeszcze raz sprawdzić, komu tak naprawdę depczemy po piętach. Bardzo możliwe, że ścigamy niewłaściwego człowieka.

Arbel również zaczął kwestionować tożsamość śledzonego mężczyzny, ale jego i Sylvii ostrzeżenia zbagatelizowano. Kierujący akcją zamietli wszystkie wątpliwości pod dywan. Byli pewni, że odnaleźli Alego Salameha.

Nie uspokoiło to Sylvii. Zbiło ją z tropu to, że Salameh, który podróżował w kamuflażu i po cichu, teraz pozornie beztrosko w środku dnia jeździł na rowerze po ulicach małego miasta, paradując pod nosem śledzących go agentów. Nie zastosował żadnych środków ostrożności, kiedy wchodził do ubogiego domu na końcu ulicy, żeby tam spędzić całą noc. Sprawa była podejrzana.

– Tak się nie zachowuje doświadczony przywódca organizacji terrorystycznej, który doskonale wie, że poluje na niego Mossad – powiedziała, ale jej głosu nikt nie wysłuchał.

Większość kolegów z zespołu uważała, że Sylvia się myli. Również kierujący akcją byli pewni, że wpadli na właściwy trop.

Dowódca grupy wkroczył do akcji. Sylvia podzieliła się z nim swoimi wątpliwościami. Jej spostrzeżenia go zaniepokoiły, dlatego obiecał, że jeszcze raz przeanalizuje wszystkie szczegóły.

Ale nigdy tego nie zrobił.

Obchodząc dookoła dom, w którym ukrywał się podejrzany, wpadł w ciemności do rowu i poczuł piekielny ból w prawej nodze. Jeden z agentów pomógł mu wrócić do wynajętego mieszkania. Ból nasilał się z minuty na minutę, ale on nie zgadzał się, by przyprowadzić do niego lekarza, z obawy przed dekonspiracją. Bał się również pojechać do małego szpitala w mieście. Zażył środki przeciwbólowe, które jednak nie zadziałały.

Wreszcie nie wytrzymał i zgodził się na wizytę lekarza. Ten zbadał nogę i stwierdził zerwanie ścięgna.

– Musi pan jak najszybciej jechać do szpitala – orzekł.

Mężczyzna zrozumiał, że akcja musi odbyć się bez niego. Uważał, że pobyt w norweskim szpitalu stanowiłby zbyt duże ryzyko. Naradził się ze swoimi przełożonymi, którzy podzielali jego zdanie. Natychmiast wsiadł do pociągu, a z dworca w Oslo pojechał prosto na lotnisko, gdzie szukał najszybszego połączenia z Izraelem. Pierwszy samolot leciał do Rzymu. Stamtąd dowódca grupy dotarł do Izraela. Dowodzenie zespołem w Lillehammer przejął Mike Harari.

Z lotniska Lod były dowódca grupy pojechał taksówką prosto do szpitala Tel Haszomer.

– Zdążył pan w ostatniej chwili – powiedzieli mu lekarze.

W podłym nastroju leżał w łóżku na oddziale ortopedycznym. Agent ten słynął ze swojej wytrzymałości. Wielokrotnie narażał życie dla sprawy, w czasie drugiej wojny światowej uszedł ze szponów nazistów, a teraz banalne zerwanie ścięgna wykluczyło go z udziału w akcji, o której marzył każdy agent z jednostki do zadań specjalnych. Misja jego życia miała przebiegać bez jego udziału. Nie potrafił się z tym pogodzić.

6

W Lillehammer pętla coraz bardziej zaciskała się wokół szyi podejrzanego, ale on zachowywał się nadal tak beztrosko, jakby nie obawiał się nikogo i niczego. 21 lipca wczesnym wieczorem spadł ciepły letni deszczyk. Kilka osób na ulicy rozłożyło parasole i przyspieszyło kroku. Śledzony mężczyzna poszedł do kina z blondynką w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Na sali siedziało tylko kilkudziesięciu widzów, w tym jeden z agentów. Zajął miejsce tuż obok obserwowanej pary, widział, jak ta zajada słodycze kupione w bufecie i z zaciekawieniem śledzi przygody amerykańskiego pilota bojowego w czasie drugiej wojny światowej.

Sylvia należała do grupy obserwującej kino. Nadal była niespokojna i nie potrafiła sobie wytłumaczyć beztroskiego zachowania domniemanego Alego Salameha. Ani razu się nie obejrzał, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi. Widziała, jak spokojnym krokiem zmierza do kina, idąc za rękę ze swoją towarzyszką. W tych okolicznościach zlikwidowanie go na ulicy albo w kinie byłoby dziecinnie proste. Nie chciało jej się wierzyć, że Ali Salameh nie wziął tego pod uwagę. „Co tu jest grane?”, zastanawiała się Sylvia.

O 22.15, zaraz po seansie, drzwi kina otworzyły się i z budynku wyszli widzowie. Śledzony mężczyzna ze swoją partnerką poszedł na najbliższy przystanek. Po kilkunastu minutach wsiedli do autobusu. Pojechały za nimi dwa samochody. Para wysiadła cztery przystanki dalej. Na ulicy panował spokój. W oknach domów widać było niebieską poświatę telewizorów, a w parku naprzeciwko obściskiwały się pary siedzące w samochodach.

Kiedy śledzeni przeszli na drugą stronę ulicy Storgaten, drogę zajechało im szare volvo. Wyskoczyli z niego dwaj członkowie oddziału egzekucyjnego. Mieli około trzydziestu lat, kiedyś służyli w jednostce elitarnej, a teraz wiązali swoją przyszłość z Mossadem i brali już udział w ważnych operacjach, broniąc bezpieczeństwa Izraela. Nie po raz pierwszy likwidowali poszukiwanych terrorystów. Jak zawsze działali z zimną krwią i bez cienia wątpliwości, ufając swoim rozkazodawcom i wierząc w sprawiedliwość swojego czynu.

Obaj wyciągnęli beretty z tłumikami. Mężczyzna spojrzał przerażony na lufy pistoletów.

– Nie, nie – zdążył tylko krzyknąć po norwesku.

Jego krzyk zagłuszyło czternaście strzałów. Egzekutorzy starali się nie zranić kobiety. Mężczyzna zbroczony krwią upadł na chodnik, a volvo pędem odjechało. Na ulicy rozległ się wrzask przerażonej kobiety. Przestraszeni mieszkańcy wyglądali z okien. Ktoś zaalarmował policję. Była 22.47.

W tłumie przerażonych sąsiadów, którzy otoczyli ciało zabitego, znalazła się też para, która widziała całe zajście z pobliskiego parku. Młody człowiek zdążył nawet zapisać numery rejestracyjne samochodu napastników.

Oczy Mike’a Harariego zabłysnęły radośnie, kiedy otrzymał wiadomość o śmierci poszukiwanego. Już sobie wyobrażał wielkie nagłówki w izraelskich i zagranicznych gazetach, donoszących o likwidacji Alego Salameha. Całymi miesiącami prowadził pościg za arabskimi terrorystami, ale wszystkie poprzednie akcje blakły w obliczu wielkiej egzekucji w Lillehammer.

– Wykonaliście kawał dobrej roboty – pochwalił uczestników misji i rozkazał, by jak najszybciej opuścili miasto.

Policja w Lillehammer zmobilizowała wszystkie siły. To było pierwsze od dawna zabójstwo w mieście i funkcjonariusze gorączkowo próbowali je wyjaśnić i ująć sprawców. Szef policji w oświadczeniu dla prasy wyraził swoje przypuszczenia, że chodziło o porachunki handlarzy narkotyków. Zamordowany nie był wprawdzie notowany, ale jako Arab marokańskiego pochodzenia, który w Lillehammer ożenił się z Norweżką i szybko znalazł pracę, najprawdopodobniej dorabiał na boku, handlując narkotykami, jak wielu imigrantów.

Dziennikarze chcieli poznać tożsamość ofiary.

– Nazywał się Ahmed Bouchiki – powiedział szef policji.

– Gdzie mieszkał?

– Tutaj, w Lillehammer.

– Czym się zajmował?

– O ile wiemy, był kelnerem.

7

Policja pracowała szybko. Numer samochodu napastników drogą radiową przekazano do komisariatów w całym kraju, żeby sprawdzono, do kogo należy.

Rano po ataku, tuż po otwarciu wypożyczalni samochodów na lotnisku w Oslo, do biura przyjechała Marianne Gladnikoff, żeby oddać auto i uregulować rachunek. Niedaleko od niej zaparkował Dan Arbel w drugim wynajętym wozie, czekając na swoją kolej. Czuł się nieswojo, kierując samochodem zamachowców. Miał nadzieję, że nikt nie zanotował jego numerów rejestracyjnych.

Za nim w kolejce ustawił się młody Norweg. Słuchał wiadomości radiowych, w których podawano numery i opis poszukiwanego pojazdu. Ku swojemu zdumieniu zobaczył przed sobą właśnie te tablice rejestracyjne. Poinformował o tym policjanta, który stał nieopodal. Funkcjonariusz podszedł do Dana Arbela i poprosił go o dokumenty. Dan podał mu swój duński paszport.

– Co pan robi w Norwegii? – zapytał policjant.

– Przyjechałem tu na krótki urlop.

– Podróżuje pan sam?

Zamiast odpowiedzieć twierdząco na to pytanie, Arbel popełnił fatalny w skutkach błąd.

– Nie, z przyjaciółką.

– A gdzie ona jest?

– Właśnie oddaje wynajęte auto.

Policjant natychmiast wezwał wóz patrolowy. Kilka minut później Marianne i Dana aresztowano.

W tym czasie do Oslo jechali samochodem dwaj egzekutorzy. Początkowo ustalono, że uciekną przez granicę do Szwecji, bo przejście było otwarte przez całą dobę, a celnicy bez kontroli przepuszczali samochody z norweskimi tablicami rejestracyjnymi. Jednak z jakiegoś

powodu Harari zmienił decyzję. Mieli jechać do Oslo i tam zostawić samochód.

Pomimo wyraźnego rozkazu pozbycia się broni, z której oddano strzały, zespół zabrał pistolety do samochodu. Od świtu na drogach do Oslo był duży ruch. Tuż przez miejscowością wypoczynkową Hamar agenci zobaczyli migające światła kogutów policyjnych i długi korek z powodu blokady policyjnej. Z przerażeniem pomyśleli, że drogę zamknięto z ich powodu, wysiedli natychmiast z samochodu i wyrzucili pistolety do przydrożnego rowu. Postanowili udawać niewinnych turystów, licząc na to, że funkcjonariusze drogowi nie dostali ich dokładnego rysopisu.

Kiedy dotarli do blokady, policjanci podeszli do ich samochodu, skontrolowali ich paszporty i szybko przeszukali auto. Jeden z agentów zapytał, co się dzieje, a policjant odparł, że w pobliskim mieście składa właśnie wizytę kanclerz Niemiec Willy Brandt, dlatego podjęto szczególne środki ostrożności.

– Szerokiej drogi – powiedział policjant i przepuścił agentów.

Dan Arbel i Marianne Gladnikoff zostali natychmiast po zatrzymaniu przewiezieni na posterunek policji. Zaprzeczyli, że mają cokolwiek wspólnego z morderstwem, ale nie potrafili wyjaśnić, jak samochód Arbela znalazł się na miejscu zbrodni. Policjanci uznali, że aresztowani należą do kartelu narkotykowego, i podejrzewali, że przyjechali do Lillehammer, żeby wyrównać rachunki z Bouchikim.

Przyparli do ściany Marianne.

– Nie jestem zawodową morderczynią – przyznała się pod naciskiem. – Pochodzę z Izraela i pracuję dla Mossadu.

Dana Arbela zamknięto w małej, ciemnej celi. Cierpiał katusze, bo brakowało mu powietrza i wydawało mu się, że zaraz się udusi. Później norweski oficer śledczy stwierdził, że być może właśnie dzięki tak wywartej presji opór Dana udało się złamać. Obiecał aresztowanemu, że jeśli tylko wyzna całą prawdę, zostanie przeniesiony do większej celi. Dan Arbel wyśpiewał wszystko jak na spowiedzi. Podał nawet policjantom adresy mieszkań, w których zatrzymali się pozostali członkowie zespołu. W czasie rewizji osobistej znaleziono przy nim numer telefonu do Jigala Ejala, pracownika do spraw bezpieczeństwa w izraelskiej ambasadzie w Oslo.

– Co to za numer telefonu? – zapytali przesłuchujący.

– To na wypadek nieprzewidzianych komplikacji – odparł Arbel.

W międzyczasie siedmiu agentom udało się uciec z Lillehammer w dwóch wynajętych samochodach. Kilku z nich pozostało jeszcze w zakonspirowanym mieszkaniu. Sylvia poganiała ich do wyjścia, bo nastał dzień i każda chwila zwłoki mogła mieć fatalne konsekwencje. Wreszcie cały zespół był gotów do drogi.

– Chciałabym być już daleko stąd – powiedziała Sylvia.

Zaskoczeni zorientowali się, że policja otoczyła dom i mierzyła do nich z pistoletów.

– Ręce do góry! – krzyknął po angielsku jeden z policjantów.

Mike Harari i Zwi Zamir wychodzili właśnie z mieszkania dowódców, kiedy ich kolegów odprowadzano w kajdankach do radiowozów. Szybką koleją pojechali do Oslo. Stamtąd polecieli do Izraela razem z siedmioma pozostałymi agentami, którym udało się uciec na czas.

Norweska policja, która pospieszyła do mieszkania Jigala Ejala, zastała tam dwóch kolejnych członków zespołu z Lillehammer i natychmiast ich aresztowała. Następnego dnia Ejala uznano w Norwegii za *persona non grata* i odesłano go razem z rodziną do Izraela.

Część VII

Historia pewnej miłości

1

Aresztowani członkowie jednostki do zadań specjalnych zostali zawiezieni radiowozami na komendę okręgową policji w Oslo. Tam kontynuowano przesłuchania, w trakcie których stwierdzono, że Bouchiki nie handlował narkotykami. Gdy tylko okazało się, że zabójstwa w Lillehammer dokonali agenci Mossadu, zaś tragedia ta decydująco wpłynie na stosunki izraelsko-norweskie, śledztwo zyskało o wiele większą rangę. Norweska policja zebrała najlepszych śledczych i prowadziła dalej przesłuchania za zamkniętymi drzwiami. Dziennikarze i fotoreporterzy czatowali na Sylvię przed bramą budynku policji z przygotowanymi mikrofonami, ale policjanci odciągnęli na bok wszystkich, którzy blokowali wjazd do budynku.

Sylvię zaprowadzono do pokoju przesłuchań, w którym czekało na nią trzech oficerów policji. Spokojnie i rzeczowo oznajmili jej, że mają już pełne zeznania Marianne Gladnikoff i Dana Arbela.

– Jeśli pani nam wszystko powie, zapewnimy pani łagodny wymiar kary – obiecali jej i poinformowali ją, że jej koledzy zabili w Lillehammer niewłaściwego człowieka.

„Czemu mnie to nie dziwi?”, pomyślała Sylvia i przypomniała sobie wszystkie wątpliwości, jakie naszły ją w trakcie akcji.

– Aż do afery w Lillehammer uważaliśmy ludzi z Mossadu za nieomylnych – powiedział jeden z przesłuchujących. – Okazało się jednak, że nawet im zdarzają się wpadki. – Wiedzieli, że wbrew temu, co przeczytali w jej paszporcie, Sylvia nie nazywa się Patricia Roxburgh. – Nie jest pani Kanadyjką, w rzeczywistości nazywa się pani Sylvia Rafael i pracuje pani dla Mossadu. – Śledczy nie owijali w bawełnę.

Sylvia patrzyła chłodno na funkcjonariusza i uparcie milczała. Cała trójka zasypała ją pytaniami, ale nie otrzymali ani jednej odpowiedzi. Sylvia postanowiła milczeć jak grób. Prośbą ani groźbą nie potrafili wydobyć z niej zeznań.

Policjanci zamknęli ją w izolatce bez okien. W rogu stała muszla klozetowa, z której dochodził przenikliwy zapach środka do dezynfekcji. Teraz Sylvia miała mnóstwo czasu na przemyślenia. Nie mogła uwierzyć, że tak ważną akcję przeprowadzono tak niechlujnie. Straciła cały szacunek dla szefostwa Mossadu. Przypomniała sobie wszystkie pytania, które nasunęły jej się już w fazie przygotowań, jej wątpliwości wobec niedoświadczonej Marianne, po partacku przeprowadzoną identyfikację człowieka, którego wzięto za Alego Salameha, i marnowanie czasu w konspiracyjnym mieszkaniu w Lillehammer, które należało natychmiast opuścić. Pytała samą siebie, dlaczego doświadczeni ludzie z jednostki do zadań specjalnych zachowali się jak dyletanci.

Sylvia wierzyła jednak, że Izrael dołoży wszelkich starań, żeby wyciągnąć z opresji ją i jej współtowarzyszy. Ale nikt jej nie odwiedził – ani pracownicy ambasady, ani adwokat. Nie wiedziała, że od chwili jej aresztowania Mossad, przy współpracy izraelskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, starał się o pozwolenie na odwiedziny, ale otrzymywał od instytucji rządowych jedynie odmowne decyzje.

Pobyt w więzieniu był dla Sylvii koszmarem. Jej cela była wąska i ciemna. Na zbyt krótkim łóżku nie mogła nawet rozprostować nóg. Do celi przynoszono jej jedzenie bez smaku i zimną, słabą kawę. Nie dostawała ani gazet, ani książek, nie mogła słuchać radia i zabroniono jej wychodzenia na spacerniak, motywując to względami bezpieczeństwa. Bolało ją całe ciało, oczy nie chciały przywyknąć do ciemności, a głucha cisza doprowadzała ją do szaleństwa.

Rozmyślała o przyszłości, ufając, że Izrael z całych sił postara się o szybkie załagodzenie afery i wywrze dyplomatyczny nacisk na rząd norweski, żądając wypuszczenia wszystkich aresztowanych. Zarazem jednak nękały ją obawy o jej dalsze losy w jednostce do zadań specjalnych. Niebezpieczna praca w tajnych służbach wymagała wzajemnego zaufania między oficerami prowadzącymi, agentami i zatrudniającą ich instytucją. Sylvia wstąpiła do Mossadu nie po to, żeby zaspokoić żądzę przygód albo rozwiązać osobiste problemy. Działała w poczuciu solidarności z narodem żydowskim przekonana, że idzie właściwą drogą. Pokładała niewzruszone zaufanie w ludziach, na których rozkaz ryzykowała życiem. Uważała swoich rozkazodawców za grupę uzdolnionych patriotów o niepodważalnych kompetencjach, którzy nie pozwoliliby, żeby przypadek zniweczył wszystkie ich plany. Czar prysł, a Sylvia sama nie wiedziała, czy

w przyszłości zdoła służyć pod rozkazami przełożonych, do których nie ma zaufania.

Jej myśli powędrowały ku rodzicom. Wyobrażała sobie, jak muszą się zamartwiać, od kiedy upubliczniono jej aresztowanie. Gdy była dzieckiem, otoczyli ją bezwarunkową miłością, a potem pozwolili jej podążać wybraną drogą, choć nie spełniała ich oczekiwań. Z ich listów zawsze promieniowało ciepło. Nic dziwnego, że z rodzicami łączyły ją nierozerwalne więzy. Gdyby tylko mogła wyjaśnić im powody swojego postępowania. Być może choć trochę złagodziłaby ich ból...

2

W czasie wydarzeń w Lillehammer Ali Salameh ukrywał się w zakonspirowanym mieszkaniu w Danii, udając handlarza antyków. Pochłonięty planowaniem zamachu na izraelskich dyplomatów, nie miał pojęcia, co się dzieje w Norwegii. Wkrótce Dania okazała się dla niego niebezpiecznym terenem. Jego ludziom wydawało się, że ktoś ich śledzi i podsłuchuje ich rozmowy telefoniczne. Nakłaniali go do wyjazdu. Ali niechętnie przystał na ich żądania i wyjechał do Włoch. Zwołał głównodowodzących swojej organizacji na tajne spotkanie w Rzymie i przedstawił im nowe plany zamachów terrorystycznych. Ale jego doradcy stwierdzili, że nie nadszedł jeszcze czas na akcje tego typu. Służby specjalne śledziły uważnie obcokrajowców arabskiego pochodzenia, szczególnie tych, których podejrzewano o powiązania z organizacjami terrorystycznymi. Ali postanowił wrócić do Libanu i tam przeczekać sztorm.

Na lotnisko pojechał z obstawą. Następnego dnia po jego powrocie do Bejrutu gazety doniosły o zabójstwie w Lillehammer. Niektóre dzienniki podejrzewały, że w sprawie maczał palce Mossad, który próbował zlikwidować Alego Salameha, ale przez pomyłkę ofiarą zamachu padł niewinny człowiek.

Ali Salameh, dowódca operacyjny Czarnego Września, postanowił wykorzystać tę bezprecedensową okazję, by podkopać wizerunek Mossadu i wystawić go na pośmiewisko. Dla Jasira Arafata sporządził raport na temat wydarzeń w Lillehammer i nie odmawiał żadnemu dziennikarzowi, który poprosił go o wywiad. Powtarzał, że śmierć Ahmeda Bouchikiego stanowiła niezbity dowód na to, że Mossad bynajmniej nie zasługuje na miano najznakomitszej służby wywiadowczej.

– Wiem, że chcą mnie zabić, ale nie mam pojęcia, czemu sobie ubzdurali, że dopadną mnie w Norwegii. Nigdy w życiu tam nie byłem – stwierdził z rozbawieniem.

W wywiadzie udzielonym libańskiej stacji radiowej chełpił się:

– Jeśli Izraelczykom się wydaje, że kiedykolwiek mnie wytropią, to grubo się mylą. Do tej pory im się to nie udało i nigdy się nie uda.

Kiedy szefowie Mossadu rwali włosy z głowy, Ali puszył się jak paw. Z uśmiechem patrzył prosto w obiektywy aparatów fotoreporterów. Jakby tego było mało, poprosił o rękę Georginę i dopilnował, żeby wiadomość ta trafiła na pierwsze strony gazet. Porzucił żonę bez wyrzutów sumienia.

Bejrucka piękność Georgina Rizk już od dawna czekała na ten moment. Od razu przyjęła oświadczyny, a jej ojciec zaprosił Alego na rozmowę. Usilnie namawiał go, żeby wszedł do jego firmy, porzucił terroryzm, założył rodzinę i wychowywał dzieci w spokoju i miłości. Ali odparł jednak, że nie może przyjąć tej propozycji.

– Mam obowiązki wobec Palestyny, ale wojna nie będzie trwać w nieskończoność. Kiedy się skończy, chętnie poświęcę się przedsiębiorstwu rodzinnemu.

Ojca Georginy nie ucieszyła ta odpowiedź, ale pod naciskiem córki pobłogosławił jej związek z Alim.

Nigdy wcześniej w luksusowym hotelu Al Bustan w Bejrucie nie wprowadzono takich środków ostrożności. Ochroniarze otaczali budynek, kontrolowali lobby, sprawdzali kuchnię i rewidowali każdego gościa wchodzącego do wielkiej sali balowej. Uzbrojeni strażnicy należeli do Force 17, elitarnej jednostki Al-Fatah.

Dziennikarze i fotoreporterzy, ludzie radia i telewizji zostali zaproszeni na wesele Alego, żeby najbardziej poszukiwany człowiek na świecie mógł ogłosić światu, że żyje i ma się doskonale. Jak głosiły plotki, ojciec panny młodej wyłożył bajońskie sumy na uroczystość.

Ali i Georgina z uśmiechem pozowali do zdjęć. Gdy trzymali się za rękę, gdy kroili tort weselny, gdy Arafat i inni dowódcy Al-Fatah całowali ich w policzki. Wysoko postawieni reprezentanci rządu libańskiego, kupcy i gwiazdy filmowe, których zaprosił ojciec panny młodej, bawili się razem z dowódcami organizacji terrorystycznych, przyjaciółmi pana młodego. Wszyscy delektowali się posiłkiem weselnym i podziwiali występ tancerek brzucha. Panna młoda, ubrana na biało, z bukietem białych orchidei w ręku, była piękniejsza niż kiedykolwiek.

Mogłoby się wydawać, że na weselu Georginy i Alego pojawiły się wszystkie liczące się osobistości. Nie zaproszono tylko trzech osób: pierwszej żony Alego i jego synów, Hassana i Osamy.

3

Miriam i Ferdinand Rafael, rodzice Sylvii, nierzadko zastanawiali się nad tym, czym właściwie zajmuje się ich córka. W czasie pierwszych lat jej pobytu w Izraelu prowadzili z nią regularną korespondencję, dlatego wiedzieli o jej życiu w kibucu i w Tel Awiwie, jej pracy w szkole i innych zagranicznych przygodach. Po wstąpieniu do Mossadu zrobiła się skryta i niewiele opowiadała rodzicom. Kiedy pisała, że duża spółka handlowa wysłała ją do Paryża, nie podała im swojego adresu, tylko kazała pisać na *poste restante* w jednym z paryskich urzędów pocztowych. A kiedy prosili ją o numer telefonu, odpowiadała, że tak często pracuje poza domem, że i tak pewnie by jej nie zastali.

Miriam i Ferdinanda dziwiło tajemnicze zachowanie córki, ale robili dobrą minę do złej gry. W miarę upływu lat przywykli do wysyłania listów na *poste restante*. Sylvia często pisała o pięknym Paryżu, o książkach, które czytała, o przedstawieniach teatralnych, które oglądała, ale nigdy o swojej pracy. Na pytanie, czy ma stałego przyjaciela, odpowiadała: „Pracuję tak ciężko, że nie starcza mi czasu nawet na odpoczynek”. Raz odwiedziła rodzinę w Afryce Południowej, ale wtedy też ani słowem nie wspomniała o swojej pracy.

W miarę upływu lat pogorszył się stan zdrowia Ferdinanda. Zachorował ciężko na serce i musiał wielokrotnie leżeć w szpitalu. Około tygodnia po aresztowaniu Sylvii w Norwegii dostał zawału i trafił na oddział intensywnej terapii. Przeprowadzona natychmiast operacja nie poprawiła jego stanu zdrowia, a on czuł, że jego dni są policzone. Ostatni list do Sylvii napisał w łóżku szpitalnym.

> Moja ukochana Córko,
>
> piszę do Ciebie ze szpitala. Niestety moja choroba serca postępuje. Niezmiernie mi przykro, że być może już nigdy się nie zobaczymy, ale nawet jeśli nie będzie mi dane się z Tobą spotkać, to na zawsze zapamiętaj, jak wielką i głęboką miłością Cię darzyłem. Proszę, opiekuj się Mamą! Życzę Ci, żebyś założyła rodzinę i urodziła dzieci, które pójdą w Twoje ślady. Opowiedz im o mnie.

Uważaj na siebie.

Twój kochający ojciec

Stan Ferdinanda Rafaela pogarszał się z dnia na dzień, a lekarze nie dawali rodzinie żadnej nadziei. Miriam chciała sprowadzić Sylvię, by towarzyszyła ojcu w jego ostatnich chwilach, ale nie znała jej miejsca pobytu. Zadzwoniła do izraelskiej ambasady w Pretorii, prosząc o pomoc w poszukiwaniu córki, która rzekomo pracowała dla izraelskiej firmy w Paryżu. Ambasada za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych dowiedziała się o powiązaniu Sylvii z Mossadem, ale otrzymała rozkaz, żeby nie wtajemniczać rodziny w szczegóły. Sylvia, która nie dostała żadnych instrukcji na wypadek aresztowania, w czasie przesłuchań w Oslo wyparła się swojego żydowskiego pochodzenia. Również Mossad uznał, że należy utajnić wszelkie szczegóły dotyczące prawdziwej tożsamości Sylvii.

W czasie pogrzebu Ferdinanda Rafaela jego córka siedziała nadal w więzieniu i nie wiedziała o jego śmierci. Dopiero bezpośrednio przed procesem reprezentant ambasady Izraela przekazał jej tę smutną informację, a śledczy pozwolili jej zadzwonić do matki. Sylvia wyraziła swój żal i smutek, a potem przyznała się do aresztowania. Przez całą rozmowę płakała do słuchawki.

– Tata tak bardzo chciał cię zobaczyć przed śmiercią – powiedziała matka smutnym głosem. – Od czasu twojego wyjazdu z Izraela widział cię tylko raz, w czasie twojego krótkiego pobytu w Afryce Południowej. A prawie codziennie o tobie mówił. Tak bardzo liczyliśmy na to, że jeszcze kiedyś nas odwiedzisz.

– Nie mogłam – szlochała Sylvia.

– Tęsknię za tobą – powiedziała jej matka.

– Ja za tobą też, mamo.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie.

– Proszę, pisz do mnie często.

– Dobrze, mamo.

4

Po czterech godzinach jazdy na północ od Oslo należało minąć rozwidlenie dróg prowadzących do kilku odległych wiosek, a potem skręcić prosto w las. Na przydrożnym słupie wisiała tablica, na której na czarno napisano nazwę Schjødt, a pod spodem, na czerwono, słowa „droga prywatna”.

Auto z dyplomatycznymi tablicami rejestracyjnymi minęło drogowskaz i wjechało w leśną gęstwinę. Na tylnym siedzeniu za kierowcą siedział Meir Rosen, doradca prawny izraelskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a potem ambasador w Stanach Zjednoczonych i Frankfurcie. Przyjechał do Oslo, żeby zająć się aresztowanymi członkami grupy operacyjnej. Wcześniej Izrael wydał zgodę, by wszyscy aresztowani przyznali się do swojego prawdziwego pochodzenia.

Rosen bardzo się o nich martwił. Norwescy urzędnicy odrzucili wszystkie jego podania o pozwolenie na wizytę u aresztowanych, dostarczenie im prasy i listów z domu. Nie pomogło nawet spotkanie z norweskim ministrem sprawiedliwości. W Rosenie ostatnią nadzieję pokładała premier Izraela, szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Jerozolimie i dowództwo Mossadu. Nie mógł ich zawieść i wrócić z pustymi rękami.

Wszystkie dotychczasowe starania Rosena, by skontaktować się z Annæusem Schjødtem, najlepszym adwokatem w Norwegii, i prosić go o zajęcie się tą sprawą, spełzły na niczym. Schjødt spędzał właśnie urlop w swojej samotni, w chatce w samym sercu lasu. Rosen poruszył niebo i ziemię, żeby zdobyć numer do jego letniego domku.

– Czy to nie może poczekać? – zapytał adwokat.

– Nie, czas nas goni.

Schjødt zaprosił Rosena z wizytą.

Auto jechało przez gęsty, ciemny las. Kierowca włączył reflektory i zwolnił. W samochodzie rozchodził się zapach butwiejącego drewna i żywicy. Niekiedy przez drogę przebiegała spłoszona sarna albo żbik, zaś letni upał zmienił się w ożywczy chłód.

Po dłuższej chwili znowu oślepiło ich słońce. Wyjechali z lasu, a ich oczom ukazał się zapierający dech w piersi krajobraz: wysokie góry, wodospady, błękitne jeziora i zielone doliny. Pośrodku tego przepięknego pejzażu stała drewniana chatka, jakby żywcem wyjęta z bajki. Obok znajdowało się małe pole uprawne, na którym rosły przede wszystkim sałata i kapusta. Na tarasie z widokiem na góry siedział wysoki siwowłosy mężczyzna około sześćdziesiątki i palił fajkę. Kiedy zobaczył, jak przed chatką zatrzymuje się samochód, podniósł się, żeby przywitać Meira Rosena. Podali sobie ręce.

– Na pewno zgłodniał pan po tak długiej podróży – powiedział. – Proszę zrobić mi tę przyjemność i zjeść ze mną posiłek.

Usiedli przy stole, na którym pan domu postawił ser i kiełbasę, warzywa, chleb i żółte masło. Również kierowcy zaproponował poczęstunek.

– Uciekam tutaj na tydzień co miesiąc, w zimie i w lecie, w czasie upału i gdy pada śnieg – wyjaśnił. – Nie ma nic lepszego niż spokój, samotność i tutejsze świeże powietrze.

Annæus Schjødt prowadził doskonale prosperującą kancelarię adwokacką, uważaną za jedną z najlepszych w Oslo. Zatrudniał kilkudziesięciu prawników i reprezentował wielu polityków i biznesmenów. Schjødt, człowiek bardzo dobrze sytuowany, obracał się także w kręgach rządowych. Jego ojciec, również prawnik, był oskarżycielem w procesie przeciwko Vidkunowi Quislingowi, szefowi rządu norweskiego, który w czasie drugiej wojny światowej kolaborował z faszystami, za co skazano go na śmierć.

W okazałym domu na obrzeżach Oslo, w którym Annæus Schjødt mieszkał z żoną i trójką dzieci, odbywały się przyjęcia, o których w szczegółach donosiła lokalna prasa. Był powszechnie znany w Norwegii, bardzo lubiany i szanowany przez dziennikarzy. W poczet jego zasług zaliczano to, że w czasie drugiej wojny światowej, gdy naziści zabijali tysiące norweskich obywateli, nie stał z założonymi rękami, tylko uciekł do Anglii, żeby służyć jako pilot bojowy w Royal Air Force, biorąc codziennie udział w bombardowaniach wrogich celów.

Po posiłku Rosen i Schjødt przeszli do gabinetu. Wzdłuż ścian dużego pokoju ciągnęły się regały pełne książek, a pośrodku stało zabytkowe biurko.

– Domyślam się, czemu zawdzięczam pańską wizytę – zaczął prawnik. W gazecie czytał o aresztowaniu agentów Mossadu.

– Mam ogromną nadzieję, że podejmie się pan obrony aresztowanych – Rosen niezwłocznie przeszedł do rzeczy.

Zakładał, że Norwegowie nie mogą wypuścić więźniów bez procesu. Schjødt najlepiej nadawał się do prowadzenia obrony, przy udziale innych prawników. Norweski adwokat chciał poznać szczegóły na temat aresztowanych.

– Moje honorarium jest bardzo wysokie – powiedział na koniec.

– Izrael za to zapłaci – odparł natychmiast Rosen.

Mossad zapewnił, że wyłoży każdą sumę, byle tylko aresztowanym umożliwiono szybki powrót do domu.

– Jak tylko wrócę do Oslo, zajmę się tą sprawą – obiecał Schjødt.

Ani Rosen, ani Schjødt, siedząc w samotnej chatce na skraju lasu, nie mogli przewidzieć, jakie decyzje podejmie norweski wymiar sprawiedliwości. Co więcej, nie przeczuwali, że proces ten gruntownie zmieni także życie norweskiego prawnika.

5

Dni mijały powoli i jednostajnie, pełne czarnych myśli. Sylvia nie potrafiła przyzwyczaić się do warunków aresztu, do ciemności, wąskiej celi, jedzenia i samotności. Przesłuchań zaniechano, bo Sylvia odmówiła współpracy. Widywała tylko strażniczkę, która punktualnie co do minuty przynosiła jej do celi jedzenie. Kilka razy próbowała wciągnąć funkcjonariuszkę w rozmowę, ale ona prawie w ogóle nie znała angielskiego. Sylvia, odcięta od świata, pozbawiona możliwości kontaktów międzyludzkich, czuła, że brakuje jej powietrza, ale nie mogła liczyć na pomoc strażniczki.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo jak w czasie jej szkolenia. Wtedy często brała udział w symulowanych aresztowaniach, musiała dać sobie radę w trudnych warunkach, ale nigdy nie trwało to długo. Nigdy nie zamknięto jej na nieokreślony czas i nigdy nie czuła się tak samotna. I jeszcze ta spartaczona operacja, największa i najważniejsza, w jakiej Sylvia kiedykolwiek brała udział, bezsilność i paraliżujące przeczucie, że zostanie skazana za morderstwo.

W trakcie aresztowania odebrano jej zegarek i niedługo potem straciła zupełnie poczucie czasu. Nie wiedziała już, który jest dzień tygodnia i ile dni spędziła w więzieniu, wiedziała tylko, że codziennie o tej samej porze pojawiały się dwie strażniczki, żeby zabrać ją pod prysznic, a potem cierpliwie na nią czekały. Tylko wtedy miała okazję wejść do oświetlonego pomieszczenia. Natychmiast po prysznicu wracała do ciemnej celi, a drzwi zamykano na zamek.

Aż któregoś dnia zdarzył się cud i w celi zapaliła się żarówka. Usłyszała kroki, trzask zasuwy i brzęk kluczy. Drzwi otworzyły się. Na progu stała strażniczka.

– Ma pani gościa. Proszę za mną – powiedziała.

Przeszły przez długi korytarz, aż dotarły do małego pokoju bez okien. Sylvia zobaczyła stół i dwa krzesła. Na jednym siedział nieznajomy

mężczyzna. Miał na sobie drogi garnitur, pachniał luksusową wodą kolońską i innym, lepszym życiem.

Mężczyzna wstał i uścisnął jej dłoń. Był od niej wyższy i mówił płynnie po angielsku.

– Nazywam się Annæus Schjødt. Rząd Izraela wynajął mnie, żebym pani bronił.

– Ma pan pół godziny – powiedziała strażniczka i wyszła z pomieszczenia.

Zostali sami.

– Uważa pan, że dojdzie do procesu? – zapytała Sylvia, śmiejąc się gorzko.

– Niestety tak – odparł prawnik. – Norwegia to państwo prawa. Nie można wypuścić z więzienia podejrzanych o morderstwo, jeśli nie wytoczy się im wcześniej procesu.

– Jakie mamy perspektywy?

– Z czysto prawnego punktu widzenia można panią skazać za morderstwo albo współudział w morderstwie i wsadzić za kratki na wiele lat. Zrobię, co w mojej mocy, żeby przekonać sąd do jedynie symbolicznej kary.

– Chce pan wpłynąć na decyzję sędziego? Niby jak?

– Nie wystąpię sam przed sądem. Zebrałem zastęp doskonałych prawników, którzy ze mną stale współpracują. Każdy zespół adwokacki broni innej grupy więźniów. Z Izraela przyjedzie również Erwin Schimron, nasz były prokurator generalny. On mi pomoże. Postaramy się przekonać sąd, że Izrael został wciągnięty w wojnę przez organizacje terrorystyczne i że pani zadanie polegało na karaniu morderców i odstraszaniu innych terrorystów.

– Radzi mi pan, żebym zgodziła się zeznawać.

– Tak. Oni i tak już wszystko wiedzą.

Zapytał ją o historię jej życia, jej krewnych i szczegóły jej pobytu w Norwegii. Miał miękki, przyjemny głos. Każda minuta rozmowy sprawiła Sylvii ogromną radość.

– Proszę mi opowiedzieć jeszcze trochę o tym, co się dzieje na zewnątrz – poprosiła. – Od czasu aresztowania nie miałam w ręku gazety.

Opowiedział jej, że prasa bez końca przeżuwa aferę w Lillehammer, Izrael prosi o uwolnienie aresztowanych i planuje negocjacje w sprawie

finansowego odszkodowania dla rodziny omyłkowo zabitego Bouchikiego, w nadziei, że taki gest mógł-
by udobruchać wymiar sprawiedliwości.

Schjødt włożył dokumenty do aktówki.

– Cieszę się, że mogłem panią poznać – powiedział na pożegnanie. – Jest pani niezwykłą kobietą.

Żałowała, że zobaczył ją w stroju więziennym, zaniedbaną. Wolałaby poznać go w innych okolicznościach.

– Cóż, w tej chwili nie wyglądam najlepiej – zaśmiała się.

– Wygląda pani wspaniale – odparł z podziwem Schjødt i wyszedł.

Kilka godzin później przyszły po nią dwie strażniczki i zaprowadziły ją do bardziej przestronnej celi z oknami. Wiedziała, że załatwił to dla niej Annæus Schjødt. Wolno jej było teraz jeść posiłki we wspólnej stołówce. Pozwolono jej także na codzienne spacery i nikt nie zabraniał jej rozmów z innymi aresztowanymi kobietami. Jedna zapytała ją, za co trafiła do więzienia.

– Byłam *call girl* – zażartowała Sylvia.

Współwięźniarka zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

– A kim byli twoi klienci?

– Głównie Arabami – odparła agentka z jednostki do zadań specjalnych, uśmiechając się od ucha do ucha.

6

W nowej celi Sylvia czuła się znacznie lepiej. Wprawdzie siedziała zamknięta w dobrze strzeżonym więzieniu, ale samotność nie doskwierała jej już tak bardzo. Annæus Schjødt pomógł jej w kryzysowej sytuacji i dał jej odczuć, że można na nim polegać. W czasie częstych odwiedzin okazywał jej o wiele więcej ciepła, niż można by się spodziewać po chłodnym, grzecznym norweskim prawniku. Zawsze znajdował właściwe słowa i właściwy ton głosu. Pomógł jej poradzić sobie z depresją jak chirurg, który usuwa niebezpieczny wrzód. Po każdym pożegnaniu Sylvia jeszcze długo czuła uścisk jego dłoni, wciąż o nim myślała i trzymała się kurczowo jego pełnych otuchy słów, jego obietnic, że ze wszystkich sił będzie jej bronił przed sądem. „Czy to już miłość?”, pytała samą siebie.

Wiedziała, że był o wiele starszy od niej i że miał żonę i dzieci. Nie podejrzewała go żadne ukryte zamiary, uważała go za przyjaciela gotowego nieść pomoc. Ani na jotę nie zmieniło to narastających w niej uczuć. Nawet nie zastanawiała się nad tym, czy ich miłość ma jakiekolwiek szanse i czy on żywi do niej podobne uczucie. Najważniejsze, że w krytycznym dla niej momencie on stanął na jej drodze, wysłuchał i obiecał jej wsparcie. Bardzo potrzebowała serdecznych, angażujących rozmów, które zapewniał jej prawnik.

Każdego dnia Annæus zajmował coraz więcej miejsca w jej myślach. Kiedy nocą wpatrywała się w ciemność, wyobrażała sobie ich wspólne życie. Z pewnością mieli jeszcze wiele razy spotkać się w więzieniu, żeby przygotować się do procesu. Potem widywałaby go codziennie na sali sądowej, a on z pewnością odwiedzałby ją w więzieniu. Powracała w pamięci do ich pierwszego spotkania w pokoju odwiedzin, przypominając sobie, jak bardzo się ucieszyła, gdy ktoś wreszcie poświęcił jej trochę uwagi. „Co on o mnie myśli?”, pytała siebie często. „Jakie zrobiłam na nim wrażenie? Czy wydałam mu się tylko kłębkiem nerwów? Czy może dostrzegł inne moje cechy?”

Annæus Schjødt również często o niej myślał. W czasie kolejnych odwiedzin coraz wyraźniej czuł, że Sylvia zakradła się do jego serca.

Jeszcze przed pierwszym spotkaniem wiele o niej czytał. Gazety barwnie opisywały operacje, w których brała udział, i prześcigały się w pochwałach jej odwagi w walce z terrorystami w całej Europie. Donosiły też o nienawiści, jaką darzyli ją przywódcy organizacji terrorystycznych, w tym szczególnie Ali Salameh. Schjødt wyobraził sobie nieustraszoną, muskularną wojowniczkę o wyrazistej twarzy i donośnym głosie. Tymczasem spotkał zjawiskowo piękną kobietę, której mądrość i delikatność zrobiły na nim ogromne wrażenie.

On też dokładnie zapamiętał ich pierwsze spotkanie, łzy Sylvii i jej pragnienie kontaktów międzyludzkich. W skrytości ducha musiał przyznać, że odczuwał dla niej ogromną sympatię, a może nawet coś więcej, ale wiedział też doskonale, że nie może sobie pozwolić na romans, szczególnie z oskarżoną, której miał bronić przed sądem. Powtarzał w myślach, że żaden prawnik nie zdoła skutecznie działać, jeśli jego relacja z klientką przekracza czysto zawodowe ramy. Zazwyczaj kończyło się to skandalem opisywanym przez plotkarskie gazety, rozpadem rodziny i postępowaniem dyscyplinarnym ze strony norweskiej izby adwokackiej.

Był przekonany, że okoliczności wykluczają jakikolwiek bliski związek z Sylvią. Ona aż do końca procesu miała pozostać w areszcie, a potem najprawdopodobniej czekało ją wiele lat w zakładzie karnym. Spotykaliby się w więzieniu i rozmawiali tylko o sprawach zawodowych.

Annæus Schjødt próbował odsunąć od siebie te myśli, kiedy wchodził do budynku przy Karl Johans Gate, w którym mieściła się jego kancelaria. Wmawiał sobie, że prowadzi po prostu kolejną sprawę. Ostatecznie Sylvia zniknęłaby z jego życia. On miał żonę, dzieci, pozycję społeczną i zawód. To pochłaniało go bez reszty. Nie mógł sobie pozwolić na wybryk, który z pewnością wpędziłby go w tarapaty.

7

Ze złagodzeniem warunków aresztu Sylvii wiązało się zniesienie zakazu odwiedzin dla przedstawiciela ambasady Izraela w Oslo, wiceambasadora Eliezera Palmora, który miał otoczyć aresztowanych agentów opieką. Spotkał się z Sylvią i pozostałymi więźniami, zapewnił ich, że uczyniono wszystko, żeby zapewnić im odpowiednią obronę w czasie procesu, zanotował kilka ich życzeń – prosili o przybory do golenia, bieliznę, książki i gazety – i przekazał im, że administracja więzienia zezwoliła im na nieograniczoną korespondencję.

Zostawił Sylvii kilka anglojęzycznych gazet. Na pierwszej stronie jednej z nich widniał nagłówek: *Oskarżeni w sprawie Lillehammer mogą spodziewać się surowego wymiaru kary*. W artykule poniżej Sylvia z przerażeniem przeczytała, że „oskarżyciele w zbliżającym się procesie przeciwko podejrzanym w aferze Lillehammer twierdzą, że norweski kodeks karny przewiduje w takich wypadkach karę co najmniej dziesięciu lat więzienia”.

Sylvia zamarła. Od zamachu w Lillehammer było jej naprawdę ciężko, ale żyła nadzieją, że sąd nie wymierzy jej najwyższego wymiaru kary. Teraz dotarło do niej, że świat uważa ją za zbrodniarkę i oczekuje zadośćuczynienia. W wieku trzydziestu sześciu lat nie wyszła jeszcze za mąż i nie urodziła dzieci, zaś dziesięć lat więzienia odebrałoby jej ostatecznie szansę na ślub i założenie rodziny. Na samą myśl o tym ugięły się pod nią kolana. Położyła się na łóżku i wybuchnęła płaczem. Grube ściany więzienia pochłonęły jej łkanie. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała teraz wyrozumiałej, bratniej duszy, przyjaciela, któremu mogłaby się zwierzyć, szukając pocieszenia. Nie miała kontaktu z uwięzionymi kolegami ani z innymi więźniami. Nie widywała już nawet swoich śledczych.

Ogarnęła ją czarna rozpacz. Przez tyle lat ani razu nie ugięła się pod ciężarem trudności i niebezpieczeństw, ale ostatnie wydarzenia roztrzaskały jej twardy pancerz, dzięki któremu zasłynęła jako nieustraszona agentka. Katastrofalna pomyłka w Lillehammer, areszt śledczy i perspektywa

wieloletniego więzienia – wszystko to mogło przytłoczyć nawet największego twardziela.

Wezwała strażniczkę i poprosiła o środek uspokajający. Funkcjonariuszka powiedziała, że musi zapytać o zgodę przełożonych, i jakiś czas później przyszła z odmowną odpowiedzią.

– Tylko lekarz może pani przepisać takie leki. Czy mam po niego zadzwonić?

Nie, Sylvia nie chciała, żeby ktoś obcy zobaczył ją w tym stanie.

Bezradnie miotała się w celi jak zwierzę w klatce, co chwilę wybuchała płaczem, załamywała ręce i czuła, jak niknie jej wola walki.

Pomimo późnej pory na zewnątrz było nadal jasno jak w dzień. W ciągu letnich miesięcy w Oslo czasami w ogóle nie zapadał zmrok. Dlatego w Norwegii wyciemniano sypialnie, zawieszając w oknach czarne kotary. Niestety, zasłonka w oknie celi przepuszczała zbyt wiele światła, które nie dawało Sylvii zasnąć.

Nagle odczuła palącą potrzebę, żeby porozmawiać ze swoim prawnikiem. Okazał jej tyle zrozumienia i ciepła i powiedział, że w razie konieczności może zadzwonić do niego w każdej chwili. Właśnie teraz go potrzebowała, jego kojącego głosu i jego troski. Spodziewała się, że on uzna jej żądanie za niestosowne i nie zgodzi się przyjechać. Ale o tej porze mogła liczyć tylko i wyłącznie na niego.

– Jest bardzo późno – odparła strażniczka, kiedy Sylvia poprosiła ją o telefon do Schjødta.

– Wiem.

– Czy to nie może poczekać do jutra?

– Nie.

Strażniczka zniknęła i wróciła, żeby poinformować Sylvię, że wyrażono zgodę telefon do adwokata.

– Jak zareagował pan Schjødt?

– Nie wiem – odparła strażniczka. – Rozmawiał z nim urzędnik.

Niecałą godzinę później Annæus Schjødt przyjechał do więzienia. Kiedy wszedł do pokoju odwiedzin, spojrzał z troską na Sylvię.

– Dlaczego pani płakała? – zapytał na widok jej zaczerwienionych oczu.

Sama jego obecność działała jak balsam na jej duszę. Zadbany i elegancki, opanowany i budzący szacunek – był dla niej oazą spokoju.

Powiedziała mu, że płakała z bezsilności.

– To wszystko? – zapytał z uśmiechem. Nie robił jej wyrzutów, że bez powodu zadzwoniła po niego w środku nocy.

– Po prostu musiałam z kimś porozmawiać – przyznała się. – Wydawało mi się, że odchodzę od zmysłów.

Siedzieli naprzeciwko siebie. On patrzył na nią ze zrozumieniem swoimi łagodnymi oczami. Potem nagle wstał, podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

– Wytrzymaj – powiedział cicho. – Nie masz się czego obawiać przed sądem.

Wdzięczna za jego ciepło, serdeczny gest i pełne otuchy słowa, położyła głowę na jego piersi jak małe dziecko, które szuka pocieszenia w objęciach troskliwego ojca.

8

W przestronnym mieszkaniu przy bulwarze Ben Ziona w Tel Awiwie Jehudit Nissijahu, kierowniczka działu kadr w Mossadzie, spakowała niewielką walizkę, a potem zamówiła taksówkę na lotnisko. Kilka godzin wcześniej otrzymała polecenie tymczasowego opuszczenia biura i udania się do Oslo. Dostała paszport na nazwisko panieńskie Jehudit Friedmann i polecenie, by odwiedziła aresztowanych w Oslo i dodała im odwagi. Zlecono jej współpracę z odpowiedzialnym za całą sprawę reprezentantem Ministerstwa Spraw Zagranicznych Eliezerem Palmorem. Palmor odebrał ją z lotniska. Spodziewał się, że na spotkanie wyjdzie mu Mata Hari, piękna jak z obrazka i spowita aurą tajemnicy kobieta szpieg. Tymczasem przywitała się z nim korpulentna, niemłoda już kobieta w okularach i dyskretnym stroju, która wyglądała raczej jak typowa „żydowska *mame*".

Jehudit Nissijahu wiele słyszała o młodszej o czternaście lat Sylvii, ale nigdy jej nie spotkała. Jehudit urodziła się w Belgii, w rodzinie religijnych Żydów. Jej brat w okresie Brytyjskiego Mandatu Palestyny przemycał broń dla Hagany, a później, udając francuskiego oficera, organizował nielegalne transporty marokańskich Żydów. Jehudit również działała pod przybranym nazwiskiem jako dobrotliwa Holenderka, bez żydowskich korzeni, prowadząca biuro podróży w Casablance. W Izraelu zaczęła pracować dla Mossadu i należała między innymi do zespołu, który schwytał Adolfa Eichmanna w Argentynie. Zajmowała się mieszkaniem, w którym przetrzymywano Eichmanna od jego pojmania do wyjazdu do Izraela.

W 1962 roku Mossad wysłał ją na poszukiwanie Josselego Schumachera. Chłopiec wyemigrował z rodziną ze Związku Radzieckiego do Izraela, gdzie jego rodzice szybko wpadli w długi i oddali syna pod opiekę dziadka. Kiedy ich sytuacja finansowa nieco się poprawiła, chcieli odzyskać dziecko, ale dziadek, skrajnie ortodoksyjny Żyd z jerozolimskiej dzielnicy Mea Szearim, nie chciał oddać chłopca, twierdząc, że rodzice wrócą z nim do Związku Radzieckiego i tam wychowają go bez Boga. Jossele zniknął, a jego dziadek uparcie odmawiał wyjawienia miejsca jego pobytu. Na rozkaz Ben Guriona Mossad wkroczył do akcji. Podejrzewano,

że chłopca umieszczono w ortodoksyjnej diasporze żydowskiej w Antwerpii. Jehudit Nissijahu pochodziła z Belgii i mówiła po flamandzku, dlatego wysłano ją do skrajnie konserwatywnej religijnej wspólnoty Samar w Antwerpii, gdzie udawała skromną Żydówkę szukającą męża. Zaskarbiła sobie zaufanie członków wspólnoty i dowiedziała się, że chłopca ukrywano tam jakiś czas, ale potem przewieziono go do Stanów Zjednoczonych. Wkrótce potem agenci Mossadu znaleźli go na Brooklynie i oddali rodzicom.

9

– Mamy dla pani niespodziankę – powiedziała strażniczka, kiedy otworzyła celę Sylvii.

W drodze do pokoju odwiedzin Sylvia próbowała się domyślić, kto na nią czeka. Spodziewała się swojego adwokata albo przedstawiciela ambasady lub Mossadu, lecz ich wizyta nie byłaby dla niej niespodzianką. Żeby naprawdę ją zadziwić, poruszyć i sprawić, że otworzyłaby szeroko oczy ze zdumienia, musiałby zjawić się ktoś, kogo się nie spodziewała.

Sala odwiedzin przypominała bardziej zwyczajny pokój w mieszkaniu niż pomieszczenie więzienne. Stało tam kilka kanap narożnych, na ścianach wisiały obrazy, a więźniów nie oddzielały od odwiedzających żadne bariery.

W kącie siedzieli mężczyzna i kobieta, których wizyty Sylvia rzeczywiście się nie spodziewała. Bez zapowiedzi z dalekiego RPA przyjechali w odwiedziny jej matka i brat.

Sylvia rzuciła się matce na szyję, a po policzkach popłynęły jej łzy.

– Jak mogłaś... tak nagle... Kiedy przyjechaliście? – wyjąkała.

– Wczoraj wylądowaliśmy – odparła matka z płaczem. – Tyle przeczytaliśmy w gazetach i w twoich listach. Nie wiedzieliśmy, czy pozwolą nam się z tobą spotkać, ale postanowiliśmy wyruszyć w podróż. Mieszkamy w hotelu w okolicy. Mieliśmy ogromne szczęście, bo od razu udzielono nam pozwolenia na widzenie z tobą.

– Ja też bardzo się cieszę, że was widzę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu pogrążeni w rozmyślaniach o ojcu, który nie zobaczył swojej córki przed śmiercią.

– Życzę ci dużo siły – wyszeptała matka.

– Jestem silniejsza, niż mi się wydawało.

– Zawsze byłaś silna i dokładnie wiedziałaś, czego chcesz.

– Przykro mi, że przysporzyłam wam tylu zmartwień, tobie, tacie, rodzeństwu – powiedziała Sylvia. – Tak bardzo żałuję, że nie mogłam być przy ojcu w jego ostatnich chwilach.

– Wpadłam w szok, kiedy przeczytałam o twoim aresztowaniu – mówiła dalej matka. – Wiedziałam, że jest ci ciężko, ale byłam z ciebie taka dumna. Wszyscy przyjaciele zadzwonili do nas z wyrazami współczucia, ale ja powtarzałam, że sprawiłaś mi wielką radość... Nareszcie dowiedziałam się, dlaczego znikałaś przez tyle lat, co robiłaś i dla kogo pracowałaś. Teraz wiem, że spełniłaś swoje marzenie, że ryzykowałaś życie, aby osiągnąć zamierzony cel. Przypominam sobie, jak to wszystko w tobie dojrzewało, jeszcze dziś dźwięczą mi w uszach słowa Aleksa, kiedy prosił nas, żebyśmy dołożyli starań, by już nigdy nie zabito żadnego Żyda.

– Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy – powiedziała Sylvia. – Z trudem zrezygnowałam ze spokojnego życia, dzieci i domu, ale w chwili kiedy wydawało mi się, że osiągnęłam najważniejszy cel, poniosłam porażkę.

Matka szeptała słowa pocieszenia, głaskała czule córkę i podała jej podarunek: paczuszkę suszonego na powietrzu mięsa gazeli. Ten południowoafrykański przysmak wytwarza się z wołowiny albo dziczyzny, a czasem z mięsa słoni, ale za najdelikatniejsze uznaje się właśnie mięso gazeli.

Sylvia szybko rozerwała opakowanie i włożyła do ust kawałek suszonego mięsa. Smak przypomniał jej dzieciństwo i dom.

– Tylko ten nie popełnia błędów, kto nic nie robi – powiedziała matka, kontynuując przerwany wątek. – Ostatecznie nie liczą się drobiazgi, tylko całość, w jaką się składają. Jak się z tego wszystkiego otrząśniesz, na pewno dojdziesz do wniosku, że koniec końców osiągnęłaś to, co chciałaś.

– Dziękuję za słowa otuchy, mamo.

– Jak sobie tutaj radzisz? – zapytał brat.

– Nie jest mi łatwo, ale wspiera mnie wielu dobrych ludzi. Przyjechała do mnie specjalna wysłanniczka Mossadu, a nad moją sprawą czuwa wiceambasador.

– W gazetach piszą, że szykuje się proces – mówiła dalej matka.

– Na to wygląda.

– Będziesz potrzebowała dobrego prawnika.

– Już mam, i to najlepszego pod słońcem.

– Dodaje ci odwagi?

– Tak. Bardzo mi pomaga. To znakomity adwokat, jeden z najlepszych w Norwegii, a poza tym wspaniały mężczyzna.

– Mówisz tak, jakby łączyło was coś więcej – zaśmiała się matka przez łzy.

– Nie, mamo. Cieszę się, że dane mi było go poznać i że przychodzi, kiedy tylko go potrzebuję.

– Nie boisz się procesu?

– Nie, już nie.

– Mam nadzieję, że nie wymierzą ci bardzo surowej kary.

– Ja też mam taką nadzieję. Osadzą mnie na pewno w więzieniu dla kobiet. Tam warunki będą lepsze niż tutaj, tak przynajmniej słyszałam.

Sylvia zapytała o rodzeństwo, które zostało w domu.

– Co jeszcze możemy dla ciebie zrobić? – zapytała matka.

– Mamo, nie mogłabym wymarzyć sobie wspanialszego podarunku niż wasza wizyta.

Matka i brat siedzieli z nią jeszcze długo po tym, jak salę opuścili ostatni odwiedzający. Po raz pierwszy strażniczki nie próbowały przerwać spotkania. Rozumiały, jak ważne było ono dla całej trójki.

– Mamy zamiar zostać przez jakiś czas w Oslo – powiedziała matka. – Będziemy cię często odwiedzać.

– To wspaniale – powiedziała Sylvia. – To mi doda otuchy.

Kiedy matka i brat wyszli, Sylvia wybuchnęła płaczem. Bolała nad tym, że przysporzyła rodzicom tylu zmartwień, że nie udało jej się częściej ich odwiedzać i zaopiekować się nimi należycie. Z bólem serca myślała o matce, która jako wdowa została sama w odległym kraju.

10

Oslo to spokojne, senne miasto, dlatego dziennikarze w pocie czoła wymyślają interesujące nagłówki do artykułów poświęconych zupełnie banalnym wydarzeniom. Najczęściej poruszają tematy polityczne, które nie budzą wśród norweskich czytelników zbyt wielu kontrowersji. Jeśli popełnione zostanie przestępstwo, natychmiast podnosi się medialny szum, ale zdarza się to w Oslo niezwykle rzadko. Nic zatem dziwnego, że po zamachu w Lillehammer i aresztowaniu agentów Mossadu rozpętała się w mediach prawdziwa burza. Przez długi czas afera nie schodziła z pierwszych stron gazet. Dziennikarze polowali na każdą pogłoskę i robili wywiad z prawie każdym, kto miał cokolwiek wspólnego ze sprawą – z wdową po zamordowanym, z jego pracodawcą, komisarzami policji, reprezentantami oskarżonych, ekspertem od prawa karnego, izraelskimi imigrantami, którzy mogli zdradzić co nieco na temat tajnych operacji Mossadu. Wysokonakładowa gazeta „Aftenposten” wysłała nawet swojego reportera do Włoch i Francji, żeby zrelacjonować w szczegółach ataki na dowódców Czarnego Września i ich pomocników. W jednym z wywiadów norweski prokurator okręgowy zapowiedział, że w czasie procesu poruszy także kwestię zamachów w innych krajach, w których brali udział niektórzy z aresztowanych ludzi Mossadu.

Styczeń był najchłodniejszym miesiącem w 1974 roku. Temperatura spadła dużo poniżej zera, ulice pokrywała gruba warstwa śniegu, a fiordy Oslo zamarzły. Ale to i tak nie powstrzymało krajowych i zagranicznych dziennikarzy i reporterów telewizyjnych przed tłumnym obleganiem budynku związków zawodowych inżynierów, w którym toczył się proces przeciwko oskarżonym w aferze Lillehammer. Masywny budynek bez okien, który miał tylko jedno wejście, został wybrany specjalne na tę rozprawę, bowiem wedle służb bezpieczeństwa siedziby sądu okręgowego, gdzie początkowo planowano proces, nie dało się dość skutecznie zabezpieczyć. W pełni uzasadnione były bowiem obawy, że terroryści spróbują dokonać zamachu na oskarżonych. Norwegowie uważali, że budynek sądu z wieloma oknami i drzwiami zbyt łatwo sforsować, a

terroryści zdążyliby dokonać zamachu, zanim udałoby się nad nimi zapanować. Dlatego wybrano inne miejsce, które łatwiej było chronić.

Wcześnie rano dziennikarze już tłoczyli się przed wejściem do budynku w centrum miasta. Mieli na głowach futrzane czapki uszatki, szyje ciasno owinięte wełnianymi szalami i płaszcze zapięte pod samą szyję. Około 10.00 kolumna samochodów z podejrzanymi zajechała przed budynek. Składała się z siedmiu wozów policyjnych z zasłoniętymi tylnymi szybami, zaś na początku i na końcu jechały jeepy z uzbrojonymi strażnikami.

Kiedy nadjechały samochody, oskarżonych w kajdankach szybko wprowadzono do budynku. Dziennikarzom nie udało się z nimi porozmawiać, a fotografowie zrobili zaledwie kilka zdjęć.

W sali konferencyjnej o szarych surowych ścianach ustawiono podwyższenie dla sędziego oraz stoły i krzesła dla prokuratorów i obrońców, kabinę dla oskarżonych i fotele dla prasy i publiczności. Nie zezwolono na filmowanie, dlatego redakcje gazet przysłały rysowników, którzy próbowali uchwycić moment składania zeznań przez podejrzanych.

Sylvia usiadła na ławie oskarżonych razem z kolegami z grupy operacyjnej i raz po raz zerkała na swojego obrońcę, który kierował zespołem czterech prawników. Annæus Schjødt tylko raz rzucił okiem na Sylvię. Nie mógł zdradzić się ze swoimi prawdziwymi uczuciami. Jak zawsze zachowywał stoicki spokój, a wszyscy uważali, że wypełnia tylko i wyłącznie swoje zawodowe obowiązki.

Proces prowadzono po norwesku, ale oskarżeni mogli składać zeznania po angielsku albo hebrajsku. Sąd poprosił o pomoc tłumaczkę języka hebrajskiego Gyro Fiohansen, energiczną, szczupłą kobietę około trzydziestki, która spędziła kilka lat w Hajfie, gdzie jej ojciec był pastorem w protestanckim kościele. Założył na całym świecie sieć kościołów i domów pielgrzyma, między innymi w Hajfie, Aszdod i Jerozolimie, które zapewniały duchową przystań norweskim marynarzom i pielgrzymom.

Na pytania sędziego Sylvia odpowiadała po angielsku, mocnym, pewnym głosem. Zrobiła na wszystkich bardzo dobre wrażenie. Sala sądowa zamarła, kiedy Sylvia wspomniała o swoich krewnych zamordowanych podczas drugiej wojny światowej na Ukrainie przez nazistów. Powiedziała, że dzieci, kobiety i mężczyźni musieli zginąć tylko

dlatego, że byli Żydami. Uczestnicy procesu i widzowie z zapartym tchem słuchali szczupłej kobiety, która stała z uniesioną głową na stanowisku dla świadków i bez zmrużenia powiek mówiła, że również w Izraelu co tydzień giną niewinni ludzie, tylko dlatego, że są Izraelczykami i Żydami. Podkreśliła, że mordercy zabijają w tajemnicy, podstępnie i bez skrupułów, są członkami fanatycznej organizacji terrorystycznej, wspieranej przez szefów państw arabskich. Ci ludzie zabili jedenastu członków izraelskiej reprezentacji olimpijskiej w Monachium w 1972 roku. Izraelczycy jako naród miłujący pokój i nienawidzący wojny na nic nie czekają z takim utęsknieniem jak na dzień, kiedy wreszcie zaczną żyć w pokoju, jak wszyscy inni ludzie. Tymczasem organizacje terrorystyczne uwzięły się, żeby zamienić życie w Izraelu w piekło i siać panikę wśród ludności.

– Kiedy sytuacja uległa pogorszeniu i prawie codziennie dochodziło do zamachów terrorystycznych, razem z grupą przyjaciół postanowiliśmy, że tak dalej być nie może, i zaczęliśmy ścigać wichrzycieli – wyjaśniła. – W Lillehammer śledziliśmy terrorystę Alego Salameha, i to jego właśnie chcieliśmy wyeliminować. W wyniku tragicznej omyłki wbrew naszym intencjom stracił życie niewinny człowiek, czego szczerze żałujemy. Oskarżeni w tym procesie nie są kryminalistami. Próbowaliśmy jedynie bronić naszych rodaków i naszego kraju w tym trudnym dla niego okresie.

Choć Annæus Schjødt postanowił, że nie okaże Sylvii żadnych emocji, w tym momencie nie potrafił ukryć swojego wzruszenia. Sędzia i publiczność nie mogli oderwać od niej wzroku. Kiedy skończyła zeznanie, na sali rozległy się oklaski. Sędzia prowadzący rozprawę poprosił o spokój. Później w prywatnej rozmowie powiedział:

– Gdybyśmy w Norwegii mieli więcej takich ludzi jak Sylvia Rafael...

Choć obrona robiła, co tylko w jej mocy, by nie wciągnąć w sprawę Mossadu, sąd oparł swój wyrok na przypuszczeniu, że w aferę Lillehammer zamieszane były izraelskie służby specjalne, a oskarżeni nie działali z własnej inicjatywy. Dlatego wyrok zapadł nadspodziewanie szybko. Jednego z oskarżonych oczyszczono z zarzutów. Marianne Gladnikoff skazano na dwa i pół roku więzienia za współudział w omyłkowym zabójstwie. Dan Arbel za współudział w morderstwie dostał pięć lat więzienia. Abraham Gehmer i Sylvia Rafael za to samo przestępstwo otrzymali karę pięciu i pół roku więzienia. Sylvia nie spodziewała się tak

wysokiej kary. Wbrew jej nadziejom szczególne motywacje oskarżonych nie wpłynęły na złagodzenie wyroku.

Dwóch policjantów odprowadziło Sylvię do karetki więziennej. Annæus Schjødt poszedł za nimi. Zatrzymał ich na moment i uścisnął Sylvii dłoń.

– Czas zleci ci szybciej, niż ci się wydaje – powiedział. – A ja złożę apelację do wyższej instancji.

Spojrzała na niego.

– Znajdziesz czas, żeby odwiedzać mnie w więzieniu? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Oczywiście – obiecał. – Nie zostawię cię samej.

11

Klęska w Lillehammer zaszkodziła opinii Mossadu, a szczególnie jednostce do zadań specjalnych. Szefowie i szeregowi pracownicy z przygnębieniem czytali artykuły na temat Lillehammer i doniesienia z procesu w Oslo. Musieli zmierzyć się z ostrą krytyką swojego postępowania. Mossad nigdy nie komentował publikacji na swój temat i tym razem milczał jak zaklęty.

Zvi Zamir i Mike Harari, którzy zaplanowali zamach w Lillehammer, choć nigdy nie rozmawiali o aferze, mieli cierpienie wypisane na twarzach. Mike Harari z prasy dowiedział się, że Norwegowie domagają się, by został wydany w ich ręce jako osoba odpowiedzialna za kierowanie zamachem na Ahmeda Bouchikiego. Oczywiście Izrael nie spełnił tych żądań, ale Harari już nigdy nie wjechał na terytorium Norwegii.

W Mossadzie panował grobowy nastrój, a Ali Salameh swoimi kpinami i szyderstwami tylko dolewał oliwy do ognia. Terrorysta przebywał w Bejrucie, ciesząc się powszechną sympatią, chroniony przez zastęp strażników i przekonany, że nie może mu się przydarzyć nic złego. Teraz miał okazję pognębić swojego wroga i robił to raz za razem, bez najmniejszych skrupułów.

Salameh podejrzewał, że po swojej sromotnej porażce Mossad nareszcie da mu spokój. Ale przeliczył się. Nie wziął pod uwagę, że w międzyczasie Goldę Meir na stanowisku premiera Izraela zastąpił Icchak Rabin, były szef Sztabu Generalnego i urodzony wojownik. Zaprosił na spotkanie Icchaka Hofiego, nowego szefa Mossadu.

– Nie wolno opuścić pola bitwy w samym środku wojny – powiedział. – Nie spuszczajcie oka z Salameha. Nie pozwólcie mu się wymknąć.

Hofi przytaknął. Wcześniej zajmował rozmaite stanowiska dowódcze w izraelskiej armii, a teraz przyznawał w pełni rację Rabinowi.

Kampania przeciw Czarnemu Wrześniowi ruszyła znowu pełną parą. Najważniejsi ludzie Salameha byli eliminowani jeden po drugim, co wywołało zamęt w całej organizacji. Morale podupadało, zmniejszyła się znacznie liczba zamachów, a Salameh nie potrafił zaradzić coraz częstszym

tarciom i konfliktom między różnymi frakcjami ugrupowania. On sam jednak nie miał powodów do zmartwień. Arafat powierzył mu dwa wysokie stanowiska. Salameh został szefem służb wywiadowczych Al-Fatah i dowódcą Force 17, jednostki specjalnej, która między innymi zajmowała się ochroną najwyższych dowódców Al-Fatah, w tym Arafata. Poza tym Arafat zaprosił Salameha do udziału w spotkaniu z ważnymi arabskimi osobistościami. Nieoficjalnie mówiono, że szkoli Salameha na swojego następcę.

Ali podróżował teraz rzadko za granicę i kierował większością akcji z Bejrutu, dlatego Mossad postanowił przygotować zamach na niego na terenie Libanu.

Izraelskie służby specjalne gromadziły wszystkie, nawet najbardziej trywialne, informacje na temat trybu jego życia. Agenci dowiedzieli się, gdzie pracuje, z kim się przyjaźni, gdzie mieszka z Georginą i gdzie mieści się dom jego pierwszej żony Zeinab. Sporządzono nawet listę jego ulubionych restauracji i ustalono, że w wolnym czasie Ali trenuje karate. W jednostce do zadań specjalnych Mossadu podejrzewano, że najprawdopodobniej ćwiczy w jednym ze studiów fitness w Bejrucie. Agenci, próbując zweryfikować tę hipotezę, zaczęli poszukiwanie tego klubu sportowego. Znaleźli wszystkie studia fitness w pobliżu jego domu i zapisali się do kilku z nich. Codziennie ćwiczyli ze sztangą, biegali na bieżni, w pocie czoła pedałowali na rowerach stacjonarnych i pływali na krytych basenach. Ale żaden z nich nie spotkał Alego.

Po siedmiomiesięcznych poszukiwaniach w studiach fitness pracownik jednostki do zadań specjalnych wszedł do sauny w hotelu International. W kłębach pary rozpoznał człowieka, którego poszukiwał cały Mossad. Ali Salameh leżał nago na drewnianej ławce, a pracownik sauny delikatnie biczował go wilgotnymi witkami brzozowymi.

Kiedy ustalono, w jakich godzinach Ali korzysta z sali fitness w hotelu International, jednostka wkroczyła do akcji. Do Bejrutu przesłano materiały wybuchowe, zaś specjalista od budowy bomb po obejrzeniu pomieszczeń studia ustalił, gdzie najlepiej podłożyć ładunek i z jakiej odległości najlepiej go uruchomić.

Zgodnie z planem wybuch miał nastąpić po wejściu Alego do sauny, ale nigdy do niego nie doszło. Znowu okazało się, że ucierpiałoby zbyt wielu niewinnych ludzi, dlatego Mossad zrezygnował z realizacji planu.

12

Więzienie dla kobiet Bredtveit leży godzinę drogi autobusem od centrum Oslo, na obrzeżach miasta zamieszkanych przede wszystkim przez robotników i drobnych urzędników. Trzypiętrowy budynek, dawną szkołę, otacza ogrodzenie, ale nie ma tam ani wieżyczek dla strzelców, ani drogi patrolowej. Przy dużej żelaznej bramie siedzi jeden strażnik, a kiedy go nie ma, należy użyć dzwonka elektrycznego.

Nie wszystkie skazane trafiają do więzienia dla kobiet w Oslo. Sylvia przeszła testy psychologiczne, które zadecydowały o przydzieleniu jej właśnie do tego zakładu karnego. Każda kobieta skazana w Oslo miała nadzieję, że trafi do Bredtveit.

Sylvia dostała przestronną celę z łazienką i oknem wychodzącym na las. Na stole stało świeżo upieczone ciasto jako powitalny podarunek od administracji więzienia dla nowo przybyłej.

Jedną z pierwszych osób, które ją odwiedziły, była Jehudit Nissijahu. Spotkała się z Sylvią w jej celi.

– Możemy coś dla ciebie zrobić? – zapytała wysłanniczka Mossadu.

– Tak – odparła natychmiast Sylvia. – Błagam, zróbcie wszystko, żeby Ali Salameh odpowiedział za swoje zbrodnie. Mnie się to już nie uda, wy macie jeszcze szansę.

Jehudit Nissijahu obiecała przekazać jej prośbę do jednostki zaraz po powrocie do Izraela.

Więzienie dla kobiet mile rozczarowało Sylvię. Wiedziała, że warunki jej aresztu się poprawią, ale ta zmiana przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Niedługo później dostała nawet do dyspozycji trzypokojowe mieszkanie, w którym tylko kraty w oknach przypominały jej, że odbywa karę więzienia. W Bredtveit panowała przyjazna, pełna zrozumienia atmosfera. Dyrektorka Karin Petersen była dla swoich podopiecznych raczej dobrotliwą matką niż surową funkcjonariuszką systemu penitencjarnego. Osobiście troszczyła się o wszystkie więźniarki, w trudnych przypadkach oferowała pomoc, zawsze

gotowa była każdej wysłuchać i czasem działała jak pracownica opieki społecznej.

Więźniarki mieszkały tu w przestronnych, czystych i zadbanych pokojach z dużymi oknami, które wpuszczały do środka dużo światła. Pomimo żelaznych krat w oknach panowała domowa atmosfera. Więźniarki mogły nosić swoje prywatne ubrania i wybierać spośród bogatej oferty kursów. Organizowano warsztaty artystyczne oraz lekcje języków obcych, historii, pedagogiki, psychologii i wiele innych. Sylvia wybrała psychologię. Poza tym Eliezer Palmor zlecił Nurit Golan, stypendystce z Izraela, która studiowała literaturę norweską na uniwersytecie w Oslo, żeby dwa razy w tygodniu uczyła Sylvię i Marianne hebrajskiego. Nurit zauważyła jednak szybko, że jej uczennice zamiast nauki wolały prowadzić przyjemne rozmowy, które stanowiły miłe urozmaicenie ich codziennych zajęć. Uczyły się oddzielnie, bo nawet w więzieniu nie potrafiły się ze sobą zaprzyjaźnić. Więźniarki raz w tygodniu odwiedzał psycholog, profesor Leo Ettinger, który przeżył Holokaust.

Po kilku miesiącach obu Izraelkom za dobre sprawowanie pozwolono wyjść na przepustkę. W towarzystwie pracownicy socjalnej więzienia mogły pospacerować po Oslo i iść do dentysty. Abraham Gehmer, który studiował na uniwersytecie w Tel Awiwie nauki polityczne, otrzymał pozwolenie, żeby bez obstawy pójść do biblioteki uniwersyteckiej w Oslo i tam przygotować się do egzaminu. Kiedy musiał jechać do szpitala na operację, również wypuszczono go bez strażnika.

Sylvia wysyłała i otrzymywała listy, których administracja więzienia nie otwierała, i mogła przyjmować wizyty. Do jej najsłynniejszych gości należał satyryk i pisarz Ephraim Kisson, który przyjechał do Oslo, gdy norweska telewizja emitowała jego film *HaShoter Azoulay* (Policjant Azoulay, 1970). Sylvia na długo zapamiętała niezwykle ciekawą wizytę Kissona i jego żony.

Na własne życzenie Sylvia uczyła się także gry na gitarze. Szybko robiła postępy, wkrótce dołączyła do chóru więziennego, który wykonywał repertuar ludowy, i nauczyła kobiety kilku izraelskich pieśni. Goście mogli odwiedzać ją również wieczorami. Annæus Schjødt przychodził do niej prawie codziennie i dla niego zawsze się malowała i wkładała najlepsze ubranie. Gdy pogoda dopisywała, siedzieli na ławeczce w zadbanym ogrodzie i rozmawiali. W zimie zasiadali przy kominku w dużej sali odwiedzin. Schjødt przynosił Sylvii regularnie jej ulubioną czekoladę, a

kiedy dostawała przepustkę na kilka godzin, zapraszał ją do dobrej restauracji albo do jej ulubionej kawiarni.

Bardzo cieszyło ją jego towarzystwo, bo był nie tylko uważnym i pełnym oddania dżentelmenem, ale także inteligentnym i obytym w świecie człowiekiem. Poruszali rozmaite tematy, a Sylvia czuła, że wreszcie znalazła tego właściwego mężczyznę.

Nie rozmawiali o żonie i dzieciach Schjødta. Sylvia szanowała jego rodzinę i nie nalegała, żeby ją dla niej porzucił. Jego przyjaźń i miłość były dla niej zbyt ważne, żeby lekkomyślnie rzucić je na szalę.

– Z miejsca wyszłabym za niego, ale do tej pory nie poprosił mnie o rękę, a ja nie mogę mu tego zaproponować – powiedziała kiedyś dyrektorce więzienia.

– Jeszcze o to poprosi – odparła ze śmiechem pani Petersen. – Widziałam iskry w jego oczach, gdy się z panią spotyka.

Kilka miesięcy po rozpoczęciu odsiadywania wyroku Sylvia ku swojemu zaskoczeniu otrzymała list od pary o nazwisku Hadass i Szmuel Zamir z kibucu Ramat HaKovesh. Pisali, że jej młodszy brat David pracował przez rok jako wolontariusz w kibucu i w ten sposób poznali jej fascynującą historię. Dlatego zebranie członków kibucu postanowiło przyjąć ją do grona towarzyszy.

Hadass, nauczycielka w szkole specjalnej, koordynowała tę akcję dla Sylvii. Przekazała jej listy od towarzyszy i rysunki od dzieci z kibucu, przysłała zdjęcia z sederu w święto Paschy, ze święta żniw Szawuot i z wieczorów pieśni. „Sprawisz nam radość, jeśli po wyjściu z więzienia zdecydujesz się zamieszkać u nas”, zapewniła ją Hadass. „Oddamy Ci do dyspozycji dom i ze wszystkich sił będziemy Ci pomagać. Gdybyś zamieszkała z nami w Ramat HaKovesh, zrobiłabyś nam ogromny zaszczyt”.

Ten gest bardzo poruszył Sylvię i zaczęła regularnie korespondować z Hadass i Szmuelem. Pierwsze zebrane pomarańcze, które przysłano jej z kibucu w kartonowym pudle, rozdzieliła między współwięźniarki. Kiedy tylko obierała owoc, uśmiechała się. Przypominała sobie, jak w akademii agentów uczono ją, jak obierać pomarańczę, nie wzbudzając podejrzeń...

Sylvia zgromadziła listy i dziecięce rysunki w pięknym albumie. Żaden z towarzyszy z kibucu nie pytał jej o jej działalność w Mossadzie. Wiedzieli, że Sylvia im niczego nie powie.

13

Oprócz korespondencji z Ramat HaKovesh do Sylvii przychodziło morze listów od wielbicieli. Pisali do niej Izraelczycy i Żydzi z całego świata, w tym również ofiary terroryzmu i dzieci. Dostawała paczki i przesyłki ze słodyczami, ciastkami i ubraniami, a co najmniej pół tuzina mężczyzn słało do niej listy miłosne.

Wszystkim odpowiadała po angielsku, odręcznym, okrągłym pismem i w potoczystym stylu. Najczęściej pisała do matki i rodzeństwa. Opowiadała im o codziennym życiu w więzieniu, o współwięźniarkach i personelu więziennym.

„Proszę, wybaczcie mi – pisała do matki z więzienia. – Wyobrażam sobie, ile trosk Wam przysporzyłam. Ale nie martwcie się o mnie. Wiecie przecież, że postępowałam zawsze zgodnie z moimi najgłębszymi przekonaniami. Jako Żydówka i syjonistka miałam taki obowiązek. Świadomie podjęłam się tej misji i wzięłam na siebie wszystkie jej konsekwencje. Warunki w więzieniu są dobre i najprawdopodobniej zostanę wypuszczona przed terminem”.

Później napisała do Abrahama Gehmera, z którym łączyły ją długie lata przyjaźni i współpracy, i poprosiła Nurit, nauczycielkę hebrajskiego, żeby przekazała mu list do więzienia dla mężczyzn:

> Drogi Abrahamie, mój Nauczycielu i Mistrzu,
>
> zapewne wyobrażasz sobie, co czułam, gdy wydarzyła się ta afera. Odsiadywanie wyroku nie jest aż taką katorgą. W więzieniu są dobre warunki, ale nie mogę przestać myśleć o tym, co się stało, a im dłużej o tym myślę, tym większej nabieram pewności, że tego pożałowania godnego błędu dało się uniknąć. Po Lillehammer coś we mnie pękło. Straciłam wiele z mojej radości życia i nie chcę już służyć z ludźmi, których kiedyś tak szanowałam. Aż do tego wydarzenia znałam ich tylko jako niezrównanych bohaterów i wspaniałych ludzi, a oni nagle ukazali mi się w zupełnie innym świetle. Jaka szkoda...

Kiedy Abraham przeczytał list, przekazał Sylvii przez Nurit, że podziela jej uczucia.

Kilka dni później Sylvia dostała list z Tel Awiwu. Nie było pod nim podpisu, ale przysłał go najwyraźniej jeden z szefów Mossadu. W kopercie znajdował się wiersz, który dla niej napisał:

Niczym wielki odkurzacz
Mossad wciąga
wspaniałych ludzi
różnego pokroju.

Rzeszę wspaniałych kobiet
i doborowy zastęp mężczyzn,
każdy z nich to doskonały fachowiec
a przede wszystkim – prawdziwy wojownik.

Zrobią wszystko
żeby osiągnąć cel.
Uczą się,
jak odnaleźć ślad w najgłębszej ciemności.

Jest pośród nich bojowniczka,
przepiękna, mądra i błyskotliwa,
która ma tylko
jedną wadę:

Wydaje jej się, że wszyscy jesteśmy
wcieloną perfekcją,
uważa nas za
wysłanników Boga.

Proszę, niech ktoś jej wytłumaczy,
że każdy z nas, na wodzie i na lądzie,
choćby nie wiem jak utalentowany,
jest tylko człowiekiem.

Niech ktoś jej wytłumaczy, że żaden z nas nie zstąpił z nieba,
że my też mamy swoje wady i popełniamy błędy,
że na pewno nie mamy skrzydeł,
i że my też możemy się mylić...

14

Norweski Sąd Najwyższy odrzucił apelację obrońców i utrzymał wyrok w mocy. Ale norweskie instytucje rządowe nigdy nie dążyły do tego, żeby sprawcy z Lillehammer odbyli do końca wymierzoną im karę. Politycy, policja i urzędnicy służb więziennych okazywali skazanym sympatię, ale chcieli przede wszystkim uchodzić za niezłomnych obrońców prawa. Byli dumni, że pomimo nacisków ze strony Izraela oskarżonych postawiono przed sądem i ukarano. Sprawiedliwości stało się zadość. W mniejszym stopniu zależało im na długości kary.

Dzięki wytrwałym staraniom rządu izraelskiego więźniów wypuszczano przed czasem, a oni czym prędzej wracali do Izraela. Żadna gazeta nie krytykowała takiego postępowania. Ostatecznie nie chodziło o kryminalistów, tylko o agentów, których motywacje i ideologiczne racje łatwo było zrozumieć.

Sylvia Rafael i Abraham Gehmer, którzy otrzymali najwyższe wyroki, wyszli z więzienia jako ostatni. Choć nie podano tego do wiadomości publicznej, coraz częściej słychać było pogłoski, że już wkrótce zostaną wypuszczeni na wolność. Dziennikarze mnożyli przypuszczenia i czyhali na najdrobniejszą nawet informację na temat terminu zwolnienia. Annæus Schjødt powiedział Sylvii, że decyzja może zostać podjęta w każdej chwili.

Choć nie mogłaby wymarzyć sobie lepszego więzienia, mimo wszystko ograniczało ono jej wolność. Często opuszczała więzienne mury, wolno jej było bez obstawy wybrać się na zakupy, po ubrania czy kosmetyki, na krótki spacer po mieście albo na spotkanie z Annæusem. Kiedy zapraszał ją do restauracji albo kawiarni, z dbałości o figurę nie zamawiała ciasta do kawy.

Sylvia z utęsknieniem wyczekiwała swojego zwolnienia. Najchętniej zostałaby z Annæusem w Oslo, ale wiedziała, że na to musi jeszcze poczekać. Skazani w Oslo agenci izraelscy po zakończeniu odbywania kary nie mogli pozostać na terenie Norwegii. Wszyscy musieli przejść tę samą procedurę. Po wpuszczeniu z więzienia zabierano ich bezpośrednio na

lotnisko, gdzie na pasie już czekał samolot, który startował natychmiast po ich przybyciu i zabierał ich prosto do Izraela. Tam zaś, od razu po pierwszym spotkaniu z krewnymi, odbywała się konferencja w Mossadzie, żeby uzupełnić sprawozdanie z wydarzeń w Lillehammer.

Miłość Sylvii i Annæusa na początku pozostawała w ścisłej tajemnicy. Nie dowiedział się o niej żaden dziennikarz, przyjaciel ani znajomy adwokata. Otoczenie Annæusa zauważyło tylko, że w ostatnim czasie jego relacje z żoną znacznie się ochłodziły i nie towarzyszyła mu w czasie oficjalnych uroczystości. Bliscy im ludzie uważali, że to tylko przemijający kryzys.

Eliezer Palmor, wiceambasador Izraela w Oslo, nadal wiernie służył jako łącznik ze skazanymi w aferze Lillehammer. Często odwiedzał Sylvię w więzieniu, przynosił izraelskie gazety i książki i na bieżąco donosił o postępach w staraniach o jej zwolnienie. Tuż przed Paschą poprosił administrację więzienia, żeby na czas świąt udzielono urlopu Sylvii Rafael i Abrahamowi Gehmerowi. Zobowiązał się przyjąć ich w swoim domu i ręczył za ich punktualny powrót do zakładu penitencjarnego. Na trzy dni przed sederem oboje dostali przepustkę na osiem dni.

Pojechali samochodem ambasadora do jego domu, gdzie przygotowano dla nich dwa pokoje. Dla obojga była to pierwsza okazja, żeby porozmawiać o porażce w Lillehammer. Abraham był bardzo przygnębiony. Rozpamiętywał przyczyny klęski i obwiniał szefów Mossadu i jednostki do zadań specjalnych o złe przygotowanie akcji, które nadszarpnęło nieskazitelną opinię służb specjalnych. Skarżył się, że teraz jako więźniowie płacili wysoką cenę za błędy popełnione przez dowództwo. Sylvia mogła mu tylko przytaknąć.

Na seder przyszło wielu prominentnych Żydów, przyjaciół gospodarza domu, pracowników ambasady, a także Annæus Schjødt. Przy nakrytym białym obrusem stole, na którym znalazły się potrawy specjalnie przywiezione z Izraela, Szoszana i Eliezer Palmorowie prowadzili uroczystość sederu. Każdego uczestnika poproszono, żeby przeczytał jeden fragment z hagady. „W przyszłym roku – wolni”, oznajmiła Sylvia, jak jej ojciec niegdyś w Afryce Południowej. Siedzący obok niej Annæus przyłączył się do wyliczania dziesięciu plag egipskich. Potem zjedli świąteczną kolację i śpiewali stare pieśni, a Sylvia akompaniowała im na gitarze.

Dziewięcioletnia Emmy, córka gospodarzy, biegała między gośćmi, a potem wpadła do kuchni, gdzie jej matka przygotowywała właśnie kawę i ciasto.

– Też to zauważyłaś? – zapytała Emmy podekscytowana.

– Co miałam zauważyć? – zapytała zdumiona Szoszana.

– Annæus i Sylvia to zakochana para.

– Co ty wygadujesz, Emmy?

– Słyszałam, jak ona mówi do niego „mój wikingu”. Patrzą na siebie z zachwytem, szepczą do siebie, śmieją się i wyglądają na bardzo szczęśliwych. Zakochali się w sobie, mamo...

15

Przyszła wiosna. Ciepłe promienie słońca przedzierały się przez chmury, pierwsze ptaki ćwierkały wśród gałęzi i topiły się ostatnie czapy śniegu na dachach domów. W gabinecie Eliezera Palmora w ambasadzie Izraela zadzwonił telefon. Dyrektor generalny norweskiego Ministerstwa Sprawiedliwości chciał z nim natychmiast rozmawiać. Nie podał powodu.

Palmor niecierpliwie czekał na spotkanie. Nie co dzień dyrektor generalny Ministerstwa Sprawiedliwości odwiedzał siedzibę ambasadora. Kiedy tylko Norweg wszedł do gabinetu Palmora, szybko zamknął za sobą drzwi.

– To, co teraz panu powiem, jest objęte ścisłą tajemnicą – zastrzegł. – Proszę nikogo nie wtajemniczać w tę sprawę, nawet pracowników ambasady.

– Obiecuję – odparł Palmor zdumiony.

– No więc – zaczął dyrektor uroczystym tonem – dziś podjęliśmy decyzję o wypuszczeniu na wolność Rafael i Gehmera, ostatnich uwięzionych.

Palmor spodziewał się rychłego zwolnienia więźniów, ale nie przeczuwał, że ta wiadomość aż tak go wzruszy.

– Zachowanie absolutnej poufności jest w tym przypadku nieodzowne – powiedział dyrektor. – Obawiamy się, że ugrupowania terrorystyczne planują zamach na ich życie.

– Wypuszczono już wielu skazanych w tym procesie i nic im się nie stało – zauważył Palmor.

– Zwolnienie Rafael i Gehmera to co innego, dostali najwyższe wyroki, bo sąd uznał, że mieli największy udział w zamachu w Lillehammer. Obawiamy się, że kiedy wiadomość o ich wypuszczeniu zostanie upubliczniona, już w drodze na lotnisko padną ofiarą ataku terrorystycznego.

Dyrektor jeszcze raz podkreślił, że nikomu nie wolno zdradzić terminu zwolnienia, nawet administracji więzienia, i przedstawił plan, który

opracował we współpracy z norweskimi służbami specjalnymi. Palmor miał najpierw zwrócić się do administracji więzień o dwudniową przepustkę dla Sylvii i Abrahama, rzekomo z okazji hucznego przyjęcia urodzinowego pani ambasadorowej.

– Najprawdopodobniej władze wyrażą na to zgodę – powiedział dyrektor.

Palmor natychmiast złożył wniosek, który rozpatrzono pozytywnie. Poprosił Sylvię, żeby zabrała ze sobą wszystkie najważniejsze rzeczy, a ona odgadła, że przyjęcie urodzinowe to jedynie pretekst, żeby wyprowadzić ją z więzienia i dyskretnie przewieźć do Izraela. Serce waliło jej jak młotem i trzęsły jej się ręce z podekscytowania, kiedy pakowała swój niewielki dobytek do walizki. Wzięła gitarę i serdecznie pożegnała się z dyrektorką więzienia i strażniczkami, które nie potrafiły zrozumieć jej wzruszenia.

– Przecież wraca pani za dwa dni – mówiły.

Sylvia uśmiechnęła się grzecznie.

– Wie pani o czymś, czego my nie wiemy? – wypytywała ją dyrektorka.

– Ależ skąd – odparła Sylvia, zgodnie z prawdą.

Wsiadła do samochodu Palmora, który już czekał na nią pod bramą. Kiedy odjeżdżali, odwróciła głowę i po raz ostatni spojrzała na więzienie. Prawie dwa lata spędziła za kratkami, najpierw w areszcie śledczym, potem w tym budynku, ale w tym czasie przeżyła także chwile wielkiego szczęścia z ukochanym adwokatem.

Po drodze odebrali Abrahama, który również zorientował się, że przyjęcie urodzinowe to tylko zręczny wybieg. Spakował ubrania i radio, które kupił w czasie odsiadywania kary. Oboje próbowali się dowiedzieć od Palmora, czy dobrze odgadli jego zamiary, ale on musiał zachować milczenie.

Wieczorem do mieszkania Palmora przyszedł Annæus Schjødt. Został już o wszystkim poinformowany. Razem z Sylvią zamknęli się w jednym z pokoi i długo rozmawiali. Powiedział, że przyznał się do wszystkiego żonie i wniósł pozew o rozwód.

– Bardzo źle to przyjęła – powiedział.

Po raz pierwszy rozmawiał z Sylvią o ich wspólnej przyszłości i wzruszył ją bardzo obietnicą, że wkrótce wezmą ślub.

Następnego ranka do domu Palmora zapukali policjanci. Zabrali Sylvię, Abrahama i Palmora do swojego wozu patrolowego, a za nimi pojechał następny samochód z uzbrojonymi policjantami. Na ulicach Oslo o tak wczesnej godzinie nie było żywej duszy, okna domów były zasłonięte, nie otworzono jeszcze sklepów, a w stronę lotniska nie jechał żaden samochód.

Ze względów bezpieczeństwa cała trójka poleciała najpierw do Zurychu. Przez okno samolotu Sylvia spojrzała w dół na Oslo i pomyślała, że wkrótce tu wróci, wyjdzie za swojego ukochanego i w tym mieście spędzi resztę życia. To zrekompensuje je całe cierpienie i nieprzyjemności, które spotkały ją od czasu afery Lillehammer.

Po krótkim postoju w Zurychu Sylvia i Abraham weszli na pokład samolotu El Al i polecieli do Izraela. W Zurychu dostali izraelskie paszporty.

Era Patricii Roxburgh dobiegła końca. Sylvia odzyskała swoją dawną tożsamość.

16

Uwolnienie ostatnich skazanych w aferze Lillehammer, Sylvii Rafael i Abrahama Gehmera, dotarło do wiadomości publicznej dopiero wtedy, gdy oboje opuścili Norwegię. Gazety rozpisywały się o tym na pierwszych stronach. Na lotnisku Lod na ich przyjazd czekali tylko członkowie rodzin i niektórzy pracownicy jednostki do zadań specjalnych. Yael i Michal, córki Abrahama, i jego żona Dina rzuciły mu się na szyję. Amit, który przyszedł na świat po aresztowaniu ojca, najpierw stał z boku i nie wiedział, jak ma przywitać obcego mężczyznę. Kiedy Abraham przytulił go do siebie, mały chłopiec pisnął ze zdumieniem:

– Nie wiedziałem, że mój tata ma niebieskie oczy.

Prosto z lotniska cała rodzina pojechała do hotelu na południu kraju, żeby wspólnie spędzić zasłużone wakacje.

Sylvię z lotniska odebrała delegacja kibucu Ramat HaKovesh i zawiozła ją do domu Hadass i Szmuela Zamirów. Wieczorem cały kibuc urządził na jej cześć bankiet. Wzięli w nim udział również dziennikarze. Niedługo potem Moti Kfir, kierujący akademią agentów, zaprosił Sylvię na kolację. Gubernator Strefy Gazy Icchak Segev zabrał ją na wycieczkę w okolice góry Synaj.

Sylvię zaproszono także na posiedzenie sztabu w Mossadzie, gdzie szefowie organizacji zgotowali jej serdeczne powitanie. Wyrazili ubolewanie z powodu wydarzeń w Lillehammer i starali się nie bombardować jej pytaniami, ale Sylvii pewna sprawa wciąż leżała na sercu.

– Bardzo mi na tym zależy, żeby w aktach komisji śledczej w sprawie Lillehammer znalazło się moje zeznanie. Niecierpliwie czekam na przesłuchanie.

Odnotowano jej życzenie i zaproponowano kierownicze stanowisko administracyjne w głównym biurze. Sylvia odrzuciła tę ofertę. Szefowie Mossadu nie pytali dlaczego. Dobrze znali odpowiedź.

Jeden z nich odprowadził ją do samochodu.

– Nie zapomnieliśmy o Salamehu – powiedział. – I jeszcze go dopadniemy.

W tym czasie Annæus Schjødt natychmiast zajął się organizacją powrotu Sylvii do Oslo. Wydawało mu się, że bez trudu zdobędzie pozwolenie na wjazd Sylvii do kraju, ale szybko jego nadzieje rozwiały się jak dym. Odpowiedzialne za to instytucje obiecały rozpatrzenie wniosku, ale wyjaśniono mu, że to drażliwy temat i trudno się spodziewać, że jego prośba zostanie spełniona.

Dzięki przeciekowi z norweskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych gazeta „Dagbladet” dowiedziała się o planowanym powrocie Sylvii do Norwegii. Wiadomość ta wywołała lawinę reakcji. W artykułach prasowych i listach do redakcji zaznaczyły się dwa stanowiska. Jedni opowiadali się wyraźnie za pozwoleniem jej na powrót, inni gorąco protestowali. Przeciwnicy uważali, że „terrorystce z Izraela” nie wolno wrócić na miejsce zbrodni. Czytelnik o nazwisku Jansen Schumann napisał do gazety „Nationen”: „Norwegia nie powinna udzielać prawa pobytu kryminalistom, a już na pewno nie takim, których ścigają organizacje terrorystyczne. Nie możemy dopuścić, żeby na naszych ulicach znowu doszło do rozlewu krwi. Pani Rafael należy dać jasno do zrozumienia, że nie jest mile widziana w naszym kraju”.

Kres publicznej debacie położyli politycy. Wkrótce rząd norweski wydał ostateczną decyzję. Sylvii Rafael nie udzielono pozwolenia na wjazd do kraju.

Ale Annæus Schjødt nie dał za wygraną. Zasypał urzędy i sądy skargami i sprzeciwami wobec tej decyzji, ale jego starania spełzły na niczym. Ostatecznie zwołał swoich wpływowych przyjaciół i włączył ich do walki. Nawet jego żona – pomimo toczącej się sprawy rozwodowej – i wdowa po zabitym kelnerze Achmedzie Bouchikim opowiedziały się za powrotem Sylvii do Norwegii.

Schjødt poleciał do Izraela, żeby odwiedzić kibuc Ramat HaKovesh. Sylvia nie posiadała się ze szczęścia na jego widok. Objęli się czule, a Annæus powiedział, że chce zostać z nią w Izraelu, póki rząd norweski nie zmieni swojej decyzji.

Dni wlokły się w nieskończoność. Z inicjatywy Annæusa Schjødta w Norwegii powołano komitet na rzecz powrotu Sylvii. Jego członkowie

spotykali się z posłami i redaktorami gazet, pisali artykuły i występowali w telewizji.

W kibucu robiono wszystko, żeby Sylvia i Annæus czuli się tam jak u siebie w domu. Oni nie chcieli jednak być ciężarem i poprosili o przydzielenie im jakiejś pracy. Sylvię wysłano do gaju cytrusowego, a Annæus karmił kury i zbierał świeże jajka z kurnika. Z Norwegii nadeszła wiadomość o zakończeniu procesu rozwodowego i Annæus mógł ożenić się z nową wybranką swojego serca. Kilka miesięcy później zaślubiny odbyły się w rodzinnym domu Sylvii w RPA.

Annæus nie szczędził starań, żeby uzyskać dla Sylvii pozwolenie na wjazd do Norwegii. W listach do szefa rządu i ministra spraw zagranicznych pisał, że Sylvia to w tej chwili zgodnie z prawem jego małżonka, więc powinna mieć prawo do zamieszkania w kraju męża. Zacytował fragmenty z wyroku sądu, który wyrażał zrozumienie dla motywów Sylvii w czasie afery Lillehammer, i podkreślił, że nie łączą jej już z Mossadem żadne relacje zawodowe. Niektórzy dziennikarze uznali jego argumenty za przekonujące i nakłaniali rząd norweski, żeby jeszcze raz rozważył tę kwestię. W tygodniku „Ag” pojawił się nawet nagłówek: *Rząd norweski przeciwko miłości*.

Okrągły rok trwały starania o rewizję decyzji norweskiego rządu. Również premierzy Izraela Icchak Rabin, a później Menachem Begin prosili w imieniu Sylvii o uchylenie zakazu wjazdu na teren Norwegii.

Pięknego letniego dnia w 1977 roku Annæus Schjødt otrzymał wreszcie od dawna oczekiwany list z norweskiego Ministerstwa Sprawiedliwości, z informacją, że rząd po ponownym rozpatrzeniu jego wniosku postanowił jemu i jego żonie umożliwić wspólny powrót do Oslo.

17

Sylvia prowadziła spokojne życie jako żona znanego prawnika. Błyszczała w czasie przyjęć w ich domu i bankietów na cześć znanych osobistości. Otaczała ją aura tajnej agentki, a swoją urodą, mądrością i elokwencją zaskarbiła sobie wielu wielbicieli, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Gazety rozpisywały się o niej, wydawnictwa oferowały ogromne sumy za prawa do opublikowania jej biografii, a dziennikarze telewizyjni tłumnie ją oblegali, prosząc o wywiad na temat jej działalności w tajnych służbach. Sylvia za każdym razem uprzejmie odmawiała.

Pod każdym względem w życiu Sylvii rozpoczął się nowy etap, wypełniony miłością do mężczyzny. Teraz była wolna, mogła robić, co chciała, bez konieczności ukrywania się, uciekania przed śledzącymi ją agentami i udawania kogoś innego. Chodziła na spacery i na zakupy, pozowała fotoreporterom i przyjmowała każde zaproszenie ambasady Izraela. Tylko jedno ją martwiło: Ali Salameh nadal prowadził działalność terrorystyczną. Mossad jeszcze nie wpadł na jego trop.

Sylvia nie przeczuwała, że Ali pragnął jej śmierci. Właśnie planował egzekucję Sylvii w Oslo. Wszystko zapiął na ostatni guzik – stworzył oddział likwidacyjny, przemycił broń i amunicję oraz opracował drogę odwrotu. Mimo że próbował utrzymać zamach w ścisłej tajemnicy, o jego planie dowiedziały się niepowołane osoby, kiedy przekazywał misję swoim podwładnym. Jeden z sześciu ludzi pracował jako podwójny agent. Przed wyjazdem do Oslo skontaktował się ze swoim oficerem prowadzącym w Izraelu i powiedział mu o planowanym zamachu. Oficer przekazał tę wiadomość swoim przełożonym.

Mossad natychmiast poinformował norweski wywiad, który włączył się do akcji. Odkryto, że zespół Alego już przyjechał do Oslo. Jego ludzie mieszkali w trzech różnych hotelach i wkrótce mieli odebrać broń ze skrytki na dworcu, żeby zastawić pułapkę przed domem Sylvii.

Kurier z Mossadu odwiedził Sylvię i poinformował ją o wszystkim. Zareagowała ogromnym zdumieniem, bo nie spodziewała się, że Ali

Salameh może nastawać na jej życie. Przecież teraz mieszkała w Oslo jako żona uznanego prawnika, mówiła płynnie i prawie bez akcentu po norwesku.

Wkrótce po nadejściu wiadomości o planowanym zamachu norweskie służby specjalne zaczęły obserwować dom Sylvii. Polecono jej, by do odwołania nie wychodziła z domu.

Ambasador Izraela w Oslo na polecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Jerozolimie spotkał się niezwłocznie z norweskim premierem Odvarem Nordlim, żeby przekazać mu aktualne wieści z Mossadu. Szef rządu wiedział, że Mossad nie przekazuje niesprawdzonych informacji, i bardzo poważnie potraktował ostrzeżenie o planowanym zamachu na Sylvię Rafael. Czerwony z gniewu zapewnił, że osobiście się tym zajmie.

Kiedy ambasador wyszedł, Nordli poprosił, by połączono go z Jasirem Arafatem, przebywającym wtedy w Bejrucie. Przywódca OWP ze zdumieniem odebrał telefon. Jeszcze nigdy nie spotkał się z norweskim premierem i nie wiedział, o czym chce on z nim rozmawiać.

– Panie Arafat – zaczął premier Norwegii bez ogródek – mamy podstawy sądzić, że pańska organizacja wysłała do Oslo zamachowców, żeby zabili Sylvię Rafael-Schjødt.

– Nie wiem, o czym pan mówi – skłamał Arafat.

Znał w szczegółach plan zabójstwa i osobiście go pobłogosławił. Szef rządu norweskiego zignorował jego odpowiedź. Doskonale wiedział, że Arafat nie mówi prawdy.

– Pani Rafael-Schjødt jest pełnoprawną obywatelką naszego państwa – powiedział zdecydowanym tonem. – Niech mi pan obieca, że pańscy ludzie jeszcze dziś opuszczą Oslo. Poza tym chciałbym otrzymać od pana osobiste zapewnienie, że pańska organizacja w przyszłości nie podejmie żadnych działań przeciwko pani Rafael-Schjødt.

Arafat zrozumiał, że dalsze udawanie niewiniątka nie ma sensu. Chciał tylko zyskać na czasie.

– Dowiem się od moich ludzi, czy te pomówienia mają jakiekolwiek podstawy – powiedział wymijająco.

– Nie mam zamiaru czekać – Odvar Nordli obstawał przy swoim. – Proszę pana o osobiste zapewnienie, panie Arafat, i to natychmiast.

Arafat zrozumiał, że gra się skończyła. Gdyby jeszcze bardziej rozsierdził Norwega, ten mógłby uciec się do innych metod wywierania nacisku. Norwegowie mogli aresztować sześciu ludzi z oddziału, potem zamknąć filię OWP w Oslo, mogli też studiujących w Norwegii Arabów wydalić z kraju, a innym zabronić wjazdu. To była zbyt wysoka cena.

– Dobrze – powiedział wreszcie Arafat. – Jeśli oddział, o którym pan mówi, rzeczywiście istnieje, dołożę wszelkich starań, żeby wycofał się z Oslo.

– Prosiłem również, żeby pan obiecał, że pani Rafael-Schjødt w przyszłości nie spotkają żadne nieprzyjemności ze strony pańskiego ugrupowania.

– No dobrze, zrobię, co w mojej mocy, i obiecuję, że nie wyrządzimy jej żadnej krzywdy.

– Dziękuję, panie Arafat.

Ali Salameh dowiedział się od przywódcy OWP, co ten przyrzekł szefowi norweskiego rządu, i zrozumiał, że musi odłożyć na bok swój plan zemsty. Kobieta, która razem z kolegami z wywiadu niestrudzenie deptała mu po piętach, teraz była dla niego nietykalna i objęta ścisłą rządową ochroną. Ali nie mógł opanować gniewu, ale dobrze wiedział, że niczego nie wskóra. Niechętnie rozkazał ludziom z oddziału wrócić do domu.

18

Ali Salameh czuł, że grunt pali mu się pod nogami. Gdy udaremniono plan zamachu na życie Sylvii, zrozumiał, że Izraelczycy wciąż go obserwują i że będą go tropić, póki go wreszcie nie dopadną.

Teraz, gdy wziął ślub z Georginą i urodziło mu się kolejne dziecko, miał po co żyć. Musiał jak najszybciej zatroszczyć się o swój los i pokrzyżować Izraelczykom plany zamachu na jego życie. Dlatego próbował za pośrednictwem jakiegoś potężnego sprzymierzeńca wywrzeć wpływ na Mossad. W grę wchodziło tylko jedno państwo – Stany Zjednoczone.

Jak zawsze Ali zaplanował swój kolejny krok ze sprytem i ostrożnością. Chciał podjąć rozmowy z Amerykanami w chwili, gdy będą go najbardziej potrzebowali, i przekonać ich, że bez niego sobie nie poradzą. Namówił Arafata do tajnej współpracy z nimi. Tłumaczył mu, że tylko oni mogą pomóc Al-Fatah przeciwstawić się radykalnym frakcjom rodzącym się w szeregach organizacji i zapobiec obaleniu *raisa*.

– Przekażemy im ważne informacje, a oni w zamian zapewnią nam wsparcie, kiedy będziemy go potrzebować – zaproponował.

Arafat dał się przekonać.

Teraz musiał zadbać o to, żeby Amerykanie zainteresowali się ścisłą współpracą. Ali już wiedział, jak sprawić, że przyjmą go z otwartymi ramionami. 16 czerwca 1976 roku oddział jego ludzi zaczaił się na kolumnę samochodów nowego ambasadora amerykańskiego w Libanie Francisa Melona, który zamierzał złożyć pierwszą wizytę prezydentowi Libanu Eliasowi Sarkisowi. Kilka minut przed tym, jak kolumna miała dotrzeć do celu, zajechała jej drogę ciężarówka, z której otworzono ogień. Jednocześnie ludzie Alego zaatakowali samochód ambasadora, zabili jego ochroniarzy i uprowadzili go razem z jego *attaché* do spraw gospodarki i kierowcą. Libańskie służby bezpieczeństwa rozpoczęły wielkie poszukiwanie porywaczy, ale nie przyniosło ono żadnego rezultatu. Dopiero następnego dnia znaleziono ciała uprowadzonych na odległej plaży na południu Bejrutu.

Z inicjatywy Alego Salameha dowództwo Al-Fatah poinformowało, że organizacja nie miała nic wspólnego z porwaniem i zamordowaniem dyplomatów. Winę zrzucono na ekstremalne frakcje Al-Fatah. Bejrucka policja aresztowała kilku podejrzanych, których wkrótce wypuszczono na wolność.

Amerykanie zaniepokojeni incydentem w Libanie ucieszyli się, że Ali Salameh postanowił być tajnym informatorem CIA w Bejrucie. On zaproponował Amerykanom wymianę. Zgodził się wystąpić przeciwko skrajnym ugrupowaniom w łonie Al-Fatah, jeśli w zamian za to otrzyma wsparcie militarne i informacje. Poza tym zdradził swoim rozmówcom z amerykańskich służb wywiadowczych, że Rosjanie prosili go o pomoc w uprowadzeniu przedstawiciela CIA Charlesa Watermana. Waterman otoczył się natychmiast ochroną i unikał pojawiania się w publicznych miejscach w Libanie.

Kiedy pewnego dnia Ali jechał z Georginą do jednego z nocnych klubów w Bejrucie, oddział likwidacyjny oddał do niego dwa strzały, a potem natychmiast zapadł się pod ziemię. W szpitalu okazało się, że rany nie zagrażają jego życiu. Georgina siedziała dzień i noc przy jego łóżku, dopóki w pełni nie wyzdrowiał. Mossad nie chciał ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, że jego ludzie maczali palce w tej sprawie. Kilka dni później Arafat ogłosił, że zamach był najwidoczniej dziełem którejś z radykalnych frakcji, z którymi walczył Salameh. Nie ujęto jednak żadnych podejrzanych.

Amerykanie zaprosili Alego na urlop wypoczynkowy do Stanów Zjednoczonych. Pojechał razem z Georginą. Po raz pierwszy od kiedy zaczął działalność terrorystyczną, nie bał się o własne życie. Uważał, że tarcza ochronna, którą roztoczyli wokół niego Amerykanie, jest naprawdę kuloodporna.

19

Pod niezwykle ścisłą ochroną brytyjskich służb specjalnych jesienią 1978 roku obradowała Międzynarodowa Komisja do spraw Walki z Terroryzmem w londyńskim hotelu Hilton. Służby wywiadowcze i organy bezpieczeństwa z całego świata wysłały swoich reprezentantów, żeby radzili, jak zapobiegać terroryzmowi, który w tym czasie był problemem w wielu krajach. Rozmawiano o strukturze ugrupowań terrorystycznych w Azji i Europie, przewidywano, że plaga terroryzmu dotknie także Stany Zjednoczone, i wysuwano propozycje, jak skutecznie radzić sobie z tym niepokojącym zjawiskiem.

W konferencji wzięli udział dwaj dowódcy Mossadu. Przyjechali, żeby dowiedzieć się czegoś nowego i przedstawić swoje prognozy dalszego rozwoju terroryzmu na arenie międzynarodowej. Za źródło tej bolączki uznawali Bliski Wschód, gdzie rekrutowano wielu muzułmanów do udziału w „świętej wojnie" przeciwko niewiernym w Izraelu i jego państwach sojuszniczych. Wtedy nie istniała jeszcze Al-Kaida, ale przedstawiciele Mossadu wyrazili przypuszczenie, że coraz lepiej uzbrojone ugrupowania terrorystyczne najprawdopodobniej stworzą kiedyś radykalny odłam, którego działalność przyćmi wszystkie dotychczasowe zamachy.

Reprezentanci CIA podali sobie ręce z Izraelczykami i pochwalili ich wyczerpujące wystąpienie. Nie wspomnieli ani słowem o swoich kontaktach z Alim Salamehem, ale agenci Mossadu byli doskonale poinformowani. W czasie rozmowy Izraelczyków z Amerykanami w barze hotelowym jeden z reprezentantów Mossadu próbował wybadać sprawę. Izraelczycy zakładali, że Amerykanie dadzą im do zrozumienia, że Ali z nimi współpracuje i że woleliby, żeby nie przytrafiło mu się nic złego.

Rzeczywiście wzmianka taka pojawiła się w czasie ich rozmowy.

– A co byście powiedzieli, gdybyśmy was poprosili o porzucenie planu zamachu na tego człowieka? – zapytał jeden z Amerykanów.

– Odpowiedzielibyśmy, że przekażemy waszą prośbę naszym przełożonym, ale nie możemy niczego obiecać – odparł jeden z

pracowników Mossadu.

– Chyba nadszedł już czas, żebyście przestali się nawzajem zwalczać?

– Być może, ale z Alim Salamehem jeszcze nie wyrównaliśmy rachunków.

Amerykanie oczekiwali innej odpowiedzi.

– Dlaczego nie chcecie mu wybaczyć? – zapytał jeden z nich.

– Odpowiedź jest prosta – odparł jeden z Izraelczyków. – Bóg wybacza, my nigdy.

20

Przygotowania do ostatecznego wyeliminowania Alego Salameha przebiegały pełną parą. Po długich dyskusjach jednostka do zadań specjalnych zabrała się do opracowania planu działania. Należało tylko znaleźć odpowiednich do tego ludzi. Główną rolę miała odegrać młoda Żydówka z Anglii. Była córką brytyjskiego inżyniera i czeskiej aktorki teatralnej, która w przededniu drugiej wojny światowej wyjechała z Pragi i występowała na londyńskich scenach. Kandydatka, dziewczyna średniego wzrostu o śmiałym spojrzeniu, dorastała w domu w porządnej dzielnicy Londynu, chodziła do prywatnej szkoły, a potem studiowała geografię na uniwersytecie w Londynie. Uczyła się przeciętnie, chętnie startowała w zawodach sportowych i często podróżowała swoim austinem mini. Po kilkuletnim pobycie u rodziny w Australii przeniosła się do Jerozolimy, żeby kontynuować studia na Uniwersytecie Hebrajskim. Tam wypatrzył ją łowca talentów z Mossadu. Młoda Brytyjka entuzjastycznie przyjęła jego propozycję udziału w rozmowach kwalifikacyjnych do jednostki Mossadu. Po miesięcznych testach i szkoleniu została przyjęta.

Jej pierwszym przystankiem była Anglia. Tam wyrobiła sobie nowy paszport, wynajęła mieszkanie i zgodnie z zaleceniami przełożonych z Mossadu unikała wszelkich kontaktów z rodziną i przyjaciółmi. Przez trzy miesiące żyła przez nikogo niezauważona, przebywała głównie w domu i niecierpliwie czekała na wiadomość z Mossadu dotyczącą kolejnej fazy planu.

Kiedy wreszcie nadeszły instrukcje, spakowała się i poleciała do Niemiec. Na polecenie Mossadu zaczęła studiować biologię na uniwersytecie we Frankfurcie i żeby zbudować swoją przykrywkę, założyła lokalną filię szwajcarskiej organizacji charytatywnej działającej na rzecz dzieci. Większość czasu poświęcała pracy na rzecz tej organizacji. Zgromadziła rzeszę honorowych niemieckich członków, organizowała zbiórki funduszy i darów, publikowała w prasie listy z podziękowaniami od dzieci, które otrzymały pomoc, i zachowywała dla siebie niewielkie wynagrodzenie.

Na zlecenie Mossadu realizowała pomniejsze zadania, które nieszczególnie ją ekscytowały. Czuła, że bierze udział w jakiejś ważnej operacji, ale jeszcze nie wiedziała, co jest jej celem. Oficer prowadzący nie podał jej żadnych nowych informacji, a ona w napięciu czekała na kolejne rozkazy. Wreszcie otrzymała polecenie wyjazdu do Bejrutu. W jej oczach pojawił się błysk, gdy oficer prowadzący podawał jej szczegóły dotyczące zadania. To było coś dla niej.

Przez grube krople deszczu płynące po szybach samolotu podchodzącego do lądowania wieżowce w Bejrucie wyglądały jak na rozmazanym zdjęciu. Na morzu szalały wysokie fale, rozbijając się o smutną, pustą plażę, ciągnącą się wzdłuż nadmorskiej promenady.

Wraz z innym pasażerami na kontrolę paszportową czekała ciemnowłosa dziewczyna średniego wzrostu. Wydawała się pewna siebie i zupełnie spokojna. Skromne ubranie wskazywało na to, że nie należy do majętnych osób, a duże okulary bynajmniej nie dodawały jej urody.

Urzędnik celny wziął od niej paszport. Ostatnia pieczątka wskazywała, że przyleciała tu z Frankfurtu.

– Co pani robiła we Frankfurcie? – zapytał uprzejmie urzędnik.

Opowiedziała mu o swojej pracy na rzecz organizacji charytatywnej i pokazała doniesienia i zdjęcia prasowe z balów dobroczynnych.

Urzędnik miał obowiązek zawiadomić oficera służby bezpieczeństwa, jeśli podróżny wzbudzał jego podejrzenia. Obcokrajowcy często oznaczali kłopoty, ale ta przyjezdna z Niemiec wydawała się zupełnie nieszkodliwa, wyglądała przecież jak przeciętna pracownica biura. Z obowiązku zadał jej tylko kilka rutynowych pytań.

– Co panią sprowadza do Bejrutu?

– Chcemy również pomóc potrzebującym dzieciom w Libanie.

– Będzie pani miała pełne ręce roboty, szczególnie w obozach dla uchodźców, gdzie mieszka wiele ubogich dzieci.

– Wiem – odpowiedziała.

Na stemplu, który przybił w jej paszporcie, widniała data 1 listopada 1978.

– Szkoda, że nie przyjechała pani latem – powiedział urzędnik. – Zimą jest u nas chłodno i nieprzyjemnie.

Dziewczyna skinęła głową.

– Następnym razem wybiorę się do was w lecie – zapewniła go z wymuszonym uśmiechem.

Odebrała bagaż z pasa transmisyjnego. Celnicy nie zawracali sobie głowy sprawdzaniem jej walizki, ale i tak nic by w niej nie znaleźli. Żaden z nich nie zorientowałby się, że w suszarce do włosów ukryto nowoczesny zdalny zapalnik, który mógł uruchomić potężny ładunek wybuchowy.

Taksówką pojechała do hotelu Le Meridien, w którym zarezerwowała pokój. Następnego dnia poszła do najbliższej agencji nieruchomości, sprawdzając po drodze, czy ktoś jej nie śledzi. Pracownik agencji wypełnił formularz: nazwisko, numer paszportu, stan cywilny i poszukiwane mieszkanie – trzy umeblowane pokoje przy Rue Verdun do celów mieszkalnych i biurowych. Pojechali razem, żeby obejrzeć wszystkie oferowane lokale.

– Ma pani doskonały gust – pochwalił ją pośrednik. – Rue Verdun to jedna z najlepszych ulic w mieście. W prawie każdej kamienicy jest portier i eleganckie lobby. Mieszkają tam posłowie, wysocy urzędnicy, pisarze i artyści. To bardzo spokojna i miła okolica.

Pokazał jej wolne mieszkanie na szóstym piętrze w pięknej kamienicy. Po krótkich oględzinach klientka uznała, że lokal jej się nie podoba. Właściwie nie miała mu nic do zarzucenia, poza jednym – nie odpowiadało jej usytuowanie budynku.

Przy Rue Verdun znajdowały się jeszcze dwa wolne mieszkania. Kobieta obejrzała je i zdecydowała się na jedno z nich, położone na ósmym piętrze. Pokoje były urządzone ze smakiem, a mieszkanie miało wielki balkon. W budynku naprzeciwko na czwartym piętrze były zamknięte okiennice, ale ona doskonale wiedziała, kto tam mieszka – mężczyzna, z powodu którego przyjechała do Bejrutu. Stanęła na balkonie wychodzącym na ulicę.

– To najspokojniejsza ulica w Bejrucie – mówił agent, próbując nakłonić ją do szybkiego podjęcia decyzji. – W centrum miasta nie znajdzie pani drugiej takiej.

Klientka już się zdecydowała.

– Właśnie tego szukam – powiedziała.

Wynajem kosztował więcej, niż się spodziewała, dlatego próbowała się targować. Zapłaciła honorarium agenta w gotówce i czynsz za dwa miesiące, podpisała umowę i dostała klucze. Wkrótce potem do mieszkania przyniesiono jej bagaż.

Nowa lokatorka rozpoczynała tak samo każdy dzień. Co rano szła kupić gazetę, mleko i bułki. Po śniadaniu jechała wynajętym datsunem do obozu dla uchodźców, żeby ocenić, jak dużo pieniędzy potrzebują. Po powrocie do domu prowadziła rozmowy telefoniczne ze swoją organizacją. Sąsiadów spotkanych na klatce schodowej prosiła o hojne datki. Niewielu zareagowało na jej prośbę. Wieczorami w jej mieszkaniu zawsze paliło się światło. Nie wychodziła, słuchała muzyki w radiu i godzinami przesiadywała na balkonie. Nigdy nie dostawała paczek ani większych przesyłek.

Zajmowała się jednak czymś jeszcze, o czym nie wiedział żaden z sąsiadów. Z okna obserwowała przyjazdy i odjazdy dwóch aut, landrovera i chevroleta, które regularnie zatrzymywały się przed domem naprzeciwko, przywożąc mężczyznę do siedziby głównej Al-Fatah, a potem zabierając go stamtąd w inne miejsce. Samochody przyjeżdżały zawsze o tej samej godzinie, o 9.30, i odbierały mężczyznę o 17.15. Rozpoznała pasażera samochodu na podstawie zdjęć, które oglądała przed wylotem do Bejrutu. To był Ali Salameh. Mieszkał naprzeciwko, na czwartym piętrze. Za pomocą elektronicznego urządzenia nadawczego przesłała jego rozkład dnia do jednostki do zadań specjalnych.

Kiedy ona prowadziła obserwację w wynajętym mieszkaniu przy Rue Verdun, w Izraelu planowano już ostatnie fazy operacji. Wkrótce na lotnisku w Bejrucie wylądował człowiek z brytyjskim paszportem, który przyleciał z Zurychu i podawał się za biznesmena. Zameldował się w hotelu przy promenadzie Corniche i wynajął volkswagena golfa, którego zostawił na parkingu w podziemiach hotelu. Następnego dnia do Bejrutu przyjechał kolejny człowiek, tym razem z Kanady. Przedstawiał się jako przedstawiciel międzynarodowego koncernu wytwarzającego sprzęty kuchenne i zastawę stołową. Wynajął pokój w hotelu nieopodal plaży i samochód. W środku nocy wsiadł do samochodu i pojechał na nieoświetloną plażę za miastem. Chwilę później izraelscy żołnierze przypłynęli tam na pontonach wypełnionych materiałami wybuchowymi. Błyskawicznie załadowano je do samochodu. Pontony razem z załogą bezszelestnie wypłynęły na pełne morze. Mężczyzna pojechał na podziemny parking w hotelu, w którym zatrzymał się jego kolega z Anglii. Prawie pusty parking był idealnym miejscem na tajne przedsięwzięcie.

Obaj podający się za biznesmenów członkowie jednostki do zadań specjalnych przenieśli ładunki do volkswagena golfa i uzbroili je, czego

wcześniej uczono ich na szkoleniu w Izraelu. Potem pojechali samochodem na Rue Verdun i ostrożnie zaparkowali przed domem Alego Salameha. Po zamachach zorganizowanych przez Mossad dowódcy Czarnego Września nauczyli się, że nie mogą wsiadać do samochodu, jeśli wcześniej nie sprawdzą go ich ochroniarze. Dlatego Mossad zrezygnował z podkładania bomby w samochodzie Alego i zdecydował się zostawić naszpikowane materiałami wybuchowymi auto w pobliżu jego domu.

Z okna mieszkania agentka uważnie obserwowała zaparkowanego volkswagena, którego kierowca wysiadł i pewnym krokiem odszedł chodnikiem, a potem zniknął w oddali. Wszystko było gotowe do akcji – zastawiono śmiercionośną pułapkę, przygotowano zdalny zapalnik bomby, a agentka, która miała się nim posłużyć, czekała w swoim mieszkaniu.

Przez całą noc nie zmrużyła oka. Wszystko jeszcze mogło się zdarzyć. Każda zmiana planów ofiary, przerwany przewód w zapalniku, awaria zdalnego sterowania – byle drobiazg mógł zaważyć na powodzeniu akcji. W szczegółach zaplanowana operacja, nad którą czuwał sztab ludzi, niosła ze sobą ogromne ryzyko. Oczy wszystkich, zarówno w Mossadzie, jak i w całych izraelskich służbach specjalnych, były teraz skierowane na jedną agentkę.

Był szary i chłodny poranek, w połowie stycznia 1979 roku. Dziewczyna podeszła do okna. Na ulicy było pusto. Nikt nie szedł chodnikiem, a ulicą nie jechało ani jedno auto. Sklepów jeszcze nie otworzono. Spakowała swój niewielki dobytek do małej walizki i włożyła ją do bagażnika samochodu. Nie chciała niczego odkładać na ostatnią chwilę.

Ale ku jej zdumieniu Ali nie wyszedł rano z budynku. Widziała go zeszłego wieczoru, jak wchodził do środka, ale przed południem nadal pozostawał w swoich czterech ścianach. W napięciu czekała na samochód, który miał po niego przyjechać, ale auto zjawiło się dopiero po południu, gdy już powoli traciła nadzieję.

Ali jadł obiad w domu z Georginą. Była w ciąży z drugim dzieckiem i nie miała zupełnie apetytu. Wybierał się do Damaszku na obrady Palestyńskiej Rady Narodowej, która gromadziła się raz na pół roku. Powiedział, że najprawdopodobniej wróci do domu dopiero następnego dnia.

– Uważaj na siebie – prosiła go Georgina, ale on tylko się zaśmiał.

– Damaszek to dla mnie najbezpieczniejsze miejsce pod słońcem – zapewnił ją, żeby ją uspokoić.

O 15.45 po Alego przyjechała jego ochrona, żeby zawieźć go na lotnisko. Pocałował Georginę na pożegnanie.

– Będę za tobą tęsknił – powiedział

– A ja za tobą – wyszeptała jego żona. – *Allah ma'ak*, niech Bóg będzie z tobą.

Ali wsiadł do swojego chevroleta, a jego strażnicy zajęli miejsca w landroverze. Kilka metrów dalej stał zaparkowany biały golf wypełniony materiałami wybuchowymi.

Nadszedł właściwy moment.

Agentka spojrzała na ulicę przez zasłonięte firanki. Nacisnęła przycisk zdalnego zapalnika. Z ogromnym hukiem golf eksplodował, a w okolicznych domach wyleciały szyby w oknach. Płomienie dosięgły chevroleta. Ali Salameh odniósł ciężkie obrażenia. Była 15.55.

Słysząc huk, Georgina wyszła na balkon. Zobaczyła dym wydobywający się z samochodu jej męża i wydała krzyk przerażenia. Serce mówiło jej, że Ali już nigdy do niej nie wróci.

Na Rue Verdun zaroiło się od ludzi, którzy spieszyli na miejsce eksplozji. Nadjechały ambulanse i radiowozy na sygnale.

Agentka wyszła z mieszkania, wsiadła do swojego auta i utorowała sobie drogę przez rozszalały tłum. Pojechała do hotelu Le Meridien, weszła do lobby i usiadła w miękkim fotelu. Miała jeszcze kilka godzin do umówionego spotkania na plaży z kolegami. Wypiła kawę i przeczytała gazetę. Na ekranie telewizora pojawiła się relacja z miejsca wybuchu. Kamera śledziła nosze, na których wynoszono śmiertelnie rannego Alego Salameha. Zmarł wkrótce po przewiezieniu do szpitala.

Kiedy nastał wieczór, agentka pojechała na południe, na opuszczoną plażę. Tam czekali już na nią obaj mężczyźni, którzy przygotowali samochód-pułapkę. Po chwili zabrał ich stamtąd izraelski kuter torpedowy.

Pod osłoną ciemności zeszli z pokładu w porcie w Hajfie. W nocy powietrze było chłodne i zaczęło kropić. Samochód należący do jednostki zawiózł ich do Tel Awiwu. Misja zakończyła się sukcesem.

Pozostała do uregulowania tylko jedna sprawa – odszkodowanie dla rodziny Ahmeda Bouchikiego. Dopiero w 1996 roku, dokładnie trzy lata po porozumieniach z Oslo, rząd Izraela wysłał swojego emisariusza do syna

Ahmeda Bouchikiego, omyłkowo zastrzelonego w Lillehammer. Wysłannik miał wynegocjować wysokość odszkodowania dla rodziny zmarłego. Ostatecznie syn zgodził się przyjąć czterysta tysięcy dolarów i odstąpić od dochodzenia swoich praw na drodze sądowej.

Sylvia dowiedziała się o zamachu w Bejrucie i śmierci Alego Salameha, czytając poranną gazetę. Autor artykułu przypuszczał, że ataku dokonał Mossad. Sylvia nie miała wątpliwości, że za tą egzekucją stoją jej dawni koledzy.

– Przeczytaj – powiedziała do Annæusa, kiedy jedli razem śniadanie. – To bardzo interesująca wiadomość.

On tylko się uśmiechnął.

– Krąg się zamknął – powiedział.

– Cieszę się, że nareszcie sprawiedliwości stało się zadość.

– Na pewno żałujesz, że nie przyłożyłaś do tego ręki.

– Oczywiście.

21

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych Annæus przeszedł na emeryturę, nie chciał zostawać z Sylvią w Norwegii. Ona zaproponowała najpierw przeprowadzkę do Izraela, ale z tym wiązały się pewne komplikacje. Annæus nie mówił po hebrajsku i nie wiedział, czy zdoła zapuścić korzenie w Izraelu. Poza tym rodzina Sylvii chciała, by ona i jej mąż wrócili do niej. Matka pisała do niej, że po tylu latach rozłąki Sylvia powinna znowu zamieszkać ze swoją rodziną. „Z wielką radością zobaczę Cię znowu w domu”, pisała.

To do głębi wzruszyło Sylvię.

– Chciałabym zrekompensować mojej matce wszystkie lata, kiedy żyłam z dala od domu – powiedziała do Annæusa.

On doskonale ją rozumiał i był gotów spędzić z nią resztę życia w RPA. Kupili willę z pięknie utrzymanym ogrodem w sąsiedztwie rodzinnego domu Sylvii w Graaf-Reinet i gustownie ją urządzili.

Ale sielskie życie na emeryturze w Afryce Południowej nie trwało długo.

Któregoś pięknego poranka zjedli razem śniadanie, podziwiając widok na skąpany w słońcu ogród. Potem Annæus pocałował żonę na pożegnanie i pojechał do miasta po książki. Kiedy wrócił, ze zdumieniem zastał ją w łóżku, z zamkniętymi oczami. Zdziwił się, bo w południe mieli zjeść lunch z przyjaciółmi i o tej porze Sylvia powinna być już gotowa. Pogłaskał ją czule po policzku. Miała wysoką gorączkę.

Sylvia zamknęła oczy.

– Przykro mi, kochanie – wyszeptała – ale jestem chora.

Annæus chciał zadzwonić po lekarza, ale go powstrzymała.

– To tylko przeziębienie, przejdzie mi – zapewniła go.

Kiedy jednak po dwóch dniach gorączka nie ustępowała i doszły do niej bóle brzucha, postanowiła zasięgnąć porady lekarza.

Lekarz rodzinny gruntownie ją zbadał.

– Nic nie znalazłem – powiedział. – Ale uważam, że powinna pani poddać się dokładnym badaniom w szpitalu. Tam postawimy dokładną diagnozę.

Annæus zawiózł ją do szpitala samochodem. Siedział koło niej, kiedy pobierano jej krew, osłuchiwano serce, mierzono ciśnienie i sprawdzano odruchy. W czasie bardziej skomplikowanych badań czekał pod drzwiami.

Dopiero po kilku dniach nadeszły wyniki wszystkich badań. Nie były dobre.

Sylvia i Annæus siedzieli w gabinecie ordynatora, który patrzył na nich ze smutkiem.

– Niestety mam dla państwa złe wieści – zaczął.

Sylvia zbladła, a Annæus trzymał ją za rękę, kiedy lekarz powiedział im, że zachorowała na raka.

– Czy to uleczalne?

– Zrobimy wszystko, żeby pańska żona wróciła do zdrowia. Może trzeba będzie operować, ale na pewno nie obejdzie się bez chemioterapii...

Sylvia i Annæus właściwie nie słyszeli, co potem powiedział lekarz. Siedzieli w osłupieniu, trzymając się za ręce. W jednej chwili los obrócił wniwecz ich piękne marzenie o długim, szczęśliwym życiu.

– Poruszę niebo i ziemię – zapewnił ją Annæus. – Zaangażuję najlepszych lekarzy i najnowocześniejsze leki. Razem będziemy walczyć, aż pokonamy chorobę.

– Taki jesteś pewien zwycięstwa? – zapytała Sylvia drżącym głosem.

– Na sto procent. Przecież oboje jesteśmy urodzonymi wojownikami – odpowiedział, uśmiechając się do niej.

Leczeniem Sylvii zajmowali się najlepsi lekarze, ale okazało się, że jest już za późno. Rak zajął cały organizm i doszło do przerzutów, które powodowały u Sylvii napady strasznego bólu. Lekarze nie odważyli się powiedzieć jej, że jest w bardzo złym stanie.

– Wydaje mi się, że terapia nie skutkuje – powiedziała któregoś dnia do męża.

On również powoli tracił wiarę. Widział, jak żona niknie w oczach. Wypadały jej włosy i zaostrzyły się rysy jej twarzy, a pod skórą widać było kości.

Żeby dodać jej otuchy, Annæus zabrał ją w 2004 roku w rejs dookoła świata. Mieszkali w apartamencie na górnym pokładzie luksusowego liniowca. Opłynęli Wyspy Karaibskie, wybrali się w rejs po rzece Jangcy w Chinach, przybijali do brzegu w Wenecji, Neapolu i Casablance. Sylvia starała się zachowywać jakby nigdy nic i nie tracić dobrego humoru. Nie skarżyła się na ból, ale w tajemnicy łykała środki przeciwbólowe. Królowała na parkiecie, pływała w basenie i grała w kasynie. Traktowała ten rejs jako ostatni akord swojego życia.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy ostatniego dnia rejsu stali wieczorem na pokładzie, oglądając zachód słońca. – Brak mi słów, żeby opisać, jak bardzo mnie uszczęśliwiłeś.

On wziął ją w ramiona, a jego dusza płakała. Zrozumiał, że to ich pożegnanie.

Po rejsie Sylvia kontynuowała terapię. Minęło kilka miesięcy. Lekarze zdołali na chwilę powstrzymać rozwój choroby, ale ona wkrótce dała o sobie znać ze zdwojoną siłą.

Sylvia i Annæus pojechali w pożegnalną podróż do przyjaciół w Oslo i do Ramat HaKovesh, odwiedzili też kolegów Sylvii z jednostki do zadań specjalnych. Sylvia, w peruce, na wózku inwalidzkim, wydawała się radosna i beztroska, ale nie ukrywała przed nikim smutnej prawdy. Objęła i ucałowała przyjaciół z kibucu.

– Chciałabym moje ostatnie dni życia spędzić w Izraelu, ale jestem coś winna mojej rodzinie – powiedziała. – Opuściłam krewnych jako młoda dziewczyna i przez wiele lat ich nie widziałam. Chcę im poświęcić przynajmniej ostatnie chwile mojego życia.

Przed jej wyjazdem z Ramat HaKovesh Hadass i Szmuel podarowali jej album ze zdjęciami i pożegnali ją ze łzami w oczach. Wszyscy wiedzieli, że widzą się po raz ostatni.

Sylvia i Annæus wrócili do RPA i rozpoczął się ostatni etap ich wspólnej podróży. Nie rozstawali się na krok, starając się jak najlepiej wykorzystać ostatnie wspólne chwile. Rozmawiali o przeszłości i teraźniejszości. Próbowali nie myśleć o przyszłości.

W ostatnim liście do kolegi z Mossadu Sylvia napisała z typowym dla siebie poczuciem humoru: „Rak ma swoje dobre i złe strony. Cóż, umrę łysa, ale za to dzięki chorobie straciłam zbędne kilogramy. Nigdy wcześniej

nie miałam figury modelki. Poza tym mam trzy peruki, w których wyglądam oszałamiająco (...)”.

8 lutego 2005 roku, w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat, Sylvia straciła przytomność. Następnego ranka przewieziono ją do szpitala.

W testamencie wyraziła życzenie, by pochowano ją na cmentarzu w kibucu Ramat HaKovesh. Inskrypcję na marmurowym nagrobku wykonali jej koledzy z jednostki:

> Kochałam swój kraj ze wszystkich sił
>
> Teraz, gdy nadszedł mój czas, niech przyjmie mnie jego ziemia...

Obok jej nazwiska na nagrobku wyryto emblemat Mossadu.

Pochowano ją na cmentarzu dla żołnierzy na niewielkim pagórku pośród drzewek pomarańczowych, obok poległych w 1948 roku, którzy zażarcie walczyli o przetrwanie narodu żydowskiego w swoim kraju. Sylvia poszła w ich ślady, przez całe życie dobro narodu leżało jej na sercu.

Cmentarz dla żołnierzy stanowił metaforę całego jej życia. Z jednej strony rozciągał się widok na kibuc, który tak kochała i który leżał na terenie kraju, za jaki ze wszystkich sił walczyła tyle lat, podejmując często ogromne ryzyko. Mieszkańcy kibucu zdobyli się na wspaniały gest, oddając miejsce na swoim cmentarzu kobiecie, która właściwie nie była ani Żydówką, ani ich towarzyszką. Po drugiej stronie cmentarza widać było w oddali minarety sąsiedniej wioski Tira, zamieszkanej przez Arabów. Arabskie meczety stanowiły tło wielu zadań, które wykonywała Sylvia we wrogich krajach, walcząc z terrorystami. Jakże symboliczne było miejsce jej pochówku: zielone pola, śpiew ptaków, upojny zapach drzew pomarańczowych i modlitewne zawołania muezinów rozbrzmiewające pod drugiej stronie cmentarza.

Nad jej grobem przemawiał jej mąż oraz jeden z dowódców Mossadu. Mike Harari powiedział: „Byłaś cesarzową z najszlachetniejszego rodu, niezrównaną bojowniczką, wierną wysłanniczką narodu żydowskiego, kobietą o niezłomnej woli. Często w obliczu śmierci udawało ci się dokonać niemożliwego. Będzie nam ciebie bardzo brakowało, Sylvio...”.

Jej liczni przyjaciele i koledzy z Mossadu, przede wszystkim z jednostki do zadań specjalnych, stali nad jej grobem ze spuszczonymi głowami, ze łzami w oczach. Wielu znało ją osobiście i przeprowadzało

razem z nią ryzykowne akcje. Niezwykle ją cenili za jej determinację, promieniującą od niej radość życia i umiejętność radzenia sobie nawet w najtrudniejszej sytuacji. Zabrakło tylko Abrahama Gehmera, jej dawnego nauczyciela, który szkolił ją i wprowadzał w tajniki zawodu szpiega, był jej oficerem prowadzącym w Paryżu, a potem kolegą z zespołu w Lillehammer i bliskim jej człowiekiem. Mieszkał w domu opieki, gdzie dotarła do niego wiadomość o śmierci Sylvii. Jego żona, która znała Sylvię, opowiadała w czasie pogrzebu, że jej mąż ronił gorzkie łzy na wieść o śmierci agentki, której tak długo towarzyszył w jej drodze.

Po pogrzebie Sylvii jej mąż podszedł do Motiego Kfira, kierownika akademii agentów, i razem wspominali zmarłą.

– Mam nadzieję, że ktoś napisze kiedyś książkę o Sylvii – powiedział Annæus Schjødt.

Potem żałobnicy w domu kultury w kibucu obejrzeli wspomnieniową wystawę zdjęć Sylvii. Kilka z nich przedstawiało Sylvię w czasach, gdy dopiero zaczynała pracę wolontariuszki w Izraelu. Wiele z wystawionych fotografii zrobiła ona sama jako Patricia Roxburgh w krajach arabskich, niektóre pokazywały ją w kręgu przyjaciół z kibucu i z mężem, który opiekował się nią do ostatnich chwil. Na większości zdjęć uśmiechała się, pogodzona z trudnym zadaniem, które wzięła na swoje barki.

Osobiste spojrzenie

Posłowie nigdy nie jest ostatnim słowem. Czy udało nam się w tej książce pokazać wszystkie oblicza Sylvii? Czy opisane tu wydarzenia oddają jej prawdziwy charakter? Niekoniecznie.

W czasie mojej służby w Mossadzie przyjaciele często mnie pytali, co stanowi o istocie prawdziwego szpiega i co daje mu siłę do działania. W ostatnich latach w mediach, książkach i filmach przedstawiano naszych największych bohaterów: Eliego Cohena, Wolfganga Lotza, Barucha Mizrachiego, Jakoba Cohena, Maksa Bennetta, a teraz Sylvię Rafael. Czy życie tych ludzi stało się teraz mniej zagadkowe, czy lepiej zrozumieliśmy ich zawodowe motywacje, decyzje i sposób postępowania? Nie byłbym tego taki pewien.

Nie jestem znawcą ludzkiej duszy. Mogę tylko opisać przebieg zdarzeń. Ich interpretację pozostawiam czytelnikowi.

Wielcy bohaterowie odgrywają główną rolę na scenie historii, ale kiedy spotykamy kogoś, kto zasługuje na miano „bohatera", choć nigdy o to nie zabiegał, to w pierwszej chwili mamy do czynienia z człowiekiem, po prostu człowiekiem. Czy bohater to ktoś, kto potrafił osiągnąć swoje cele? Niekoniecznie. Czy bohaterowie i ich rozkazodawcy – którzy równie często stają się mitycznymi postaciami – to wyjątkowe osobowości? Wątpię. Na prawdziwy dramat składa się mnóstwo czynów, decyzji, koniecznych działań, wyzwań i bezsennych nocy. Miałem szczęście poznać ludzi, którzy brali udział w takich dramatach. Każdy z nich był indywidualnością. Spotkałem prawdziwych introwertyków, którzy żyli po spartańsku i szli przez świat, obserwując go ze zdrowego dystansu. Dzięki swojej trzeźwości umysłu i spostrzegawczości potrafili adekwatnie ocenić ludzi i sytuacje. Najczęściej działali w ukryciu, nie gonili za sławą i uważali swoje życie za zwyczajne i prozaiczne.

Sylvia była bohaterką ulepioną z innej gliny. Choć pozostawała w cieniu, była jak wielobarwny ptak, jak aktorka w wielkim teatrze świata. Miała nieposkromiony apetyt na życie i pędziła ku nowym wyzwaniom,

jakby dobrze wiedziała, że jej dni są policzone, a wciąż jest wiele do zrobienia. Ogromna inteligencja pomagała jej wyjść z największych opresji. Wędrowała po wielu obszarach, potrafiła z łatwością zbliżyć się do ludzi i zdobyć ich zaufanie. Wszyscy zapamiętamy jej niezaspokojoną ciekawość, przytomność umysłu w niebezpiecznych sytuacjach, zaraźliwy śmiech i niewyczerpaną radość życia. Wykonywała swój zawód z powołania i czuła się związana z żydowskim narodem i jego historią, choć nie wyssała tego z mlekiem matki. Wedle praw religijnych nie była Żydówką, a jednak stanowiła część tego narodu, bowiem miała poczucie przynależności do niego, współodczuwała z nim i wzięła na siebie odpowiedzialność za jego przyszły los. Nigdy nie pytała: „Dlaczego ja?”. Znała odpowiedź na to pytanie. Była gotowa ponieść każdą ofiarę, chciała osiągnąć niemożliwe, żeby godnie sprostać swojemu powołaniu.

Taka była Sylvia, a wszystko, co tu opowiedzieliśmy, oddaje tylko część prawdy o niej. Całą resztę należy pozostawić historykom.

Ku pamięci Sylvii – kobiety i bojowniczki.

Ku chwale dawnych i dzisiejszych bojowników.

Moti Kfir

Podziękowania

Moje najgłębsze podziękowania zechcą przyjąć:

Ram Oren, który w swoich książkach przedstawił wielkie dramaty naszego życia, nadając im głęboki sens.

Moja żona Nira, teraz i na zawsze.

Moi rodzice, Bela i Yehuda Kaprov, którzy zawsze chcieli dowiedzieć się więcej o mojej pracy i teraz będą mieli ku temu okazję.

Moje obie córki, Shirly i Efrat – za ich miłość, cierpliwość i wyrozumiałość, którą zawsze mi okazywały, gdy musiałem znikać z domu, nie wyjawiając im przyczyny moich wyjazdów.

Yoske Yariv – mój przełożony i przyjaciel, który nauczył mnie, że praca w służbach specjalnych to zarazem rzemiosło i sztuka.

Moi przyjaciele – za ich wsparcie i słowa otuchy.

Or, Tal, Mai, Gal i Omer, moje wnuki i wnuczki – niech ta książka przybliży wam fragment historii naszego kraju.

Los, który postawił przede mną wielkie zadanie.

„Gdyby przeszłość miała się powtórzyć, niczego bym nie zmienił” (Alexander Penn).

Moti Kfir

Moti Kfir pełnił wiele wysokich funkcji w jednostce do zadań specjalnych Mossadu i prowadził akademię agentów. Zdobył tytuł doktora na Wydziale Historycznym paryskiej Sorbony.

Podziękowania zechcą przyjąć:

Dan Arbel

Tanachum Ben Ari

Ilan Ben Dor i komisja cenzury

Nurit Golan

Dina Gehmer

Arie Zohar, koordynator komisji ministerialnej do spraw publikacji
Nechemya Meiri
Yaakov Medad
Dani Pinas
Eliezer Palmor
David Rafael
Annæus Schjødt
i wszyscy, którzy woleli zachować anonimowość

Ram Oren/Moti Kfir

Sylvia Rafael. W lewym dolnym rogu jej podpis w języku hebrajskim

Sylvia w arabskim stroju (na pierwszym planie) w jordańskim obozie uchodźców

Siedziba akademii agentów specjalnych przy ulicy Allenby’ego w Tel Awiwie

Moti Kfir, szef akademii agentów specjalnych

Abraham Gehmer, oficer operacyjny, nauczyciel Sylvii

Georgina Rizk, druga żona Ali Hassana Salameha (Miss Universe 1971)

Arcyterrorysta, Ali Hassan Salameh

Ojciec Ali Hassana, dowódca sił palestyńskich, Hassan Salameh

Sylvia przyjmująca inną tożsamość: tutaj jako kanadyjska fotoreporterka Patricia Roxenburg

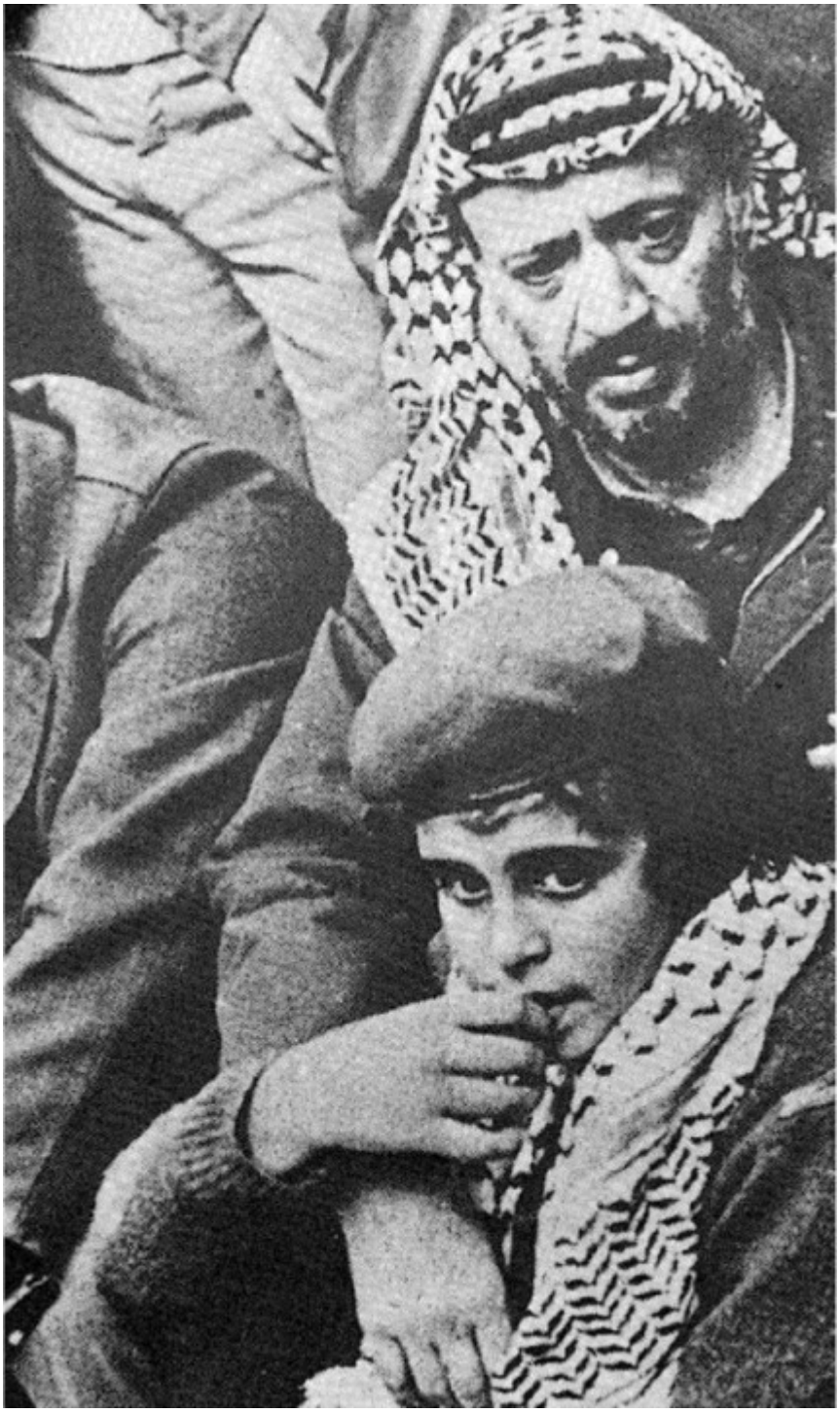

Arafat i najstarszy syn Ali Hassana Salameha. Zdjęcie z pogrzebu Hassana Salameha w Bejrucie

Więzienie dla kobiet Bredtveit w Oslo, w którym osadzono Sylvię

Spotkanie Sylvii z izraelskim pisarzem Ephraimem Kishonem w norweskim więzieniu

Ostatnia fotografia: Sylvia w towarzystwie męża podczas rejsu, kilka miesięcy przed śmiercią

Grób Sylvii Rafael w kibucu Ramat HaKovesh (teren wojskowy)

Tytuł oryginału
Sylvia. Life and death of a Mossad agent

Copyright © Moti Kfir 2010, © Ram Oren 2010

Copyright © for the translation by Mateusz Borowski 2013

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Fotografia na pierwszej stronie okładki
© Peter Kim/Shutterstock.com

Opieka redakcyjna
Przemysław Pełka
Artur Wiśniewski

Korekta
Barbara Gąsiorowska

Opracowanie typograficzne
Irena Jagocha
Daniel Malak

Table of Contents

Karta tytułowa
Słowo wstępne
Przedmowa
Część I. Plan zamachu
1
Część II. Niezapowiedziany gość
1
2
3
4
5
6
7
8
Część III. Noc w arabskiej wiosce
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
Część IV. Aresztowanie i przesłuchanie
1
2
3
4
5
6
7

8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
Część V. Przesłuchanie w obozie dla uchodźców
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
Część VI. Mężczyzna w kobiecym przebraniu
1
2

3
4
5
6
7
Część VII. Historia pewnej miłości
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
Osobiste spojrzenie
Podziękowania
Wkładka zdjęciowa
Karta redakcyjna

This file was downloaded from Z-Library project

Your gateway to knowledge and culture. Accessible for everyone.

z-library.sk z-lib.gs z-lib.fm go-to-library.sk

Official Telegram channel

Z-Access

https://wikipedia.org/wiki/Z-Library